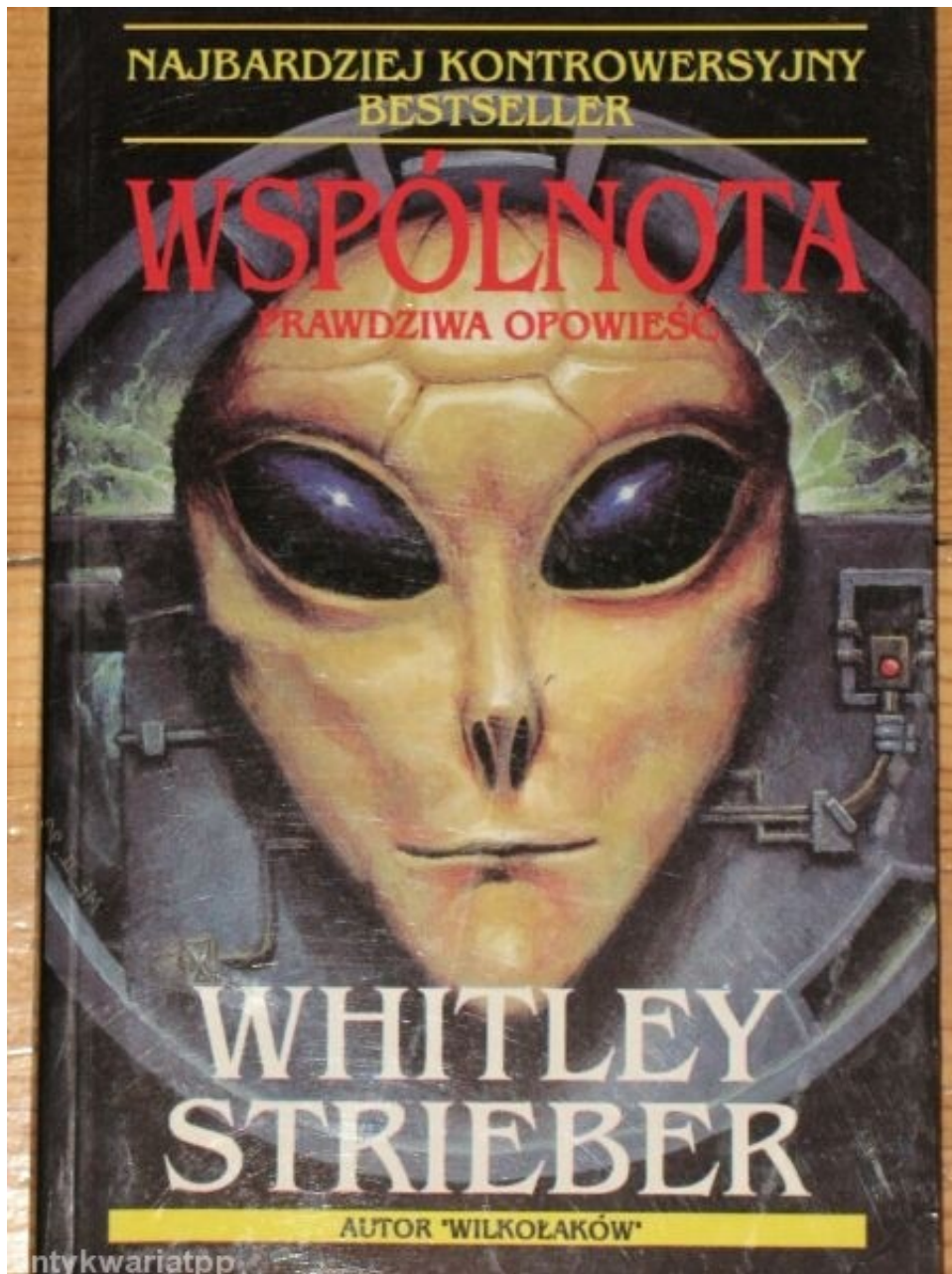


Whitley Strieber

Wspólnota

Prawdziwa opowieść

(*Communion. A true Story* / wyd. orygin.: 1987)



*Dla tych, którzy przeszli przez lustro,
I dla tych, którym ten blask w oczach lśni,
Dla tych, którzy ukryć to pragną,
I dla tych, co tajemnicę utracili,
Dla tych, co nie potrafią milczeć,
I dla tych, którzy kłamstwa się nauczyli.*

Spis treści:

Podziękowania

Preludium. Zasłona skrywająca prawdę

Rozdział 1: Niewidzialny las. Pierwsze wspomnienia

Rozdział 2: Podróż w głąb jaskini umysłu. Hipnoza.

Rozdział 3: Barwy ciemności. Introspekcja.

Rozdział 4: Niebo pod stopami. Podróż we własną przeszłość.

Rozdział 5: Sojusz zagubionych. Wspomnienia mojej rodziny.

Rozdział 6: Obiekty na niebie. Nauka, historia i wiedza tajemna.

Epilog

Podziękowania

Podczas pracy nad niniejszą książką swą pomocą zaszczyliło mnie wielu wybitnych przedstawicieli świata naukowego. Chciałbym podziękować doktorowi medycyny Donaldowi F. Kleinowi, dyrektorowi Oddziału Badań Naukowych New York State Psychiatric Institute i wykładowcy psychiatrii na Uniwersytecie Columbia w College of Physicians and Surgeons, za fachowo przeprowadzone seanse hipnotyczne. Dzięki uprzejmości doktora Roberta Naimana podobne wsparcie otrzymała podczas hipnozy moja żona. Dr John Gliedman dokonał biegłej analizy naukowej moich poglądów, jak również wniósł swój istotny wkład w książkę. Dr David Webb, do niedawna członek Narodowej Komisji ds. Przestrzeni Kosmicznej, a obecnie wykładowca i przewodniczący studiów kosmicznych w Center for Aerospace Sciences Uniwersytetu North Dakota oraz dr Brian O'Leary, astronauta i planetolog, służyli mi radą opartą na kombinacji fachowości, zdrowego sceptycyzmu i niezłomnego trzymania się faktów, bez czego nie byłbym w stanie ukończyć mojej pracy. Dr Bruce Maccabee, fizyk i badacz w służbie Marynarki Wojennej

Stanów Zjednoczonych przeczytał rękopis niniejszej książki pod kątem zawartych w niej zagadnień fizycznych – wszelkie błędy w zakresie tej dziedziny powstały wyłącznie z mojej winy. Doktor David M. Jacobs, profesor przy katedrze historii Tempie University był uprzejmy udzielić mi wskazówek, głównie w zakresie tła historycznego.

Moje szczególne podziękowania należą się Buddowi Hopkinsowi, który nie szczędził czasu ani wysiłku – często graniczącego z heroicznym – by pomóc zarówno mnie, jak i tym, którzy stanęli na krawędzi rzeczywistości.

Obecność lekarzy i naukowców jako moich doradców nie oznacza wcale, iż przychylają się oni do moich wniosków na temat tego, co mnie spotkało. Ich zainteresowanie wyrasta z pragnienia zbadania czegoś, co wydaje się zjawiskiem niewyjaśnionym lub niezrozumiałym. Dla środowiska naukowego natura tego zjawiska pozostaje niezgłębiona.

Preludium

Zasłona skrywająca prawdę

Rzeczywisty świat prześliznął się przez oczka sieci zarzuconej przez naukę.

Alfred North Whitehead *Modcs of Thought*

Jest to historia zmagania człowieka z druzgocącym spokoj atakiem Nieznanego, historia na tyle prawdziwa, na ile potrafię ją zawrzeć w słowach.

Wszystko wskazuje na to, że osobiście doświadczyłem bliskiego spotkania z przedstawicielami pozaziemskiej inteligencji. Zagadką pozostaje jednak, kim właściwie byli i skąd przybywali. Czy nie zidentyfikowane obiekty latające istnieją naprawdę? Czy opisywane tylekroć potworki i demony to Przybysze z kosmosu?

Z początku sądziłem, że popadłem w obłąd, jednakże badania dokonywane przez trzech psychologów i tyluż psychiatrów, oparte na całej masie testów psychologicznych i neurologicznych, zakwalifikowały mnie do osobników normalnych pod każdym względem. Zostałem też poddany testom na prawdomówność przez fachowca z trzydziestoletnim stażem. Ich wyniki nie przyniosły żadnych rewelacji. Dotychczas obojętnie odnosiłem się do zagadnienia niezidentyfikowanych obiektów latających i pozaziemskich cywilizacji; uważałem je nawet za sztucznie rozdmuchany problem, dający się łatwo wytłumaczyć jako halucynacje i zaburzenia postrzegania. Cóż miałem zatem pomyśleć, gdy Przybysze bez wahania wkroczyli w życie tak obojętnie nastawionego sceptyka jak ja?

W późniejszym czasie zetknąłem się z wieloma ludźmi, których przeżycia pod wieloma względami przypominały moje. Większość z nich była zrównoważona umysłowo. Nie wywodzili się z żadnej określonej grupy, lecz tworzyli raczej przekrój amerykańskiego społeczeństwa. Spotkałem pośród nich, między innymi, pracownika naukowego, policjanta i urzędnika federalnego.

W moim przypadku trudno byłoby zignorować zeznania świadków czy też fizyczne następstwa spotkania, zbliżone do objawów pochorobowych. Istnieją, moim zdaniem, dwa możliwe wyjaśnienia: albo Przybysze z kosmosu istotnie ingerują w nasze życie, albo też ludzki umysł posiada niewiarygodną wręcz zdolność wytwarzania stanów zbliżonych do fizycznej

rzeczywistości. Żadna z tych możliwości nie jest jednak w chwili obecnej wytłumaczalna za pomocą metod naukowych.

Znane jest mi uczucie obcowania z istotami pozaziemskimi, wiem, jakie dźwięki wydają, gdy mówią, jak wyglądają wnętrza, w których przebywają i jakie unoszą się tam zapachy. Wiem także jak się zachowują i w jaki sposób się pojawiają. Niewykluczone, że znam również powód ich wizyt oraz ich oczekiwania względem nas, ludzi.

Rzekome spotkania z istotami z kosmosu nie są żadną nowością; ich historia sięga tysięcy lat wstecz. Jednakże w drugiej połowie dwudziestego wieku spotkania te nabrały częstotliwości nigdy dotąd nie notowanej przez rodzaj ludzki.

To, co zdarzyło się w moim przypadku, było wprost paraliżujące w swej realności. Przebłyski z tych wydarzeń pojawiły się w mej pamięci jeszcze przed zastosowaniem hipnozy, na którą zdecydowałem się, by dokonać pełnej rekonstrukcji.

Dotychczas relacje ludzi nawiedzanych przez Przybyszów z kosmosu spotykały się z drwinami i niedowierzaniem. Twierdzono niesłusznie, że ich wspomnienia są ubocznym efektem hipnozy. To akurat nieprawda – większość z tych ludzi zdecydowała się na hipnozę pod wpływem własnych, niewymuszonych przebłysków pamięci.

Wyśmiewanie się z nich jest równie niestosowne jak żartowanie z ofiar gwałtu. Nie wiemy dokładnie, co dzieje się w ich umysłach, ale – cokolwiek to jest – wywołuje u nich reakcję podobną do szoku pourazowego. A społeczeństwo odwraca się do nich plecami, sterowane przez zawodowych demaskatorów i krzykaczy, którym utajone kompleksy zawężają horyzonty i zaciemniają umysł. Inni zaś, nieco bardziej odpowiedzialni naukowcy, żywią obawy, iż oficjalne dążenie do rozwikłania enigmatycznego zagadnienia nie zidentyfikowanych obiektów latających może sprowadzić naukę na manowce.

Z punktu widzenia studium ludzkiego zachowania, takie niebezpieczeństwo nauce nie grozi. Ludzie rozwinięci intelektualnie nie powinni przyrykać oczu na fakt, że w czymś życiu zachodzą niewytłumaczalne procesy. Przeciwnie, powinni stawić czoło Nie znanemu z czystą i jawną ciekawością. Wtedy bowiem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, następuje gruntowna przemiana. Z zagadkowego istnienia w zakamarkach umysłu wyłaniają się zręby poznania, dążącego do rzetelnego i dogłębnego zrozumienia zjawiska.

Osobiście doświadczyłem tego uczucia, innym też się to przytrafiło i przytrafia się nadal. Istotne jest więc, aby wszystkim tym ludziom zapewnić konkretną i efektywną pomoc, a nie szydzić z nich. Ze wstydem przyznaję, że w przeszłości zdarzyło się to w demaskatorskim zapale również mnie. Jeżeli chodzi o UFO, i tu trzymałem stronę sceptyków.

Kiedy w nocy wznoszę wzrok ku niebu, widocznemu poprzez wysokie haki sklepienia nad oknem mojego biura, widzę chmury rozświetlone poświatą bijącą z Manhattanu. Ciemność na wysokości zwieńczenia łuku przykuwa mój wzrok. Odczuwam wtedy nie tylko niepokój i strach, szczerze mówiąc, ogarnia mnie także ciekawość. Chciałbym wiedzieć co dzieje się tam wysoko. Kiedy tak patrzę, czerń nieba jeszcze się potęguje.

Ludzie, którzy zetknęli się z Przybyszami, opisują ich jako niewysokie, energiczne postaci o wzroku przenikającym do najgłębszych pokładów istnienia. W tym wzroku ukryta jest prośba, może nawet żądanie. Czego? Na razie nie wiadomo.

Cokolwiek by to było, z pewnością nie chodzi tylko o zwykłą informację. Nie wydaje mi się też, by celem była prosta i otwarta wymiana, jakiej moglibyśmy się spodziewać. Cel ten wykracza poza postrzegalne działania, z jakimi się stykamy. Sądzę, że Przybysze pragną dotrzeć do najgłębszych pokładów duszy, że pragną duchowe go zjednoczenia.

Rozdział 1

Niewidzialny las

Pierwsze wspomnienia

*W życia wędrówce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak nieomyślnej drogi,
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.
Jak ciężko słowem opisać ten srogi Bór,
owe stromych puszczy pustynne dzicze,
Co mię dziś jeszcze nabawiają trwogi.
Gorzko – śmierć chyba większe zna gorycze;
Lecz dla korzyści, dobytých z przeprawy,
Opowiem lasu rzeczy tajemnicze.*

Dante – „Boska komedia”, Pieklą, Pieśń I, przekład Edwarda Porębowicza

26 grudnia 1985

W odludnym zakątku północnej części stanu Nowy Jork mamy z żoną drewniany domek. Właśnie tam zaczęły się nasze niesamowite przeżycia. Zajmę się najpierw wydarzeniami z 26 grudnia 1985, by następnie przejść do późniejszych wspomnień dotyczących chronologicznie wcześniejszego dnia 4 października. Zanim zwróciłem się o pomoc do lekarzy, pamiętałem tylko, że 4 października mój spokój został w niewytłumaczalny sposób zakłócony. Po przeżyciach grudniowych, zapytany przez przeprowadzającego wywiad lekarza specjalistę o inne nadzwyczajne wydarzenia z mojej przeszłości, wymieniłem właśnie ową noc 4 października, jednakże dopiero rozmowy z ludźmi, którzy przebywali wówczas w naszym domku przyczyniły się do odtworzenia przebiegu wypadków.

Poniższa relacja z 26 grudnia pochodzi z mojego dziennika, który prowadziłem, zanim jeszcze poddałem się hipnozie, czy nawet zwierzyłem się komukolwiek z moich przeżyć.

Oto, co zdołałem samodzielnie odtworzyć.

Domek nasz, głęboko ukryty i zaciszny, jest jedną z kilku podobnych chatek rozproszonych na zalesionym obszarze. Dojeżdża się tam prywatną błotnistą drogą, odchodzącą od rzadko używanej wiejskiej szosy, która prowadzi do pobliskiego miasteczka. Na wielu mapach nie jest ono nawet zaznaczone. W tej głuszy spędzamy ponad połowę roku, ponieważ właśnie tam wykonuję większość mojej pracy. Poza tym mamy jeszcze mieszkanie w Nowym Jorku.

Prowadzimy bardzo stateczny tryb życia. Nieczęsto gdzieś wychodzimy, rzadko pijemy coś mocniejszego od wina, żadne z nas nie używało też nigdy narkotyków. W latach 1977-1983 napisałem kilka horrorów, lecz ostatnio skupiłem się na pracy nad poważniejszymi powieściami na

temat środowiska i pokoju na świecie, w dużej mierze opartymi na faktach. Podsumowując, w omawianym okresie nie zajmowałem się pisaniem horrorów, a ponadto nigdy w życiu nie groziły mi halucynacje wywołane tworzeniem niesamowitych historii.

Święta Bożego Narodzenia w 1985 były wspaniałe. W Wigilię zaczął padać śnieg, który ustał dopiero dwa dni później. Mój synek z zachwytem odkrył, że jeśli postoi chwilę z wyciągniętą ręką, śnieg osiądzie mu na rękawicy w formie doskonale krystalicznych płatków.

26 grudnia przez cały ranek rozbijaliśmy się jego nowymi sankami, a po południu, założyliśmy narty, by pobuszować trochę po okolicy. Na kolację dokończyliśmy gęś, pozostała z Wigilii, z sosem żurawinowym i zimnymi ziemniakami na słodko. Popijaliśmy je wodą sodową ze świeżą cytryną. Kiedy nasz synek poszedł spać, siedzieliśmy z Anną, wertując książki przy muzyce.

Około dwudziestej trzydziestej włączyłem system alarmowy, którym objęte są wszystkie drzwi oraz każde okno dostępne z zewnątrz. Ostatniej jesieni, nie wiem dlaczego, wpadłem w dziwny nawyk sprawdzania wszystkich zakamarków. Po kryjomu obszedłem cały dom, w poszukiwaniu ukrytych intruzów zaglądam do szaf, a nawet pod łóżko w pokoju gościnnym. Uczyniłem to natychmiast po włączeniu alarmu. O dziesiątej leżeliśmy już w łóżku, a o jedenastej oboje byliśmy głęboko pogrążeni we śnie.

Noc dwudziestego szóstego grudnia była chłodna i pochmurna. Pokrywa śniegu mogła wynosić około dwudziestu centymetrów i ciągle grubiała w miarę, jak płatki delikatnie okrywały ziemię.

Nie pamiętam, by coś zakłóciło mój sen ani też by śniło mi się coś szczególnego. Podobno mniej więcej w tym samym czasie w pobliżu zaobserwowano nieznaną obiekt dużych rozmiarów, lecz wzmianka o tym miała się ukazać dopiero po tygodniu. Jednakże nawet po przeczytaniu artykułu na ten temat nie powiązałem go w żaden sposób z moimi przeżyciami. Nie miałem do tego podstaw, artykuł bowiem sprowadzał całą sensację do rangi dowcipu. Znacznie później, badając tę sprawę osobiście, odkryłem, jak niepoważne było to podejście.

Nigdy przedtem nie widziałem UFO. Wydawało mi się, że cały ten problem został już naukowo wyjaśniony. Powiązanie moich doświadczeń z możliwością odwiedzin z kosmosu zajęło mi dobre kilka miesięcy – tak bardzo wydawało mi się to nieprawdopodobne.

W środku nocy z 26 na 27 grudnia – nie wiem dokładnie o której godzinie – zostałem gwałtownie wyrwany ze snu. Przyczyną tego były osobliwe odgłosy: krzątanie się i szuranie dochodzące z pokoju na parterze. Nie było to raptowne skrzypnięcie wywołane osiadaniami budynku, lecz wrzawa wywołana myszkowaniem wielu osób jednocześnie po całym domu.

Wyteżyłem słuch. To, co słyszałem, nie miało najmniejszego sensu.

Usiadłem w łóżku, zaskoczony i ogromnie zaintrygowany. Znajdowałem się na krawędzi strachu. Noc była niesamowicie głucha, bezwietrzna. Mój wzrok padł natychmiast na tablicę kontrolną alarmu znajdującą się obok łóżka. System był włączony i działał bez zarzutu. Żadne z okien ani drzwi nie zostały otwarte i nikt nie wdarł się do środka – tak przynajmniej wynikało z rzędu jarzących się światełek kontrolnych. To, co następnie uczyniłem, może się wydać niezrozumiałe: ułożyłem się z powrotem na łóżku. Z jakiegoś powodu wyjątkowo niesamowity charakter hałasów, które mnie dobiegły, nie zaniepokoił mnie na tyle, bym podjął jakieś działania. Ten rodzaj reakcji, całkowicie nieadekwatnej do sytuacji, będzie się wielokrotnie przewijał w dalszej części opisu wydarzeń. Jeżeli zostanie przekroczony próg niesamowitości, reakcja odbiega daleko od naszych oczekiwań, zupełnie jakby umysł wykluczał pewne możliwości automatycznie, kierowany instynktem.

Gdy tylko opadłem z powrotem na poduszkę, spostrzegłem, że jedno skrzydło drzwi naszej sypialni powoli się zamyka. Ponieważ drzwi te otwierają się do środka, przy zamykaniu oznaczało to, że szczelina pomiędzy skrzydłami zwężała się, zmniejszając pole widzenia poza nimi. Ponownie usiadłem na łóżku. Mój umysł pracował jasno, nie spałem, ani też nie znajdowałem się w letargicznym zawieszeniu pomiędzy snem a jawą. Pragnę wyjaśnić, że w tym momencie czułem się całkowicie rozbudzony i w pełni wszelkich władz. Mógłbym równie dobrze wstać z łóżka, poczytać książkę, posłuchać radia czy wyjść na nocny spacer po śniegu.

Mój niepokój wywołany był faktem, że w żaden sposób nie potrafiłem znaleźć wytłumaczenia dla zjawisk, które mnie otaczały. Serce zaczęło bić mi mocniej. Już nie leżałem spokojnie w pościeli siedziałem sztywno na łóżku, a w moim umyśle kiełkowało pytanie: co lub kto porusza nasze drzwi?

Wtedy właśnie ujrzałem wyraźnie wyłaniającą się spoza nich po stać. Jej pojawienie się było tak absolutnie i niemożliwie zaskakujące, że w pierwszej chwili nie dotarło do mojej świadomości. Siedziałem jak porażony, z wytrzeszczonymi oczami, niezdolny się poruszyć.

Wiele miesięcy później rozmawiałem z osobą, której spotkanie z Przybyszami również rozpoczęło się od zetknięcia z identyczną postacią poruszającą się w ten sam sposób, w jaki ta widziana teraz przeze mnie ruszyła w stronę mojego łóżka.

Zanim jednak zdam relację z następnych kilku sekund, pragnę możliwie dokładnie opisać wygląd owej postaci. Najpierw przedstawię warunki, w jakich ją ujrzałem: w pokoju nie panowała absolutna ciemność, ale półmrok, w którym można było rozróżnić kształty dzięki światłu rzucanemu przez tablicę kontrolną systemu alarmowego. Na dodatek śnieg leżący za oknami rozjaśniał pokój poświatą rozproszonego światła. Gdyby to człowiek zaglądał do sypialni, bez trudu dostrzegłbym rysy jego twarzy.

Opisywana postać była zbyt niska jak na człowieka, chyba że byłoby to dziecko. Opierając się na zapamiętanym przeze mnie położeniu jej głowy względem drzwi i podłogi, wyliczyłem, że miała około 115 cm wzrostu i budowę ciała drobniejszą nawet od mojego synka.

Mój wzrok obejmował może jedną trzecią postaci, to znaczy jej górną część wychylającą się zza drzwi. Na głowie miała gładki, cylindryczny kapelusz z osobliwym ostrym rondem, wystającym z mojej strony na ponad dziesięć centymetrów. Poniżej nie potrafiłem nic dostrzec. Twarz była niewidoczna, a może nawet wcale jej nie było. W chwilę później, gdy znalazła się przy moim łóżku, ujrzałem dwa ciemne oczodoły i czarną linię ust wygiętą ku dołowi, która za moment przybrała kształt litery „O”.

Od ramion do okolic brzucha rozciągała się widoczna część kwadratowej płyty z wrytymi na niej koncentrycznymi kręgami. Płyta ta sięgała od podbródka do bioder. Pomyślałem wówczas, że wygląda jak swego rodzaju gorset albo nawet kamizelka kuloodporna. Poniżej podobna płyta w kształcie prostokąta osłaniała okolice od bioder do kolan. Kąt pochylenia postaci nie pozwalał dostrzec nóg schowanych za drzwiami.

Pomimo przyspieszonego bicia serca, jakie odczułem, widok ten wydał mi się tak niesamowity, że niejako z góry założyłem, iż śnię. Być może dlatego nadal tkwiłem jak skamieniały w łóżku. A może mój umysł był już w jakiś sposób kontrolowany przez obce istoty?

W każdym razie siedziałem przerażony i niezdolny, a może niechętny, do jakiegokolwiek reakcji na to, co rozgrywało się na moich oczach. Wytłumaczyłem to sobie następująco: pomimo faktu, że jestem przytomny, to halucynacja. Tego rodzaju zjawiska zdarzają się czasami na krawędzi snu i jawy. Założyłem, że jakiś hałas wyrwał mnie ze snu, co wywołało oglądane właśnie obrazy. Świadomie pominąłem fakt, że byłem całkowicie rozbudzony.

Ponieważ domek nasz położony jest na odludziu, alarm nie był naszym jedynym zabezpieczeniem przed intruzami. Mieliśmy również strzelbę, która w opisywanej chwili stała nie opodal łóżka. Czyżby właśnie z tego powodu stworzenie za drzwiami nosiło kuloodporną kamizelkę, jeśli rzeczywiście była to kamizelka? Zastanawiałem się później, czy przypadkiem uprzedni rekonesans naszego domu nie ujawnił Przybyszom obecności broni.

W czerwcu zeszłego roku wydarzyło się coś, o czym chciałbym tu wspomnieć. Około wpół do dwunastej w nocy, kiedy siedziałem na pięttrze, pogrążony w lekturze, wyraźnie usłyszałem kroki na werandzie – normalne, ludzkie kroki – zbliżające się ukradkiem do miejsca, w którym zainstalowane są reflektory włączane przez detektory ruchu. Zastanowiło mnie, że odgłos kroków dobiegał z okolic basenu, zmierzając w stronę drogi, czyli w kierunku przeciwnym do tego jaki obrałby potencjalny intruz. Pomyślałem wtedy, że jeśli zapalą się reflektory, zejść na dół z bronią. Nie zdążyłem nawet dokończyć tej myśli, gdy na werandzie rozbłyśły światła. Ruszyłem po

schodach, lecz na dole nie spostrzegłem nikogo, pomimo że światła nadal się paliły. Było to bardzo dziwne, ponieważ wyłącznik czasowy odcina dopływ prądu po piętnastu sekundach, a ja znalazłem się na werandzie w nie więcej niż dziesięć sekund. Pomiedzy domem a drogą nie było żadnego miejsca, w którym można by się ukryć, przynajmniej w tak krótkim czasie.

Staranna inspekcja terenu wokół domu, z bronią w ręku, nie przyniosła efektów. Byłem przekonany, że gdyby ktoś uciekał, musiałbym go zauważyć. Rozważałem nawet możliwość, że ów ktoś zaczął się na dachu, lecz nikogo tam nie znalazłem.

Po tym wydarzeniu światła często się psuły, choć przedtem nigdy im się to nie zdarzało. We wrześniu wymieniałem żarówki, a późną jesienią zamontowałem nowy zestaw.

Potem postać zza drzwi znalazła się w naszej sypialni. Na jakiś czas ogarnęła mnie ciemność. Nie pamiętam, czy zapadłem w sen, czy byłem przytomny, natomiast moje kolejne przebieżki pamięci są daleko bardziej niepokojące: znajdowałem się w ruchu. Nago, z wyciągniętymi nogami i rozłożonymi rękami, niczym skamieniały w połowie skoku, płynąłem w kierunku drzwi. Pozbawiony wszelkich doznań fizycznych, nie odczuwałem chłodu ani ciepła, nie czułem też, by ktoś mnie dotykał czy niósł. Swoją osobę postrzegałem w kategoriach masy i kształtu, a nie wrażeń. Pomimo desperackich wysiłków, by się poruszyć, ciało nie słuchało mnie, zupełnie jakbym został dotknięty całkowitym paralizem.

Z tego też powodu obawiam się, że nie mogę autorytatywnie stwierdzić, iż płynąłem w powietrzu na jakiejś magicznej palecie czy latającym dywanie – równie dobrze mogłem być po prostu niesiony. Natomiast bezsprzeczną prawdą jest, że wpadłem w panikę. Prysnęły moje przypuszczenia o halucynacjach i sennych majakach. Makabryczność sytuacji sprawiła, że mój umysł automatycznie włączył się. Formułowanie myśli przekraczało moje możliwości. Nawet gdybym był w stanie wydobyć jakiś dźwięk, w co zresztą wątpię, nie odważyłbym się otworzyć ust.

Prawdopodobnie ponownie straciłem przytomność, gdyż nie pamiętam dalszego ciągu tej osobliwej podróży. Następny obraz, który zarejestrowała moja pamięć, przedstawia zagłębienie terenu w lesie, gdzie mnie położono. Było dość ciemno, a oszronione pnącza wiły się ciasno wokół mnie. Zaskoczony byłem brakiem śniegu na bladoszarej ziemi.

Siedziałem z lekko podkurczonymi nogami, rękami obejmując kolana. Nie jestem pewien, ale chyba opierałem się o coś plecami. Nadal nie odbierałem żadnych wrażeń czuciowych. Z lewej strony kątem oka widziałem niewielką postać ubraną w szarobrązowy kombinezon. Siedziała na ziemi w podobny sposób co ja, otaczając rękami podciągnięte wysoko kolana. Dwa duże i ciemne oczodoły oraz okrągły otwór ust nadawały twarzy wygląd maski.

Miałem wrażenie, że znajduję się pod dokładną kontrolą. Głowa, ręce i inne części mojego ciała – z wyjątkiem oczu – były unieruchomione. Może dlatego nie byłem związany.

Po prawej stronie, tuż obok mnie, pojawiła się nowa postać, ta jednak pozostawała zupełnie niewidoczna, z wyjątkiem sporadycznych przejawów ruchu. Ubrana była w granatowy kombinezon i pracując nad prawą stroną mojej głowy, poruszała się niezmiernie szybko.

Zagłębienie, w którym się znajdowałem, mogło mieć średnicę około metra trzydzieści, chociaż moje oczy nie funkcjonowały normalnie (być może wyłącznie z braku okularów, mam bowiem nieznaczną wadę wzroku). Podczas gdy pozostałe postaci rysują się w mojej pamięci dość mgliście, obraz tej siedzącej po lewej stronie jest dość wyraźny i szczegółowy. Nie wiem dlaczego, ale byłem przeświadczony, że to kobieta, stąd też będę używał wobec niej rodzaju żeńskiego.

Wzrostem nie odbiegała od pozostałych. Wydawała mi się znudzona lub też obojętna. Czułem też, że próbuje mi coś wyjaśnić, ale umknęło to z mojej pamięci.

Następnie przed oczami mignęły mi gałęzie, a potem wierzchołki drzew. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, jak las pode mną wykonuje łagodny łuk w prawo. Nie miałem szans zapytać, jakim cudem uniosłem się ponad drzewa, byłem tylko biernym obserwatorem, skazanym na rejestrowanie zdarzeń. W chwilę później pole widzenia zasłoniła mi szara podłoga, wysuwająca się spod moich stóp ruchem zamykającej się żrenicy.

Znalazłem się w zagraconym, owalnym pomieszczeniu. Odnoszę wrażenie, że dano mi ochłonąć

przed czekającymi mnie przeżyciami. Na skutek nagłego przejścia do nieznanego otoczenia, w warunkach daleko odbiegających od dotychczasowych norm, opuściły mnie resztki opanowania i zdrowego rozsądku. Jeśli dotąd udawało mi się w jakiś sposób zachować kontrolę i, w miarę możliwości, świadomie kierować moim postępowaniem, to w tej chwili owładnął mną porażający strach. Pod wpływem tak intensywnego przerażenia moja osobowość wyparowała ze mnie; nie w znaczeniu teoretycznym, czy psychicznym, ale dojmująco cielesnym.

Ktoś taki jak „Whitley” przestał istnieć. Pozostało po mnie jedynie ciało w stanie pierwotnego strachu, tak ogromnego, że otulony nim jak grubą kurtyną z ledwością łapałem powietrze, przechodząc ze stanu paraliżu na sam skraj śmierci. Nie sądzę, by moje człowieczeństwo przetrwało nagłe przejście z ziemi do tego ciasnego pomieszczenia. Sądzę, że po drodze umarłem, a moje miejsce zajęło dzikie zwierzę. To, co ze mnie pozostało, zajęło się podstawową czynnością weryfikacji otoczenia. Rozglądałem się zatem dokoła, rejestrując wszelkie dostrzegalne szczegóły.

Popielato-brązowy sufit niewielkiej kolistej komory, w której się znajdowałem, miał kształt kopuły z ozebrowaniem co jakieś trzydzieści centymetrów. Odniosłem wrażenie, że w pomieszczeniu panował bałagan. Na podłodze po prawej stronie leżały niedbale rzucone ubrania. Przyszło mi na myśl, że jest tu po prostu brudno. Czułem się uwięziony w ciasnej, zamkniętej przestrzeni, oddychając dusznym i suchym powietrzem. Powoli ustępowało odrętwienie spowodowane paniką.

Małeńkie ludziki krzątały się teraz wokół mnie w wielkim pośpiechu. Ich prędkość poruszania się była niepokojąca i na swój sposób nieelegancka. Pomyślałem, że oto zabierają mnie na zawsze i przed oczami stanęła mi moja rodzina. Ogarnęło mnie przejmująco gorzkie uczucie zwierzęcia schwytanego w pułapkę. To wstrząsające wrażenie potęgowała jeszcze świadomość własnej bezradności. Mój los spoczywał w rękach tych małych, zagadkowych stworzeń.

Mimo ogarniającego mnie przerażenia nadal zwracałem uwagę na otoczenie. Wiem, że siedziałem na ławce, plecami oparty o ścianę. Kolorystycznie przeważały odcienie szarości i brązu. Ławka była w kolorze ścian, z ciemnobrązowym obramowaniem. Z faktu, iż byłem w stanie rozróżnić odcienie barw wnioskuję, że pomieszczenie było oświetlone, chociaż nie zlokalizowałem źródła światła.

Pamiętam, że z istnieniem świetlika w suficie wiązało się wrażenie piękna, lecz trudno mi powiedzieć coś więcej na ten temat. Być może w kopule umieszczony był jakiś wizjer, przez który można było obserwować różnokolorową scenerię?

Nie mogę określić, jak długo przebywałem w tym pomieszczeniu. Wydawało mi się, że nie więcej niż kilka minut lub nawet sekund, chociaż równie dobrze mogło trwać to znacznie dłużej, gdyż miałem dość czasu, by się rozejrzeć i zanotować wiele szczegółów. Dotychczasowy całkowity paraliż ustąpił, przynajmniej częściowo, i mogłem teraz poruszać oczami oraz głową.

Byłem tak przestraszony, że te moje wspomnienia zacierają się lub zupełnie nikną pod wpływem amnezji. Nawet teraz, gdy piszę te słowa, mam świadomość, że zaszło dużo, dużo więcej. Nie potrafię tego jednak odtworzyć. Powody mogą być rozmaite: amnezja pourazowa, narkotyk, hipnoza lub wszystkie trzy jednocześnie. Istnieje trucizna o nazwie tetradotoksyna, która wywołuje bardzo podobne stany. Nieznaczna ilość wywołuje pozorny zanik pamięci, a większe dawki powodują uczucie „przebywania poza własnym ciałem”, które sporadycznie jest opisywane przez ofiary kosmicznych uprowadzeń. Przedawkowanie prowadzi do zaniku wykrywalnych funkcji mózgu i, w konsekwencji, do śmierci.

Ta rzadka substancja jest podstawowym składnikiem obrzędowej trucizny na Haiti. Niewiele wiemy jednak o zasadzie jej działania. Pod nazwą „fugu” jest stosowana w Japonii, gdzie uzyskuje się ją z ryb i uważa za ceniony, choć nieraz śmiertelny, afrodyzjak. Na skutek nagłego wyobcowania i niespotykanego dotąd szoku straciłem nad sobą kontrolę, zarówno w znaczeniu władz umysłowych, jak i fizycznych. Znajdowałem się nie tylko w stanie sensorycznego znieczulenia (choć paraliż powoli ustępował), lecz również całkowitego odseparowania od własnej osobowości, co pociągało za sobą niemożność selekcji własnych emocji czy nawet odruchów, nie mówiąc już o inicjatywie. Moje istnienie zostało zredukowane do reakcji na bodźce,

zupełnie jakby odcięto moje przedomózgowie od reszty organizmu, czyniąc ze mnie prymitywne stworze nie na kształt prehistorycznej małpy, od której wszyscy się wywodzimy.

Nie stałem się jednak małpą. Tkwiłem zamknięty w przedomózgowiu, odizolowany od reszty własnej osobowości. Mój umysł zamieniono w więzienie.

Po obu stronach, w polu mego widzenia, nieznanne istoty znów poczęły się energicznie krzątać. Następnie pokazano mi mikroskopijny przedmiot w kształcie pudełka z odsuwaną pokrywą. Jeden z brzegów był lekko zakrzywiony ku górze, by ułatwić otwieranie. Przedmiot ten znajdował się w rękach szczupłej osoby o przyjemnym, choć niejasnym wyglądzie. Nie mogę stwierdzić na pewno, czy była to opisywana już przeze mnie kobieta. Wydaje mi się, że zrobiono coś z moimi oczami, aby uniemożliwić mi zogniskowanie wzroku. Kiedy rozglądałem się po pomieszczeniu, rejestrowałem sporo szczegółów, lecz wszelkie usiłowania spojrzenia na konkretną postać powodowały natychmiastowe zamazanie obrazu. Nie wiem, czy był to efekt zamierzonego działania, czy tylko mojego własnego strachu.

Następna postać, która się do mnie zbliżyła, jawi się w moich wspomnieniach jako niewysoki, przysadzisty osobnik, skulony, jakby się nad czymś pochylał. Ujął pudełko w ręce i odsunął przykrywkę, odsłaniając niezwykle połyskliwą igłę o grubości włosa, umieszczoną na jednym końcu przedmiotu. Widziana kątem oka, mieniła się silnym blaskiem, lecz oglądana na wprost stawała się praktycznie niezauważalna.

Uświadomiłem sobie (sądzę, że ktoś z nich mi to powiedział), że zamierzają wprowadzić igłę do mojego mózgu. Jeśli dotychczas czułem się sparaliżowany strachem, to teraz wprost oszalałem z przerażenia. Zacząłem się z nimi kłócić. Pamiętam, że powiedziałem:

– Tutaj jest brudno! – a potem jeszcze: – Zniszczycie piękny umysł.

Wyobraziłem sobie, jak moja rodzina budzi się rano i odkrywa, że stałem się bezmyślną rośliną. Ogarnął mnie ogromny smutek. Nie pamiętam, bym zaczął krzyczeć, ale najwyraźniej to zrobiłem, gdyż postać, którą uważałem za kobietę odezwała się do mnie:

– Chcemy ci pomóc. Co mamy zrobić, żebyś przestał krzyczeć? – Jej głos brzmiał osobliwie, lecz bez wątpienia był postrzegalny zmysłem słuchu, ponieważ pamiętam, że rejestrowały go moje uszy, a nie inne receptory. Pobrmiewał w nim ton elektroniczny, a intonacja była spłaszczona, podobnie jak w akcencie środkowozachodnim.

Moja odpowiedź była zgoła nieoczekiwana. Usłyszałem swój głos, mówiący:

– Chciałbym was powąchać. – Zawstydziłem się; moja dziwaczna prośba zaskoczyła mnie samego. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że nie była ona pozbawiona sensu. Postać po prawej stronie odrzekła głosem identycznym jak poprzednia, z niezwykłą szybkością wyrzucając z siebie słowa:

– Oczywiście, możesz nas powąchać – i podsunęła mi pod nos swoją dłoń, jednocześnie drugą ręką pochylając moją głowę. Bijąca od niej wyraźna woń była tym, czego potrzebowałem, by powrócić do rzeczywistości. Pozostała ona najbardziej przekonującym aspektem całego przeżycia ze względu na to, że niczym nie odbiegała od prawdziwych zapachów. W żaden sposób nie mogę jej uznać za element snu lub halucynacji, pamiętam ją bowiem jako konkretne wrażenie zapachowe.

Wyczuwałem w niej delikatny zapach tektury, jak gdyby rękaw kombinezonu, przytknięty do mej twarzy, wykonany był z jakiejś substancji podobnej do papieru. Sama zaś dłoń wydzielala lekki, lecz wyraźnie organiczny, kwaśnawy odór. Nie był to zapach człowieka, ale z całą pewnością jakiejś żywej istoty, z subtelnym aromatem przypominającym trochę cynamon. Następna rzecz jaką pamiętam, to huk i błysk. Zrozumiałem, że właśnie przeprowadzili planowaną operację na moim mózgu. Bliski płaczu opadłem w objęcia małych ramion.

W tym momencie wróciło mi na chwilę czucie w mięśniach, przynajmniej na tyle, by zaszurać stopami po podłodze w desperackim wysiłku utrzymania równowagi. Potem znów znalazłem się w powietrzu i oto byłem już w innym pomieszczeniu, a może tylko wyraźniej ujrzałem swoje dotychczasowe otoczenie. Zdawało mi się, że jest to niewielkich rozmiarów sala operacyjna. Znajdowałem się w jej centrum, na stole zabiegowym, a trzy rzędy ławek zajęte były przez kilka

skulonych postaci. Okrągłe oczy odróżniały je od poprzednio zauważonych przeze mnie skośnookich stworzeń.

Uświadomiłem sobie, że widziałem dotąd cztery rodzaje postaci. Jako pierwszą napotkałem małą istotę podobną do robota, która wtargnęła do mojej sypialni. Następnie pojawiła się liczna grupa niskich, krępych postaci w granatowych kombinezonach. Ci z kolei mieli szerokie twarze, które w tym świetle przybierały kolor ciemnoszary lub ciemnoniebieski, z głęboko osadzonymi błyszczącymi oczami, zadartymi nosami i szerokimi ustami o pewnych cechach ludzkich. Wewnątrz pomieszczenia zetknąłem się z dwoma dalszymi rodzajami istot, w ogóle nie przypominających ludzi. Najbardziej fascynująca z nich, niezwykle wysmukła i delikatna, o wroście około stu sześćdziesięciu centymetrów, miała niesamowicie wyraziste i hipnotyzujące czarne, skośne oczy oraz szczątkowe pozostałości ust i nosa. Skulone postaci siedzące na sali operacyjnej były nieco mniejsze, o podobnym kształcie głowy, lecz dla odmiany o czarnych oczach, okrągłych jak guziki.

Mali i krępi towarzyszyli mi przez cały czas; najwyraźniej byli odpowiedzialni za transportowanie i pilnowanie mnie. Odniosłem wrażenie, że stanowili coś na kształt „dobrej armii”. Nie mam pojęcia, skąd wzięło mi się określenie „dobra”.

Nie przypominam sobie, co zdarzyło się na sali operacyjnej jeśli w ogóle coś miało tam miejsce. Najtrudniej jest mi odtworzyć fazy przenoszenia się z miejsca na miejsce, gdyż właśnie wtedy czułem się najbardziej bezradny. Strach potęgował się w momencie dotyku. Ręce unoszące mnie były miękkie i delikatne, a nawet kojące, lecz ich liczba tak wielka, że czułem się niczym transportowany przez rzędy owadów – bardzo nieprzyjemne uczucie.

Wkrótce znów znalazłem się w innym otoczeniu. Na podłodze dostrzegłem rozrzucone ubrania. W następnej chwili dwóch krępych rozsunęło mi nogi. Pokazano mi niezmiernie odrażający przedmiot, szary i łuskowaty, zakończony układem przewodów. Miał przynajmniej trzydzieści centymetrów długości i wąski, stożkowaty kształt.

Wsunięto mi go w odbyty i czułem, jak porusza się w moim ciele, jakby był żywym stworzeniem. Wprawdzie była to tylko sonda mająca za zadanie pobrać próbki – prawdopodobnie kału – lecz w tamtej chwili czułem się, jakbym padł ofiarą gwałtu i po raz pierwszy ogarnął mnie gniew.

Dopiero gdy przedmiot opuścił moje wnętrze, zorientowałem się, że to jakieś urządzenie. Trzymająca je postać wskazała na układ przewodów i wydawało mi się, że przed czymś mnie ostrzega. Nigdy jednak nie dowiedziałem się, przed czym.

I znów wypadki potoczyły się bardzo prędko.

Jedna z postaci ujęła moją prawą dłoń i nacięła wskazujący palec. Nie poczułem najmniejszego bólu. Moje wspomnienia urwały się niespodziewanie. Nie pamiętam, bym zapadł w sen czy omdlenie. Po prostu ocknąłem się rano.

Incydent poszedł w zapomnienie.

Rankiem dwudziestego siódmego grudnia obudziłem się niemal tak samo jak zwykle, chociaż nurtował mnie jakiś podświadomy niepokój wywołany wyraźnym, choć przecież nieprawdopodobnym, wspomnieniem sowy płomykówki spoglądającej na mnie przez okno w środku nocy.

Pamiętam, co czułem, gdy wieczorem oglądałem dach w poszukiwaniu śladów sowy i nic tam nie znalazłem. Zrozumiałem, że to nie sowę widziałem zeszłej nocy. Zadrżałem pod wpływem nagłego chłodu, który przeszył moje ciało i odsunąłem się od okna, uciekając od nocy spadającej nagle i cicho na otaczające nas lasy. Wbrew własnemu rozsądkowi, rozpaczliwie usiłowałem uwierzyć w ową sowę. Opowiedziałem nawet o niej żonie, która przyjęła to spokojnie, lecz zauważyła, że brak jakichkolwiek śladów na śniegu. Mimo to usilnie próbowałem ją przekonać, że mówię prawdę. Jeszcze bardziej pragnąłem przekonać samego siebie. Posunąłem się nawet do tego, że zatelefonowałem do znajomej w Kalifornii tylko po to, by opowiedzieć jej o płomykówce za oknem.

Dowiedziałem się potem, że obrazy zwierząt w nieoczekiwanej scenerii są często spotykanym wytworem wyobraźni, chroniącym niebezpieczną prawdę o pozaziemskich spotkaniach. We

Francji, podczas leśnego pikniku, pewna młoda kobieta opowiedziała historię o przepięknym jeleniu napotkanym po drodze. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie plamy krwi widoczne na jej bluzce i dziwna, regularna blizna na ciele, której pochodzenia nie potrafiła wytłumaczyć. Musiało minąć dziesięć lat, by jej pamięć ujawniła prawdę o spotkaniu w lesie. Prawdopodobnie umarłaby w przekonaniu, że widziała jelenia, gdyby czyjaś wzmianka o spotkaniu z Przybyszami nie zmusiła jej do zrewidowania swych wspomnień. W innym przypadku mężczyzna ze swego spotkania z kosmitami, zachował w pamięci jedynie obraz stada królików, obskakujących jego samochód.

Podobnie jak moja sowa, wszystkie te historie muszą sprawiać wrażenie wytworów fantazji. Stanowią one jednak parawan dla prawdziwie wstrząsających przeżyć, które okazały się tak szokujące i niemożliwe do przyjęcia, że nawet ukrywanie ich odbywa się kosztem ogromnego wysiłku umysłu.

Od opisanego dnia moja żona zauważyła poważne zmiany mojej osobowości, podobne do tych, które nastąpiły w październiku poprzedniego roku. Wówczas moje wygórowane żądania i oskarżycielskie zachowanie zgotowały nam osobiste piekło i Anna gotowa była zrobić wszystko, by historia się nie powtórzyła.

Niestety, znów przechodziłem kryzys i tym razem jego oznaki nie ograniczały się wyłącznie do objawów psychicznych. Tego samego wieczora pojawił się pierwszy fizyczny symptom mojej „choroby”. Po powrocie z wycieczki narciarskiej, bynajmniej nie forsownej, odczułem śmiertelne zmęczenie. Zwykle jestem pełen energii i nawet intensywny wysiłek na trasach narciarskich pozostawia mi tylko uczucie przyjemnego odprężenia.

Dostałem dreszczy i położyłem się do łóżka. Skulony pod kołdrą czułem się bardzo źle. Miałem też chyba wysoką gorączkę. Byłem kompletnie wyczerpany. Odgłosy dobiegające z parteru, gdzie przebywała żona z synem, napełniały mnie dziwnymi skojarzeniami. Przebłąski pamięci – biegający ludzie, popychanie, niesienie – kłębiły się w mojej głowie.

Niespodziewanie zjawili się nasi najbliżsi sąsiedzi. Zwykle nie odwiedzamy się bez zapowiedzi, bowiem nasza mała społeczność ceni sobie spokój i odosobnienie. Była to ich druga spontaniczna wizyta w ciągu dwóch lat.

Poczułem się nieco lepiej, zszedłem więc na dół, by ich zobaczyć. Jednakże, gdy tylko rozpoczęliśmy rozmowę, złapałem się na tym, że uskarżam się na światła skuterów śnieżnych jeżdżących po lesie o trzeciej nad ranem i nie dających mi spać. Byłem przerażony własnym zachowaniem. Co też za głupstwa wygaduję? Przecież nic takiego sobie nie przypominałem. Sąsiedzi zaproponowali, że lasy są zbyt gęste, by manewrować w nich skuterem śnieżnym, co zresztą jest prawdą. Wobec tego, oświadczyłem, musiały to być światła ich domu. Sąsiad zapala bowiem na jego tyłach dwa silne reflektory. Wyjaśnił mi jednak, że tej nocy były wyłączone, jednocześnie obiecując na przyszłość zmienić ich położenie tak, aby nie były widoczne z naszego domu. Zdawałem sobie sprawę, że nawet w zimie, gdy drzewa zrzucały liście i wczesnym wieczorem światła te prześwitywały przez gałęzie drzew, nie przeszkadzały mi przedtem zupełnie. Wspomnienie skutera śnieżnego w lesie było równie mgliste jak sowy w oknie.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym sąsiedzi poszli do domu. Byłem zdegustowany swoim zachowaniem. Trudno mi było znaleźć wytłumaczenie dla własnych słów, zwłaszcza że wymykały mi się spod kontroli, zupełnie jakbym wypowiadał je wbrew własnej woli.

W opinii mojej żony przez następnych parę tygodni mój charakter uległ drastycznemu pogorszeniu. Stałem się nadwrażliwy, łatwo wpadałem w zakłopotanie i, co najgorsze, zacząłem zaniedbywać naszego syna. Dotychczas byliśmy szczęśliwą rodziną i nic nie mogło wytłumaczyć tak nagłej zmiany.

Świadomość, że wspomnienie sowy nie jest prawdziwe, stała się niezmiernie uciążliwa. Zdawałem sobie sprawę, że przytrafiło mi się coś złego, ale nie wiedziałem, co dokładnie. Żadne zdarzenie z mego życia nie mogło być tego powodem. Przyszły mi na myśl toksyczne związki w jedzeniu i wodzie, lecz nikt z rodziny poza mną nie wykazywał podobnych objawów. Poza tym

nigdy nie jadaliśmy produktów, które mogłyby wywołać jakąkolwiek alergię, zatem ta hipoteza nie została potwierdzona.

Nie wiedziałem, że zarówno sowa, jak i światła pośród nocy są wytworami pamięci osłonowej, ukrywającymi prawdziwie wstrząsające przeżycia. W ujęciu Freuda działanie osłonowe umysłu polega na tworzeniu symboli, które zastępują wspomnienia zbyt zatrważające, by z nimi żyć.

Czułem, że moja osobowość uległa rozszczepieniu. Miałem wrażenie, że ja albo otaczający mnie świat jest nierzeczywisty. Dwudziestego ósmego grudnia depresja i konflikt wewnętrzny urosły do takich rozmiarów, iż, pragnąc zgłębić własne emocje, usiadłem do napisania opowiadania, które odzwierciedliło nie tylko mój stan emocjonalny, ale prawdopodobnie również niektóre zjawiska za nim się kryjące. Zatytułowałem je „Pain”. Przez następne siedem tygodni nie byłem w stanie stworzyć niczego dłuższego, był to zatem ostatni utwór napisany zanim ukryta, a przytłaczająca prawda, poczęła wyłaniać się z mroków mojej podświadomości.

Nie miałem wówczas pojęcia, że cierpię na szok pourazowy i dziesiątki innych ludzi przechodziło podobne męczarnie po spotkaniach z Przybyszami.

Przed Bożym Narodzeniem z powodzeniem zajmowałem się obszerną, dwutomową powieścią na temat stosunków rosyjsko-amerykańskich w przededniu Rewolucji Październikowej. Teraz zaś nawet przeczytanie tego, co dotychczas napisałem, sprawiało mi trudność, nie mówiąc już o kontynuowaniu tak skomplikowanego zamierzenia.

Ponieważ opowiadanie „Pain” zostało napisane jako wyraz moich stanów emocjonalnych wywołanych tłumieniem prawdziwych wspomnień, chciałbym je krótko streścić. Bohaterem jest mężczyzna spotykający zagadkową postać kobiecą o imieniu Janet, która okazuje się istotą ponadludzką w rodzaju anioła czy demona. Przetrzyumując owego mężczyznę w małym, magicznym salonie, doprowadza go do stanu agonii wyzwalającej w nim zdolność przeniknięcia własnej jaźni i nadającej nową duchową moc.

Dla mnie najbardziej interesująca w tym opowiadaniu jest symbolika nawiązująca do moich wczesnych powieści grozy. Przybysze mogą się ukrywać w takich postaciach jak Wolfen czy Miriam Blaylock z powieści *The Hunger* lub wróżka Leannan i jej żołnierze w *Catmagic*. Temat jest zawsze ten sam: ludzkość staje wobec brutalnej, lecz jednocześnie zagadkowej siły, która, według słów Miriam Blaylock, jest „częścią sprawiedliwości tego świata”. Dostęp do niej uzyskuje się poprzez doświadczenie.

Podczas pracy nad opowiadaniem „Pain” mój stan psychiczny i fizyczny jeszcze się pogorszył. Na wskazującym palcu lewej ręki pojawiła się infekcja. Wyglądało to tak, jakby pod skórą tkwiła drzazga. Wprawdzie nie pamiętałem, by coś podobnego mi się przytrafiło, ale być może byłem nieostrożny, niosąc szczapy do kominka. Skaleczenie zaczęło ropieć, nie pomagała ani jodyna, ani maść z antybiotykami. Bezskutecznie usiłowałem znaleźć drzazgę, która, jak sądziłem, była przyczyną infekcji.

Zauważyłem też, że kiedy siedzę, odczuwam dotkliwy ból odbytu – objaw bardzo niecodzienny i niepokojący. Miałem niejasne przeczucie, że jest to wynikiem jakichś wyczerpujących przeżyć, lecz nic więcej nie byłem w stanie sobie przypomnieć.

W następnych dniach zdarzały się nawroty choroby, objawiające się nagłymi napadami dreszczy i chłodu. Kiedy byłem już tak wyczerpany, że dalsza praca stawała się niemożliwa, wpełzałem do łóżka rozdygotany i nieszczęśliwy, przeświadczony, że złapałem grypę. Podczas jednego z takich ataków zmierzyłem sobie temperaturę. Okazało się, że miałem 37,9 na początku i 38,7 w szczytowym punkcie „gorączki”, później temperatura opadła do 38 stopni.

Nie miałem kłopotów ze snem w nocy, lecz rankiem budziłem się z uczuciem, jakbym przez cały czas przewracał się z boku na bok. Nic mi się nie śniło, a czasem trudność sprawiało mi zamknięcie oczu. Czułem się obserwowany. Nocą słyszałem dziwne hałasy. Budząc się rano, czułem się jak po całonocnym czuwaniu.

Mój stan pogarszał się. Stałem się nadpobudliwy, w jednej chwili zapalałem się do nowych pomysłów, w następnej popadałem w desperację. Stałem się też podejrziwy, a nawet otwarcie

wrogi wobec przyjaciół i rodziny. Znienawidziłem telefony. Nie potrafiłem skupić uwagi nawet podczas najprzystępniejszych programów telewizyjnych. Po napisaniu opowiadania nie byłem w stanie skoncentrować się na pracy dłużej niż przez pięć minut. Usiłowałem czytać *Gerald's Party* Roberta Coovera, ale skończyło się to fiaskiem. Czytałem w kółko te same strony, nic nie pojmując. Sięgnąłem po ambitniejszą powieść, lecz ta również wydała mi się niezrozumiała. Musiałem porzucić też studia nad kazaniami Mistrza Eckharta, trzynastowiecznego filozofa-mistyka, które kiedyś rozpocząłem, ponieważ trudność sprawiało mi nawet podążanie za własnym tokiem myślenia, nie wspominając już o autorach z kręgu moich dawnych zainteresowań. Było to odkrycie straszne i przykre.

Trzeciego stycznia po południu, podczas wycieczki narciarskiej, poczułem ostry ból za prawym uchem, zupełnie jak po wizycie u dentysty, kiedy przestają działać środki znieczulające. Ból przewiercał czaszkę, a skóra była mocno podrażniona. W centrum zaczerwienionego obszaru moja żona dostrzegła mikroskopijny ślad ukłucia.

Sądzę, że moje wspomnienia wywołane zostały kombinacją wszystkich trzech objawów. Zamęt w mojej głowie ustąpił miejsca kilku sekwencjom obrazów, które, gdy dotarły do mojej świadomości, nieomal rozsądziły mi czaszkę przerażeniem i niedowierzaniem.

Pojawiały się w moim umyśle na chwilę, po czym znikaly, zostawiając mnie z sercem walącym jak młot, twarzą spływającą potem i otwartymi ustami, rozpaczliwie chwytającymi powietrze.

Wydawało mi się, że oszalałem.

Pół życia poświęciłem na skrupulatne i zdyscyplinowane poszukiwania wysublimowanych stanów świadomości, teraz zaś mój umysł obracał się przeciwko mnie. Być może lata pilnego studiowania wszystkich dziedzin, poczynwszy od filozofii aż do fizyki kwantowej, w osobliwie tragiczny sposób sprowadziły mnie na manowce duszy.

Kiedy udało mi się skupić na wspomnieniach, nagle nabrały one ostrości i wyrazistości, zupełnie jak obrazy z dzieciństwa wyciągnięte z zakamarków pamięci. Usiadłem za biurkiem, usiłując odnaleźć sens w czymś, co logicznie rzecz biorąc, nie mogło mieć sensu.

Spokojnie, na zimno rozważałem: Możliwe, że popadasz w obłąd, możliwe też, że masz nowotwór mózgu. Koniecznie musisz się do wiedzieć, co to jest i podjąć wszelkie niezbędne kroki, żeby temu zapobiec. Potem złożyłem głowę na biurku i, szczerze mówiąc, rozplakałem się.

Przez kilka kolejnych dni znośiłem cierpliwie mój stan, w nadziei, że objawy „choroby” ustąpią.

Potem nagle któregoś popołudnia powrócił do mnie ten zapach. Ich zapach. Był tak wyraźny, jakbym dosłownie przed chwilą wciągnął go w nozdrza. To realistyczne wrażenie oraz późniejsze odkrycie, że nie jestem osamotniony w swoich przeżyciach, uratowały mnie od szaleństwa.

W pierwszych dniach stycznia lokalna gazeta opublikowała doniesienia o zauważeniu w naszej okolicy latających obiektów. Artykuł ten ukazał się 3 stycznia 1986 roku w dzienniku *Record* wydawanym w Middletown w stanie Nowy Jork. Nagłówki mówiły o dowcipie, jednak relacje świadków zdawały się temu przeczyć. Gazeta przytaczała opowieść jednego z nich, który twierdził, że widział, jak obiekty te przelatywały nad jasno oświetlonym budynkiem więzienia i w blasku światła rozpoznał sylwetki samolotów. Kontynuacja tego tematu w wydaniu z 12 stycznia również opierała się na hipotezie zakładającej, że cała ta historia jest tylko żartem.

Moja żona pokazała mi ten artykuł ze słowami:

– Mówiłeś, że to się zdarzy. Opowiadałeś o tym w zeszłym tygodniu. – Nie przypomniałem sobie, bym coś takiego powiedział, niemniej jednak pod wpływem artykułu zabrałem się do lektury książki *Science and the UFOs* autorstwa Jenny Randles i astronoma Petera Warringtona, którą dostałem od brata w prezencie na Gwiazdkę.

Warrington cieszy się w swoim środowisku sporym szacunkiem, a jego książka okazała się dobrze napisaną. Nie wypowiada się ona na temat prawdziwości zjawiska UFO, lecz apeluje do świata nauki o podjęcie badań i poważne do nich podejście.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że lektura tej książki napawa mnie strachem. Po przeczytaniu

pierwszych pięciu stron musiałem ją odłożyć.

Znacznie później, gdy już zaczęliśmy poważnie traktować tę sprawę, przeprowadziliśmy z Anną własny wywiad na temat przypadków obserwacji UFO w naszej okolicy. Odkryliśmy wtedy, że na tym terenie aż roi się od takich przypadków, notowanych na przestrzeni ostatniego półwiecza.

Któregoś dnia pod koniec grudnia, około dziewiętej trzydzieści wieczorem, osiemnastoletni syn jednego z naszych sąsiadów zauważył jakiś obiekt unoszący się nad drogą, niecałe siedem kilometrów od naszego domku. Kiedy mi go opisywał, użył typowego sformułowania „wielki i upstrzony światłami”. Powiedział też, że obserwował go przez pewien czas. Jako syn byłego pilota sił powietrznych nie twierdził wcale, że było to UFO, lecz odważnie przyznał, iż nie potrafi nazwać owego obiektu, który wydawał się mieć zwartą konstrukcję i na pewno nie był złudzeniem wywołanym przez lecące w szyku samoloty, gdyż trwał nieruchomo zawieszony nad drogą przez ponad kwadrans. Od korporacji Goodyear dowiedziałem się telefonicznie, że ich sterowiec reklamowy nie znajdował się wówczas nad tym obszarem.

Mógł to być wprawdzie inny, nieznanый sterowiec czy balon, ale w świetle nowych informacji, które zdobyłem, stawało się to coraz mniej prawdopodobne.

Z przypadkowej rozmowy z przyjaciółmi w kwietniu moja żona dowiedziała się o zaobserwowaniu UFO w naszym sąsiedztwie na początku lat pięćdziesiątych. Jedną z jej najlepszych przyjaciółek, artystka i żona znanego kompozytora, jeździła jako dziecko na letnie obozy zlokalizowane niecałe dwadzieścia kilometrów od miejsca, gdzie dziś stoi nasz domek. Nie mieliśmy o tym pojęcia, kiedy Anna zadała jej uprzednio przygotowane pytanie, przeznaczone dla jak największej liczby osób w ramach naszych prywatnych badań.

Aby od razu uzyskać istotne informacje, nie wzbudzając podejrzeń, wymyśliliśmy następujące pytanie: „Jakie było najdziwniejsze wydarzenie w twoim życiu?” Warto zaznaczyć, że żaden z zapytanych nie wiedział, co nam się przytrafiło.

Odpowiedź przyjaciółki Anny była pouczająca. Twierdziła ona, że w 1953 roku, mając dziewięć lat, widziała latający talerz. Opisane przez nią zjawisko podobne było do tego, jakie zaobserwowano w grudniu 1985. Tak jak inni świadkowie, scharakteryzowała widziany pojazd jako wielki, pełen światła obiekt, który po pewnym czasie oddalił się majestatycznie.

Gdyby wszystkie te zjawiska miały być dziełem dowcipnisiów, musieliby oni działać nieprzerwanie przez ponad trzydzieści lat, nie mówiąc już o niewiarygodnej jak na owe czasy technice tłumienia dźwięków, jaką musieliby dysponować, by uzyskać efekt bezszelestnie poruszających się maszyn powietrznych.

Dalsze badania wykazały, że na północnym obszarze stanu Nowy Jork, z grubsza obejmującym okręgi: Westchester, Orange, Putnam, Rockland i Ulster, począwszy od 1983 roku miały miejsce liczne przypadki obserwacji obiektów o znacznych rozmiarach i kształtach trójkąta lub bumeranga. Lista obserwatorów obejmowała tysiące ludzi, od meteorologów i pracowników Federalnej Administracji Lotnictwa, do przedstawicieli lokalnej społeczności. Policjanci, szeryfowie, żołnierze, a raz nawet wszyscy członkowie rady miejskiej zgromadzeni na posiedzeniu, widzieli obiekty wielkością dorównujące lotniskowcom.

Oficjalne wyjaśnienie zamieszczone w czasopiśmie *Discover* w listopadzie 1984 roku stwierdzało, że zjawiska były wywoływane przez grupę pilotów lekkich samolotów lecących nocą z wyłączonymi silnikami w formacji tak ciasnej, że końce skrzydeł oddalone były od siebie zaledwie o centymetry. Ponieważ domniemane samoloty nigdy nie utrzymywały łączności radiowej, lokalne gazety dodały od siebie, że podczas tak skomplikowanych manewrów nocnych obowiązywała cisza w eterze.

Znajomy pilot powiedział mi, że wszystko to jest mocno naciągane, a utrzymanie takiego szyku jest niemożliwe nawet w przypadku cięższych maszyn. Kawalarze i ćwiczenia lotnictwa mogą być wyjaśnieniem części obserwowanych zjawisk, ale z pewnością nie są odpowiedzią na wszystkie pytania.

17 kwietnia 1983 roku w dzienniku *The New York Times* ukazał się artykuł opisujący przypadek

zawodowego meteorologa, który zaobserwował na niebie bezgłośny obiekt o średnicy kilometra, zawieszony na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią. *Times* cytował jego wypowiedź, że miał wrażenie jakby go „pilnie obserwowano, lecz w końcu nie zaakceptowano”.

Nie sądzę, aby zawodowy meteorolog mógł pomylić obiekt szeroki na kilometr z formacją samolotów, przynajmniej nie na tej wysokości.

Philip J. Klass, znany demaskator zagadkowych obserwacji UFO twierdził, że najczęściej sprawcami sensacji bywają „samoloty ciągnące wstęgi reklamowe”. Swego czasu był on wydawcą *Aviation Week And Space Technology* – publikacji znanej z niewiarygodnych zdolności wyłapywania przecieków z Departamentu Obrony na temat tajnych projektów kosmicznych. Pisywał również dla czasopisma, które niegdyś podziwiałem, *The Skeptical Inquirer*, jednakże w obliczu własnych przeżyć zaczynam podejrzewać, że w jego przypadku sceptycyzm przekroczył już granice rozsądku, nie mówiąc już o mądrości.

Zarówno oficjalne wyjaśnienia, jak i interpretacja Klasa nie pasują do setek relacji zebranych przez miejscowego nauczyciela nauk przyrodniczych, Philipa J. Imbrogno, którego nazwano w *Timesie* „jedynym człowiekiem ciężko pracującym nad racjonalnym wyjaśnieniem problemu”. W rozmowie z panem Imbrogno dowiedziałem się, że od roku 1983 zebrał on ponad dwieście relacji ludzi, będących uważnymi obserwatorami, którzy widzieli olbrzymie latające urządzenia o wyraźnej strukturze. Dodał, że pewnej nocy, z wielu punktów jednocześnie dostrzeżono obiekt wiszący nieruchomo nad miejscowym parkingiem, prędkość wiatru przekraczała sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Cokolwiek widziano tamtej nocy, nie były to samoloty lekkie czy ciężkie, lecące nisko w zwartej formacji.

Nikt również nie był w stanie wyjaśnić mi, kto porwał mnie grudniowej nocy, by wstrzyknąć coś do mojego mózgu.

Kiedy w styczniu wróciliśmy do Nowego Jorku, nadal nie wiedzieliśmy prawie nic na temat UFO, a już zupełnie nic o przypadkach opisanych powyżej.

Nasze życie nie powróciło do normy. Mimo iż nic nie stało już na przeszkodzie, bym wrócił do pisania, nie potrafiłem jakoś zebrać się i zasiąść do pracy. Fizycznie czułem się nieco lepiej, byłem jednak strasznie rozdrażniony. Rodzina nadal przeżywała kryzys.

W końcu przebrnąłem przez *Science and the UFOs*. Pod koniec książki ze zdumieniem natknąłem się na opis zdarzenia do złudzenia przypominającego moje przeżycia. Leżąc na łóżku, czytałem komentarz autora na temat archetypu kosmicznego porwania, nie mogąc oderwać oczu od wydrukowanych wyrazów. Przecież ja także siedziałem w leśnym parowie, a potem zachowałem w pamięci jedynie obraz zwierzęcia.

Z trzaskiem zamknąłem książkę, jakby w środku czał się zwinięty w kłębek wąż. Była tam mowa o ludziach, którzy sądzili, że zostali wzięci przez kosmitów na pokład nieznanego statku. Wszystko wskazywało, że jestem jednym z nich.

Krew ścięła mi się w żyłach. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, nawet Anna. Postanowiłem zamknąć moją tajemnicę na klucz w swoim umyśle.

Kilka dni później, około dziesiątej rano, kiedy siedziałem przy biurku, mój świat nagle legł w gruzach. Jedna za drugą nawiedzały mnie fale smutku. Tęsknie wyjrzałem za okno. Pragnąłem wyskoczyć, pragnąłem umrzeć. Nie mogłem znieść ciężaru tego wspomnienia i nie mogłem się go pozbyć. Kim, u licha, były te istoty? Co ze mną uczyniły? Czy istnieją w rzeczywistości, czy stałem się ofiarą nieznanego dotąd stanu umysłowego?

Przypomniałem sobie, że w książce *Science and the UFOs* zostało kilkakrotnie wymienione nazwisko niejakiego Budda Hopkinsa jako eksperta w tej dziedzinie. Nazwisko to wydało mi się znajome: oboje z Anną interesujemy się sztuką, a Hopkins jest znanym abstrakcjonistą; jego prace znajdują się w zbiorach takich muzeów jak Guggenheim i Whitney. Odnalazłem go w książce telefonicznej. Ale co miałem mu powiedzieć? Czułem się bardzo głupio: maleńkie ludziki, latające talerze. Idiotyzmy.

Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że przy kolejnym nawrocie tak intensywnej desperacji

naprawdę mogę wyskoczyć przez okno. Bez wątpienia byłem to winny mojej kochającej i polegającej na mnie rodzinie. Musiałem chociaż spróbować pomóc sobie samemu. Zadzwoiłem do Budda Hopkinsa. Odebrał telefon i przez chwilę słuchał mojego opowiadania. Myślałem, że mówiąc spałę się ze wstydu, ale on wkrótce przerwał mi w pół słowa. Czy mógłbym przyjść do niego, na przykład zaraz?

Okazało się, że mieszkał o dziesięć minut drogi od naszego domu. Był silnym, zwalistym mężczyzną o najłagodniejszej twarzy, jaką widziałem. Później stwierdziłem, że potrafi być bystry i ostrożny, z początku przyjął jednak otwartą i szczerą postawę.

Zaraz na wstępie naszej rozmowy Hopkins wyjaśnił, że nie jest terapeutą, lecz może mnie z kimś takim skontaktować, jeśli wyrażę życzenie. Po czym wydobyl ze mnie wszystkie fakty, które już tu opisałem.

Siedziałem tam, w jego pokoju, słuchając, jak tłumaczy mi, że nie jestem jedyny, że inni przeszli przez to samo, i łzy płynęły mi po policzkach. Już nie pragnąłem ukryć moich doświadczeń, pragnąłem je zrozumieć.

Właśnie podczas tego pierwszego spotkania Hopkins zapytał mnie, czy coś równie niezwykłego zdarzyło mi się w przeszłości. W pierwszym odruchu zaprzeczyłem. Jedno takie absurdalne i straszliwe przeżycie wydało mi się aż nadto wystarczające. Ale pytanie poruszyło we mnie jakąś strunę. Po chwili zastanowienia wyrzuciłem z siebie:

– Pamiętam noc, kiedy spłonął dom. Tylko on wcale nie spłonął.

Którejś nocy na początku października w naszym domu rozpętało się piekło. Wybuch obudził wszystkich domowników. Z jakichś nieznanych przyczyn wymazaliśmy z pamięci dziwne zdarzenia tamtej nocy, nigdy też o nich nie rozmawialiśmy. Ale w tamtym wypadku nie przydarzyło się to wyłącznie mnie. Mieliśmy wtedy gości. Jeśli rzeczywiście coś zaszło, powinni to pamiętać. Nadarzała się szansa weryfikacji – jeżeli nikt nic nie pamięta, dam sobie raz na zawsze spokój z tą żenującą sprawą kosmitów.

Opuszczałem dom Hopkinsa jako szczęśliwy człowiek. Na podstawie swojego doświadczenia założył on, że w wydarzeniach październikowych i grudniowych działała ta sama siła.

Wspaniale. Skontaktuję się ze świadkami. Oczywiście nie będą nic pamiętać. Potem pozostanie mi tylko bolesny, lecz nieunikniony proces pogodzenia się z faktem, że uległem chwilowym zaburzeniom umysłu. Poddam się terapii i postaram się zapomnieć o tajemniczych Przybyszach.

Żadne inne wyjście nie wchodziło w rachubę. Oczywiście, że nie. Właśnie rozwiązałem swój problem.

4 października 1985

Kiedy szedłem Szóstą Aleją w kierunku mojej części Greenwich Yillage, obraz wypadków z czwartego października stawał się coraz bardziej klarowny.

Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy? Dlaczego z nikim na ten temat nie rozmawiałem? Odpowiedź wydaje się prosta: umieściłem ten epizod w przegródce z pytaniami bez odpowiedzi i zwyczajnie puściłem go w niepamięć. Jedyną przyczyną, dla której mogłem to zrobić, była niechęć przyznania, że wypadki tamtej nocy daleko wykraczały poza pojęcie normalności. Dopiero przy bliższej analizie nabrały cech tajemniczości, a nawet grozy.

Często reagujemy na strach, nie przyjmując do wiadomości jego przyczyny. W tym przypadku, jak się zaraz okaże, powody do strachu były bardziej niż wystarczające.

Opisując wypadki października, nie poddałem się jeszcze hipnozie i nie myślałem nad tym, co kryje mój umysł. Niniejsza relacja powstawała przez dwa dni po pierwszej wizycie u Hopkinsa,

zanim jeszcze spotkałem doktora Donalda Kleina, który został moim hipnotyzerem po stwierdzeniu luk w mojej pamięci.

4 października 1985 roku, w towarzystwie dwojga bliskich przyjaciół, Jacquesa Sandulescu i Annie Gottlieb, udaliśmy się z żoną i synem do naszego domku.

Z Annie i Jacquesem znamy się od przeszło pięciu lat. W ich wyglądzie najbardziej rzuca się w oczy fizyczne przeciwieństwo: on jest olbrzymi, a ona mała. Jacques waży prawie sto pięćdziesiąt kilogramów, posiada czarny pas w karate i robi sto pompek za jednym zamachem. Annie również ma czarny pas, ale waży niecałe sześćdziesiąt kilogramów. Jest intelektualistką, podczas gdy u niego pierwszoplanową rolę odgrywają mięśnie. Oboje są przy tym pisarzami. On przybył do Stanów w końcu lat czterdziestych jako uciekinier z radzieckiego obozu pracy. Będąc narodowości rumuńskiej, został przesiedlony do górniczego zagłębia Donbasu, gdzie, według planu, miał zaharować się na śmierć w tamtejszych kopalniach. Jego książka pod tytułem *Donbas* opowiada o długiej drodze po ucieczce i wiernie przedstawia go jako człowieka o wyjątkowej tężyznie fizycznej. Liczyłem na to, że będzie doskonałym świadkiem właśnie ze względu na silne poczucie rzeczywistości.

Annie Gottlieb jest raczej typem intelektualistki, autorką ostatnio wydanej książki *Do You Believe in Magic: The Second Coming of the Sixties Generation* (Times Books, 1987).

Wieczór czwartego października był w okręgu Ulster bardzo mglisty. Zjadłszy kolację w pobliskiej restauracji, wróciliśmy do domu około dwudziestej pierwszej. Włączyłem podgrzewanie wody w basenie, aby można było skorzystać z niego następnego dnia (czyli w sobotę). Potem rozpałem w piecu. Wszyscy byliśmy tak śpiący, że prawie natychmiast poszliśmy do łóżek. Udaliśmy się z żoną do naszej sypialni na piętrze. Jacques i Annie zamknęli za sobą drzwi pokoju gościnnego, a mój syn poszedł do swojego narożnego pokoju sąsiadującego z gościnnym. Drzwi zostawił uchylone, podobnie jak my. Widziałem przez nie fragment łukowego sklepienia salonu, aż po sześciokątne okna w szczycie dachu.

Przez następną godzinę mgła nadal gęstniała. Kiedy zgasłem moją nocną lampkę, otuliła mnie absolutna ciemność i cisza. Księżyc znajdował się w pełni pięć dni temu, dwudziestego dziewiątego września, i teraz na niebie, za mgłą, majaczyła prawdopodobnie jego połówka. Powinien był wzejść o dwudziestą drugą trzydzieści, ale gruba pokrywa chmur czyniła go całkowicie niewidocznym.

Nie pamiętam, jaką książkę czytałem tamtego wieczora, ale z pewnością nie były to żadne straszne historie. Na kolację także nie jadłem żadnych potraw, które mogłyby później wywołać sensacje żołądkowe. Jeżeli zaś chodzi o alkohol, to każde z nas wypilo zaledwie po kieliszku wina i jednym drinku.

Przez pewien czas – może jakieś dwie, trzy godziny – byłem pogrążony we śnie, z którego nagle zostałem brutalnie wyrwany. Ku swemu przerażeniu dostrzegłem na suficie wyraźny niebieskawy blask. Moje przerażenie wynikało z faktu, że żadne światło nie miało prawa tam padać. Światła przejeżdżających drogą samochodów nie sięgały tak wysoko; nasz sąsiad bawił w Japonii i jego dom był nie tylko nieoświetlony, ale wręcz niewidoczny za liściastymi koronami drzew; automatyczny reflektor na werandzie, który od pewnego czasu sprawiał tylko same kłopoty, straszyl wykręconymi żarówkami. Wykluczyłem też latarkę ze względu na jednorodność i wielkość snopu światła oraz jego wyraźny, błękitny kolor. Usiłowaliśmy potem powtórzyć ten sam efekt za pomocą kempingowej latarni jarzeniowej zarówno w jasną noc, jak i w podobnie mglistą, ale nawet niezwykle silne jarzeniówki nie mogły imitować tamtego zjawiska, nie mówiąc już o ręcznych latarkach.

Przebiegłem w myślach wszystkie możliwości, obserwując błękitny snop leniwie pełzający po suficie, zupełnie jakby jego źródło powoli obniżało się nad placem przed domem. W końcu natrafiłem na myśl, która wydała mi się sensowna: to płonący komin wyrzuca snopy iskier na dziedziniec! Muszę natychmiast coś zrobić, inaczej wszyscy spłonimy.

Następnie zapadłem w głęboki sen! Tuż przed zaśnięciem z sercem bijącym niczym młot, pomyślałem o płomieniach ogarniających dach. Była to pierwsza, lecz wcale nie ostatnia tej nocy

nieoczekiwana i zaskakująca reakcja na wydarzenia.

Nie potrafię dokładnie określić, o której godzinie się to działo, ale musiało już być dobrze po północy.

Po pewnym czasie znów zostałem gwałtownie obudzony, tym razem przez głośny wybuch, zupełnie jakby rozżarzona iskra spadła mi na twarz. Moja żona krzyknęła, a na dole syn zaczął głośno wołać.

Otworzyłem oczy i ujrzałem cały dom spowity niesamowitym blaskiem, obejmującym także mgłę dokoła.

W duchu skarciłem się: – Przeklęty głupcze, zasnąłeś i teraz ogień rozszerzył się! – Udało mi się w końcu podnieść z łóżka. W pośpiechu rzuciłem Annie:

– Dach się pali. Zabiorę syna i obudzę resztę. – Ruszyłem na dół.

W połowie drogi blask nagle zniknął. Poczułem się głupio. Nie pozostało mi nic innego jak tylko powiedzieć Annie, że coś mi się przywidziało i zejść na dół, by uspokoić synka. Po drodze natknąłem się na Jacquesa. Jego nagłe pojawienie się tak mnie przestraszyło, że odskoczyłem jak oparzony. Musiałem go przeprosić i zapewnić, że wszystko w porządku i może spokojnie wracać do łóżka.

Wszedłem do sypialni synka i utuliłem go do snu. Kilka minut później leżałem już we własnym łóżku. Cały dom z powrotem pogrążył się we śnie.

Następnego ranka prawie nie rozmawialiśmy o tym incydencie. Annie wspomniała tylko, że Jacques nie mógł zasnąć w powodu jakiegoś światła w nocy. Było to dla mnie niezrozumiałe, ponieważ drzwi ich sypialni były cały czas zamknięte i światło w łazience, które zostawiamy dla naszego syna, nie mogło im przeszkadzać. Z zamieszania spowodowanego domniemanym pożarem nie pamiętałem zupełnie nic. Światło mogło przeszkadzać Jacquesowi, lecz na pewno nie mnie.

W ciągu następnego tygodnia narastało we mnie nieuzasadnione podniecenie. Prześladowało mnie wspomnienie blasku bijącego prosto w oczy oraz głuchy odgłos nocnej eksplozji.

W następny weekend pamięć ukazała mi wyraźny i dramatyczny obraz ogromnego kryształu zawieszzonego nad naszym domem, wspaniałego i wyniosłego, wysokiego na kilkadziesiąt metrów i emanującego niezmiernym, błękitnym blaskiem.

Powiedziałem o tym Annie i z miejsca ogarnęło mnie uczucie pustki. Wiedziałem, że mi nie uwierzyła. Nie mogła tego zrobić, skoro ja nie wierzyłem sam sobie.

– Mówiłeś przedtem, że były jakieś kłopoty z piecem – przypomniała, wprawiając mnie w zakłopotanie. Nigdy więcej nie wspomniałem już o kryształach, na zawsze wymazując go z pamięci.

6 lutego 1986, po wizycie u Hopkinsa, wracałem do domu pełen energii i chęci działania. Przekonany byłem, że zadając wyważone i ostrożne pytania, raz na zawsze zakończę całą sprawę. Jacques i Annie faktycznie widzieli światło w łazience. Drzwi ich sypialni musiały być otwarte, skoro Jacques znalazł się potem w korytarzu. Powodem krzyku Anny nie był wcale żaden wybuch, lecz moje stwierdzenie, że dom się pali – w ogóle nie było żadnego wybuchu. A jeśli chodzi o błękitną poświatę na suficie, to kombinacja niekonwencjonalnego źródła światła z gęstą mgłą może dać zaskakujące rezultaty.

Żona była pierwszą osobą, którą poprosiłem o cofnięcie się myślami do czwartego października ubiegłego roku. Nie było to zbyt trudne, ponieważ właśnie wtedy Annie i Jacques po raz ostatni byli u nas z wizytą, a ponadto gęstość mgły była tamtej nocy niespotykana.

Zaniepokoiło mnie to, że Anna natychmiast skojarzyła swe nagłe przebudzenie z wybuchem. Nie widziała błękitnego światła, a moje ostrzeżenie o pożarze najwyraźniej nie dotarło do niej przez sen, ponieważ pamiętała jedynie, jak zapewniałem ją, że nic się już nie pali.

Zapytałem syna:

– Czy pamiętasz, jak ostatni raz byli u nas Jacques i Annie?

– Tak – odpowiedział. – Coś wtedy wybuchło w nocy. – A więc on również słyszał eksplozję. – Jacyś ludzie powiedzieli mi, że wszystko w porządku, że to ty rzuciłeś butem w muchę.

– Jacy ludzie?

– Po prostu ludzie. Przyszli do mnie.

Muszę przyznać, że byłem zaszokowany tą odpowiedzią. Zrezygnowałem z dalszego indagowania syna i zadzwoniłem do Budda Hopkinsa, który poradził mi, bym zamiast o wspomnienia pytał o sny.

Idąc za jego radą zapytałem syna, co mu się wówczas śniło. Oto jego natychmiastowa i spontaniczna odpowiedź:

– Śniło mi się, że kilku małych doktorów wyniosło mnie na werandę i położyło na noszach. Bardzo się przestraszyłem, więc zaczęli mi w kółko powtarzać: „Nie chcemy cię skrzywdzić, nie chcemy cię skrzywdzić”. To był bardzo dziwny sen, bo wszystko działało się jakby naprawdę. Zresztą zdarzył się on w trakcie innego snu, w którym płynąłem łódką razem z Ezrą. – Ezra to jego przyjaciel.

Nie potrafił określić, czy ten sen miał miejsce czwartego października, wiedział jedynie, że było to podczas naszego pobytu w domku.

Ta relacja rozwiązała moje złudzenia i nadzieje na rozwiązanie problemu w sposób choć trochę przypominający metody konwencjonalne. Co mogło się zdarzyć mojemu synkowi? Jego niewinna opowieść niezmiernie mnie zaniepokoiła. W kontekście moich własnych przeżyć jego sen sugerował, że albo istnieje między nami bardzo osobliwa więź emocjonalna, albo też w tym samym czasie byliśmy świadkami podobnego zjawiska.

Następnie rozmawiałem z Jacquesem Sandulescu. Poniżej przytaczam zapis naszej rozmowy telefonicznej.

Ja: Czy zauważyłeś coś szczególnego podczas waszego ostatniego pobytu u nas?

Jacques: Światło! Spałem i nagle coś mnie zbudziło. Zobaczyłem, że pokój jest cały zalany światłem. Było jasno jak w dzień i nie był to księżyc. Pomyślałem, że zaspaliśmy. Spojrzałem na zegarek – była czwarta trzydzieści. Potem usłyszałem przez drzwi, jak mówisz, że wszystko w porządku. Światło też zniknęło, więc wróciłem do łóżka.

Ja: Co to było za światło?

Jacques: Światło, po prostu światło. Padało na krzaki i pnie drzew. Wydawało mi się, że jest dziesiąta rano.

Uczyniłem wszystko, co leżało w mojej mocy, by skopiować takie światło. Pokój gościnny ma maleńkie okienko, wychodzące na zadaszoną werandę, głębokości dwóch metrów. Za nią teren wznosi się stopniowo tak, że nawet światło reflektorów przejeżdżających drogą samochodów nie wpada do pokoju, nie mówiąc już o blasku słońca czy księżyca. Nawet w zimie, kiedy drzewa pozbawione są liści, światła domu sąsiada nie są widoczne z tego okna. Nasz reflektor z detektorem ruchu nie świeci bezpośrednio na werandę, lecz wzdłuż niej. Gdyby jakimś cudem – mimo wykręconych żarówek – włączył się, Jacques zobaczyłby nie krzaki i drzewa, lecz zarys werandy, poza którym panowałaby ciemność, snop światła mija bowiem okno i pada na całą powierzchnię werandy. Ten sam efekt następuje przy włączeniu normalnej lampy zewnętrznej.

Nawet przy jednocześnie włączonych światłach w domu sąsiada, na werandzie i podwórzu, gdzie ustawiliśmy samochód, nie udało nam się skopiować efektu tamtej nocy. Ani moja wiedza, ani dotychczasowe doświadczenie, nie znajdują wytłumaczenia dla tego zjawiska. Można by na uparteo wyjaśnić pochodzenie niebieskiej poświaty na suficie, którą dostrzegłem początkowo, ale nie silnego strumienia światła, jaki spłynął w chwilę potem z góry. Ja wyobraziłem sobie wtedy cały dach ogarnięty płomieniami, Jacques sądził, że to już ranek. Z powodu mgły nie wchodził w grę ani helikopter, ani żadna inna maszyna. Opinia pilota była jednoznaczna: to wykluczone.

O czwartej trzydzieści księżyc znajdował się jeszcze na niebie, lecz już poniżej linii drzew. Czy to możliwe, aby mgła tak spotęgowała jego blask, by przywykłe do ciemności oczy mogły go wziąć za światło dnia? Być może tak, ale tamtej nocy księżyc widniał daleko na zachodzie, a źródło światła znajdowało się dokładnie nad naszymi głowami. A tajemnicza eksplozja? Mógł być to

grzmot, lecz przecież nie notowano żadnej burzy na naszym obszarze. Przypadkowy piorun z jakiejś niezwyklej miniburzy mógł wprawdzie spowodować huk, który wszyscy słyszeliśmy, z drugiej jednak strony, błysk o intensywności zbliżonej do światła dziennego, trwał kilkadziesiąt sekund i, według wszystkich świadków, zniknął dopiero po eksplozji. Normalnie grzmot następuje po błyskawicy, nigdy odwrotnie.

Cokolwiek wywołało ten efekt, było to zjawisko nadzwyczajne i istnieje znikome prawdopodobieństwo, byśmy mogli je zidentyfikować.

Równie niewytłumaczalne – przynajmniej na razie – jest to, co usłyszałem od Annie Gottlieb. Przejęła ona słuchawkę bezpośrednio od Jacquesa. Z pewnością słyszała, o czym przedtem ze mną rozmawiał, nie miała jednak dość czasu, by przedyskutować z nim tę sprawę i uzgodnić wersję. Ponadto oboje są normalnymi, myślącymi logicznie, odpowiedzialnymi ludźmi, którzy nie mieli najmniejszych powodów, by mnie okłamywać i których realia życia nie są w stanie wytrącić z równowagi na tyle, by nagle wymyślać historie, które tu przytaczam. Wystarczy zajrzeć do powieści Annie Gottlieb, aby przekonać się, jak klarowny jest tok jej rozumowania.

Podobnie jak my wszyscy, Annie została obudzona przez głośny wybuch.

– Coś huknęło, po czym usłyszałam odgłosy delikatnego stąpania, dobiegające z waszej sypialni na górze. Myślałam, że to koty.

– Annie, koty zostały w mieście. Nie zabieramy ich na weekendy, ponieważ źle znoszą podróż w bagażniku.

– Żartujesz! Byłam przekonana, że to koty. W każdym razie pamiętam nie tyle światło, co te odgłosy. Parę minut potem usłyszałam, że schodzisz na dół. Powiedziałeś nam przez drzwi, że nie ma się czego obawiać. Rano oznajmiłeś, że odwiedzili nas jacyś ludzie w statku kosmicznym.

– Co? Annie, nigdy tego nie mówiłem. Nigdy bym czegoś podobnego nie powiedział.

– Myślałam wtedy, że to jakiś dziwny sen.

– Na pewno pamiętasz, że tak powiedziałem?

– No cóż, kiedy teraz pomyślę, to nie wiem, skąd mi się to wzięło. (Kilka miesięcy później przypomniała sobie, że wcale nie opowiadałem o wizycie kosmitów, lecz opisywałem wielki kryształ. Sądzę, że moje wyjaśnienia na temat nocnych wydarzeń musiały brzmieć dość dziwnie).

W tym momencie zacząłem niemal żałować, że zachciało mi się zadawać jakiegokolwiek pytania moim świadkom. Pożegnałem się i odłożyłem słuchawkę. Nieodwołalnie i ostatecznie zdałem sobie sprawę, że działo się ze mną coś, nad czym nie panowałem. Nie mogłem już temu zaprzeczyć. Byłbym głupcem, gdybym tego nie przyznał.

Wszedłem do pracowni i zamknąłem za sobą drzwi. Był wieczór i kilka gwiazd majaczyło już nad Manhattanem. Świat na zewnątrz wyglądał najzupełniej normalnie i ta normalność wydała mi się najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Przebiegłem w myślach miesiące dzielące mnie od października. Jesień okazała się dla mojego małżeństwa okropnym okresem. Mniej więcej w połowie października, dalsze przebywanie w Nowym Jorku, zaczęło napawać mnie taką obawą, że postanowiłem się przeprowadzić.

Czy korzenie mojego strachu tkwiły w wydarzeniach z czwartego października? Jak wytłumaczyć moją nerwowość, potajemne przeszukiwanie szaf, zagłębienie pod łóżko, niczym nie uzasadnioną obawę przed włamaniem? Wydawało mi się, że napięcie wewnętrzne wzrasta z każdym miesiącem. Miewałem koszmary, które po przebudzeniu pierzchały z mej pamięci. Bezustannie budziłem się nad ranem z przeświadczeniem, że właśnie stało się coś strasznego.

W ostatnim tygodniu października, wciąż nie mając żadnych realnych podstaw, by uważać tamtą noc za niezwyklej, uznałem, że nie wytrzymam ani chwili dłużej w Nowym Jorku. Ulice tego miasta wy dawały mi się przerażająco niebezpieczne. Nasz domek stał się mrocznym i strasznym miejscem, a przebywanie w nim, było ponad moje siły. Czułem, że nie panuję nad sobą i że jestem zdolny do wszystkiego.

Zdecydowałem, że przeprowadzimy się do Austin w stanie Teksas. Uczęszczałem tam na uniwersytet stanowy, a poza tym oboje z Anną lubimy to miasto. Mieszka tam grupa naszych najlepszych przyjaciół, między innymi mój współpracownik James Kunetka.

Uparłem się, aby zarówno mieszkanie w Nowym Jorku, jak i domek wystawić na sprzedaż.

Zaraz po Halloween udaliśmy się do Teksasu, gdzie załatwiliśmy prywatną szkołę dla syna i zaczęliśmy rozglądać się za stosownym domem.

Dowiedzieliśmy się też, że złożono kilka ofert na nasz domek, lecz żadnej na mieszkanie.

Pewnego wieczora w Austin oglądaliśmy dom, który zdecydowani byliśmy kupić. Żona rozmawiała w środku z agentem i właścicielami, ja zaś wyszedłem na drewniany pomost przed domem. Spojrzałem na mroczny kanion rozciągający się daleko w noc, na gwiazdy lśniące na wieczornym niebie i poczułem nagły przypływ strachu, zupełnie jakby niebo było żywą istotą obserwującą mnie z góry.

Strach potęgowała jeszcze świadomość, że wrażenie to jest paranoicznym wytworem mojej wyobraźni. Pomyślałem, że moja kondycja psychiczna wymaga podjęcia energicznych kroków zmierzających do jej poprawy.

W żadnym razie nie mógłbym mieszkać w tamtym domu. Nie byłem w stanie nawet powtórnie przestąpić jego progu.

Moja nieoczekiwana decyzja pozostania w Nowym Jorku wprawiła moją żonę w stan zrozumiałej wściekłości. W dodatku to ja oskarżyłem ją o chęć przeniesienia się do Austin.

Kryzys małżeński był oczywistym następstwem. Anna zupełnie poważnie rozważała możliwość odejścia, ponieważ życie ze mną stało się nie do zniesienia. Nasze więzy są jednak zbyt mocne i kiedy, doprowadzona do rozpacz, zagroziła separacją, udało mi się wziąć w garść i poskromić nieco moje nieodpowiedzialne zachowanie. Dopiero Święta Bożego Narodzenia przyniosły poprawę mojego stanu.

Siedziałem zatem w swoim biurze tamtego lutowego wieczora, reasumując wszystko, czego się dotychczas dowiedziałem. Obiecałem Hopkinsowi, że nie przeczytam już nic o UFO. Jak już wspomniałem, w przeszłości moje zainteresowanie tym tematem było znikome. Owszem, czytałem pewnie kiedyś ze dwie książki z tego gatunku. Wysiłwszy pamięć stwierdziłem, że dawno temu wpadł mi w ręce numer magazynu *Look*, gdzie opisywano historię niejakiego Hilla, zabranego przez Przybyszów na pokład ich statku kosmicznego. (W lipcu 1986 roku dokopałem się do obu numerów, o które mi chodziło: z 4 i 18 października 1966 roku i doszedłem do wniosku, że faktycznie nigdy ich nie czytałem. Być może widziałem wzmiankę na ten temat w innej gazecie, skąd bowiem znałbym tę historię?)

Sądząc z relacji świadków, coś jednak się wydarzyło. Ale co? Nawet po rozmowie z Hopkinsem nie byłem jeszcze skłonny przypisać moich zaburzeń UFO. Szczerze mówiąc, byłem zupełnie zdezorientowany i nie miałem najmniejszego pojęcia, co stało się w naszym domku tamtej nocy. Jednak zamęt w mojej głowie i silne zaangażowanie emocjonalne stanowiły niewspółmierną reakcję na coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się drobnym zakłóceniem domowego spokoju.

Rozdział 2

Podróż w głąb jaskini umysłu

Hipnoza

O, zanurz swe ręce w wodzie,
Aż po nadgarstki je wsadź,
I wzrok swój wbij w cichą tafłę,
Myśląc, co zabrał ci czas.

Lodowiec rozsadza twój kredens,
A w łóżku dmą wiatry pustyni,
Filiżanka pękając, otwiera
Szlak do umarłych krainy.

W. H. Auden – *As I Walked Out One Evening*

Niewyraźne odbicie

Mój następny krok narzucał się sam – należało poddać się terapii. Ustanowiłem jednak pewne kryteria wyboru terapeuty. Nie mógł to być nikt o określonych poglądach na zjawiska UFO i istnienie kosmitów. Idealny byłby terapeuta o bystrym i otwartym umyśle. Mój problem mógł przecież mieć podłoże natury umysłowej, w grę mogły wchodzić czynniki nieznanie nauce. Istniała też możliwość, że moje przywidzenia okażą się prawdą.

Ze względu na poważne luki w mojej pamięci, graniczące niemal z amnezją, terapeuta ten musiałby jednocześnie być doświadczonym hipnotyzerem. I znowu nie chciałem się oddać w ręce pierwszego lepszego psychiatry praktykującego leczenie hipnozą. Szukałem kogoś z reputacją – prawdziwego eksperta w środowisku lekarskim. Oczekiwałem zarówno naukowego zdyscyplinowania, jak i umiejętności terapeutycznych, a obie te cechy nie zawsze idą w parze.

Zdecydowałem się nie korzystać z usług żadnego z hipnotyzerów wymienionych przez Hopkinsa, pomimo że cieszyli się oni ogólnym poważaniem. Na przykład doktor Aphrodite Clamar, która współ pracowała z Hopkinsem przez dłuższy czas, miała opinię doskonałego psychologa o profesjonalnym podejściu, lecz ja nieugięcie trwałem w postanowieniu powierzenia mojej terapii człowiekowi, który nigdy przedtem nie zajmował się podobnym przypadkiem.

Hopkins przypomniał sobie, że niejaki doktor Donald Klein z Instytutu Psychiatrycznego Stanu Nowy Jork wyraził kiedyś zainteresowanie tym tematem i sprawiał wrażenie odpowiedniego człowieka. Przejrzałem referencje doktora Kleina i uznałem, że są doskonałe. Byłby idealnym terapeutą, gdyby tylko zgodził się zająć moim przypadkiem.

Parę tygodni później siedziałem już w jego gabinecie, odpowiadając przez trzy godziny na pytania wstępnego wywiadu. Dostarczyłem mu notatki zawierające kompletny szkic wydarzeń,

które zapamiętałem. Przez jakiś czas pracowaliśmy nad uaktywnieniem mojej pamięci, niewiele jednak mogłem dodać do pierwotnej wersji. Idąc za radą doktora Kleina poświęciłem na to cały tydzień. Stwierdziwszy nieskuteczność tej metody – przyniosła mi ona wyłącznie zawroty głowy i nocne koszmary – zdecydowaliśmy się na próbny seans hipnotyczny.

Przyznaję, że miałem wątpliwości co do skuteczności hipnozy. Czytałem onegdaj w *Science News*, że pod jej wpływem każdy pacjent jest w stanie „przypomnieć sobie” kosmiczne porwanie lub spotkanie z UFO, włącznie z maleńkimi ludzikami oraz innymi akcesoriami. Wystarczająco odpowiednio sformułowane pytania i opowieści same płyną z ust pacjentów.

Twierdzenie, że ludzie pod hipnozą nie potrafią kłamać, jest wysłużonym mitem. Potrafią i będą kłamać, jeśli tego pragną lub jeśli wydaje im się, że chce tego hipnotyzer.

Zagłębiwszy się we wspomniane już studium w *Science News*, odkryłem, że pytania zadawane podczas eksperymentu, celowo na prowadziły zahipnotyzowanych na temat porwania. Celem studium było bowiem udowodnienie, że z każdego można wyciągnąć opis spotkania z kosmitami, jeśli pytania zasugerują mu, iż tego oczekuje hipnotyzer.

W przypadku doktora Kleina taka możliwość nie wchodziła w rachubę. Czytelnik może się o tym sam przekonać, czytając protokoły z sesji hipnotycznych, które są dosłownym zapisem naszych wypowiedzi. Ze swej strony mocno wierzyłem, że terapia usunie w cień wersję o Przybyszach z kosmosu i dowiedzie – na przekór pozorom, że cały problem spowodowany był skomplikowaną serią zaburzeń w postrzeganiu.

Mimo wszystko, artykuł prezentował ciekawy punkt widzenia i ukazywał podstawową trudność, pojawiającą się nawet w przypadku poważnych i kompetentnych przedsięwzięć naukowych wykorzystujących hipnozę do zgłębiania tajemnic takich jak moja.

Nasza wiedza na temat hipnozy jest niewystarczająca, by w podobnej sytuacji traktować ją jak godne całkowitego zaufania narzędzie w rękach nauki. Pomimo że pytania Dona Kleina nie były tendencyjne, pozostaje możliwość, iż to ja sam podświadomie szukałem takiego rozwiązania, za jakim w skrytości ducha tęskniłem. Być może naprawdę pragnąłem, aby na Ziemi zjawili się Przybysze z kosmosu z misją uratowania naszego świata, który, jak sądzę, jest obecnie w wielkich opałach. Pracując przez ostatnie trzy lata nad książkami poruszającymi tematy zagrożenia nuklearnego i degradacji środowiska naturalnego, doskonale zdawałem sobie sprawę, że najbliższe pięćdziesiąt lat zapowiada się niespokojnie – być może więc wizja ratujących nasze głowy oddziaływała na mnie silniej, niż chciałbym przyznać. Może maskowałem swą depresję po to, by w spokoju żyć i wychowywać własne dziecko.

Na plus poniższej relacji mogę zaliczyć fakt, iż zawiera ona odpowiedzi uczciwego człowieka na pytania uznanego eksperta w dziedzinie medycznej hipnozy.

Jednym z największych wyzwania, jakie napotyka nauka w naszych czasach, jest zjawisko nowoczesnych przesądów, takich jak kult UFO czy wiara w tajemne przesłania od kosmicznych braci. Szarlatani wszelkiego pokroju, poczynając od magików do „metapsychicznych uzdrawiaczy”, od dawna usiłują zdobyć pieniądze i władzę kosztem nauki. I tu tkwi sedno tragedii: kiedy widzi się, jak każdego roku ogromne sumy przeznaczone są na rozwój przemysłu astrologicznego i jednocześnie pomyśli się, co mogłyby zdziałać te pieniądze w rękach astronomów i astrofizyków, to frustracja jest nieuchronną reakcją. Gdyby te fundusze trafiały w ręce naukowców, z pewnością dawno już rozwiązano by problem, z którym się obecnie borykam. Mam pewną dozę szacunku dla astrologii jako odwiecznej ludzkiej tradycji, jednak nie miałbym nic przeciwko temu, by astronomowie otrzymywali tantiemy od wydawnictw astrologicznych.

Zanim przydarzyła mi się cała ta historia, nie wierzyłem w istnienie UFO. Byłem w stanie roześmiać się prosto w twarz każdemu, kto by twierdził, że zetknął się z kosmitami. Koniec, kropka. Nigdy nie uważałem się za najlepszego kandydata do nawrócenia się na nową religię, która głosi wiarę w kosmicznych braci – dobroczyńców albo nie zidentyfikowane obiekty latające, będące powietrznymi statkami intergalaktycznych świętych, a może grzeszników.

A jednak ta historia zdarzyła się naprawdę i, co więcej, większa jej część zapisana jest nie w

podświadomości, lecz najzwyczajniej w mojej pamięci. Jeżeli mamy tu do czynienia z nowym systemem wierzeń, który jest na najlepszej drodze do skryzalizowania się w formie religijnego dogmatu, to sposób, w jaki w moim przypadku powstaje ta religia – bezpośrednio w moim umyśle, bez żadnych cech wiernopoddańczych – sugeruje, iż prawdziwa wiara może okazać się opacznie zrozumianym procesem biologicznym, sporadycznie inicjowanym przez jakąś niezwykłą i niezbadaną formę umysłu, daleko bardziej konkretną, niż zbiorowa podświadomość Junga. Zatem jeśli nawet doznania związane z Przybyszami z kosmosu oparte są wyłącznie na podłożu umysłowym, to wyśmiewanie ich i traktowanie jako dobrze gnanej formy zachowań dewiacyjnych – czym najwyraźniej nie są – jest w efekcie milczeniem w obliczu zjawisk nowych i nieznanych. Do ich wyjaśnienia nauka powinna dołożyć wszelkich starań poprzez rzetelne studia oparte na otwartym podejściu i umiejętnie wysuwanych hipotezach.

Jeśli mój incydent z kosmitami jest prawdziwy, to moja relacja zalicza się do najpełniejszych i najbardziej szczegółowych, jakie dotychczas zanotowano i mam nadzieję, że okaże się cennym materiałem, gdy pojawią się nowe przypadki. Jeśli zaś chodzi o coś innego, ostrzegam: to „coś” jest nieznaną siłą w nas samych, być może nawet centralną siłą naszej duszy i lepiej będzie, jeżeli spróbujemy ją zgłębić, zanim to ona przejmie nad nami kontrolę.

Poniżej przytaczam zapisy dwóch seansów hipnotycznych, kiedy to cofnąłem się do tych wydarzeń czwartego października i dwudziestego szóstego grudnia, których nie obejmowała moja pamięć. Wydaje się bezsporne, że są to odgrzebane wspomnienia, a nie wytwory wyobraźni, powstałe w gabinecie lekarskim. Mechanizm, który spowodował ich zatajenie, jest identyczny jak w przypadku szczególnie zatrważających przeżyć, odgradzanych przez umysł murem amnezji. Od czasów Freuda zjawisko pamięci osłonowej zostało wielokrotnie opisane.

Rodzaj hipnozy, której mnie poddano, niczym nie różnił się od stosowanego przez policję wobec świadków przestępstw. Tej samej natury mogą być również obiekcje wysuwane pod adresem tej metody. Należy jednakże pamiętać, że nawet mimo moich najszczerzych chęci, byłem w stanie opisać jedynie zjawiska, które postrzegałem, co nie oznacza wcale, że miały one miejsce w rzeczywistości. Bez dostatecznej wiedzy o naszych własnych reakcjach na wydarzenia wykraczające poza próg niesamowitości, trudno jest określić, czy i na ile obraz tych wydarzeń w naszej pamięci zostaje zniekształcony.

Donald Klein przyjął mnie w swoim gabinecie o ścianach w kolorze delikatnego popiołu, znajdującym się przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej na Manhattanie. Okazał się człowiekiem o kręconych włosach i powściągliwym zachowaniu. Dwie jego cechy jako hipnotyzera rzuciły mi się natychmiast w oczy. Po pierwsze wyczułem w nim zdolność panowania nad sytuacją, którą zawdzięczał zaufaniu do własnych umiejętności. Po drugie ujrzałem w nim starannego i dokładnego fachowca o niezwyklej bystrości umysłu.

Nigdy przedtem nie poddawałem się hipnozie i przyznam, że trochę się obawiałem – jak się potem okazało, bezpodstawnie. Chodziło mi o utratę kontroli nad własnym postępowaniem, która, jak sądziłem, była kluczową sprawą w moim dotychczasowym życiu.

Dałem jednak wiarę słowom Kleina, kiedy zapewnił mnie, że nawet w hipnozie nie można zmusić ludzi do mówienia czegoś wbrew ich woli. Tak więc moja bezradność będzie w gruncie rzeczy tylko pozorna.

Sam proces wprowadzenia mnie w stan hipnozy był całkiem przyjemny. Usiadłem wygodnie na krześle, Klein stanął przede mną i polecił obserwować swój palec uniesiony tak wysoko, że usiłując go dostrzec musiałem niemalże wyrzucić gałki oczne do wewnątrz. Wodził tym palcem przed moimi oczami, jednocześnie powtarzając, bym się odprężył. Niespełna pół minuty później utrzymanie otwartych oczu zaczęło przekraczać moje siły. Wtedy zaczął mówić, że moje powieki robią się ciężkie i rzeczywiście tak się stało. Następnie oczy same mi się zamknęły.

Czułem się w tym momencie odprężony i spokojny, lecz nie uspijony. Wiedziałem, gdzie się znajduję. Poczułem, jak wiotczą mi mięśnie twarzy i usłyszałem, jak doktor Klein mówi, że moja prawa ręka robi się gorąca. Rzeczywiście poczułem ciepło rozchodzące się pod wpływem jego słów na ramię, a potem na całe ciało. Siedziałem teraz nad wyraz wygodnie, otulony obłokiem ciepła.

Nadal czułem, że nie pozbawiono mnie własnej woli i to uczucie nigdy mnie nie opuściło. W rzeczywistości obiekt hipnozy zawsze posiada wolną wolę, choć z drugiej strony jest też podatny na sugestię.

Po kilku wstępnych pytaniach, dotyczących moich urodzin i weekendu Święta Pracy, Klein przeszedł do wydarzeń czwartego października. Pragnę tylko dodać, że Budd Hopkins był obecny na obu seansach, podczas których dokonywał nagrań. Wolno mu było również zadawać pytania, ale wyłącznie pod koniec seansu i zrozumiałe było, że nie może ich być wiele. W protokołach poprzedzone są one jego nazwiskiem. Wszystkie pozostałe pytania zadawał doktor Klein.

Wydarzenia z 4 października 1985

Data seansu: 1 marca 1986

Pacjent: Whitley Strieber

Psychiatra: dr med. Donald Klein

(Jest to wierny zapis mojego pierwszego seansu hipnotycznego. Nie opuściłem ani słowa. Są to wyniki hipnotycznej retrospekcji, której poddano moją pamięć.)

Dr Klein rozpoczął od dnia Święta Pracy. W miarę jak coraz pewniej odpowiadałem na jego pytania, stopniowo kierował rozmowę na temat tamtej nocy.

– Przejdziemy teraz do początków października, dokładnie pierwszego października 1985. Powiedz mi, gdzie się teraz znajdujesz.

– Pracuje nad książką o Rosji.

– Nad jaką książką?

– O Rosji.

– Co to za książka?

– Powieść rozgrywająca się w Rosji. Mam niezły pomysł. Pracuję nad tą książką.

– Gdzie się znajdujesz?

– Jestem w swoim mieszkaniu, w mieście.

– Masz jakieś plany na weekend?

– Tak, mamy zamiar zabrać Jacquesa i Annie na wieś i mam problem, czy Jacques zmieści się do jeepa.

– Kim są Jacques i Annie?

– Jacques jest naszym przyjacielem. Annie to jego dziewczyna.

– Teraz jedziecie na wieś.

– Zgadza się.

– Jeepem?

– Tak, to Jeep Wagoneer. Obyło się bez kłopotów. Annie okazała się bardzo drobna, jest więc dość miejsca dla Jacquesa. Rozparł się na tylnym siedzeniu obok mojego syna, który jest tym zachwycony, ponieważ uwielbia Jacquesa. Włączyłem magnetofon, ale nikomu to nie odpowiadało, rozpocząłem więc rozmowę:

– Zapraszam wszystkich na kolację. Sklepy są już zamknięte. Pójdziemy do... Chcecie iść do „Top of the Falls”?

Długo nie mogliśmy się zdecydować, ale pamiętam, że w końcu pojechaliliśmy do „Top of the

Falls”.

– Przejdź teraz do tamtego wieczoru.

– Dobrze.

– Jak się czujesz?

– O, bawię się doskonale.

– Jak daleko jest z restauracji do waszego domku?

– Niedaleko, jakieś piętnaście minut. Jedliśmy kolację. Anna, nasz syn, wszyscy dobrze się... ja się dobrze bawię. Jacques też jest zadowolony.

– Jesteście już z powrotem w domu.

– Tak.

– Idziesz już spać.

– Tak. Mam na nogach swoje kapcie. Mieliśmy wszyscy wziąć gorącą kąpiel, ale jestem zbyt zmęczony. (Wyobraziłem sobie, że leżę w łóżku i zwracam się do żony.) Mój Boże, kto mi kazał wydawać tyle pieniędzy w restauracji.

– Co się dzieje, kiedy już leżysz w łóżku?

– Zaraz... (Długa przerwa.) Ach, budzę się w środku nocy... Nie rozumiem. Ha, czyżby coś mignęło za oknem? (Miałem na myśli ośmiokątne okienko u zwieńczenia łukowatego sklepienia w pokoju dziennym, znajdujące się około dziewięciu metrów nad podłogą. Wychodzi ono na ścianę lasu i widać je z naszego łóżka.) Co to jest, do diabła? Coś mignęło za oknem! Nic nie ma... O mój Boże. Anna, dom się... Coś...

– Coś mignęło za oknem?

– Coś wielkiego. (Zaczynam krzyczeć.) Nie, to było światło! (Nieco spokojniej.) To nie było za oknem, nie mogło być za oknem. Kładę się z powrotem spać. Myślę, że z piecem wszystko w porządku. To musiało być światło na podwórzu. Myślę teraz... Kto to jest, do cholery? (Mój wzrok padł w odległy kąt sypialni, gdzie ujrzałem niewyraźny kształt postaci, mierzącej jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów, stojącej w głębokim cieniu.) Jest tu ktoś? (Przerwa.) Czy tam ktoś stoi? To niemożliwe. Wiesz, patrzę na to coś. Chyba... chyba mi się to nie podoba. (Długa przerwa. Otwieram oczy.)

– Odpręż się. Zamknij oczy. Odpręż się. Masz się zrelaksować, nie otwieraj oczu. Odpręż się. Teraz powiedz nam, co zobaczyłeś.

– Zobaczyłem coś, co wyglądało jak zakapturzona postać, stojąca pod ścianą w narożniku naszej sypialni. (Wpadam w panikę.) Nie chcę, żeby tam stała! Nie chcę! Proszę! Boże, ona... co ona mi robi? Przestań! Och, przestań! Co ona mi robi? (Krzyk trwający dwadzieścia sekund.) (Nie przypominam sobie, by w jakimkolwiek momencie mojego życia ogarnęła mnie taka panika, jak podczas tej hipnozy. Ujrzałem jak ów kształt przemknął przez pokój i, wstrząśnięty do głębi, zdałem sobie sprawę, że jest to zupełnie mi nie znane stworzenie, wbijające we mnie wzrok znad krawędzi mego własnego łóżka w środku nocy, po czym spontanicznie wyrwałem się spod hipnozy. Żadne znane mi słowa nie są... nic w ogóle nie jest w stanie odzwierciedlić moich uczuć w tym momencie. Mogę jedynie powiedzieć, że cofnąwszy się tam myślami, ponownie doświadczyłem strachu w formie tak pierwotnej, dogłębnej i przytłaczającej, że nigdy nie przypuszczałbym, iż tak intensywne doznania w ogóle są możliwe.)

– Czuję się, jakbym za chwilę miał zwymiotować. Przepraszam. O Boże. Aż do tej chwili nie miałem pojęcia, że coś takiego jest w moim domu. (Łkanie.) O Jezu. O Boże. Przestraszył mnie jak wszyscy diabli. Przepraszam, nie spodziewałem się, że będzie aż tak źle, jeśli... Przygotowałem się na strach, ale dwudziestego szóstego. Nie wiedział, że coś dostało się do mojego domu. Już dobrze... To stało tam.

– Możesz nam o tym opowiedzieć?

– Wiesz, jest ciemno. To wygląda jak mały człowieczek z kapturem na głowie, lub czymś

podobnym. Wygląda zupełnie jak ten, no wiesz, nie ma głowy... jest czymś przykryty. Podchodzi do łóżka i przykłada coś do..., nie do mojej głowy, ale – rozumiesz – jakby prosto do mojego mózgu. To wydaje dźwięk, coś jakby głos. To straszne! (Demonstruję dźwięk: trzeszczący, piskliwy odgłos.) Coś w tym rodzaju, prosto w mój mózg. To wręcz przerażająco obrzydliwe. Stał przy mnie i tak właśnie robił.

– Co robił?

– Nie potrafię określić. Musiałbyś mnie znowu zahipnotyzować, może przypomniałbym sobie, co do mnie mówił. Słowa formowały się w moim umyśle. Zupełnie jakby miał mały przedmiot, który wydawał dźwięk przytknięty do mojej skroni. Myślę, że właśnie tak było.

– Krzyczałeś, kiedy do ciebie mówił?

– Krzyczałem. Tak, krzyczałem. (To pytanie zdezorientowało mnie, ponieważ, jak się okaże za chwilę, w rzeczywistości postać wcale do mnie nie przemawiała.) Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego pozostali... nie pamiętam, byłem zupełnie pewien, że krzyczałem.

– Czy pamiętasz, co działo się z twoją żoną?

– Nie widzę jej, jestem zwrócony twarzą do tego stworzenia. Czy nadal jestem pod hipnozą?

– Nie.

– Przysięgam na Boga, trudno mi uwierzyć, że to się działo naprawdę. Ale działo się rzeczywiście. Jakieś światło przesunęło się za oknem, a potem zobaczyłem blask jaśniejący na placu za oknem. Wydawało mi się, że wstałem z łóżka, ale teraz nie jestem tego pewien. Zdawało mi się też, że widziałem poświatę na suficie, ale teraz w to wątpię. Sądzę, że od początku wiedziałem, że wpada on przez okno, to znaczy ten blask, ale w jakiś sposób nie chciałem się do tego przyznać. Od początku było oczywiste, że to nie pożar. A on... nie wiem, co on robił. Będę z wami szczerzy... naprawdę nie potrafię... hmmmm, nie mogę tego zrozumieć. Byłem przerażony. Ale on nie... Miał coś na sobie, coś jakby, no wiecie, był czymś nakryty. Jestem roztrzęsiony.

– To rozumiałe.

– Wiesz, nie pojmuję tego. To znaczy... owszem, rozumiem, że takie przeżycie może człowieka wystraszyć. Ale czy chcesz, byśmy to kontynuowali?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Absolutnie nie.

– W porządku.

– Chcę powiedzieć, że prawdopodobnie przeszedłem już najgorsze, bo kiedy to zbliżyło się do mnie po raz pierwszy, dosłownie zmartwiałem ze strachu.

Odezwał się Budd Hopkins:

– Zwykle tak bywa. Pierwsze chwile są najgorsze. Potem idzie już znacznie łatwiej.

– Jak zachowywałem się pod hipnozą?

– Byłeś świetny.

– Znakomicie. Nie trwało to chyba długo? Było mi bardzo przyjemnie.

– Zawsze tak jest.

– Przyznam, że zadziwiłeś mnie. Myślałem, że dopiero wyjaśniasz mi, jak to się odbędzie, a już w następnej chwili nie mogłem utrzymać otwartych oczu.

– To bardzo proste. Kiedy już zrozumiesz zasadę, możesz to robić nieomal na zawołanie. Teraz spójrz na mój palec. (Po chwili znów byłem zahipnotyzowany.) Jeżeli zobaczysz coś przerażającego, masz pozostać uspiiony. Będiesz nadal spał, ale powiesz nam, co czujesz. Noc czwartego października, obudziłeś się. Właśnie się obudziłeś. Widzisz światło. Coś znajduje się w twojej sypialni.

– Jest ciemno.

– Powiedz mi, co widzisz.

– Widzę go. Podchodzi do łóżka. Chyba nie ma dobrych zamiarów. Jest niewysoki. Stoi nieopodal lampy. Patrzą na mnie duże oczy. Duże, skośne oczy. Nie ma włosów. Patrzy na mnie. Ma w ręce coś w rodzaju linijki ze srebrną końcówką. Dotyka mnie. Widzę obrazy. (Długa przerwa.) Widzę, jak świat rozpada się na kawałki. Widzę, jak eksploduje mój dom, kiedy on dotyka mnie tym przedmiotem. (Płaczę.) Jezu, to potężny wybuch z purpurowym jądrem ognia i białym obłokiem dymu wokół!

Zapamiętany głos

– Oto twój dom. Oto twój dom. Wiesz, dlaczego tak się stanie.

– Wiem. (Płaczę.) Dlaczego mnie nie lubisz? Dlaczego mnie nienawidzisz?

Dr Klein:

– Kto tak powiedział?

– Ja. (Przerwa.) Dlaczego, kiedy przykładasz to coś do mojego ciała, cały świat wybucha? To właśnie chcę wiedzieć. O co tu chodzi? (Odczułem gwałtowne pytanie wewnątrz siebie – bez słów.) Nie wiem, o co chodzi. Kiedy nastąpi wybuch? Co wybuchnie? (Przelotny obraz mego synka.) Wiem już, co wybuchnie. Wiem już wszystko. (Ponowne dotknięcie.) O, zieleń. Pokazuje mi park. Widzę mojego syna. Co to ma z nim wspólnego? Czy to Antychryst? O co chodzi, do cholery?

Głos:

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Wiem, że nie chcesz. Wiem, że mnie nie skrzywdzisz. Przestań! Ach! Dom się pali! Mój dom w płomieniach? Nie, chyba nie. To brzmi dość głupio. Skąd mi się to wzięło?

– Coś wyrwało cię ze snu. Co to było? (Spontanicznie ocknąłem się z hipnozy.)

– Eksplozja. Wiedziałem; byłem na nią przygotowany. Wiedziałem nawet, kiedy nastąpi. On wyjął coś, jakby igłę i machnął mi tym przed nosem ruchem, jakim zapala się zapałkę, a to wydało odgłos podobny do wybuchu – bach! Pomyślałem wtedy, że dom się pali.

Budd Hopkins: Czy po tym wybuchu nadal znajdował się w twoim pokoju?

– Nie wiem, nic więcej nie pamiętam. Mówiąc, że dom się pali, wyskakiwałem już z łóżka.

– To był wybuch, który Anna i twój syn...

– Myślę, że oni też go słyszeli. Tak. Zrobił to za pomocą tej igły. Machnął nią w powietrzu.

– W jakim celu pokazywał ci te obrazy?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Były to przerażające wizje.

– Coś jak Warday (Nawiązanie do mojej książki o tym tytule).

– Powiem, co czuję: sądzę, że pokazał mi przyszłość naszego świata, ot co.

– A ta zieleń, o której mówiłeś?

– Tak, wielka, zielona równina. Kiedy ją ujrzałem, natychmiast się odprężyłem. Widziałem synka w tym parku. Był szczęśliwy. To właśnie zobaczyłem. Ale...

– Co cię gnębi?

– Myślę, że park symbolizuje śmierć, a on znajduje się tam, ponieważ umarł. Tak mi się wydaje.

– Dlaczego park miałby symbolizować śmierć?

– Nie wiem. Takie odniosłem wrażenie.

– A ten obraz rozlatującego się świata?

– To ciekawe. To raczej nie był koniec świata. Muszę trochę ochłonać. Ktoś mi zasugerował, że to koniec świata. To był szkarłatny ogień, wielki, szkarłatny, szalejący płomień, otoczony kłębam dymu, strzelającymi na wszystkie strony. A oni po wiedzieli mi, że to koniec naszego świata. To znaczy, Chryste, chyba mamy do czynienia ze środkami halucynogennymi.

Budd Hopkins: Bez wątpienia. Innym również zaaplikowano podobne wizje.

– Wizje, czuję teraz niewyobrażalną ulgę. Jak to dobrze wszystko sobie przypomnieć. Niełatwo z

tym żyć, ale cieszę się, że mam to za sobą. Nie muszę się już przed tym bronić.

– To zrozumiale.

– Słuchajcie, w listopadzie śniło mi się, że całe Cleveland wyleciało w powietrze. Przypomniałem sobie tamtą eksplozję, ale było to mniej niepokojące, ponieważ chodziło tylko o jedno miasto. Staralem się oswoić z tą wizją.

– Mówiłeś, że ten stwór nie miał wcale włosów.

– Tak, miał łysą głowę i chyba skośne oczy. Trudno mi to stwierdzić na pewno, gdyż wciąż przykładał mi ten przedmiot do głowy. Reagował w ten sposób na prawie każdy mój ruch.

– I wtedy pojawiały się wizje?

– Tak, właśnie wtedy widziałem te obrazy. Początkowo sądziłem, że przemawiał do mnie za pomocą tego przedmiotu, ale kiedy mnie zahipnotyzowałeś, okazało się, że to wrażenia wzrokowe. Miał taki mały przedmiot, coś w rodzaju linijki ze srebrną końcówką. Musiało to być srebro, gdyż pobłyskiwało w ciemności, panującej w pokoju. Czy kiedy mówiłeś, że w sypialni jest jasno, zapalałeś tu jakieś światła?

– Nie.

– Bo tam było ciemno. Bardzo ciemno.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż było jasno.

– Hmm... odniosłem wrażenie, że miał coś na sobie. Tak jakby... Kiedy spojrzałem... Byłem przestraszony tym, że prawdopodobnie stał już tam od pewnego czasu. Nie twierdzę, że chciał mnie zastraszyć, a chyba raczej ostrzec. Takie odniosłem wrażenie. Było to bardzo stanowcze ostrzeżenie, a może wcale nie... Może gdybym nie zaprzętał sobie głowy wojną nuklearną i żył spokojnie i szczęśliwie, zupełnie inne wizje powstałyby w moim umyśle, gdy mnie dotykał? Wiecie, o co mi chodzi?

Budd Hopkins: Widoczne są paralele z...

– Z moimi własnymi obawami. Właśnie.

– Poświęciłeś im ogromnie dużo czasu, pracując nad *Warday*.

– Może ten gość przeprowadził na mnie test psychologiczny? Czy to możliwe? To znaczy, może on faktycznie badał mnie jak hipnotyzer, używając tego srebrzystego przedmiotu tak jak ty palca. Jak sądzisz?

– To jedno z możliwych wyjaśnień.

– A może wszystko było równie dobrze halucynacją? Ale w to akurat nie wierzę.

– Gdzie dokładnie cię dotykał?

– Tutaj. (Dotknąłem punktu na czole, tuż nad nasadą nosa.) Dosadnie tutaj. I za każdym razem, gdy mnie dotknął, pojawiały się obrazy.

Budd Hopkins: Nie miałeś czasu, by zebrać myśli między tymi obrazami?

– Nie, wszystko działo się zbyt szybko.

– Czy to były wrażenia wzrokowe?

– Tak, to były wizje.

– Nie słowa?

– Absolutnie nie. To były obrazy. (Zamilkłem zbity z tropu natłokiem obrazów.)

– Whit?

– Słucham?

– Opisałeś dwie wizje. Czy były inne?

– Tak, ale pozostałe są tak pogmatwane, że nawet nie pamiętam, czego dotyczyły. Wiesz, coraz bardziej nabieram przekonania, że były to zobrazowania moich największych lęków, wydobyte z zakamarków mojego umysłu: takich jak wojna nuklearna czy śmierć syna. Jest tam coś jeszcze, być może strach tak wielki, że tracę wszelką orientację, nawet będąc pod hipnozą.

Budd Hopkins: Mówiłeś na początku, że postać, którą zauważyłeś, miała na głowie coś w rodzaju kaptura.

– Owszem, ale kiedy podeszła bliżej, ujrzałem jej twarz.

– Mówiłeś też, że ma łysą głowę.

– Tak? Naprawdę?

– Naprawdę.

– No cóż, wydawało mi się, że głowę ma nieowłosioną i dość dużą przy swoim niewielkim wzroście oraz że jej oczy są nawet bardziej skośne niż u Azjatów. I że są zupełnie... że ich spojrzenie przeszywa na wskroś. Twarz miała niemal srogi wyraz. Nie jestem pewien, ale chyba przyszło mi na myśl, że to głowa owada. Chociaż nie, przypominała raczej ludzką, pomimo wielu cech właściwych insektom. Czy wyrażam się dość jasno?

– O, tak. Czy kiedykolwiek przedtem widziałeś podobną twarz?

– Nie jestem pewien. Pamiętam jedynie, że przed laty czytałem coś na ten temat w magazynie *Look*. *The Incident* – artykuł Johna Fullera o ludziach wziętych na pokład przez kosmitów. To wszystko. Nie wiem nawet, czy były tam jakieś ilustracje.

– Jesteś pewien, że nigdy przedtem nie widziałeś podobnego wizerunku? Może w książce, którą masz?

– Nie, tam nie ma takich ilustracji. Raczej nie.

Budd Hopkins: A książka Hynka? Wydaje mi się, że jest tam rysunek. (Miał na myśli słynną książkę doktora J. Allena Hynka *The UFO Experience*, którą, jak sądził, czytałem.)

– Nie czytałem jej. Z drugiej strony, w naszej kulturze jest taki natłok informacji... Możliwe, że gdzieś to widziałem, chociaż naprawdę nie sądzę – wyglądało zbyt realistycznie. Wydaje mi się, że prawdopodobne, by był to wizerunek zobaczony gdzieś przez przypadek. Mógł być bardzo realistyczny, a mimo to mógł powstać w twojej...

– A jeśli ilustracje były zgodne z rzeczywistością? Istnieje przecież taka możliwość.

– Zgadza się. Możliwe również, że to coś niezgłębionego, co usiłujesz uchwycić poprzez nadanie mu formy czy kształtu.

– Tak, to prawdopodobne.

– Chciałbym, żebyśmy teraz wrócili do tamtej sceny i sprawdzili, czy uda nam się wydobyć na jaw pozostałe wizje.

– Dobrze.

– Zdaję sobie sprawę, że to męczące, więc jeśli pragniesz się wycofać na tym etapie...

– Nie. W ogóle nie chcę się wycofywać. Jestem zdecydowany przejść przez to od początku do końca. Dowiemy się znacznie więcej, zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że to zdarzyło się naprawdę. Byłbym wysoce nieodpowiedzialny, gdybym teraz zrezygnował.

– Obawiam się jedynie, że tempo może okazać się zbyt wysokie. Nie chcę, abyś zdobywał się na heroiczne wyczyny.

– To nie jest sprawa heroizmu. Chodzi raczej o to, że nie zamierzam wyjść z kina przed końcem seansu. (Ponownie zostałem zahipnotyzowany w ten sam sposób co poprzednio. Zajęło to niecałą minutę.)

– Chcę teraz, byś wrócił do punktu, w którym ukazują ci się różne obrazy. Tym razem zobaczysz je jak na zwolnionym filmie. Wszystko będzie się działo bardzo powoli, bardzo powoli i bardzo wyraźnie, bardzo wyraźnie. Powiedz mi, co widzisz.

– Świat zamienia się w czarną ognistą kulę. Zupełnie jak kropla benzyny wybuchająca na tle nieba. I wszystkie te... warkocze dymu tryskające na boki... jak ogromne dymne rogi. A my wszyscy jesteśmy tam – dokładnie w centrum szkarłatnego płomienia. Teraz ten przedmiot wchodzi w pole mego widzenia. To on odjął go od mojej głowy. Znów zaczynam się go bać. Teraz widzę... park. Mój chłopak siedzi tam na trawie... cały rozdygotany; do tego porusza się tak, jakby

skrępowano mu ręce. Ma niesamowite oczy. (Wydawały się całe czarne, zupełnie pozbawione białek.) Muszę tam iść, podnieść go, pomóc mu. On umrze, jeśli mu nie pomogę. (Długa przerwa.)

(W tej chwili pojawiły się bardzo deprymujące obrazy dotyczące śmierci mego ojca. Nie odzwierciedlały one faktycznych zdarzeń, lecz mój podświadomy strach przed tym, jak scena ta mogła wyglądać.)

– Znowu przytyka tę rzecz do mojej głowy. Brakuje mi ciebie, tato. O Boże. Tato, dlaczego umarłeś? (Westchnienie.) Tato, dlaczego... dlaczego? Nie zdążyłem cię dobrze poznać, tato. Boże, biedny ojciec, miał taką ciężką śmierć. Ona nie mogła nic poradzić. Widzę, jak mój ojciec umiera, a matka czuwa przy nim, patrząc na niego jak na bezradne zwierzątko. Czy nie mogła go choć pocałować, zanim umarł, czy coś w tym rodzaju? Nie wiedziałem, że tak to wyglądało. (Zobaczyłem wyraźnie, jak ojciec leży na tapczanie w naszej dawnej izdebce, z głową odrzuconą do tyłu, z trudem łapiąc powietrze. Obok, na krześle siedziała matka, zbyt przerażona, by się poruszyć, zdolna tylko patrzeć. Ta scena drastycznie różniła się od opisywanej przez matkę, której też należało oczekiwać od takiego kochającego i czulego małżeństwa, jakim stali się pod koniec życia ojca. Mimo to obraz przed moimi oczami był głęboko przejmujący i przy tym tak realistyczny, że wydawało mi się, iż w każdej chwili mogę wziąć w nim udział. Zamiast tego, ponownie wyrwałem się spod hipnozy. Jest to zjawisko bardzo rzadko spotykane, zwłaszcza przy tak głębokim transie, jaki zaaplikował mi dr Klein. Wskazywało to na niezwykle wysoki stopień zaangażowania emocjonalnego.)

– Czy to miało jakiś sens?

– A jak sam uważasz?

– Dla mnie sens był wyraźny. Wizja mojego ojca, który rzuca się na tapczanie – o, tak – i dusi się... Moja matka na krześle, wpatrzona w niego. A on umiera.

– Czy tak było rzeczywiście?

– Nie mam pojęcia. Wersja matki jest inna. Może to tylko mój lęk przed tym, co mogło się zdarzyć?

– Czy twoja matka zaniedbywała ojca?

– Skądże. Mieli wzloty i upadki, jak to w małżeństwie, ale byli ze sobą niemal przez piętnaście lat i nie uważam, by matka zaniedbywała ojca przed śmiercią.

Budd Hopkins: Więc uważasz, że te wizje były wytworem twojej wyobraźni?

– To moje myśli, zdecydowanie. To znaczy, no do diabła, nie był to przecież jego ojciec! Wyciągnął to ze mnie, po prostu wyciągnął mi to z głowy. Ujawnił takie rzeczy jak mój strach..., może oni są podejrzliwi. Przede wszystkim, ujrawszy tę scenę, poczułem żal, że nigdy nie byłem blisko z ojcem. Trzymał wszystkich na dystans. Był ojcem kochającym, lecz powściągliwym. Wszyscy Teksańczycy byli zawsze bardzo skryci. Chyba czuję się z tego powodu nieco winny. Wicie, nie bardzo wiem, co o tym sądzić. Wyobrażacie sobie? Po prostu nie wiem, co o tym sądzić.

– Ja też nie, ale brzmi to jakby...

– Zupełnie jakby ktoś...

– Ktoś czytał w twoich myślach...

– To takie zaskakujące, nigdy w życiu bym się tego po sobie nie spodziewał. Najdziwniejsze, że niby po co ktoś z latającego talerza miałby zadawać sobie trud wywoływania u mnie takich wrażeń? Jakie motywy mogły nim kierować?

Budd Hopkins: Cóż, tego nie możemy stwierdzić od razu. Wszystko to tylko spekulacje.

– Może chcieli sprawdzić moje odruchy? Na to wygląda. Chyba że doszedłem do takiego punktu w moim życiu, kiedy muszę stawiać czoła sprawom trudnym i przerażającym, czynię to właśnie w ten sposób, a małe ludziki w sypialni to tylko wytwór umysłu. Ale, słuchajcie, mówię wam – to nieprawda. Ten człowieczek tam był. Stał przy moim łóżku. Widziałem go tak, jak was teraz widzę.

– Opowiadając o epizodzie z dwudziestego szóstego grudnia, wtedy gdy twoja dusza

wyparowała z ciała, kiedy rozplynęło się twoje ego, powiedziałaś, że gdyby zapytali cię o największy sekret, wyjawiał byś im go natychmiast, bez wahania.

– Bez wahania, zgadza się.

– Zatem coś podejrzewałaś. Wiedziałaś, że oto twoje najgłębsze tajemnice wychodzą na jaw.

– Oczywiście, zdawałem sobie z tego sprawę, bowiem wspomnienia pozostały nietknięte i najzwyczajniej pojawiły się w mojej głowie. Mój Boże, gdybyś zapytał mnie na jawie, odpowiedziałbym, że nie mam zielonego pojęcia, co zaszło przez tamtą godzinę, jeżeli w ogóle trwało to godzinę. Wydawało mi się, że zasnąłem zaraz po zauważeniu blasku na suficie.

– A eksplozja nastąpiła zaraz potem?

– On wyciągnął niewielkich rozmiarów przedmiot, coś w rodzaju pałeczki czy igły, na czubku którego przy najlżejszym poruszeniu przeskakiwała iskra. A on wykonał taki ruch (Gwałtowne pociągnięcie ramieniem, jak przy uderzeniu) i wtedy huknęło: bum! i snop iskier obsypał mi twarz.

Budd Hopkins: Kiedy spytałem Annie Gottlieb, w jaki sposób, jej zdaniem, można wywołać taki odgłos, powiedziała: „Gdyby prasnąć wielkimi, ciężkimi drzwiami o ścianę, trach – coś w tym rodzaju”.

– Dla mnie brzmiało to raczej jak..., nie mogę powiedzieć, że przekłuty balon, bo to zbyt niewinny dźwięk. W tamtym odgłosie było coś ciężkiego, jakby towarzyszyło temu wyzwolenie ogromnej energii.

Budd Hopkins: Annie Gottlieb twierdziła, że pobrzmiwało tam kłaśnięcie.

– Odgłos był bardziej głuchy niż ostry, przy tym bardzo głośny, jakby kłaśnięcie, ale o znacznie głębszym brzmieniu.

Budd Hopkins: Annie powiedziała to samo. Poprosiliśmy cztery różne osoby o opisanie tego wybuchu.

– Grzmot?

– Nie, to nie przypominało grzmotu. To nie był grzmot.

– Może huk?

– No, nie, dlatego, że nie trwał długo. To było jak trzaśnięcie pioruna urwane raptownie w połowie, taki głęboki ton. Ale raczej nie. „Trzask” jest tu chyba najbardziej na miejscu – tak jak głęboki trzask piorunu pozbawiony pogłosu. Po prostu pojedynczy odgłos, ale pobrzmiwał w nim głębszy ton. Było w nim coś elektrycznego. Jeśli by wywołać mikroskopijne wyładowanie komuś przed nosem, w jego uszach powstałby taki właśnie odgłos. Dokładnie tak to wyglądało.

– Sądzę, że prawie skończyliśmy.

– To dobrze. Nie chciałbym teraz przystępować do wypadków z dwudziestego szóstego grudnia.

– Może to jeszcze nie koniec wydarzeń z października?

– Ale już po strachu i całym tym zamieszaniu. Myślę, że to nie są zaburzenia psychiczne. Czuję, że masz rację. Wiesz, co muszę teraz zrobić? Muszę teraz zanalizować własne odczucia, ponieważ dłużej już nie mogę zaprzeczać istnieniu tych stworzeń. Muszę też zrozumieć, jakie powinny być moje odczucia względem istot, które przychodzą do mego domu, by czynić coś tak niesamowitego i produktywnego zarazem.

– W jakim sensie produktywnego?

– W dwojakim. Po pierwsze, sporo się o mnie dowiedzieli, jeżeli w ogóle z jakichś przyczyn się mną interesują. Dzisiejszego popołudnia ja sam dowiedziałem się o sobie wielu rzeczy, naprawdę wielu. Nurtowały mnie problemy, o których nie miałem pojęcia. Jak śmierć mego ojca.

– Inne lęki...

– Tak, strach przed wojną oczywiście... i przed śmiercią syna. Żaden dobry ojciec nie potrafi spokojnie patrzeć, jak jego synowi za chwilę stanie się krzywda. Ale pozostały materiał jest zaskakujący, również przez swoją jaskrawość. Bardzo kochałem rodziców. Nadal Kocham matkę i pragnę wierzyć, że ostatni akt był tak pełen miłości i czułości, jak to zawsze opisywała.

– Nie jest to zatem obraz rzeczowych zdarzeń?

– Bynajmniej. Nie mam powodu, by tak sądzić. Może chodzi tu o coś znacznie bardziej subtelny? Może stworzono ten obraz, by sprawdzić moją reakcję na przenikający do głębi strach, a może tylko ktoś chciał się dowiedzieć, jakim człowiekiem jestem.

Seans zakończyliśmy ustaleniem terminu ponownego spotkania w nadchodzącym tygodniu.

Następnego wieczora (w sobotę, drugiego marca), jak co tydzień, zadzwoniłem do matki w San Antonio. Oczywiście nie wspominałem jej o tym, co mnie spotkało. Nie przychodziło mi do głowy, w jaki sposób miałbym wyjaśnić tę sprawę siedemdziesięcioletniej kobiecie, na dodatek przez telefon.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy o wspólnej znajomej, która leżała w szpitalu, po czym nagle, bez żadnego wstępu, matka zaczęła opisywać śmierć ojca. Nie prosiłem o to, nawet nie miałem nadziei tego usłyszeć. Przez ostatnie dziesięć lat słyszałem opowieść jedynie raz, w dzień po jego śmierci. Opowiedziała teraz, jak siedziała tuż przy tapczanie, na którym spoczywał. Zaledwie kilka dni wcześniej lekarz oznajmił jej, że serce w każdej chwili może odmówić posłuszeństwa. Pomimo tego lata wspólnie spędzone sprawiły, że ciągle nie dopuszczała do siebie myśli o jego śmierci.

W ostatnich latach małżeństwa bardzo zbliżyli się do siebie i potrafili siedzieć godzinami, trzymając się za ręce, połączeni niewidzialną nicią porozumienia, którą Bóg błogosławi pary związane ze sobą od lat. Nie potrafię sobie wyobrazić zakończenia ich związku, w którym zabrakłoby tej subtelnej atmosfery miłości i zrozumienia.

Matka ponownie opowiedziała mi, jak w pewnej chwili ojciec wymówił jej imię, a ona podeszła do niego mówiąc:

– Karl? Karl, obudź się.

A on leżał już cichy i nieruchomy. Było po wszystkim.

Jak to się stało, że po tylu latach usłyszałem tę historię w najbardziej pożądanym momencie? Przerazające wspomnienia tamtej nocy w połączeniu z relacją matki, zdaną jej pewnym, spokojnym głosem, ujawniły moje najskrytsze obawy i wyrzuty sumienia. Obwinałem siebie za brak serdeczności w stosunkach z ojcem. On przezwyciężał swoją wrodzoną skrytość, ja zaś, pomimo iż go kochałem, odsunąłem się od niego. Gdy dorosłem, pozostawiłem go na pastwę starości i śmierci, pozbawiając go krzepiącej obecności jego najstarszego syna. Ale równocześnie musiałem przecież ułożyć sobie własne życie. Pojęcie sumienia, oprócz sensu moralnego, zawsze miało dla mnie znaczenie aktywnego poznania własnych prawd wewnętrznych oraz pogodzenia się z ogromem poświęceń ze strony innych dla własnego rozwoju. Nadrzędnym jest tu poświęcenie rodziców wobec dzieci. Może to zrodzić poczucie winy – jak w moim przypadku – albo złagodzić wyrzuty poprzez zaakceptowanie tego faktu i stworzenie zeń podwalin własnej dojrzałości. Tamtej nocy dotknięcie srebrnej różdżki w jednej sekundzie otworzyło przede mną niespotykane możliwości wzbogacenia mego życia.

Jeśli istotnie był to Przybysz z kosmosu, udzielający mi błogosławieństwa z innego wymiaru, dlaczego ukryto je przede mną za pomocą amnezji, tak że nie miałem do niego dostępu? Może moje doznania były jedynie ubocznym efektem pewnego rodzaju badań? A może właśnie od początku wiadomo było, że w końcu posiadam ten bezcenny skarb? Może cała ta operacja, z najdrobniejszymi szczegółami została starannie zaplanowana przez wnikliwe umysły jako stadium powolnego osvajania ludzkości z ich obecnością?

Prawda mogła być też jeszcze inna. Być może hipnoza ujawniła nie tylko prawdopodobieństwo spotkania z kosmitami, lecz również działanie ukrytego potencjału o niespotykanych właściwościach terapeutycznych, który, pod umiejętną kontrolą, mógł się okazać niezwykle cenny.

Podczas gdy użycie różdżki w celu wniknięcia w istotę rzeczy ma długą tradycję w średniowiecznej literaturze baśniowej, a w księdze Apokalipsy znajdujemy słowa o aniele, który uderzy wybranych trzy razy między oczy, zadając im niewysłowione cierpienia, we współczesnych relacjach ze spotkań z kosmitami można odnaleźć zaledwie jedną niejasną wzmiankę na ten temat.

Dla kobiety, która w latach pięćdziesiątych zetknęła się z kosmitą, zakończyło się to obłądem. W napadach choroby wbijała ona paznokcie w środek czoła – dokładnie w to miejsce, gdzie dotknięto mnie różdżką – kalecząc się do tego stopnia, że ciało miała rozdrapane nieomal do kości.

Łatwo można wysnuć stąd wniosek, że przedstawiony powyżej materiał jest dziełem umysłu wykorzystującego jakieś nocne zaburzenia w celu uzyskania wglądu w stany lękowe, które chciałby zgłębić. Podstawową trudnością, jaka wyłania się z tego założenia, jest fakt, iż cały ten proces został na kilka miesięcy objęty amnezją i pozostawał niedostępny dla umysłu. Dodatkowo należało wytłumaczyć przeżycia świadków oraz zjawisko „grzmotu poprzedzającego błyskawicę”.

Najprościej byłoby zignorować całą sprawę, tłumacząc ją jako procesy psychologiczne. Byłoby to jednak błędne, przynajmniej do czasu znalezienia zadowalającego i szczegółowego wyjaśnienia ubocznych efektów fizycznych.

Bez wątpienia przeżyłem coś strasznego. Być może byli w to mieszań Przybysze z innych światów, a może nawet z niezbadanego królestwa ludzkiej podświadomości, dla mnie jednak najwyższy jest aspekt ludzki. Jestem bowiem człowiekiem i takie też są moje reakcje. Nawet założywszy obecność jakichś nieznanych istot, kluczem do zrozumienia znaczenia, jakie ta sprawa miała dla mnie, mogło być wyłącznie skoncentrowanie się na ludzkiej stronie tego spotkania. Gdyby kosmici mieli okazać się tylko szumem wiatru w gałęziach drzew lub księżycowym blaskiem we mgle, nie zmieniłoby to faktu, że przybliżyłem się do zrozumienia, kim jestem we własnych oczach.

Wydarzenia z 26 grudnia 1985

Data seansu: 5 marca 1986

Pacjent: Whitley Strieber

Psychiatra: Dr med. Donald Klein

Kilka dni później spotkaliśmy się ponownie. Przez ten czas wynajdywałem sobie różne zajęcia, choć było mi bardzo ciężko. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałem się od wypożyczenia z biblioteki jednego tuzina książek na temat bliskich spotkań, a drugiego na temat potencjalnych psychologiczno-socjologicznych przyczyn podobnych zjawisk. Umówiliśmy się jednak z doktorem Kleinem i Buddem Hopkinsem, że do czasu zakończenia terapii powinienem wiedzieć w tej kwestii jak najmniej.

Przed oczami wciąż majaczyła mi twarz zauważona w przelocie: czarne, błyszczące oczy, przeszywające mnie na wskroś, srebrzysta różdżka migocząca w powietrzu.

Trudno mi było uwierzyć, że to nie jest wytwór mojej wyobraźni. Byłem wprawdzie przygotowany na możliwość spotkania kosmitów na naszej planecie, lecz przecież nie spodziewałem się znaleźć jednego z nich u wezłowania mego łóżka, uprawiającego psychoterapię za pomocą czarodziejskiej różdżki – z pewnością nie liczyłem na spotkanie do tego stopnia osobiste. Mogłoby to choć trochę przebiegać jednak według naszych wyobrażeń.

Należy jednak zdać sobie sprawę z tego, że wkraczamy tu na głębokie wody. Jeżeli faktycznie to Przybysze z kosmosu, to z pewnością zdążyli nas dobrze poznać, może nawet lepiej niż my sami siebie. Przybysze mogą też okazać się inną formą istnienia, pozostającą jeszcze poza zasięgiem naszego pojmowania.

Bez względu na stopień zaawansowania naszej wiedzy na ten temat, relacje dotyczące latających talerzy oraz niewyjaśnionych uprowadzeń wskazują bez wątpienia na to, że dzieje się tu coś niesamowitego. Możliwe, że to jedynie osobliwy rodzaj hysterii, lecz w takim razie okazałby się on niesłychanie złożony – zaliczający do objawów UFO potężne światła pośród nocy, odgłosy małych

stóp i naruszanie najintymniejszej sfery duszy.

Budd Hopkins ostrzegł mnie, że pierwsze seanse są w stanie wywołać trwałe urazy. Wspomnienia, które wychodzą na jaw podczas hipnozy, pozostawały utajone nie bez powodu – niektóre z nich mogą zjeżyć włos na głowie. Podczas ich ujawniania, umysł ludzki poddawany jest doznaniom, których udało mu się dotychczas uniknąć. Mimo iż widziana przeze mnie różdżka to element całkiem nowy, dzierżąca ją postać została już wielokrotnie opisana.

Właśnie podczas owego tygodnia pomiędzy seansami zrodził się we mnie związek emocjonalny z moimi wspomnieniami. Widziałem przecież żywą istotę. W grudniu widziałem ich jeszcze więcej. Pamiętałem jak pachną, czułem, jak mnie niosą, widziałem wewnątrz, w którym przebywali.

Miotają mną sprzeczne i złożone emocje – od głębokich zaburzeń równowagi wewnętrznej do uczucia, które potrafię jedynie określić jako pragnienie zgody. Pragnąłem porozumienia na własnych warunkach, znalezienia tego wszystkiego, co nas łączy.

Nigdy przedtem nie czułem się taki maluczki, taki bezbronny. Prześladowały mnie słowa mojego synka: „...grupa małych doktorów, która wyniosła mnie na werandę...”. Nic nie może się równać ze strachem rodziców o własne dziecko.

Po powrocie do gabinetu doktora Kleina określiłem swoje samopoczucie jako „niestabilne”. On wtedy zapytał:

- Czy to wszystko?
- Nie – przyznałem. – Jestem przerażony.
- To całkiem zrozumiałe.

Gdy tylko wygodnie usadowiłem się na krześle, rozpoczęliśmy seans dotyczący 26 grudnia. Obecność Budda Hopkinsa i jego prawo do zadawania pytań podlegały tym samym zasadom, co poprzednio.

– Chcę, żebyś cofnął się myślami do dnia 26 grudnia. Wracamy do 26 grudnia. Jesz kolację. Będiesz teraz ze mną rozmawiał, ale pozostaniesz uspiiony, pogrążony w głębokim śnie. Jesz teraz kolację. Gdzie się znajdujesz?

- W domku na wsi.
- Powiedz mi, z kim jesteś?
- Z Anną i synem.
- Jak się czujesz?
- Całkiem przyjemnie.
- Co robicie?
- Jemy kolację.
- Co macie na kolację?

– Gęś na zimno. To odgrzewana kolacja... to, co zostało ze świątecznego stołu. Sos żurawinowy. Słodkie ziemniaki.

- Jak się czujesz?
- Wyśmienicie. Jestem bardzo zadowolony.
- Czy przez ostatnie tygodnie czułeś się równie dobrze?
- (Długie milczenie.) Do świąt było mi ciężko.
- Co to znaczy, że było ci ciężko?

– (Długa przerwa.) Byłem... wystraszony. Nieszczęśliwy. Czułem się, jakby cały świat zwałił mi się na głowę. Dręczyła mnie wizja ludzi ukrywających się w szafie. Każdej nocy obchodziłem dom. Sprawdzałem.

- Szukałeś czegoś konkretnego?
- Nie, sprawdzałem cały dom.
- Czy wiedziałeś, dlaczego to robisz?

- Na wypadek gdyby ktoś ukrywał się w domu.
- Kto mógłby się ukrywać?
- Oni. Ludzie. Tamci Ludzie.
- Czy wiedziałeś już o nich wtedy?
- Tak.
- Co o nich wiedziałeś?
- Że mogą znajdować się gdzieś w domu.
- Czy mówiłeś o tym komuś?
- Nie. Nie miałem pewności.
- Czy twoja żona nigdy nie zapytała cię, czego szukasz w szafie?
- Nie. Ona nigdy przy tym nie była.
- Ukrywałeś to przed nią.
- Tak. Przed chłopcem też. Miałem broń.
- Jaką broń?
- Krótki karabin.
- Kiedy go kupiłeś?
- W październiku.
- Którego października?
- Poszliśmy do sklepu z bronią. To było około... liście już opadały... Nie wiem, sądzę, że to było... w październiku..., w połowie października... poszedłem i kupiłem go.
- Do czego była ci potrzebna broń?
- Do obrony.
- Przed czym?
- Nie jestem pewien. Czasami mam uczucie, że... w domu ukrywają się ludzie.
- Przeniosę cię teraz w czasie do nocy dwudziestego szóstego. Idziesz na górę, do sypialni.
- Tak.
- Idziesz do łóżka. Chcę, żebyś relacjonował wszystko, co się wokół dzieje. Zachowaj spokój i opowiadaj.

– Kładziemy się. Jesteśmy już w łóżku. Czytam naprawdę dobrą książkę. Całuję żonę na dobranoc. Słyszę, jak płatki śniegu delikatnie osiadają na dachu domu. Gaszę światło. Staram się zasnąć. Czy włączyłem alarm? Hmm. Zastanawiam się. Przez chwilę słucham radia, grają Our Front Porch, jazz. Późno już, wyłączam radio i pokój ogarnia cisza. Zapadam w sen. Zasypiam. (Długa przerwa.) Z całą pewnością..., zdaje mi się, że... ich słyszę. Słyszę ich. Ktoś wchodzi drzwiami – wygląda, jakby miał na sobie... tarczę. Do diabła! Naprawdę go widzę! Wygląda, jakby nosił na sobie jakieś płyty ochronne. Na piersiach ma taką dużą niebieską kartę – prostokątny kształt w samym centrum korpusu, a na głowie... okrągły kapelusz. Na twarzy maska z dwoma otworami na oczy i jednym okrągłym pośrodku. Porusza się niezwykle szybko. Pokazuje..., stoi przy moim łóżku i pokazuje na drzwi. A tam jest ich do diabła i trochę! Wpadają do pokoju. Mówię wam, jest ich całe mnóstwo! Nie mają na sobie tych płyt, lecz niebieskie kombinezony. Widzę ich głowy – są zupełnie pozbawione włosów. Czas wstawać. Podnoszę się. Boję się. Boję się jak cholera. Zdejmuję piżamę. Boję się spojrzeć na Annę. Muszę się z nią pożegnać. Oni stoją w dwóch rzędach. Wychodzę. Przenoszą mnie. Przenoszą mnie. Przenoszą mnie. Czyżby podawali mnie sobie z rąk do rąk? Takie małe ludziki? Czuję, że mógłbym każdego z nich podnieść jedną ręką. Znalazłem się na werandzie przed domem, gdzie czekały przygotowane dla mnie czarne, żelazne nosze.

Nie podoba mi się ten przedmiot. To coś w rodzaju noszy czy łóżka, ale czekają z tym na mnie. Czuję mdłości. Mdłości! Nie, nie. Ja tylko na to patrzę. Zawsze tak jest, gdy nie jesteś pewny, czy

to sen, ale tym razem to z pewnością dzieje się na jawie. Weszli dwoma długimi rzędami prosto przez drzwi. Pokój jest ich pełen. To znaczy, chcę powiedzieć, że było ich mnóstwo. Cała zgraja.

Nie wiem, gdzie się podzieli w tej chwili. Leżę na noszach, mam zamęt w głowie. Pamiętam, że wydawało mi się, że siedzę na krześle elektrycznym. Odrywani się od ziemi i wiem już na pewno, że to sen, bo szybuję sobie w powietrzu. Unoszę się nad ziemią – to może być tylko sen. Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć ten dom. Chciałbym Jeszcze zobaczyć ten dom. (Łkanie, westchnienia.)

Gdzie podział się śnieg? Jesteśmy gdzieś w lesie, diabelnie głęboko. Wiesz, czegoś tu nie rozumiem. Oddaliłem się tak bardzo od domu. Czuję na ramieniu ucisk jakichś pnączy. (Długa przerwa.) Usiłowałem wsłuchać się w głos jednego z nich, który coś mi wyjaśniał. Słowa uleciały jednak z mojej pamięci. Przestraszyłem się. Otworzyłem oczy.

– Co cię zbudziło?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Nie jestem pewien, czy już się obudziłem. Jak sądzisz? Obraz pokoju był niewyraźny. Czuję się zupełnie odprężony.

– Trudno coś powiedzieć w tej chwili. Spróbujmy może wrócić do tego samego momentu. Uspokój się, odpręż.

– Z początku rozumiałem wszystko, dopiero potem...

– Zwolnimy trochę tempo. Przejdziemy przez to jeszcze raz, bardzo powoli.

– W porządku.

– Spokojnie. Zwalniamy tempo. Wracamy do tamtego momentu. Czy unosisz się w powietrzu?

– Nie, to oni mnie niosą, a przynajmniej krzątają się przy mnie. Zabawne, że leżę na plecach i oglądam niebo, widzę chmury. Oni są wszędzie dokoła. Jestem rozebrany, ale nie czuję chłodu... Widzę niebo. To, na czym leżę, wygląda jak... ma zagłębienia na ramiona... nie wygląda mi to na łóżko. Ma zagłębienia na moje stopy i głowę. Leżę i spoglądam na niebo, dostrzegam coś... jakby chmury. A oni... całe ich mrowie... otaczają mnie ze wszystkich stron. Mam uczucie, jakbym... a raczej niewiele czuję. Czuję się odrętwiały. To niemal zabawne. Całkiem niezłe. Nawet przyjemnie. Jakby znieczulenie. Następnie pamiętam, że gdzieś siedzę. Nadal coś mnie krępuje, ale teraz siedzę pośród drzew. To zupełnie tak, jakby przybyła mi nowa część ciała. Jak... Jestem w tym umieszczony i gdziekolwiek się ruszę, nie mogę się od tego uwolnić. W tej chwili nigdzie się nie wybieram – to jedno jest pewne – bo mnie związano.

Siedzimy w małym... siedzimy w zagłębieniu. To jakaś jama czy rozpadlina. (Demonstruję pozycję półleżącą, z rękami złożonymi na oparciu niewidzialnego fotela.) Przedtem myślałem, że ktoś koło mnie siedzi, ale teraz nie mogę sobie tego przypomnieć. A może ich już tam nie ma. (Przerwa.) Ci ludzie mnie przerażają. Okropnie, ponieważ... wuh! Prosto w niebo! Wystrzeliłem prosto w niebo! Spietrałem się jak cholera. Nagle ujrzałem pod sobą drzewa! Znów podłogę pod stopami.

– Uniosłeś się w powietrze?

– Tak, po prostu wystrzeliłem ponad korony drzew. W tym krześle, w tym urządzeniu. Po prostu wuh! ponad wierzchołki drzew. (Inni świadkowie również opisywali podobną podróż powietrzną. Ja jednak nie zdołałem dostrzec, w jakim obiekcie się znalazłem.)

– Wysoko się unosiłeś?

– Jeszcze jak! Wystrzeliłem w powietrze. Pionowo w górę. To było jakieś trzydzieści metrów, może nawet więcej. Ponad korony drzew – ot tak: wuh! A potem pod stopami poczułem podłogę. Wiem, że to nie sen. Mam tylko nadzieję, że zobaczą jeszcze kiedyś mój dom. Ulżyło mi, kiedy uwolnili mnie od tego przyrządu. Siedzę teraz na ławeczce w niewielkim pomieszczeniu. (Wciągam powietrze w nozdrza.) Dziwnie pachnie. Czuć tutaj serem. Szczerze powiedziawszy, trochę to nieprzyjemne. Na pewno nie jest tu zbyt czysto. Chwileczkę, coś do mnie mówią. Ktoś chce mi coś powiedzieć. Podchodzi i staje przede mną. To ona. Ma na sobie brązowe... ubranie. Wygląda jak mała figurka uszyta ze skóry, czy coś w tym rodzaju. Widzę wyraźnie jej głowę i... i... wiecie co, robi mi się niedobrze, wiecie, z niepewności, do czego to wszystko zmierza. (Niewielkie

pomieszczenie, przeważnie o kolistym kształcie, jest niemal powszechnym zjawiskiem. Równie powszechny jest opis skóry Przybyszów jako brązowego kombinezonu. Nawiasem mówiąc, to stworzenie w niczym nie przypominało człowieka. Jego wygląd odpowiadał opisom jednego z typów kosmitów, zwłaszcza jeżeli chodzi o kształt oczu.)

– Wiesz co, wydaje mi się, że jesteś stara. Mam rację?

Ona odpowiada mi: Tak, jestem stara.

Patrzy... patrzy na mnie. (Odrzuca głowę do tyłu, a potem na boki, jak gdyby ktoś trzymał ją za podbródek i uważnie oglądał.) Patrzy z bliska. Ma w ręku pudełko zapalek. Nie, to nie zapalki. (Pamiętam jej głęboki głos przypominający basso profundo. Oznajmiła mi, że przeprowadzą na mnie jakąś operację.)

– Uuu, o co chodzi? Co to znaczy – operację? Jaką operację? Jaką operację? – Znów zaczynam się bać. Całkiem poważnie się boję, bo nic nie mogę uczynić. Nawet nie chcę na to patrzeć.

– Co mamy zrobić, żebyś przestał krzyczeć? Co mamy zrobić?

– Chcę was powąchać. – Ona przysuwa swój policzek do mojej twarzy. Mój Boże, oni naprawdę tu są. Zrozumcie, oni tu są.

– Nie pozwalam wam się operować.

– Nie mamy zamiaru cię skrzywdzić.

– Nie pozwalam na operację. Nie macie najmniejszego prawa.

– Owszem, mamy.

Potem nagle stało się – bam! – i po wszystkim. Spodziewałem się, że pokroją mi głowę na kawałki, a tu tylko tyle.

Dr Klein: Co się stało?

– Nic, po prostu coś trzasnęło tuż za mną – to wszystko. Nawet niezbyt głośno – zwykły trzask. A ona siedziała cały czas naprzeciwko, wpatrując się we mnie. Wyczuwam poruszenie wokół siebie. (Czułem ich obecność, ale patrzyłem tylko na nią. Właśnie uniosła coś w ręce.) Cholera, czy to twój penis? Myślałem, że jesteś kobietą! (Wydaje głęboki, stłumiony pomruk.) Wpycha to we mnie! Wpycha to we mnie! Zaraz porzygam się prosto na nich. (Przerwa.) (Próbują rozewrzeć moje szczęki.)

– Co chcecie zrobić? Dlaczego mam otworzyć usta?

Usiłują włożyć mi coś do ust. To się dzieje naprawdę. Naprawdę! Podstawiła mi swój policzek pod nos, więc istnieje naprawdę! To niewiarygodne. Ten przedmiot nadal znajduje się w moim ciele. Cieszyłbym się, gdyby już go wyciągnęli. (Przerwa. Głęboki oddech.) Zdołałem się trochę rozejrzeć. Jest tu ławka, na brzegu której leżą stare ubrania i drzwi, okrągłe drzwi – zamknięte. Mają małe czarne znaki w samym centrum. Są zamknięte. (Usłyszałem niewyraźny szept.) Co ona mówi, do cholery?

Głos: Zostałeś wybrany.

– Nie wierzę w to ani przez chwilę. To śmieszne. (Zapytali, skąd mam pewność, że to śmieszne.)

– Skąd mam pewność? To śmieszne i koniec! Powtórzcie tę śpiewkę komu innemu. Ja chcę tylko wrócić do domu.

Dr Klein: Co takiego powiedzieli?

– Że zostałem wybrany. Od razu zorientowałem się, że to gówna prawda. To zabrzmiało prawie jak żart. Ona zaprzecza teraz: – O nie, o nie. (Naśladuję melodyjną frazę.) No, wiesz – próbują mnie nabrać. A ja chcę do domu.

– A jeśli nie pozwolimy ci wrócić do domu?

– Nie jestem pewien, czy tak właśnie powiedziała. Wydaje mi się, że tak to brzmiało. (Ponownie pokazano mi drzwi, które z niewiadomego powodu przeraziły mnie. Zapytali mnie, czy mają je otworzyć.)

– Nie otwierajcie ich! Moje miejsce jest przy mamie, żonie... przy moim synku. Tam jest moje

miejsce. (Szlocham.) Nie pasuję tutaj. Nie mam pojęcia, skąd się tu wziąłem. Do diabła, co takiego uczyniłem, że przytrafiają mi się takie rzeczy? (Zapytała mnie, czy nie mogę być twardszy. Nie zrozumiałem, o co jej chodziło.) Myślę, że tak.

Głos: Czy możesz być twardszy?

– Twardszy? O Boże. Nie sądziłem, że jestem aż tak twardy. Nie, przynajmniej dopóki tu jesteś, nie mogę być twardszy.

Głos: Kim mam dla ciebie być?

– Kim masz być? Masz być złym snem, ot co.

Głos: Nie mogę być snem.

– Wiem o tym. Właśnie skaleczyłaś mnie w palec. O, właśnie tak – raz, dwa i po wszystkim. Nawet nie bolało. Nic nie bolało. Nie przeraża mnie wcale ta usuwająca się spod nóg podłoga. Toczę się jak piłka. Zupełnie jak film puszczonej od tyłu. To tak jakbyś był zupełnie wolny i mógł latać, z tym, że poruszasz się po ustalonym torze. O, rety.

(W niespełna minutę znalazłem się z powrotem w pokoju. Nie pamiętałem nawet, skąd właśnie wróciłem.) Siedzę na tapczanie. Wydaje mi się, że zamierzałem rozpalić w kominku, z tym, że nie mam na sobie kompletnie nic. Zimno mi, jestem zmęczony. Idę na górę. Stoją tam dwie postaci. Boję się, bo nie spodziewałem się ich tam ujrzeć. Nie pamiętam, żeby tam były. Idę do łazienki umyć zęby. Nie mogę się uwolnić od widoku tamtej twarzy. Oczywiście, cieszę się, że znów jestem w domu. Teraz pragnę tylko położyć się do łóżka. Dostrzegam swoją niebieską piżamę, wkładam ją, zawiązuję, zapinam, wskakuję do łóżka. Dotykam Anny i czuję jej ciepło. Boże, chciałbym żyć w więzieniu. (Siedzę z zamkniętymi oczami i mięśniami zwiotczalymi jak we śnie.)

– Odpręż się. Chcę, żebyś ponownie zobaczył tę twarz, tym razem bardzo wyraźnie. Masz zobaczyć jej twarz.

– Widzę ją.

– Dlaczego twierdzisz, że to kobieta?

– Nie wiem, tak mi się wydaje. Jest stara. Jest łysa... ma wielką głowę i wyłupiaste oczy... jej skóra ma brązowy odcień, ale nie taki jak u Murzynów – raczej jak wyprawiona skóra zwierzęca. Żółto-brązowy odcień. Kiedy otwiera usta, jej wargi... w zasadzie nie ma warg, ale kiedy otwiera usta, one opadają. Nigdy nie patrzyłem na nią, gdy do mnie mówiła. Tak naprawdę to nawet nie wiem, kim ona jest. Czy to jakiś owad, czy coś innego? Nie wiem też, czy to kobieta, czy nie. (Odzywa się wysokim, jasnym głosem.) Tak właśnie mówi. Ma coś w rodzaju... (Normalny ton, jakby zwracał się do stworzenia.) Wiesz co, nie dam się nabrać. Możesz mi pokazywać do woli te twoje insygnia, a i tak nie dam się nabrać.

– Co miała na myśli pytając, czy możesz być twardszy?

– Podniósł mi się do połowy. Penis. A ona pyta: – Czy możesz jeszcze stwardnieć? A prawda jest taka, że nie mogłem. Nawet nie zdawałem sobie sprawy z reakcji własnego ciała. Dopóki stała przy mnie, nie było żadnych szans.

– Czy była to reakcja naturalna, czy też wzbudzona?

– Nie mam pojęcia. Raczej nie. Ale wiesz, ten przedmiot tkwił w moim ciele. Nawet nie zauważyłem, kiedy go wyjęli. Miałem wrażenie, że to żywe stworzenie. Duży, szary przedmiot z małym zasobnikiem na końcu i niewielkim oczkiem wielkości paznokcia. Wprowadzili go w głąb mego ciała... pokazali mi go potem, więc musieli go wyciągnąć, ale nie pamiętam, kiedy to zrobili. To się czasami zdarza – coś umknie twojej uwadze pośród innych zdarzeń. (Przerwa.) Mówią teraz do mnie, ale nic nie słyszę. (Długa przerwa. Westchnienie.)

– Wspomniałeś o tym, że nazwali cię wybranym.

– Zgadza się.

– Jak na to zareagowałeś?

– Powiedziałem dokładnie to, co przed chwilą. Mówili mi: „Zostałeś wybrany” a to gówn

prawda. Zupełnie jakby chcieli się ze mną podrażnić.

– Czy powiedzieli, do czego zostałeś wybrany?

– Nie. Oni ich mają wielu, wierzcie mi. Widziałem ich już kiedyś. Wszyscy tam leżeli.

– Jacy wszyscy?

– Ludzie. Był ich cały rząd. Ale to było dawno. Nie wiedzieli, gdzie się znajdują, ani co robią. Siedziałem w łóżku i...

– Ile lat miałeś wtedy?

– Dwanaście.

– Gdzie to było?

– Siedziałem w łóżku. Pozostali spali głęboko. Było tam kilkanaście łóżek. (Oznaki strapienia, głębokie westchnienie rezygnacji.) Cieszę się, że nie muszę spać. Siedzę na krześle... coś szarego majaczy przede mną. Co to jest? Ma jakieś czerwone plamy. Jestem znużony. Jestem chory.

– Czy chcesz wracać do domu?

– Nie zależy mi na tym, by kiedykolwiek zobaczyć znów dom.

– Musisz wrócić do domu.

– Kim są ci ludzie?

– To żołnierze.

– Skąd się tu wzięli?

– Byli samotni.

– Co z nimi robicie?

– Przyglądamy się im i odsyłamy do domu.

– Co z tego macie?

– Co z tego mamy... Co z tego mamy... No, cóż...

– Dlaczego tak okropnie wyglądasz?

– To nie moja wina.

– Gdzie jest moja siostra?

– Jest tam, w korytarzu.

– Patricia? E-p? E-p nie wygląda najlepiej.

– E-p wygląda gorzej niż trup.

– Nic jej nie jest.

(Wtedy właśnie dostrzegłem swego ojca. Stał nie opodal, najwyraźniej zupełnie przytomny.)

– Tatusiu! Boję się. Oni... Tatusiu, nie bądź taki przerażony. Tato, nie bój się tak! Tato, nie bój się! Nie bój się. Och, tato. Już dobrze. Tato, już wszystko w porządku.

Ojciec odpowiada mi: Whitty, to nie w porządku! Tu nic nie jest w porządku!

– Wiem, tato.

– Mój Boże, co to jest? – pyta ojciec.

– Nie mam pojęcia, tato. Skąd się tu wzięłeś? (Westchnienie, stłumiony krzyk, powoli zamierający. Ciężki oddech. Cisza. Budzę się.)

– Jechaliśmy pociągiem. Jechaliśmy pociągiem? (Długa przerwa.) Nie jestem już zahipnotyzowany.

– Czy pamiętasz, co potem nastąpiło?

– Czy pamiętam, co nastąpiło?

– Chodzi o ostatni fragment hipnozy.

– Ostatni fragment: jechaliśmy pociągiem. Przestraszyłem się nie na żarty. Byłem śmiertelnie przerażony. Coś stało się mojemu ojcu. Czy to... czy to prawda, czy to ja? Nie, to nie może być

prawda. Wcale nie jechaliśmy pociągiem.

Budd Hopkins: Wspomniałeś o swojej siostrze.

– Tak, była z nami.

– Ma na imię Edie?

– E-p.

– Ebie?

– Nie, E-p. Nie mówiłem E-p? Taki miała pseudonim.

– Tak się do niej zwracasz?

– Nazywaliśmy ją tak w czasach dzieciństwa. Jakim cudem nagle znalazłem się w... Jestem trochę zdezorientowany... Pamiętam, jak w pewnym momencie powiedziałem, że mam dwanaście lat, a potem zobaczyłem to, co już przedtem...

Budd Hopkins: Co to było?

– To była... no, będę nadal nazywał ją kobietą. To była ona. Widziałem ją. Ale w pociągu? O co tu właściwie chodzi. Pamiętam, że ujrzałem ją w pociągu. W pociągu? Ale to... to niezwykle pociąg, mówię ci to, Budd.

Budd Hopkins: Był tam twój ojciec?

– Tak, był tam. Śmiertelnie przerażony. A kiedy zobaczyłem, że się boi, także zacząłem się bać. Przez chwilę widziałem też siostrę, ale jej obraz nagle zgasł jak zdmuchnięta świeczka. Była tam też cała masa żołnierzy.

– Z regularnej armii?

– W mundurach.

Budd Hopkins: Czy oni również zniknęli?

– Byli w mundurach. Wszyscy leżeli na...

Budd Hopkins: Nieprzytomni?

– ...na stołach. Nie, to były łóżka, ale masywne, bez nóg. Rozchodziły się w obu kierunkach.

Budd Hopkins: Czy było ich wielu?

– Tak. Całe mnóstwo.

– Pozwolono ci usiąść?

– Siedziałem cały czas. Czułem się szczęśliwy i bardzo podekscytowany. Potem zobaczyłem ojca i przestraszyłem się, bo widziałem, że jest całkowicie przerażony.

Budd Hopkins: Czy była to wciąż ta sama scena, czy działo się to już w innym miejscu?

– To było to samo miejsce. Może niezupełnie. Siedziałem na krześle, przede mną znajdował się szary przedmiot, coś w rodzaju szarej skrzynki – całkowicie szarej – z widocznymi krawędziami i dnem. Nie mogłem dostrzec jej górnej płaszczyzny, ponieważ nie bardzo mogłem się poruszać. Wiecie, cały czas wydaje mi się, że to było w pociągu. Tak sędzę, ale to nie może być prawdą. Opowiadani teraz o zdarzeniach, które nie miały miejsca w pociągu, prawda? Czy powiedziałem, że to było... słuchajcie, zaczynam się trochę... chyba się pogubiłem! (Śmiech.) Nie wiem, o co tu, do diabła, chodzi.

Budd Hopkins: Co sprawiło, że użyłeś słowa „pociąg”?

– Nie mam pojęcia.

Budd Hopkins: Czy widziałeś tam...?

– Nie, nie, chwileczkę – my rzeczywiście jechaliśmy pociągiem. Naprawdę jechaliśmy pociągiem! Jechaliśmy pociągiem i to zdarzyło się właśnie podczas tej jazdy. Wpakowaliśmy się w to właśnie podczas tej jazdy. Jechaliśmy wtedy w trójkę. Już wam mówię, co tam robiliśmy: wracaliśmy pociągiem z Madison w stanie Wisconsin. To było w roku 1957... tak, właśnie wtedy to się zdarzyło. Nie mam pojęcia, jakim cudem jazda pociągiem mogła się skończyć w ten sposób.

Budd Hopkins: Czy nagle wydało ci się, że siedzenia uciekły do tyłu?

– Nie, nie, przecież byliśmy..., chyba żartujesz – mój ojciec nigdy nie podróżował w ten sposób. Jechaliśmy w wielkiej salonce.

Budd Hopkins: W porządku, jechaliście w salonce.

– Właśnie, wszyscy razem. I ni stąd, ni z owad nie ma już pociągu. Siedzę w łóżku, a wokół ci wszyscy żołnierze...

– Czy byłeś czymś przykryty?

– Nie, nie – tak – coś... Nie tak szybko, Budd. Rozumiem, że chciałbyś dowiedzieć się jak najwięcej, ale mój umysł, nieustannie..., coś powtarza mi: „Jedziesz pociągiem, jedziesz pociągiem, jedziesz pociągiem”. I to zupełnie jakbym... – ciężko to wyrazić – chyba jednak nie byłem niczym okryty. Ale coś – takie mam wrażenie – coś miękkiego leżało pode mną. W pewnym sensie nie było mi wcale niewygodnie: siedziałem na czymś, co miało solidne, dość wysokie krawędzie, najpierw w samym środku, potem na samym brzegu. W zasadzie nie pamiętam, bym się poruszał. To dziwne, jestem tu, a za chwilę tam i nie poruszam się wcale. Cholernie dziwna sprawa. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

– Czy był przy tym twój ojciec?

– Nie, siedziałem przez chwilę na krzeselku naprzeciw tej szarej skrzynki. Nagle, zupełnie niespodziewanie, zobaczyłem moją siostrę, o tam (wskazuję ręką na prawo). Leżała nieprzytomna. Byłem zaskoczony i przerażony – teraz odczuwam to ponownie. Wtedy zobaczyłem ojca – stał tam, bezradny i zagubiony. Widać było, że się boi, ogromnie się boi. Pochylił głowę i to, co zrobił, napełniło mnie niewyobrażalnym strachem. (Zademonstrowałem konwulsyjne wygięcie ust, naśladując ojca. Wyglądało to tak, jakby usiłował wydobyć z gardła jakiś dźwięk.) I wtedy dobiegł mnie jego krzyk, ledwie słyszalny. Widziałem go wyraźnie – znajdował się nie dalej niż wy w tej chwili (niecałe półtora metra), ale jego głos z ledwością docierał do moich uszu. W momencie, gdy otworzył usta, sparaliżował mnie potworny lęk. Pamiętam, że przeniknął całe moje ciało do szpiku kości. Było nawet gorzej niż ostatnio, w zeszłym tygodniu, z tym że na samym początku kazałeś mi zachować spokój, więc żeby przez to przejść musiałem się obudzić. Jeśli ojciec był przestraszony, to co dopiero ja miałem powiedzieć? Bałem się jak wszyscy diabli.

– Powiedziałeś, że odbyłeś jakąś podróż.

– Tak, rzeczywiście. Nie tylko odbyłem podróż, ale też coś się podczas niej wydarzyło. W drodze powrotnej rzygałem jak dziki, dopóki nie pokazała się żółć. Ojciec przechodził ze mną gehennę. Mój Boże, biedny facet – zepsułem mu całą podróż.

– Masz na myśli...

– Miał ze mną urwanie głowy z powodu moich dolegliwości.

– Twoja siostra nadal żyje?

– Owszem.

– Było tam coś, co podobno już kiedyś widziałeś.

– Wiesz, co to było? Ona, ta sama kobieta.

– Przeniesienie w czasie to dość częste zjawisko w hipnozie. Zdarza się, że pod hipnozą pojawiają się zjawiska widziane wcześniej i następują przesunięcia czasowe.

– Jeszcze przed hipnozą miałem niejasne wrażenie, że kogoś tam znam, ale wykluczyłem taką możliwość jako bezsensowną. Nie można... to znaczy, chcę powiedzieć, że co innego mieć z nimi do czynienia po raz pierwszy, a co innego stwierdzić, że jednego z nich zna się już od dawna. (Śmiech.)

Budd Hopkins: A co z tą kobietą...

– To takie dziwne! Zaczekaj chwilę, Budd, już nie mogę. To znaczy, będziemy musieli porozmawiać o tym innym razem. Teraz muszę odpocząć.

– W porządku, teraz odpręż się.

– Tak, na razie mam dość.

Rozdział 3

Barwy ciemności

Introspekcja

William Blake
Night

Zagubiony

Opuszczając gabinet doktora Kleina po ostatnim seansie, byłem głęboko zaniepokojony. Towarzyszyła mi świadomość, że wkraczam na niezbadane dotąd obszary mojego umysłu i, być może również, doświadczenia. Świadomość ta jedynie zdwoiła moją troskę o własne zdrowie psychiczne. Po pierwsze, nadal dopuszczałem możliwość rzadko spotykanych zaburzeń umysłu. Po drugie, nie uśmiechała mi się perspektywa życia przebiegającego według ustalonego planu. Obie te możliwości wydawały się nie do przyjęcia – trudno byłoby nawet z nimi żyć – a jednak któraś musiała okazać się prawdziwa.

Uwolniony od dręczących myśli, szedłem ulicami Nowego Jorku, chłonąc drobiazgi codziennego życia. Równocześnie opierałem się silnej pokusie, by rzucić się do ucieczki. Byłem w potrzasku: przez odrzucenie wyjaśnienia, że w moim doświadczeniu kryje się realna i konkretna przyczyna mojego obecnego stanu, przyznawałem się automatycznie do poważnych zaburzeń umysłowych. Jednakże nie czułem się ani nie zachowywałem jak człowiek chory psychicznie, nurtował mnie tylko nieuzasadniony niepokój, który mógł być wystarczającą przyczyną mojego irracjonalnego zachowania.

Ani na chwilę nie przestałem być odpowiedzialnym mężem i ojcem. W mojej osobowości nie występowały żadne oznaki psychozy. Don Klein, będący bądź co bądź uznanym fachowcem, nawet po przeprowadzeniu ostatniego seansu hipnotycznego stwierdził, że jestem zdrowy na umyśle.

Lecz w jaki sposób człowiek o dobrej kondycji psychicznej mógłby doświadczać tak fantastycznych wizji?

Szedłem ulicą, rozważając swój problem. Co mam powiedzieć żonie? A co synkowi? Do jakiego stopnia zostali w to wciągnięci? Nigdy w życiu nie czułem się tak jak wówczas – uwięziony w jaskini życia, które jeszcze niedawno wydawało się proste i zrozumiałe.

Czy to możliwe, by historia z Przybyszami sięgała mego dzieciństwa? A jeśli tak, to w jaki sposób? Może był to tylko wybryk mojego umysłu? Lecz w takim razie na czym polegał i czym był spowodowany?

Dopiero znacznie później, gdy wysłuchałem nagrań ze wspomnieniami i zapisem sesji hipnotycznych innych osób (za ich pozwoleniem), gdy przeczytałem książkę Budda Hopkinsa *Missing Time* i wziąłem udział w dyskusji w gronie ludzi, którzy zetknęli się z tym samym zjawiskiem, dowiedziałem się, że wieloepizodowe wspomnienia są u nich bardzo powszechne. Odkrywali oni te same prawidłowości, które stwierdziłem.

Dręczyło mnie przypuszczenie, że przez całe moje dotychczasowe życie, bliskie spotkania wpływały na jego bieg. Swoim zachowaniem potwierdzałem to przypuszczenie, nim jeszcze w pierwszym tygodniu stycznia zacząłem powoli odtwarzać przebieg owych spotkań. Już latem 1985 roku ogarnęła mnie obsesja na punkcie obcych w domu, która popchnęła mnie do zainstalowania kosztownych systemów antywłamaniowych, a w kulminacyjnym punkcie, to znaczy w październiku – do zaopatrzenia się w broń. Próbowałem zmienić miejsce zamieszkania, wrócić do środkowego Teksasu, gdzie się wychowałem. Ciekawe, że w rodzinnych stronach mój strach przybierał tylko na sile. Czyżby wspomnienia z tamtego okresu, tkwiące głęboko w podświadomości, dotyczyły zjawisk jeszcze straszniejszych niż te, które dopiero co mi się objawiły?

Kiedy po długim spacerze dotarłem wreszcie do domu, zastałem kolację na stole. Wystarczyło dziesięć minut pobytu w atmosferze domowego ogniska, by cienie przeszłości poszły w zapomnienie.

Wkrótce po kolacji poszedł spać mój synek, a Anna zaraz po nim. Gdy pogasły światła, mieszkanie wydało mi się schronieniem wcale nie lepszym od miejsca pod gołym niebem.

Tej nocy leżałem samotnie, przytłoczony ciężarem wpatrzonych we mnie swoich twarzy, zrewidowanej historii życia i obezwładniającego strachu.

Modliłem się do Boga, by pozwolił mi zrzucić swoją skórę, na wzór drzewa tracącego liście, i wkroczyć w nowe życie na tym świecie. Przybysze tkwili w moim umyśle jak zadra, rozpalając go jak rozżarzone do czerwoności węgle. Wyobraźnia bezustannie przynosiła mi obraz tych bezkresnych, nieśmiertelnych oczu, świdrujących i przenikających mnie do głębi. Przybysze wydawali się czaić w każdym cieniu, przemýkali po niebie jak meteoryty.

Nie mogąc dłużej wytrzymać w domu, wyszedłem na puste ulice SoHo i TriBeCa.

Gdy po jakimś czasie wróciłem do mieszkania, przywitały mnie koty, ocierając mi się o nogi. Moje koty. Zamknąłem się w pracowni, usiadłem po turecku na podłodze i spróbowałem zebrać myśli.

Niespodziewanie spłynęło na mnie odprężenie, które otworzyło drzwi do innego świata. Mroczne postaci zakłębiły się w moim umyśle, wpełzając w moją podświadomość i chwytając ją w mocny uścisk. Nie było to żadne konkretne wspomnienie – pamięć zadziałała tu jedynie jako kanał łączności, wypełniając wszystkie poziomy istnienia, jednocześnie wprawiając mnie w stan błogości i biorąc w niewolę. Przypominało to duchowe narodziny, lecz w tym wypadku owocem nie było kwilące niemowlę, a żywa, świadoma siła, wyłoniona w moim umyśle. Nie odczuwałem z tego powodu przelotnego podniecenia, właściwego nowym stanom emocjonalnym; moje uczucie, głębokie i dojrzałe, obejmowało całą skalę emocji i pełen wymiar czasu. Musiałem pogodzić się z faktem, że przez te wszystkie lata moje życie należało do mnie tylko w części. Myśl ta wprost skręcała mi wnętrzności.

Co też kryło się w zakamarkach mojego umysłu? Pomyślałem, że oto jestem na samej krawędzi własnej duszy. Poda mną rozciągała się niezbadana przepaść, której nie były w stanie zgłębić ani psychiatria, ani religia, ani też biologia. Żadna z tych dziedzin nie wyjaśnia bowiem życia wewnętrznego. Ich wiedza bazuje na tych nielicznych przypadkach, w których ono samo ujawnia swe tajemnice.

Czy jako ludzie jesteśmy takimi, za jakich się uważamy? Czy może jesteśmy stworzeni do innych celów w innym świecie? Być może nasze ziemskie życie jest tylko przelotnym cieniem, zaledwie drobnym incydentem w obliczu Prawdy, sceną, na której jesteśmy ślepyimi aktorami.

Aby nie utracić resztek samokontroli, postanowiłem sporządzić wykaz wszelkich możliwości. Usiadłem za biurkiem i zabrałem się do pisania.

Nawet jeśli uznamy, że Przybysze istnieją naprawdę, nie mamy żadnych podstaw, by twierdzić, że to stworzenia pochodzące z innych planet.

Pogrążyłem się w domniemaniach: nie można wykluczyć możliwości, że Przybysze pochodzą właśnie stąd – z Ziemi. Wielowiekowa tradycja wskazuje na to, że obce siły towarzyszą nam od znacznie dłuższego czasu, choć dopiero przez ostatnie czterdzieści – pięćdziesiąt lat ukazują nam się w obecnym kształcie. Jedynym słabym punktem tej teorii jest fakt, że to, co dzieje się od połowy lat czterdziestych, diametralnie odbiega od standardów baśniowych. Współczesne elementy baśniowości to próbki tkanki mózgowej, latające talerze, kosmiczne uprowadzenia i płowoszare stworzenia z pałającymi oczami – z pewnością na przestrzeni wieków ludzka psychika nie uległa wystarczająco radykalnym przekształceniom, by wytłumaczyć tak poważne zmiany. Mimo to coś się za tym kryje... Pomyślałem sobie, że Przybysze mogą używać naszej tradycji i folkloru jako parawanu dla swej działalności.

Kolejna wersja zakładała, że Przybysze są nowym wcieleniem naszych zmarłych. Może się okazać, że obecnie znajdujemy się w stadium larwalnym, a dojrzałe formy naszego gatunku są dla nas równie niepojęte i niewyobrażalne jak motyl dla poczwarki. Możliwe, że na tamtym świecie rewolucja techniczna pomaga zmarłym przekraczać granice ich bytu.

Może wreszcie to ludzki umysł, wykorzystując podświadomość, wytworzył nową rzeczywistość, która, przybrawszy konkretną powłokę cielesną, ukazuje się nam w pełnym wymiarze. Możliwe, że wiara tworzy własną rzeczywistość. Bogowie przeszłości czerpali moc z wiary swych wyznawców, która tchnęła w nich życie, niewykluczone, że podobnie dzieło się teraz. W miejsce prześwietnych mitów przeszłości tworzymy dziś płowoskórych bogów ery postindustrialnej. Zamiast Apolla, przemierzającego nieboskłon ognistym rydwanem, i bogini nocy, rozpościerającej swój gwiazdny płaszcz, powołaliśmy do życia małych, stalowoszarych bożków o duszach piratów, podróżujących statkami, których wnętrza pięknem dorównują zęzom okrętów wojennych.

A jeżeli są to goście z innego wymiaru, lub wręcz z innego czasu? Być może oglądamy ludzi, przenoszących się w czasie, którzy podają się za pozaziemskie istoty, aby uniknąć katastrofalnego w skutkach paradoksu czasowego, mogącego nastąpić w wyniku ujawnienia ich obecności własnym przodkom.

Zastanowiło mnie, dlaczego porównałem ich do owadów. W rzeczywistości na ich wygląd składało się wiele cech ludzkich. Nie posiadali ani czułków, ani skrzydeł, ani splątanej gmatwaniny odnóży. To raczej ich sposób poruszania się – dynamiczny i zawzięty przywiódł mi na myśl świat insektów. I te ich olbrzymie, czarne oczy. A jeśli inteligentne formy życia nie są uwieńczeniem ewolucji, lecz czymś, co wyłania się z ewolucyjnej matrycy w wielu punktach jednocześnie – na wzór skrzydeł, pazurów i oczu? Prymitywne gatunki nie wykształcają skomplikowanych organów.

Załóżmy, że pewien gatunek owadów rojnych osiągnął wysoki stopień inteligencji na innej planecie, czy nawet tu – na Ziemi. Istnieje prawdopodobieństwo, że jako gatunek od nas starszy, posiadał on umysł o strukturze znacznie bardziej uproszczonej niż nasza.

Jak miałyby wyglądać taka prymitywna forma umysłu i w czym mogłyby się przejawiać? Dopuszczałem możliwość mniejszego zróżnicowania osobniczego niż w naszym gatunku, a co za tym idzie, ograniczenia świadomości jednostkowej i niezależności.

Żyjąc w skupisku na kształt roju czy też mrowiska, musieliby porozumiewać się metodami podobnymi do tych, jakie obserwujemy u owadów – skomplikowanym systemem dźwięków, ruchów, zapachów lub innymi, nieznanymi dotąd sposobami. Nasza wiedza na temat zbiorowych form życia owadów jest dość ograniczona. Inteligentny rój jako całość przedstawia potężną siłę, lecz zdolność pojmowania jednostek, wchodzących w jego skład, jest poważnie ograniczona.

Przybysze mogliby w istocie posiadać jeden olbrzymi umysł o doskonałej zdolności myślenia, lecz działający przy tym dość wolno. Wyjaśniałoby to wyjątkową ostrożność tych stworzeń w obchodzeniu się z nami. Indywidualnie możemy wprowadzić im mądrością, lecz za to przewyższamy ich znacznie szybkością procesów myślowych.

Dlaczego zawsze z góry zakładamy, że Przybysze muszą nad nami górować inteligencją?

Przecież może się to okazać prawdą jedynie częściową. W kategoriach ziemskiej ewolucji człowiek pojawił się całkiem niedawno. Nie musi to wcale oznaczać, że jest on tworem niedoskonałym. Wręcz przeciwnie, może jesteśmy gatunkiem najbardziej rozwiniętym, a wtedy wszelkie starsze, wolniej myślące i gorzej przystosowujące się formy, mogą w nas upatrywać poważne zagrożenie. Mogą nawet próbować uwięzić nas na naszej planecie lub uczynić coś jeszcze gorszego.

Dotychczas nie spotkałem się z oznakami wrogości wobec mojej osoby. Powiedziałbym raczej, że była to twarda stanowczość. Myślę również, że oni boją się nas w równym stopniu co my ich.

W pewnym sensie ich pojawienie się w ludzkiej świadomości miało dla mnie wymowę symboliczną i oznaczało wszechświat w akcie tworzenia.

Siedząc tak i rozmyślając, w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że moje wątpliwości co do tego, czy to, co przeżyłem, jest prawdziwe, nie mają praktycznie żadnego znaczenia. To oczywiste, że są prawdziwe, wszakże sam ich doświadczyłem. Bardziej na miejscu byłoby pytanie: na czym polegały? Nie uważałem ich za zjawiska wyłącznie psychologiczne, przynajmniej nie w sensie ogólnie przyjętym. Występowanie efektów ubocznych, zostało potwierdzone przez wiarygodnych świadków. Światło widziane przez Jacquesa Sandulescu 4 października, odgłosy stóp słyszane przez Annie Gottlieb oraz eksplozja, która obudziła wszystkich, włącznie z moim synem – wszystko to świadczyło o nadzwyczajnym charakterze zdarzeń tamtej nocy, z pewnością wykraczającym poza granice pojęcia zjawiska psychologicznego. Dziesiątki podobnych historii opowiadanych przez ludzi, tworzących przekrój społeczeństwa, świadczą o tym, że jeśli chcielibyśmy podtrzymać wersję psychologiczną, wymagałoby to od nas niezmiernie radykalnych poglądów w tej dziedzinie.

Kiedy tak głuchą nocą siedziałem przy biurku, fakt istnienia tylu świadków wydał mi się pocieszający. Z drugiej jednak strony kwestionował on mój sposób widzenia rzeczywistości oraz własnej osoby.

Myśli moje pobiegły nieuchronnie do wydarzeń z dzieciństwa, które ujawniły się w hipnotycznym transie. W wieku dwunastu lat nie przeżyłem niczego podobnego, a już na pewno nie w pociągu. A jednak wiele przypadków zetknięcia z Przybyszami, jest notowanych w najmniej prawdopodobnych miejscach, w najmniej odpowiednim czasie, na przykład w czasie jazdy samochodem. Jeżeli mamy do czynienia z hipnopochoicznym transem, trwającym często kilka godzin, dlaczego kierowcy samochodów nie zjeżdżają z drogi, skoro nie panują już nad własnymi reakcjami?

W 1957 roku rzeczywiście wybraliśmy się z ojcem i siostrą w podróż do Madison w stanie Wisconsin, żeby zobaczyć się z wujostwem i kuzynami. Pamiętam, że w drodze powrotnej okropnie chorowałem. Trasa pociągu *Texas Eagle*, którym wówczas jechaliśmy, biegła z Chicago do San Antonio, przy czym większa część podróży odbywała się nocą.

W następnej chwili poczułem się tak, jakbym otworzył drzwi swego domu i na własnym podwórku zamiast dobrze znanych trawników, kwiatów i wysokich świerków, zobaczył jedynie bezkresną, pustą połąć nieba, czekającą, by na zawsze już ogarnąć mnie swym błękitem, gdy tylko przekroczę próg.

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy dałem za wygraną i wyczerpany do tego stopnia, że oczy same mi się zamykały, udałem się na spoczynek. Nie pamiętam, by coś mi się śniło. Z nadejściem ranka opanowała mnie jedna myśl: trzeba zgłębić ten problem. Na tyle, na ile jest to wykonalne, muszę zrozumieć, co się ze mną dzieje.

Moja wewnętrzna reakcja na spotkanie z Przybyszami była identyczna jak na wydarzenia z udziałem ludzi z krwi i kości. Zostałem uwikłany w paradoksalny związek z istotami, o których nawet nie wiedziałem, czy istnieją. Rozpaczliwie usiłowałem sam siebie przekonać, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, jednak, przytłoczony ciężarem stresu, nie potrafiłem w to uwierzyć. Zanim poddałem się hipnozie, sprawą najwyższej wagi wydawało mi się rozstrzygnięcie kwestii, czy w ogóle cokolwiek się wydarzyło. Innymi słowy, interesowało mnie, czy mam uważać się za ofiarę, czy za szaleńca. Pytanie to dosłownie zżerało moją duszę, stawało się nie do zniesienia.

Na dzień przed spotkaniem z Buddem Hopkinsem, nieomal wyskoczyłem przez okno. Miałem szczęście – ja znalazłem Hopkinsa, a on Dona Kleina. Co stałoby się, gdybym poprosił o pomoc kogoś przekonanego o tym, że padłem ofiarą halucynacji i psychozy, a jednocześnie zbyt konserwatywnego, by dopuścić inną możliwość? Mógłbym już nie żyć. Otwartość i bezstronność, okazane przez doktora Kleina w obliczu zjawisk fantastycznych i strasznych zarazem, odegrała kluczową rolę w moim przystosowaniu do życia w niepewności.

Mądrość płynąca z takiego podejścia, tchnęła we mnie nowe siły. Począwszy od kwietnia 1986 rozpocząłem docieklive badania. Pochłaniałem tysiące stron publikacji dotyczących tego zjawiska i jego wszelkich implikacji zarówno naukowych, jak i kulturowych.

Jeśli prawdą jest, że Przybysze przebywają na ziemi od dawna, to trzeba przyznać, że przygotowują naszą świadomość do uznania ich obecności z równą starannością, z jaką dyrygent wprowadza orkiestrę w nowy utwór. Sądzę, że pod koniec lat czterdziestych po raz pierwszy zjawili się na Ziemi, lub – będąc tu już od dawna – postanowili ujawnić swoją obecność. Niemal natychmiast zaczęły się mnożyć przypadki uprowadzeń ludzi do celów badawczych, które jednak odżyły w pamięci ofiar dopiero w połowie lat sześćdziesiątych. Mimo to niewykluczone, że nasze wzajemne stosunki od samego początku miały bardzo intymny charakter. Spora liczba świadków wspomina w swych relacjach o zdarzeniach z dzieciństwa, które miały miejsce jeszcze przed drugą wojną światową, na długo, zanim zanotowano pierwsze pojawienie się UFO.

Jak partyturę, ze szczególną starannością, rozpisują Przybysze nie tyle wiarygodność czy realność przeżyć, lecz ich odbiór przez społeczeństwo. Początkowo, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, widywano ich pojazdy z większej odległości. Potem dystans, z jakiego je obserwowano, stopniowo ulegał skróceniu. Na początku lat sześćdziesiątych donoszono już o obecności załogi, a także odnotowano kilka przypadków uprowadzeń. Obecnie, w połowie lat osiemdziesiątych, zarówno ja, jak i inni wybrańcy – w większości zupełnie od siebie niezależnie – zaczynamy odkrywać ich obecność w naszym życiu.

Chociaż nie istnieją namacalne dowody istnienia Przybyszów, cały proces wyłaniania się ich w naszej świadomości nosi dla mnie znamiona starannie zaplanowanej operacji.

Mimo tego, co mi uczynili, nie czuję do nich nienawiści. Boję się, ponieważ odczułem ich potęgę, a nie poznałem motywów działania. W usilnym dążeniu do obiektywizmu, skłonny byłem nawet założyć, że miast pochodzić z innej części wszechświata, mogą być wytworem ludzkiego umysłu. Bezspornym wydawał mi się fakt, że uosabiają oni żywą i realną siłę – istniała wszakże możliwość, że źródło tej siły tkwi w samym człowieku.

Z pewnością wyglądem nie przypominali ludzi. Podczas hipnozy opisałem niską postać, osłoniętą dziwnymi płytami i hełmem. Kiedy stanęła przy moim łóżku, wymachując zaciśniętymi pięściami jak semafor, czułem bijącą od niej stanowczość. Posłusznie wyskoczyłem z łóżka, zrzuciłem z siebie piżamę i obnażyłem się przed nią i jej żołnierzami, których nazwałem w myśli „dobrą armią”. Nie było w tej postaci nic ludzkiego oprócz tego, że posiadała dwie ręce i nogi.

Na podstawie zaobserwowanej niechęci do ukazywania się nam w sposób otwarty i jednoznaczny, można wysunąć hipotezę, iż za każdym razem usiłują przejąć nad nami kontrolę i zmusić do uległości.

W jakieś dwa tygodnie po moim ostatnim seansie hipnotycznym, udaliśmy się całą rodziną do naszego domku, po raz pierwszy od Bożego Narodzenia. Anna nadal wiedziała bardzo niewiele, mój synek zaś – zupełnie nic.

Gdy znaleźliśmy się na miejscu, zdałem sobie sprawę, że tych dwoje najbliższych mi ludzi, nie ma pojęcia, jakie następstwa mogą wynikać z mojego obecnego stanu. Lecz cóż miałem im powiedzieć? Że mogę okazać się niebezpieczny? Przecież nie potrafiłem przewidzieć swego zachowania. A może powinienem uzależnić decyzję od ich własnego osądu?

Być może tak właśnie należało uczynić, ale wówczas tego nie zrobiłem. Później, gdy i Anna przeszła przez hipnozę, poznając całą prawdę, stwierdziła, że nigdy, przenigdy nie porzuciłaby tego domu. Jeśli chodzi o naszego synka, to – jeśli był w to w jakiś sposób zamieszany – mogliśmy

jedynie zadreć za siebie myślami, zawieszony w oczekiwaniu i niepewności. Podszepty instynktu mówiły mi, że ja sam wplątałem się w to od chwili narodzin.

Natychmiast po przyjeździe stało się dla mnie jasne, jak bardzo pokochałem ten dom. Ktoś mógłby sądzić, że przeżycia związane z tym miejscem powinny wyzwolić we mnie uczucie paniki, a także niechęci. Owszem, początkowo myśl o powrocie do tego domu budziła we mnie pewne obawy, stopniowo jednak udało mi się pogodzić z zaistniałą sytuacją. Dużo wysiłku kosztowało mnie puszczanie tego incydentu w niepamięć. Amnezja i wspomnienia osłonowe doprowadziły mnie na skraj wyczerpania emocjonalnego.

Zakładając, że mój przypadek nie jest odosobniony, może okazać się, iż żyjemy w społeczeństwie noszącym ukryte piętno. W miarę jednak, jak coraz więcej osób usiłuje zgłębiać problem zamiast go ignorować, istnieją realne szanse na stopniowe zatarcie tego piętna.

Stojąc na środku salonu, przypominałem sobie, w jakim napięciu żyłem przez ostatni rok. Ileż to razy przemierzałem nocami ten dom, zaglądając pod łóżka i do szaf! Towarzyszące mi przy tym poczucie bezradności wywodziło się z faktu, iż nie potrafiłem wskazać racjonalnych powodów swego zachowania. Przeszukując szafy, spodziewałem się znaleźć coś lub kogoś o niewielkich rozmiarach, bacznie zwracałem zatem uwagę na ich dolne partie. Pod wpływem hipnozy powróciło uczucie, że jakaś potężna ręka uniesie mnie daleko stąd. Było to niezwykle osobliwe uczucie, w niczym nie przypominające nastroju wywołanego szmerem wiatru w koronach drzew czy smugą księżycowego blasku, padającą na rwące wody strumienia.

Na zewnątrz zachowywałem się zupełnie normalnie, jednakże wewnątrz towarzyszył mi ledwie słyszalny, głuchy pomruk strachu. Czuję, że ktoś mnie obserwuje, mimo iż nic na to nie wskazywało. Dysponowałem bronią, miałem alarm i reflektory reagujące na najłżejsze poruszenie.

Do czego miały służyć wszystkie te zabezpieczenia w tak odludnym, spokojnym i wolnym od przestępstw zakątku świata? Przed hipnozą trudno mi było sensownie uzasadnić swoje obawy. Teraz zaś stało się oczywiste, że nie chodziło o jakichś tam zwykłych złodziei czy włamywaczy, lecz o tajemniczą siłę, obecną w moim życiu, która w miarę upływu czasu nabierała coraz bardziej realnych kształtów.

Gdy przekroczyłem próg sypialni, ogarnęło mnie uczucie, które określiłbym mianem poczucia rzeczywistości. Przebywając w miejscu wypadków, wiedziałem, że nie mogę ich odseparować od świata rzeczywistego. Mieściły się one w grupie wspomnień razem z innymi prawdziwymi zdarzeniami, oddzielone od snów i marzeń. Zwłaszcza pierwsze chwile incydentu grudniowego, do momentu ukazania się opancerzonej postaci w naszej sypialni, należały bez wątpienia do faktów. Nie znajdowałem się wówczas w transie, nie byłem pogrążony we śnie, w pełni przytomny, w pełni władz umysłowych.

A teraz ponownie stałem na środku tej sypialni, wpatrując się w drzwi, w podłogę, w łóżko.

Za drzwiami dostrzegłem ubytek w ścianie, spowodowany uderzeniem klamki przy gwałtownym otwarciu drzwi z wielką siłą.

Kto to mógł zrobić – my czy oni?

Wspomnienia z dwudziestego szóstego grudnia ponownie nabrały ostrości. Znowu ujrzałem wkraczających do sypialni Przybyszów, zamarłem z przerażenia, posłuszny ich wszelkim rozkazom. Przypominałem sobie ich dotyk, ich zdecydowane i precyzyjne ruchy. Powrócił do mnie ich zapach, wygląd wnętrza ich pojazdu, a ponad wszystkim górowało uczucie obcowania z nimi. Krył się w nim strach, bogobojny podziw, a nawet coś na kształt miłości.

W domu było chłodno, zszedłem więc na dół, by rozpaść ogień. Zjedliśmy kolację, ułożyliśmy syna do snu, opowiadając mu bajkę, a sami zasiedliśmy w salonie, gdzie w ulubionym fotelu, z kieliszkiem wina w ręku, wpatrywałem się w zadumie w migotliwe płomienie.

Zamierzałem podejść do mego problemu z takiego punktu widzenia, który mógł przynieść największe korzyści. Zamiast oddawać się spekulacjom na temat pochodzenia Przybyszów i ich oczekiwań względem nas, starałem się raczej skupić na odczuciach, jakie we mnie budzili. Nie dysponując ani odrobiną rzetelnej wiedzy na ich temat, nie widziałem innego sensownego wyjścia.

Wpatrzony w czarną tafłę panoramicznego okna dostrzegałem jedynie swoje niewyraźne odbicie. Lecz jakże wyraziście wybuchwały w mej głowie wspomnienia podniebnej podróży w otoczeniu maleńkich postaci, wspomnienia z dwudziestego szóstego grudnia! Hipnoza ożywiła obraz zarejestrowany okiem umysłu: daleko w dole mój dom, ciemne okno mojej sypialni i tuż pod nim okno pokoju mojego synka, delikatnie rozświetlone blaskiem nocnej lampki, sączącym się przez zasłony. Smutek, który mnie wówczas ogarnął, muszą chyba odczuwać ludzie żegnający się już z tym światem. Czy zatem można się dziwić, że amnezja litościwie okryła tak dramatyczny moment?

W następnej chwili odniosłem wrażenie, że wszystkie drzewa pode mną zatoczyły zamaszyste półkole, przecinając powietrze migoczącą masą pni i konarów. Kiedy wróciły do normalnego położenia, siedziałem już w niewielkich rozmiarów zagłębieniu, otoczony przez kilku strażników. Wydawało mi się, że ktoś do mnie przemawia, ale nie zapamiętałem słów. Mówiący do mnie głos wydawał się eksplodować dźwiękami prosto w mojej głowie. Przypomina to trochę telepatię, która nie jest dla nas zjawiskiem nowym czy abstrakcyjnym.

Wiadomo, że mózg jest organem elektrycznym. Jako taki emituje słabe pole magnetyczne, ledwie wykrywalne w radiowej części widma. Mówiąc ściślej, wytwarza on fale o niezwykle niskich częstotliwościach, zwane falami ELF (*extra low frequency*) w skali od jednego do trzydziestu herców. Serce i układ mięśniowy również wytwarzają podobne pola w zakresie super niskich częstotliwości. Być może, dysponując bardziej zaawansowaną wiedzą techniczną, można w znacznym stopniu skoordynować funkcje myślowe i fizyczne, używając do tego celu nadajników i odbiorników ELF o dużej czułości. Brzmi to może bardziej prozaicznie niż granicząca z magią percepcja pozazmysłowa, lecz jednocześnie wystarczająco wiarygodnie, by utrzymywać, iż kontrolowanie umysłu z zewnątrz, a nawet wywoływanie odpowiednich procesów postrzegania (jak np. głosy pojawiające się bezpośrednio w umyśle) nie wykracza poza granice prawdopodobieństwa.

Należy dodać, że również ziemia wytwarza pokaźne ilości fal ELF o częstotliwościach od 7 do 30 herców. Nie można wykluczyć istnienia naturalnych warunków, które wywoływałyby specyficzne reakcje umysłu, powodujące z kolei rzadkie i niezwykle silne doznania psychiczne. Być może nie potrafimy do końca zgłębić związków łączących nas z naszą planetą, a dawni bogowie, istoty baśniowe i ostatnio – Przybysze są wyłącznie efektem ubocznym tych związków. Przyznaję, że ta teoria jest dość naciągana, ale cóż z tego – inne nie są wcale lepsze.

Siedząc przy kominku, wpatrzony w płomienie, nie potrafiłem się jednak dłużej skoncentrować na tworzeniu hipotez. Mój umysł konsekwentnie zwracał się ku wspomnieniom. Intelktualnie nie potrafiłem ustalić, kim lub czym byli Przybysze, lecz moja emocjonalna część nie podzielała tego niezdecydowania. Moja reakcja uczuciowa dotyczyła żywych, realnych istot, aczkolwiek nie ludzi.

Hipnoza sprawiła, że moje wspomnienia ożyły. Kiedy podczas seansu unosiłem się ponad wierzchołkami drzew, rzeczywiście miałem wrażenie pionowego ruchu w górę, zupełnie jakbym znajdował się w superszybkiej windzie. Pod sobą widziałem drzewa, majaczące pośród nocy migotliwym blaskiem śnieżnych czap. Patrzyłem, jak oddalały się, widoczne w przestrzeni między moimi kolanami.

Zamkniętą przestrzeń, w jakiej się znalazłem, wypełniał zapach ciepłego sera z domieszką siarki. Ten siarczany odór pojawiał się już we wcześniejszych relacjach innych świadków. Rzucony niedbale kombinezon zwiślał z ławki na podłogę. Odniosłem wrażenie, że znajduję się w jakimś pokoju czy też salonie – w większości przypadków ludziom wydaje się, że są w gabinecie zabiegowym. Naprzeciw mnie usadowiła się najprzeziwniejsza istota, jaką w życiu widziałem. Wrażenie potęgowała jeszcze świadomość, że skądś ją znam. Używam tu rodzaju żeńskiego bez żadnego uzasadnionego powodu. Dla mnie jest ona kobietą, być może ze względu na pełne wdzięku ruchy, być może dlatego, że wywoływała u mnie stan podniecenia seksualnego, choć równie dobrze mogłem tak pomyśleć, czując dotyk jej ręki na piersi, tak delikatny, lecz tak stanowczy zarazem.

W ciągu kilku następnych miesięcy odkryłem, że uczestnicy bliskich spotkań często uważają, iż jedna z nawiedzających ich postaci jest im dobrze znana. Przeważnie jest to osoba płci przeciwnej. Ludzie tacy zwykle szukają pomocy u psychiatrów pod wpływem jednego lub dwóch obrazów

zachowanych w pamięci. Odkrycie całego ciągu wspomnień zawsze wywołuje szok, podobnie jak w moim przypadku. Literatura na temat UFO poświęca bardzo niewiele miejsca wielokrotnym spotkaniom z Przybyszami na przestrzeni całego życia. Osobiście, dzięki seansowi hipnotycznemu, stanąłem oko w oko z tym właśnie zjawiskiem, które dotychczas uważałem za fantastyczne i nieprawdopodobne.

Ciekawe, że zasada wielokrotnych spotkań sprawdza się w tak wielu przypadkach, pomimo iż oficjalnie nic się o niej nie mówi. Ten aspekt zagadnienia UFO był zawsze celowo pomijany przez wszystkie publikacje, by nie przeciągnąć cienkiej struny wiarygodności, i tak już naprężonej do granic możliwości pojedynczymi przypadkami.

Siedząc przy kominku, złapałem się na tym, że moje myśli opanowali Przybysze, a w szczególności jedna postać, która wydawała mi się znajoma. Bezustannie wywoływałem w pamięci jej obraz, jej zdumiewające oczy, elektryzujące swym spojrzeniem..., ogromne, badające oczy zamierzchłych bogów, pozbawione wszelkich szczególnych cech, o niezauważalnej tęczy i źrenicy. Siedziała naprzeciw mnie z podkurczonymi nogami i rękami spoczywającymi na kolanach. Jej dłonie rozpląszczały się, gdy kładła je na jakimś przedmiocie. Gdy swobodnie zwisały po bokach, wydawały się wąskie i wysmukłe. Pod skórą niewyraźnie majaczyła jakaś struktura, prawdopodobnie kostna, jednakże pozostałe części ciała przypominały egzoszkielet, właściwy owadom.

Muszę przyznać, że wrażenie, jakie na mnie wywoływała, było kolosalne. Przemknęło mi nawet przez głowę, że w pewnym sensie darzę tę istotę miłością, podobną do tej, jaką czuję w stosunku do własnej duszy. Prawdopodobnie te same uczucia fascynacji i grozy obudziłyby we mnie spojrzenie z głębi mojej podświadomości.

Zupełnie inne uczucie wzbudził natomiast we mnie obecny w jej wzroku pierwiastek absolutnego nieprzejednania. Pod tym spojrzeniem ginęła moja wolność osobista. Nie mogłem wymówić słowa, wykonać ruchu, jeśli taka była jej wola.

Grzejąc się przy ogniu, zastanawiałem się, czy ta bezradność nie była mi w pewnym sensie na rękę. Powiedziałem wcześniej, że jej obecność oznaczała strach. Owszem, pamiętam uczucie lęku, ale czy aby na pewno wiernie opisałem swój stan? Gdybym miał złożyć odpowiedzialność za swój los w czyjeś ręce, z pewnością oprócz strachu doświadczyłbym również głębokiego uczucia ulgi i odprężenia. Ofiarować się komuś w ten sposób oznaczałoby uśmiercić część siebie, lecz przecież przebywając z tą postacią, czułem, że stoję właśnie na krawędzi śmierci.

W uścisku delikatnych ramion czułem się bezradny jak dziecko, byłem wystraszony jak dziecko, płakałem jak dziecko.

W pewnym momencie dotarło do mnie, że ta szczegółowa analiza niezwykle intensywnych emocji może przybrać niepożądany obrót. Po pierwsze, uczucie całkowitej bezsilności mogło przejść w stany lękowe, prowadzące do ślepej uległości, a w konsekwencji do bogobojnej miłości. Po drugie zaś, spustoszenie emocjonalne, wywołane działaniem strachu, mogło doprowadzić do zatarcia różnic pomiędzy poszczególnymi rodzajami uczuć.

Wzrok tej istoty przeszywał mnie na wylot. Kiedy spojrzałem jej prosto w oczy, ogarnął mnie niewyjaśniony niepokój, jakby to spojrzenie obnażało każdy, najbardziej wstydlivy szczegół mojej duszy. Nikt na świecie nie jest w stanie tak dobrze poznać ludzkiej natury, nikt też nie potrafi osiągnąć identycznego efektu za pomocą jednego spojrzenia. Czułem, że ta istota jest obecna we mnie, co było nie tyle niepokojące, co osobliwie zmysłowe. To właśnie te oczy opisywane są jako „bezkresne”, „dręczące” i „obnażające duszę”. Czy ktokolwiek może wiedzieć o nas więcej niż my sami? Owszem, dlaczego nie? Dla istot o znacznie wyższym stopniu inteligencji, jesteśmy zapewne stworzeniami łatwymi do przejrzania, podobnie jak dla nas zwierzęta, dlatego czujemy się wobec nich bezbronni i obnażeni – zupełnie jak pies, któremu jego pan spojrzał wnikliwie prosto w oczy.

Świadomość, że pod spojrzeniem tej istoty zachodziły we mnie jakieś zmiany – że posiadała ona zdolność zajrzenia w mą duszę – napełniła mnie najbardziej dojmującą tęsknotą, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem, a jednocześnie wzbudziła daleko posuniętą podejrzliwość.

Usiłowałem dociec, czy powodem tak jaskrawej wizji tej istoty był wyłącznie wstrząs wywołany moimi przeżyciami, czy też może w jakiś sposób osiągnąłem stan duchowego zjednoczenia. Czy była tu ze mną w tej chwili, patrząc na moją sylwetkę na tle ognia?

Przywołując jej obraz, czułem, jak rodzi się we mnie niesformułowane jeszcze pytanie. Szukając po omacku powodów mojego zakłopotania, natknąłem się na krótką wymianę zdań, która w obecnym świetle nabierała niezwyklej ważności. Nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, że istota, którą spotkałem, była stara. Nie sędziwa, tak jak osoba w podeszłym wieku, ale rzeczywiście stara.

Ciągle mam w pamięci jej głos, miękki, dochodzący nie wiadomo skąd, odpowiadający na moje pytanie: – Tak, jestem stara. – Kiedy jej słowa formowały się w mojej głowie, towarzyszył im swoisty rytm, natomiast gdy używała głosu, który postrzegałem zmysłem słuchu, jego ton wydawał się zaskakująco głęboki jak na tak wiotką istotę. Brzmiał silniej niż bas – jak dudnienie, wydobywające się z przepastnej jaskini.

Pamiętam swój protest w odpowiedzi na jej zapewnienie, że operując mnie, nie zrobią mi krzywdy. Świadomość własnej bezradności była wtedy nie do zniesienia. Powiedziałem wtedy:

– Nie macie prawa.

– Mamy prawo – dwa słowa o ogromnej wadze. Słowa zadziwiające. Kto dał im to prawo? Jakaż to ewolucja etyki doprowadziła ich do sformułowania takiego wniosku? Byłem naprawdę ciekaw, czy wymagało to debaty, czy też prawo to wydało im się tak oczywiste, że nigdy tego nie kwestionowali.

Tuż obok mnie ogień nagle trzasnął i prychnął. Otworzyłem kanał wentylacyjny w piecu i płomień ponownie posłusznie wystrzelił w górę.

Ich prawo może pochodzić z całkiem innego źródła, niż przypuszczamy. Jeśli są częścią nas samych, wtedy egzekwują jedynie prawo, które my im przyznaliśmy.

Wysłuchany w tykanie zegara przeplatane trzaskiem płomieni, pomyślałem, że mile widziane byłyby jakieś wskazówki co do dalszego postępowania. Po zakończeniu pracy nad książką *Nature's End*, napisanej wspólnie z Jamesem Kunetką, nabrałem głębokiego przekonania, że utrzymanie obecnej sytuacji na świecie przekracza ludzkie możliwości. Nie chodzi o to, by świat miał już dobiegać kresu swych dni, lecz raczej o przewidywanie, że zmiany w biosferze mogą przybrać tak katastrofalny obrót, iż wiele ludzkich istnień padnie ich ofiarą.

Zastanawiałem się, czy w obliczu tak makabrycznych perspektyw, umysł ludzki nie tworzy przypadkiem nowych bogów, by oszczędzić sobie uczucia osamotnienia w strachu.

Natomiast jeżeli Przybysze są istotami z krwi i kości, to pragnąłbym dowiedzieć się, jakiego rodzaju etyka gwarantowała im ich „prawo”. Co prawda my sami rzadko poddajemy w wątpliwość nasze prawo dominacji nad innymi gatunkami. Jakże to zaskakujące znaleźć się nagle pod wpływem tej samej władzy, jaką tak łatwo przypisujemy sobie nad zwierzętami!

Przyszły mi na myśl rozległe pastwiska Teksasu dawno, dawno temu, krowy ryczące na nich o zmierzchu przy wtórze swych dzwonek, a potem jeszcze moja kotka, zwinięta w kłębek na moich kolanach, z bezgraniczną ufnością powierzająca mi swoje maleńkie życie w tym wielkomiejskim zgiełku. Dla mnie nasze wzajemne przywiązanie miało charakter doraźny, dla Sadie zaś stanowiło ośrodek wszechświata.

Kiedyś, dawno temu, ojciec zabrał mnie do rzeźni w Fort Worth. Uderzył mnie tam w uszy paniczny łoskot pędzonego bydła. Zobaczyłem wolno kołyszące się zady wołów i kremowe białka ich oczu. Wciągałem w nozdrza odór nawozu, uryny i krwi, słyszałem chrzęst kości miażdżonych uderzeniem topora i mechaniczny jazgot pił tnących mięso.

Innym razem, w instytucie badawczym w San Antonio, widziałem klatki dla małp, a w nich całe mnóstwo doświadczalnych kapucynek z różowymi, ogolonymi, pokrytymi szwami głowami, lub celowo trepanowanymi. Pamiętam bulgoczące odgłosy, gdy na życzenie studentów jednej z nich pobudzono ośrodek głosu, by łatwiej go zlokalizować.

Co może pomyśleć o swych obserwatorach mała z igłą w mózgu? Czy traktuje ich jak bogów, którym biernie się poddaje, bo i tak nie ma innego wyjścia?

Mimo analogii, nie wydaje mi się, by Przybysze obchodzili się z nami zgodnie z beznamiętną etyką badaczy, którą my stosujemy do zwierząt. Pewne podobieństwa jednak istniały: 26 grudnia schwytano mnie jak dzikie zwierzę, ubezwłasnowolniono i wyciągnięto z mego schronienia w środku nocy.

Nie czułem się wyłącznie obiektem badań, z całą pewnością nie. Choć nie potrafiłem tego wyrazić, wyczuwałem jednak w sobie jakąś przemianę pod wpływem tego, co ze mną uczyniono.

Potem przyszło mi na myśl, że jestem poddawany procesowi osławiania. Biorąc pod uwagę wzrost intymności w nasilających się od kilkadziesiąt lat przypadkach bliskich spotkań, pomyślałem, że może wszyscy jesteśmy osławiani.

Wracam jednak do moich przeżyć. Po wspomnianej wymianie zdań, tajemnicza istota nazwała mnie wybrańcem, co ogromnie mnie rozżłościło. Uznałem to za szyderstwo i zareagowałem bardzo gwałtownie, na co ona poczęła potrząsać głową i śpiewnie powtarzać: „O, nie. O, nie” – głosem, w którym brzmiały uporczywość i rozbawienie.

Pamiętam wyraźnie, że widziałem kiedyś kobietę w kwiecistej sukni, która znalazła się w identycznej sytuacji. Ale kiedy i gdzie to było? Żadnego punktu odniesienia: tylko ta kobieta, ubrana w sukienkę z białego materiału w kwieciste wzory, stojąca przed nimi i wykrzykująca „Chwała Panu!” – w odpowiedzi na ich słowa, że została wybrana.

Może w ten sposób Przybysze pragną dać nam do zrozumienia, że wszyscy jesteśmy wybrani i jednocześnie osławiani?

Nikt nigdy nie udomowił ludzkości. Pozostajemy gatunkiem równie dzikim jak w czasach, gdy po raz pierwszy ruszyliśmy z wyciem przez sawannę. Być może zjawisko samoosławiania, towarzyszące procesowi powstawania cywilizowanego gatunku, nie zadowala Przybyszów, a jedynie nas samych..., choć może i to też niezupełnie, biorąc pod uwagę naszą burzliwą historię.

Tej pierwszej nocy po powrocie na miejsce wydarzeń, patrząc na tapczan, na którym wówczas się ocknąłem, pomyślałem, czy przypadkiem moje przeżycia nie były wynikiem naturalnych procesów. Może staruszka Ziemia, po chwilowych zaburzeniach, powróciła do równowagi dokładnie w chwili, gdy odzyskałem przytomność na tapczanie, gdzie zakończyłem nie jakiś podniebny lot do gwiazd, lecz odbywany na chwiejnych nogach nocny obchód mojego domu. Czy istniał jakiś związek pomiędzy tym, co przeżyłem a mistycznym tańcem szamana lub nocnym lotem czarownicy?

Przecież w swoim czasie cierpliwie wgrzyzałem się w dzieła traktujące o mitologii i mistycznych poszukiwaniach, zatem moje zdumienie, wywołane dotarciem do najciemniejszej strony duszy, było nieuzasadnione. Wydawało mi się, że od początku wiedziałem, co tam znajdę, i że moje zaskoczenie stanowiło pewnego rodzaju iluzję.

Odkryłem, że motyw uwięzienia w owalnej komnacie ma bardzo długą tradycję w naszej kulturze; podania i legendy notują wiele takich przypadków. Na przykład, historia zatytułowana *Connla and the Fairy Maiden* zamieszczona w zbiorze Josepha Jacobsa *Celtic Fairy Tales* (Bodley Head, 1894, 1985) mogłaby z pewnymi zmianami służyć jako współczesna opowieść o Przybyszach.

Wskazanie historycznych korzeni zjawiska, jakkolwiek całkiem sugestywne, nie przyczynia się jednak w najmniejszym stopniu do zdefiniowania jego pochodzenia.

Może istnieje naprawdę gatunek czarodziejów, a jego przedstawiciele szybują w powietrzu w nie zidentyfikowanych obiektach latających, uzbrojeni w przenikające duszę różdżki, w które wyposażała ich rewolucja techniczna?

Zauważyłem, że za każdym razem, gdy skłaniam się ku jednemu z wyjaśnień, uznając moje doświadczenie za zjawisko rzeczywiste, bądź też psychiczne, natychmiast pojawia się nowa teoria, która z dużą mocą przedstawia argumenty w obronie tezy odrzuconej.

Najbardziej problematyczną partią materiału pochodzącego z hipnozy, był nagły nawrót do roku 1957. Nawet zakładając istnienie Przybyszów, nie potrafiłem tego wyjaśnić. Zmuszony byłem zrewidować poglądy na swoje dotychczasowe życie. Na początku tego rozdziału opisałem swoje głębokie zaniepokojenie, jakie wywołał ten nieoczekiwany zwrot w czasie.

Wkrótce jednak okazało się to fraszką w porównaniu z szokiem, jakiego doznałem po sporządzeniu skrupulatnego remanentu swej przeszłości.

Rozdział 4

Niebo pod stopami

Podróż we własną przeszłość

*Dziecko spytało: „Czym jest trawa?”
przynosząc mi jej pełne garście;
Cóż odpowiedzieć mogę dziecku,
gdy wiem nie więcej od niego?*

Walt Whitman „Pieśń o sobie” ze zbioru „Żdźbła trawy”

Wyruszam w przeszłość

Lato 1957

Im dłużej myślałem o obecności zagadkowej siły w moim życiu, tym trudniej było mi się z nią pogodzić. Zapytany przez Budda Hopkinsa o niewyjaśnione zdarzenia z przeszłości, wymieniłem kilka dziwnych incydentów, między innymi ten w pociągu.

Myślałem sobie: jeśli uwierzę w tak słabo udokumentowany przypadek, to jakie jeszcze niespodzianki mogą mnie czekać? Nieuchronnie zmierzałem do stwierdzenia, że całe moje dotychczasowe życie stanowiło jedynie parawan dla innego wymiaru rzeczywistości. Jest to może niezły temat do spekulacji na długie zimowe wieczory, lecz biorąc pod uwagę niesamowitą intensywność emocji z tym związanych, obawiałem się, że kolejne doświadczenia mogą zdruzgotać całą moją osobowość.

Z drugiej strony nie mogłem jednak odrzucić takiej ewentualności. Z jakiej racji bowiem miałbym tak uczynić? Ze względu na nikłą wiarygodność? Bzdura, cała ta historia była przecież niewiarygodna. Postanowiłem, w ramach eksperymentu, zagłębić się w swoją przeszłość i zobaczyć, co z tego wyniknie. Najstarannie, jak umiałem, przebiegłem w pamięci lata mego życia w poszukiwaniu wskazówek mogących przyczynić się do wyjaśnienia problemu. Zastanowiłem się w pewnej chwili, skąd będę wiedział, że właśnie coś znalazłem. Może podróż pociągiem do San

Antonio przebiegła najnormalniej w świecie? To całkiem prawdopodobne, lecz nie można się o tym w żaden sposób przekonać. Potrzebowałam więc niezbitego dowodu.

Nagły powrót do czasów dzieciństwa wyglądał mi na sztuczkę umysłu. Przypomniawszy sobie seans hipnotyczny, doszedłem jednak do wniosku, że być może dopiero teraz mój umysł zaczyna płatać mi figle. Wspomnienia wyłoniły się tak spontanicznie i w tak przekonującej formie, choć nikt nawet w najmniejszym stopniu nie próbował mi sugerować, bym cofnął się do czasu, gdy miałem dwanaście lat. Ponownie przed oczami stanęły mi rzędy śpiących żołnierzy i wewnątrz *Texas Eagle*.

Aby uchronić się przed obłędem, musiałem założyć, że mój problem leży w granicach ludzkiego pojmowania. Jeśli miał miejsce jakiś kontakt, to musiał on przebiegać według określonych zasad, które potencjalnie byłem w stanie poznać i zrozumieć. Przybysze towarzyszyli mi w pewnym okresie życia – w porządku. Odnaleźli mnie teraz, mimo, że przeniosłem się w miejsce odosobnione – to też było do przyjęcia. Ale nie mogłem się pogodzić z myślą, że przez cały ten czas miałby ingerować w moje życie.

Wygrzebałem skądś swoją fotografię, na której mam właśnie dwanaście lat. Noszę tam mundurek St. Anthony School w San Antonio – chłopczyk tak schludny, że wydaje się wypolerowany na wzór blaszanych odznak w kształcie skrzyżowanych karabinów, lśniących na połach kołnierzyka. U dołu zdjęcia podpis: „Mojemu drogiemu ojcu z wyrazami miłości – Whitty”.

Schludność, którą prezentowałem na fotografii, była złudna, nie przetrwała zapewne ani sekundy dłużej, niż wymagało wykonanie zdjęcia. W wieku dwunastu lat miałem głowę pełną zwariowanych pomysłów, rzadko bywałem więc czysty. Zostało mi to zresztą do dziś.

Przyjrzałem się oczom chłopca. Nie sprawiał wrażenia zaszczutego zwierzątka – ot, normalny chłopak u progu dojrzewania. W maju owego roku urodził się mój młodszy brat, co postawiło cały dom w stan wrzenia, które wspominam niezbyt mile. Był to rok, w którym przeczytałem *Life on the Mississippi*, a także odkryłem Kafkę. Zaczęło się od tego, że pewnego popołudnia zobaczyłem u matki „Przemianę”. Następnie zabrałem się za „Proces”. Autobusem dojeżdżałem do Biblioteki Publicznej w San Antonio, gdzie usadowiwszy się pod leniwie mielącym powietrze wentylatorem, zabierałem się za czytanie Kafki, wprawiając bibliotekarza w zakłopotanie. Później, by zachować równowagę, przerzuciłem się na Roberta Benchleya.

Mój uśmiech krył człowieka targanego wewnętrznymi konfliktami, usiłującego zaakceptować obecność niemowlęcia, burzącą dotychczasowy porządek w domu, nocami przekonującego się, jak wyglądają grzechy, znane dotychczas tylko z opowiadań starszych chłopców. Powodem rozterek był też mój katolicyzm. Nie mogłem odnaleźć miejsca tego wyznania w świecie, którego obraz powoli formował mi się w całość. Zapytywałem, dlaczego papież nie ocalił Żydów przed Hitlerem, dlaczego Kościół skazywał ludzi na spalenie na stosie i co, do diaska, ma wspólnego post mięsny w piątek z dostąpieniem zbawienia? Ponadto, jeśli najgorszą karą w piekle jest zobaczyć niebo i nie móc tam przebywać, co muszą czuć zakonnice w Otchłani, opiekujące się nieochrzczonymi dziećmi, zapomnianymi przez aniołów? One przecież nie tylko widziały niebo, one tam przez chwilę przebywały. Zatem, czy wysłanie ich w Otchłani, nie oznaczało zesłania do osobistego piekła? Niestety, papież zlikwidował Otchłani, zanim zdążyliśmy przedyskutować ten problem na lekcji religii.

Pomimo tych wątpliwości wiara nadal płonęła we mnie żywym płomieniem. Szczególną miłością darzyłem Chrystusa i Matkę Boską, do których modliłem się z wielką żarliwością przy każdej bytności w kościele. A potem ksiądz niezmiennie powtarzał: – Idźcie, ofiara spełniona – choć do końca było jeszcze dziesięć minut. Dlaczego?

W domu wpadła mi w ręce książka George'a Gamowa na temat relatywizmu. Nagle stało się dla mnie jasne, jak zakonnice mogły znosić Otchłani, zrozumiałem też, dlaczego msza kończyła się i nie kończyła zarazem – wszystko było względne. Opisując wszechświat zjawisk fizycznych, Einstein przedstawił również wewnętrzną logikę Kościoła i uratował moją wiarę.

Kiedy jednak powołałem się na Einsteina w rozmowie z matką, powiedziała mi: – Jesteśmy katolikami, a katolicy to absolutyści.

Godzinami potrafiliśmy siedzieć na tarasie, tocząc dyskusje na wszelkie tematy od ogólnych założeń relatywizmu począwszy, a skończywszy na aktualnych cenach tenisówek. Usiłowałem nawet wyperswadować matce jej fanatyczną religijność, lecz stałem bezradny wobec potęgi katolickiego intelektualizmu tych szalonych lat pięćdziesiątych, kiedy msza wciąż jeszcze była misterium, a świat oferował wiele fascynujących i subtelných pokus.

Na jednej z lekcji religii kazano nam napisać esej udowadniający istnienie Boga. Moja praca, celowo napisana w formie tautologicznej tezy, została uznana za podszept szatana. Gdy powiedziano o tym mojej matce, odrzekła: „Za podszept szatana uważam dopuszczenie myśli, że dzieci mogłyby być przez niego wodzone na pokuszenie”. Takie to były czasy, może nie całkiem niewinne, ale z pewnością mniej skomplikowane od dzisiejszych.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek przedtem rozmyślał czy rozmawiał na temat UFO, jednakże gdy ostatnio zapytałem przyjaciela z tamtych lat o najdziwniejsze zdarzenie z przeszłości, odpowiedź wiązała się z moją osobą. Zaznaczam, że nie miał on najmniejszego pojęcia o moich obecnych przeżyciach.

Oto historia, którą mi opowiedział: kiedy mieliśmy po trzynaście lat, oznajmiłem mu pewnego dnia, że „kosmici” poinstruowali mnie, jak zbudować maszynę antygravitacyjną. Konstrukcją zajmowałem się w wolnych chwilach w swoim pokoju. Było to latem 1958 roku. Nie pamiętam genezy powstania tej maszyny, lecz fakty przemawiają za tym, iż budowałem ją rzeczywiście. Konstrukcja nie opierała się na czarnej magii, lecz na parze elektromagnesów ze starych silników. Spodziewany efekt nieważkości uzyskiwało się dzięki zasadzie przeciwbieżności elektromagnesów.

Po włączeniu mojego przyrządu do sieci rozległo się głośne buczenie, elektromagnes znajdujący się w centrum, zaczął się kręcić jak szalony, a światła w całym domu pulsować. W pewnej chwili rozedrgane urządzenie aż jęknęło. Na boki trysnęły fontanny iskier, z dołu dobiegły alarmujące krzyki rodziców. Podczas gdy maszyna dokonywała samozniszczenia, światło z pulsującego stało się przyćmione, żarówki przybrały barwę pomarańczowoczerwoną, by następnie wybuchnąć jaskrawym blaskiem, niektóre w znaczeniu dosłownym.

W końcu udało mi się wyrwać wtyczkę z kontaktu. Nie mając specjalnie ochoty udzielać wyjaśnień rodzicom, popędziłem na dół, gdzie udawałem, że nie wiem, co się stało. Strachu nie musiałem wcale udawać. Przyjaciel opowiadał, że zawołałem go i w wielkim podnieceniu wyjaśniłem, że kosmici wkurzyli się na mnie, ponieważ naruszyłem ich pole siłowe.

Odkryłem później, że istnieje cała mitologia zaawansowania technicznego Przybyszów, a spora jej część dotyczy koncepcji przeciwbieżnych magnesów. Ciekawą historię opowiedział mi kiedyś jeden z uczestników bliskich spotkań – znał on mianowicie człowieka, który podobno otrzymał szczegółowe instrukcje budowy nowego typu silnika w latach pięćdziesiątych. Wskazówki te pozostawały jednak utajone aż do roku 1985, kiedy ów człowiek odkrył je, ku swemu zdumieniu, w swoim umyśle.

Podano mu dokładne wymiary elektromagnesów oraz ich wzajemne odległości w układzie. Otrzymał również instrukcje co do materiałów, jakich miał użyć. Nie widziałem tych planów, trudno mi zatem wypowiedzieć się na ich temat. Niewątpliwie twierdzenie, że przeciwbieżne magnesy mogą wytwarzać jakiś specjalny rodzaj energii, nie idzie w parze z nowoczesną teorią magnetyzmu. Człowiek ten jednakże utrzymywał, iż po uruchomieniu urządzenie w mgnieniu oka przyciągnęło wszystkie metalowe przedmioty, znajdujące się w szopie, tak że on sam został powalony przez przelatujący silnik samochodowy. Następnego dnia szopa z niewyjaśnionych przyczyn spłonęła na popiół.

Zapewne łatwiej byłoby uwierzyć w opisane zjawiska, gdyby zamiast elektromagnesów używano cewek nadprzewodzących. Przy obecnym stanie wiedzy na temat magnetyzmu jest nam niezmiernie trudno wyobrazić sobie źródło tak silnego pola.

Naprawdę nie sądzę, aby szczegóły konstrukcyjne silnika mogły stanowić część systemu zbiorowej halucynacji. Ja sam nie pamiętałem mojego eksperymentu z maszyną antygravitacyjną – usłyszałem o nim dopiero od przyjaciela, który to zdarzenie zachował w pamięci. Moja maszyna

powstała w 1958; ponad dwadzieścia lat później inny człowiek zbudował bardziej dokładny model, ale plany pochodziły z tego samego okresu.

Pamiętam, że następnego dnia po przeprowadzeniu próby z moją maszyną, jakaś nieodparta siła kazała mi opuścić dom. Udałem się wraz z babcią do jej wiejskiego letniaka pod błahym pretekstem zainteresowania jednym z jej karcianych przyjęć.

Około czwartej zadzwonił telefon. Usłyszałem, jak babcia mówi: „Pożar? Pożar w domu Mary Strieber?”

Krew stanęła mi w żyłach. Na całe szczęście nie spłonął dom, lecz jedynie dach nad skrzydłem, w którym znajdowała się moja sypialnia. Przyczyna pożaru nie została do końca wyjaśniona, choć wydaje mi się, że miała więcej wspólnego z wpływem doświadczeń pewnego chłopca na stan domowej instalacji elektrycznej niż z zemstą rozjuszonych Przybyszów.

Szczęśliwie dla mnie moim rodzicom nigdy nawet nie zaświtała myśl, że byłbym zdolny do zniszczeń na taką skalę.

W lipcu 1957 ojciec zabrał mnie i siostrę, która wówczas miała trzynaście lat, by odwiedzić swą siostrę i jej rodzinę w Madison, w stanie Wisconsin. Polecieliśmy samolotem do Chicago, gdzie zatrzymaliśmy się w Hiltonie. Udało mi się tam przypadkowo zrzucić szklankę mlecznego koktajlu z dziesiątego piętra. Przenocowaliśmy w innym hotelu, po czym udaliśmy się do Madison. Tydzień później wracaliśmy do San Antonio pociągiem.

Widok z lotu ptaka na ten pociąg, pędzący przez noc, prześladował mnie przez całe moje życie. Większość okien jest nieoświetlona, co oznacza, że jest już bardzo późno. Po bokach migają gęste, sosnowe lasy, co wskazuje na okolice Arkansas lub tereny jeszcze bardziej na północ – trasa *Texas Eagle* nie biegnie przez sosnowe lasy Wschodniego Teksasu, lecz raczej przez równiny pomiędzy Texarkana a Dallas, a potem na południe przez bezkresne, jałowe obszary.

Z jakichś niewyjaśnionych powodów nigdy nie zastanawiałem się nad tym dziwnym obrazem pędzącego pociągu. Z jakiej okazji miałbym go oglądać z takiej perspektywy? Czy to możliwe, bym choć na chwilę znalazł się poza nim?

Nie przypominałem sobie, bym opuszczał pociąg. Majaczyło mi wprawdzie wspomnienie mego ojca, wpartego w kąt górnego łóżka w naszym przedziale, z wytrzeszczonymi oczami i wargami odsłaniającymi zęby, lecz uznałem to za koszmar wywołany chorobą, na którą zareagowałem bardzo gwałtownie. Wymiotując, miałem wrażenie, że za chwilę umrę. Rzygałem żółcią bez wyraźnej przyczyny, lecz mimo to skurcze nie chciały ustąpić.

Obecnie do tych wspomnień dołączył wyrazisty obraz jakiejś istoty, wpychającej mi do gardła coś w rodzaju pęcherza. Nie jest to jedyne wspomnienie, w którym Przybysze zmuszają mnie do zjedzenia czegoś. W 1968 roku zanotowałem lukę długości czterech do sześciu tygodni „wyjętych z życia” podczas rozpaczliwej i niewyjaśnionej pogoni po całej Europie. Wiąże się to z okropnym wspomnieniem smaku czegoś, co zawsze uważałem za zgniły owoc granatu – tak gorzki, że myślałem, iż rozsadzi mi głowę. Pamiętam, że pielęgniarka podawała mi krople, by mi ulżyć. Ale jaka pielęgniarka? Gdzie? Przecież nigdy nie trafiłem do szpitala.

Mogli mi też coś wepchnąć do ust w nocy 26 grudnia. Pamiętam, z całą pewnością, że próbowali je otworzyć. Na dodatek po całym zajściu umyłem zęby.

Jest to chyba najbardziej niepokojąca rzecz w dotychczasowych doświadczeniach. Nie martwię się o to, że coś zjadłem, ponieważ nadal żyję. Niepokoi mnie strukturalna spójność procesu. Początkowo podają mi coś i żołądek to zwraca. Następnie znowu coś zjadam i tym razem używa się kropli, by zatrzymać to w moim organizmie. Kilkanaście lat później połknięcie czegoś spada do rangi nieważnego epizodu, zepchniętego na drugi plan przez inne wydarzenia.

Krótko mówiąc, moi znajomi Przybysze prawdopodobnie opanowali już sztukę zmuszania mnie do strawienia pokarmu, którym mnie żywią.

Przez długie lata nie myślałem o tych niekończących się godzinach choroby w pociągu. Pamiętam jednak, jak ojciec usiłował mi pomóc, a kiedy był już kompletnie wyczerpany, przyszedł kierownik wagonu sypialnego i podtrzymywał mnie pochylonego nad toaletą. Pojawił się również

lekarz, który usiłował namówić mnie na szklanę wody. Choroba zaatakowała mnie w środku nocy i trwała do samego rana. Kiedy pociąg wreszcie wtoczył się na starą stację MoPac w San Antonio, spałem jak zabity. Ojciec zaniósł mnie do taksówki i zawiózł do domu.

Gdy zajechaliliśmy na miejsce, czułem się już znacznie lepiej i niecierpliwie wyczekiwałem spotkania z przyjaciółmi. W końcu trwała pełnia lata, a nas nie było przez prawie dwa tygodnie. Wyczuwałem, że każdy dzień ostatniego lata mego dzieciństwa jest szczególnie i pragnąłem to wykorzystać. Kipiałem z podniecenia, kiedy jechaliśmy Elizabeth Road. Pomogłem wnieść bagaże do domu i już mnie nie było. Choroba poszła w niepamięć.

Pamiętam, że opowiedziałem wówczas historię, która tkwi w mojej głowie do dzisiaj – o tym, jak słyszałem wycie wilków, a potem widziałem jednego w pobliżu drogi. Opowiadając, czułem się trochę nieswojo. Od tego czasu pozostał obraz wilka, przemyskającego przez polanę i dźwięk jego głosu, odbity echem pośród nocy. W ten sposób zrodziła się trwająca całe życie fascynacja wilkami, która przeszła w umiłowanie tego wspaniałego gatunku.

Wokół tego obrazu osnute są powieści *The Wolfen*, *Wolf of Shadows* oraz *The Wild* – książka, której jeszcze dotąd nie opublikowałem.

Opowiadając tę historię, zdawałem sobie sprawę, że tak naprawdę wcale nie widzieliśmy żadnego wilka ani nawet nie słyszeliśmy wycia. Dlaczego więc to mówiłem? Skąd to się wzięło? Czy było to jedno ze wspomnień osłonowych, tak często spotykanych u świadków wizyt Przybyszów? Wspomnienia z nocy 26 grudnia ukrywała początkowo wizja sowy. Kiedyś już widziałem sowę – było to po wypadkach z 1968 roku.

Zakładając, że moja mądra i stanowcza towarzysząca z odległych światów, jest rodzaju żeńskiego, można powiedzieć, że sowa jest jej osobistym symbolem. Sowa symbolizowała Atenę. Łacińskie określenie sowy „strix” oznacza jednocześnie wiedźmę. W zamierzonych czasach wierzono, że uosabia ona mądrość bogini Isztar, pradawnego bóstwa Mezopotamii o wielkich, przenikliwych oczach. Celtowie czcili sowę jako totem Blodeuwedd, Bogini Księżycy w Trzech Osobach. Kojarzy się ona również z pojęciem Trójcy, pojawiającym się w tej książce nieco później, a które jest najczęściej spotykanym symbolem pojawiania się Przybyszów i wymienianym przez porwanych – ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy z jego wielowiekowego znaczenia, pojmowanego dziś jedynie przez wąski krąg antykwariuszy i mitologów.

Możliwe, że dla Przybyszów poszukiwanie drogi do centrum duszy i zgłębienie stanów duchowych jest postępowaniem naturalnym z racji posiadanego doświadczenia, które każe im zignorować w nas wszystko, oprócz najgłębszych pokładów istnienia. Osiągnąwszy swój cel, staliby się częścią naszej mitologii, podstawową częścią człowieczeństwa.

Moje życie pełne jest niesamowitych historii, takich jak ta o wilku czy o sowie. Co dziwniejsze, moja siostra także wspomina zdarzenie z udziałem sowy. Kiedyś, na początku lat sześćdziesiątych, przemierzając samochodem Teksas, znalazła się gdzieś pomiędzy Kerrville a Comfort. Było już dobrze po północy, kiedy z przerażeniem dostrzegła, jak z nieba sływa nagle potężny snop światła, padający na drogę przed samochodem. Kilka minut później przed maską mignęła jej przelatująca sowa. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest to wspomnienie osłonowe, o którym moja siostra nie ma żadnego pojęcia. Moje wspomnienia osłonowe dotyczą głównie zwierząt, choć zdarzają się wyjątki. Pamiętam, jak przestraszyłem się, widząc w dzieciństwie Mr. Peanuta, choć faktycznie istnieje on tylko na puszkach z orzeszkami. Powiedziałem rodzicom, że nastraszył mnie podczas parady *Battle of Flowers*, choć dzisiaj mam pewność, że nic takiego nigdy się nie zdarzyło. W innym przypadku opowiadałem przez całe lata, że znajdowałem się na Uniwersytecie Tekszańskim w 1966 roku, kiedy ten szaleniec, Charles Whitman, urządził sobie popis strzelecki na uniwersyteckiej wieży. A przecież wówczas nie było mnie w Teksasie!

Gdzie zatem byłem? I co kryje się za pozostałymi wspomnieniami?

Być może w głębi duszy znam odpowiedź na te pytania, jak również na to, dlaczego tak uporczywie zaglądałem do szaf i pod łóżka. Prawdę mówiąc, takie zachowanie datuje się już od dawna, a w 1985 tylko przybrało na intensywności. Uwolniłem się od niego dopiero po ujawnieniu

się wszystkich wspomnień.

W gruncie rzeczy nie sądzę, bym kiedykolwiek w całym swoim życiu czuł się tak szczęśliwy jak obecnie. Cokolwiek się wydarzyło, jednego jestem pewien: zniknęła ogromna presja, towarzysząca mi od samego początku tej sprawy i broniąca dostępu do wspomnień spotkań z Przybyszami.

Ten krótki przegląd utwierdził mnie w słuszności decyzji o za głębieniu się w przeszłość. Zanim jednak podążę tym tropem, chciałbym najpierw poddać szczegółowej analizie ostatnie minuty seansu hipnotycznego, począwszy od momentu, kiedy niespodziewanie przeniosłem się w rok 1957.

Spontaniczna regresja jest zjawiskiem często spotykanym w hipnozie. Występuje ona w momencie, kiedy pacjent skojarzy jakiś element wspomnianego wydarzenia ze zdarzeniem wcześniejszym.

W moim przypadku bodźcem okazały się słowa: „zostałeś wybrany”. Zaraz potem w widmowym przeblasku ujrzałem kobietę w kwiecistej sukni, wykrzykującą „Chwała Panu!” i wspominałem o „pozostałych”. Dr Klein zapytał, kim są ci „pozostali”, a ja, nie zdążywszy udzielić odpowiedzi na to pytanie, przeniosłem się w zupełnie inne miejsce, lecz nadal z tą samą istotą przy boku – a może tylko z kimś, kto był do niej bardzo podobny.

W mojej wizji siedziałem podekscytowany na łóżku, wodząc wzrokiem po innych łóżkach, na których spoczywali pogrążeni we śnie amerykańscy żołnierze. Łóżka wyglądem bardziej przypominały stoły o masywnej podstawie, zwężające się ku górze. Pamiętam, że wszystkie były szare. Żołnierze, przeważnie młodzi chłopcy w roboczych mundurach, leżeli bezwładnie, jak dotknięci śpiączką. Wtedy właśnie dr Klein zapytał mnie o wiek i usłyszałem swój głos odpowiadający, że mam dwanaście lat.

W jednej chwili nastąpiła we mnie radykalna zmiana. Znowu stałem się dzieckiem. To było bardziej niż zdumiewające. Poczujęm się jakiś inny, mniejszy. Uwolniony od balastu doświadczenia mój umysł stał się na powrót umysłem dziecka. Na te kilka chwil powróciłem do stanu niewinności.

Wiedziałem, gdzie się znajduję i czułem z tego powodu podniecenie. Początkowo tylko siedziałem, zadowolony, że udało mi się obudzić, podczas gdy wszyscy żołnierze jeszcze spali. Przejście od sceny, w której siedziałem na krzeselku, wpatrzony w szarą płaszczyznę, do momentu przebudzenia, nastąpiło nagle i bez uprzedzenia.

Kiedy siedziałem na tym krzeselku, ukazał mi się widok, który przekraczał granice mojego pojmowania. Podczas hipnozy odtworzyłem jego część: był to krajobraz z szybującym w przestworzach ogromnym, zakrzywionym obiektem, który okazał się trójkątem. Natłok symboli, jaki w chwilę potem nastąpił, był tak ogromny, że nawet teraz, kiedy o tym piszę, czuję, jak rozsada mi czaszkę i przeszywa bólem całe ciało. Nie pamiętam dokładnie, co to było – trójkąty, przelatujące piramidy, zwierzęta śmigające w powietrzu.

Czy te właśnie wizje są przyczyną stanów lękowych, których występowanie wykazało badanie psychologiczne? Czy może powodem są raczej powracające wspomnienia owalnej sali, w której siedzę na samym środku i odpowiadam na pytania otaczających mnie wzburzonych rozmówców – pytania tak ostre, że ranią moją duszę? Usiłując jako dziecko uporać się z nimi, snułem chorobliwe fantazje wokół postaci, które stały się przyjaciółmi mego dzieciństwa, a które w jakiejś owalnej piwnicy o szarych ścianach, wyciągały z mego umysłu najtajniejsze myśli, jak chirurg kleszczami, wrywający z mózgu roziskrzone neurony. Pamiętam, że wypowiadali słowa, z których każde przechodziło przeze mnie jak huragan, wywołując każde skojarzenie, każdą myśl, każde uczucie z nim związane. Ciągnęło się to godzinami, dopóki nie zacząłem błagać, by skończyli. Mogłem wtedy przez chwilę odpocząć u ich stóp, powierzając swą duszę szorstkiej łagodności ich miłości.

Czy to tylko fantazje, czy może tak właśnie wygląda próba wydobywania najgłębszego sensu słów z dziecięcego umysłu? Kto jednak mógłby tego próbować? Czy tak właśnie wyglądają Przybysze przy pracy?

W dzieciństwie byłem znany z uporczywości w zadawaniu pytań do tego stopnia, że w szkole wolno mi było zadać, tylko trzy pytania podczas jednej lekcji, tak abym nie zgłaszał się bez przerwy. Wierny tej zasadzie również w nowej sytuacji, siedząc na łóżku pośród śpiących żołnierzy,

zaczęłam wypytywać nieznaną istotę. Być może wydała mi się znajoma, dzięki czemu szybko otrząsnąłem się z początkowego szoku.

Wymiana zdań wydała mi się fascynująca. Zapytałem, kim są ludzie wokół mnie i otrzymałem oczywistą odpowiedź, że to żołnierze. Chciałem wiedzieć, dlaczego się tam znaleźli. Odpowiedź brzmiała: Ponieważ byli samotni.

Sugeruje to pewną prawidłowość, która wyłania się także z niektórych badań nad niewyjaśnionymi zjawiskami – nie zidentyfikowane obiekty wybierają z reguły miejsca odludne. Nieczęsto pojawiają się nad miastami, niewiele też znamy przypadków porwania ludzi z gęsto zaludnionych obszarów. Może w grę wchodzi ograniczenia natury technicznej, a może po prostu ryzyko w miejscach zaludnionych wydaje się Przybyszom zbyt wielkie.

Zapytałem, co robią z tymi żołnierzami. Odpowiedź, bynajmniej nie wyczerpująca, brzmiała:

– Badamy ich i odsyłamy do domu.

Pamiętam, jakie zdumienie wzbudziły we mnie te słowa, doświadczyłem tego ponownie podczas hipnozy. Tyle zachodu tylko po to, by kogoś zbadać? Strzeliłem więc:

– Po co wam to?

Wyglądało na to, że istota ma gotową odpowiedź, lecz nagle przerwała w połowie zdania, jakby ktoś przekreślił wyłącznik. Zabrzmiało to jak przeskakująca płyta:

– Chodzi o to, że... Chodzi o to, że...

Urwała, jakby zaskoczona, że została przyłapana na nieprzygotowaniu i powiedziała tylko:

– No cóż... – głosem, w którym pobrzmiwało rozbawienie.

Przez chwilę obserwowałem, jak krząta się wokół. Nie dowiedziałem się, jakie czynności wykonywała – w każdym razie dotykała żołnierzy jakimś przedmiotem w kolorze miedzi. Zapytałem, dlaczego wygląda tak okropnie, bo rzeczywiście można się było jej przerazić. Sam nie wiem, dlaczego jej widok nie wzbudził we mnie strachu. Poruszała się przecież i działała w sposób świadczący o wysokiej inteligencji, pomimo iż nie była człowiekiem. Jest coś w precyzji świadomości wykonywanych ruchów, co wzbudza w nas strach, zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z nieznaną formą życia.

Oczywiście nie zajmowałem się tego typu rozważaniami w wieku lat dwunastu, choć wizja tej niesamowitej istoty, poruszającej się zgrabnie między łózkami, głęboko zapadła mi w pamięć. Zapytana przeze mnie, dlaczego wygląda tak okropnie, odpowiedziała, nie przerywając pracy:

– Nic na to nie poradzę.

Ogromnie jestem ciekaw, jak naprawdę wyglądała Iszta i czy cały panteon pięknych bogów i bogiń nie był przypadkowo dziełem ludzi podobnych do tych, którzy z „boskich” stworzeń o wyjątkowej urodzie, podróżujących w latających talerzach, uczynili swoją prywatną religię. Owi wyznawcy to przeważnie ludzie, którzy nie potrafiąc sprostać twardej rzeczywistości, udają, że nie zauważają zawziętych, bezkresnych oczu, nieprzyjemnych zapachów, obrzydliwego pokarmu i ogólnego poczucia ludzkiej bezradności, które są nieodłącznymi składnikami doświadczeń z Przybyszami. Oni po prostu tworzą nową ludzką mitologię.

Zastanawiam się, czy Homer i Pindar nie uczynili podobnie. Dlaczego właściwie Homer był ślepy? Wiadomo nie od dziś, że „dzieła Homera” zostały napisane przez wielu różnych autorów. Być może histeryczna ślepotą była zjawiskiem powszechnym wśród greckich bardów, spod pióra których wyszedł cały klasyczny panteon. Nie winie ich za to. Histeryczna ślepotą i odpowiedni system wyznaniowy, stanowią doskonałą obronę przed zjawiskami podobnymi do tych, z którymi się zetknąłem.

Z drugiej strony, jeśli Przybysze towarzyszą nam od dłuższego czasu, dlaczego tyle kłopotu sprawiało im przyzwyczajanie mnie do ich pokarmu? Być może substancja o niezmiennym od lat składzie nie była przyswajalna przez mój organizm, a może też sam fakt jej przyjęcia dokonał we mnie zmian. Zastanawiam się, czy stanowi to część procesu aklimatyzacji.

Obserwując wielkooką istotę, poruszającą się wśród żołnierzy z miedzianozłotą różdżką w ręce,

nagle spostrzegłem swoją siostrę. Leżała bezwładnie nieco po prawej, pode mną. Była w swej nocnej koszuli. Do dziś pamiętam, jak wstrząsnął mną jej widok w tym stanie. Byliśmy sobie bardzo bliscy, kochałem ją i podziwiałem, dlatego widok jej leżącej na podłodze w martwym bezruchu, ranił moje serce. Jakiś głos uspokoił mnie, że nic jej nie będzie. Nie słyszałem go, słowa powstawały w mojej głowie.

Następny widok wprowadził mnie w stan przerażenia, jakiego dotąd nie zaznałem. Obok siostry stał mój ojciec w niebieskiej piżamie, z rękami opuszczonymi po bokach; na jego twarzy malował się wyraz kompletnego zaskoczenia. Potem jego wzrok przesunął się w bok, by spocząć na czymś, co pozostawało ukryte przed moimi oczami za framugą drzwi. Niemal jak na zwolnionym filmie, jego twarz eksplodowała nagle. Gwałtownie odrzucił głowę do tyłu, a ciało przeszyło coś w rodzaju wstrząsu elektrycznego, rozczapierzając mu palce i wprawiając ramiona w niekontrolowane drżenie. Oczy wyszły mu z orbit, a szczeka opadła. W następnej chwili z jego gardła wydobył się krzyk, który w moich uszach zabrzmiał jednak niezwykle słabo, jak zduszony wyraz desperacji i strachu.

Postać, którą dotychczas uważałem za „okropnie wyglądającą”, przybrała teraz dla mnie rozmiary monstrualne. Jej realność nie podlegała dyskusji. Ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, że to sen. Działo się to naprawdę, jak wszystkie inne wydarzenia w moim życiu, z tym tylko wyjątkiem, że intensywnością strachu przewyższało najstraszniejsze horrory – nic dziwnego, że wkrótce potem utonęło w mrokach amnezji. W rzeczywistości dopiero w następnym roku miałem obejrzeć mój pierwszy horror *The Creature from the Black Lagoon*, wyświetlany podczas letniego obozu, na którym przebywałem dokładnie jeden dzień. Moje zainteresowania tym gatunkiem rozwinęły się dopiero później. W wieku lat trzynastu wołałem nadal komiksy w stylu *Uncle Scrooge McDuck* i *Linie Lulu*. Najstraszniejszymi obrazami, na jakie byłem narażony były wyświetlane w telewizji: *Alfred Hitchcock Presents* oraz *The Twilight Zone*.

Podczas hipnozy strach ścinał mi krew w żyłach jak lodowata woda. Na szczęście dla Dona Kleina i Budda Hopkinsa, znajdowałem się pod wpływem sugestii, zabraniającej mi krzyczeć, inaczej obawiam się, że byliby narażeni na niemałą porcję piekielnego wrzasku. Zdawało mi się, że kolejne wrażenia eksplodują w moim ciele, do tego stopnia, iż w pewnym momencie sądziłem, że zemdleję. Pamiętam, jak skręciły mi się wnętrzności na widok ojca w tak panicznym przerażeniu. Był wtedy moim bohaterem. Próbowałem go uspokoić, na co wykrztusił tylko: – Nie, Whitty, to nie jest w porządku! – usiłując przyciągnąć do siebie mnie i siostrę. Jego ramiona uniosły się i zastygły w połowie ruchu, a twarz i reszta ciała skręcała się w konwulsyjnych męczarniach. Jego ponowny krzyk został stłumiony.

A oni obserwowali to wszystko nieruchomymi oczami, lśniącymi jak wielkie czarne diamenty.

Wizerunek, który moim zdaniem jest najbliższy, niczym nie upiększonemu obrazowi tych istot, nie pochodzi wcale z żadnego współczesnego filmu fantastyczno-naukowego. To groźna twarz bogini Isztar, o znamionujących starość rysach. Jeśli zamalujemy jej oczy zupełnie na czarno i usuniemy włosy, otrzymamy twarz, którą w tej chwili widzę okiem umysłu – odwieczną i przerażającą, twarz proroka mądrości i bezlitosnego sędziego.

Czy wizerunek ten pochodzi z mojego obecnego życia, czy też z poprzednich wcieleń – z czasów, kiedy w mrocznych świątyniach panowała szara bogini?

Możliwe, że Przybysze to bogowie, którzy nas stworzyli. Francis Harry Crick, słynny odkrywca podwójnej spirali DNA, stwierdził kiedyś, że genetyczna struktura żywych organizmów jest tak skomplikowana, iż sprawia wrażenie kunsztownego projektu.

Rezultaty badań prowadzonych przez doktora Allana C. Wilsona z Uniwersytetu Kalifornijskiego wykazały istnienie genetycznych dowodów na pochodzenie gatunku ludzkiego od jednego tylko osobnika płci żeńskiej, żyjącego w północnej Afryce w okresie między 140.000 i 280.000 lat temu. Innymi słowy niewykluczone, że wszyscy wywodzimy się z łona jednej kobiety.

Gdybyśmy mogli cofnąć się w czasie i odnaleźć ją na bezkresach prehistorycznej sawanny w Mezopotamii, to czy zauważylibyśmy nad jej głową Isztar w swym ogromnym pojeździe

kosmicznym w kształcie trójkąta – takim samym, jaki zaobserwowano nad Westchester County w 1983 roku? Czy dla owego walczącego o byt stworzenia, pojazd ten byłby czymś równie niepojętym i nieuchwytnym, jak latające talerze dla dzisiejszych Sił Powietrznych?

A może czekałaby nas znacznie większa niespodzianka? Może cały panteon bogów, kształtujących dzisiejszą rzeczywistość, odnaleźlibyśmy w niepewnym jeszcze umyśle tego właśnie stworzenia, dziękującego na kolanach za ocalenie życia po tym, jak pazury pantery minęły o cal jej gardło, o mało nie pozbawiając życia nas wszystkich?

Podróży ciąg dalszy

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte

Moja wyprawa zawiodła mnie nad krawędź, za którą otwierała się przepaść pełna cieni. Zastanawiałem się, co mógłbym tam odkryć, uważnie się w nią wpatrując.

Jak naprawdę wyglądało moje życie i ile osób żyło w podobny sposób, ślizgając się po powierzchni mrocznego zwierciadła? Pomyślałem o niezwykłych wydarzeniach roku 1986 i ich znaczeniu dla moich badań własnej przeszłości.

W trzecim tygodniu marca miało miejsce bardzo osobliwe wydarzenie. W nocy 21 marca w pewnym momencie obudziłem się i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie mogę się poruszyć ani nawet otwożyć oczu. Odniosłem wrażenie, że coś zatyka moje lewe nozdrze i że na dodatek porusza się w głąb przewodu nosowego. W odpowiedzi na próbę stawienia oporu, dokładnie między oczami, usłyszałem trzask, przypominający chrupnięcie ugryzionego jabłka, po czym obudziłem się o świcie.

W ciągu dnia moją uwagę zwrócił ból nosa i lekki krwotok, ponieważ jednak żona i syn uskarżali się już na podobne dolegliwości w zeszłym tygodniu (żadne z nich nie przypominało sobie, by ktoś umieszczał im coś w nosie), przypisałem to suchemu, zimowemu powietrzu oraz przeziębieniu głowy.

Po 15 marca żonie i synowi zdarzały się krwotoki z nosa, a na nozdrzach pojawiły się małe guzy. Dokładnie mówiąc Anna miała go na końcu prawego płata, syn zaś na końcu lewego. Mój guz pojawił się w lewym nozdrzu i, gdy ich szybko ustąpiły, zaczął doskwierać do tego stopnia, że umówiłem się z lekarzem na wizytę. Diagnoza lekarska stwierdzała, że utworzenie się ropnego guza nastąpiło na skutek zdraśnięcia śluzówki. Po paru dniach dolegliwość zaczęła ustępować.

Nie myślałem o tym wypadku aż do dnia 26 lipca 1986 roku, kiedy to otrzymałem list od Donalda Kleina, w którym stwierdzał, że wiele moich symptomów odpowiadało opisowi zaburzeń płata skroniowego, które bada się, wprowadzając sondę poprzez przewód nosowy.

Płat skroniowy jest bez wątpienia najważniejszą częścią mózgu, siedliskiem człowieczeństwa. To właśnie tam mieści się ośrodek koordynacji percepcji. Znajdujące się w nim struktury odpowiedzialne są za emocje, motywacje i pamięć. Ludziom, którzy cierpią na zaburzenia funkcji tego organu, zdarzają się przypadki *deja vu*, niewytłumaczalnych stanów paniki, nagłych wrażeń zapachowych, a nawet rozważań natury filozoficznej i kosmologicznej. Czasami, w przypiływie halucynacji, odbywają oni barwne podróże w czasie i przestrzeni.

Początkowo wydawało mi się, że znalazłem wytłumaczenie wszystkich moich przeżyć. Przeczytałem pracę doktora Michaela Persingera z Laurentian University, w której zakładał on, że „stany przejściowe” tej części mózgu odpowiedzialne są za niezwykle doznania psychiczne tudzież religijne. Lecz im bardziej zagłębiałem się w opisy zaburzeń funkcji płata skroniowego, tym większe nachodziły mnie wątpliwości, czy faktycznie stanowią one wyczerpującą odpowiedź na moje pytania. Niewyjaśnione pozostawało na przykład, miazdzące poczucie rzeczywistości,

towarzyszące moim przeżyciom, podobnie jak ich fizyczne następstwa. Nie pasowali do tego wyjaśnienia świadkowie oraz relacje innych „ofiar”. Zaburzenia w płacie skroniowym spadły do rangi kolejnej spekulacji, w niczym nie różniącej się od hipotezy o istnieniu Przybyszów czy pozostałych domysłów. Zmuszony byłem powrócić do punktu wyjścia: nie miałem pojęcia, co się działo, lecz wszystko wskazywało na to, że działo się to w świecie rzeczywistym.

Jak to często w życiu bywa, w tydzień po otrzymaniu listu doktora Kleina los zetknął mnie z kobietą, która również przeżyła spotkanie z Przybyszami. Na wstępie swej relacji wspomniała, że Przybysze wprowadzili jej do nosa sondę, dokładnie między oczy, czemu towarzyszył odgłos „chrupnięcia ugryzionego jabłka”. Narysowała mi szkic sondy, a także postaci przeprowadzającej badanie. Sonda była instrumentem przypominającym igłę osadzoną na niewielkim trzonku, podobnym do rączki noża, postać zaś wydała mi się znajoma, ponieważ widywałem już podobne istoty.

Poprosiłem wówczas Budda Hopkinsa o wykaz jego danych, dotyczących przypadków przenikania w głąb czaszki. Spośród setki przypadków, jakie zgromadził, cztery – włącznie z moim – dotyczyły wejścia przez ucho bądź tuż za nim, trzy pod okiem i jednaście – znów z moim – przez przewód nosowy. Naliczyłem najwięcej przeniknięć przez nozdrza, dokładnie w nerw węchowy i, za jego pośrednictwem, do centralnego ośrodka mózgowego, oraz do położonego tuż za tym nerwem płata skroniowego.

Dla porządku wyjaśnię tylko, że jesteśmy z synem mańkutami, stąd też nasze obrażenia w lewym nozdrzu – Anna zaś jest praworęczna.

Przy naruszeniu płata skroniowego, niemożliwe jest stwierdzenie, czy mamy do czynienia z zaburzeniem jego czynności, czy też z żywymi istotami. Przybysze mogą ingerować w funkcje płata skroniowego w celu wywołania nieprawidłowości, które później zostałyby rozpoznane jako symptomy epilepsji. Zdając sobie sprawę z tego, że odczytanie elektroencefalogramu jest sprawą bardzo subiektywną, postanowiłem poddać się oddzielnym testom płata skroniowego u dwóch różnych lekarzy. Jeden z nich był neurologiem zarekomendowanym mi przez Dona Kleina, drugiego zaś polecił mi inny psychiatra. Ów drugi specjalista po dokonaniu wstępnych badań, doszedł do podobnych wniosków, co znajomy Dona Kleina. Nie stwierdzono żadnych śladów zaburzeń. Opowiedziałem mu swoją wersję wydarzeń z 26 grudnia, lecz powstrzymałem się od wysuwania jakichkolwiek hipotez, by nie czuł się zmuszony bronić swej diagnozy w ich obliczu. Udałem się następnie do laboratorium, gdzie dzięki chlorohydratowi jakoś zniósłem umieszczenie elektrod głęboko w mojej jamie nosowej. Wyniki nadeszły parę dni później: całkowicie normalne funkcjonowanie płata skroniowego, potwierdzone diagnozami obu neurologów.

Tak więc, cokolwiek mi uczyniono, nie pociągnęło to za sobą uszkodzeń systemu, wykrywalnych przez naszą naukę na jej obecnym poziomie. Okazało się również, że nie jestem chory psychicznie. Hipoteza o zaburzeniach płata skroniowego miała już teraz trzy słabe punkty: przede wszystkim zaprzeczało jej występowanie fizycznych następstw oraz obecność świadków, poza tym elektroencefalograf wykazał, że jestem absolutnie normalny pod tym względem, a postulowane przez doktora Persingera „stany przejściowe”, nie mogły tłumaczyć skomplikowanych zjawisk, których doświadczyłem. Mogłaby je uzasadnić tylko i wyłącznie całkowita epilepsja płata skroniowego.

Jak dotąd żadna hipoteza nie była w stanie wyjaśnić motywów postępowania Przybyszów ani też ich niezwyklej pewności siebie, z jaką wprowadzili sondę do mojego mózgu poprzez rojącą się od zarazków jamę nosową. Żaden lekarz nie odważyłby się na to, co tylko dowodzi faktu, iż nie są to wspomnienia operacji przechodzonych w dzieciństwie. Żadna ze znanych mi operacji nie przebiega w podobny sposób, to znaczy przez wprowadzenie igły do przewodu nosowego. Co więcej, operacja taka nie była w stanie spowodować zaburzeń mózgu, prowadzących do urojeń, ponieważ miała miejsce dopiero kilka tygodni po tym, jak odkryłem i opowiedziałem prawdę o wcześniejszych wydarzeniach. Spójność elementów mego opowiadania oraz zaobserwowanych efektów ubocznych – krwotoku i uszkodzenia nosa – sugerowała, że mamy do czynienia ze zjawiskiem rzeczywistym, wykluczając jednocześnie możliwość zaburzeń umysłowych.

Gdyby cała ta historia została zainicjowana naruszeniem płata skroniowego, skłaniałbym się ku przypisaniu temu wszelkich anomalii w percepcji, jakie mi się zdarzyły. Lecz operacja nie zapoczątkowała wcale moich niesamowitych przeżyć. Owszem, mogła diametralnie zmienić zarówno mój sposób widzenia tego zagadnienia, jak i całej przeszłości. Być może taki właśnie był jej cel.

Przebiegłem w myślach ostatnie parę tygodni. Większość wydarzeń od grudnia była dobrze udokumentowana w tym sensie, że gdy tylko coś zaszło, natychmiast informowałem o tym innych.

Oprócz wizyty z 15 marca, którą dokładnie opisuję w innym miejscu, wydarzył się w tym okresie jeszcze jeden incydent, o którym warto wspomnieć. W dużym stopniu przyczynił się on do uchYLENIA drzwi, prowadzących w moją przeszłość. Stało się to możliwe dzięki zmysłowi powonienia. Incydent miał miejsce jeszcze przed badaniem płata skroniowego.

Piątkowy wieczór 7 lutego spędzaliśmy w naszym mieszkaniu w mieście. Znajdowałem się wówczas u kresu wytrzymałości. Miałem złe przecucia. Wyczuwałem obecność Przybyszów, denerwującą, niemal namacalną. Czuję ich zapach – wyraźny odór tłęcego się kartonu, znany mi z przeszłości. Żona także go wyczuwała; był to zapach, który wielokrotnie pojawiał się w naszym życiu, jednakże dotychczas nie pojmowałem jego znaczenia. Oprócz niego w powietrzu unosiła się woń sera z cynamonem, którą z kolei pamiętałem z 26 grudnia.

Leżałem w łóżku, próbując walczyć z bezsennością, cały zlany potem. Ze zdumieniem odkryłem w pewnym momencie, że cztery godziny upłynęły w mgnieniu oka. Dopiero co zabierałem się do czytania – było około północy – zdążyłem zaledwie przewrócić kartkę, a tu nagle zrobiła się czwarta rano.

Kiedy wstałem z łóżka po krótkim śnie, odkryłem na swoim przedramieniu znamię w kształcie dwóch trójkątów. Nie mam pojęcia, co zaszło tej nocy i chyba nigdy się nie dowiem. Większy z trójkątów wycięto zaledwie w kilku zewnętrznych warstwach naskórki – przypominało to dzieło wykwalifikowanego chirurga. Drugi, o mikroskopijnych rozmiarach, wierzchołkiem zwrócony był w stronę większego.

Rankiem 8 lutego stałem pod prysznicem, wpatrzony w te trójkąty, a strumienie wody uderzały o moje plecy. W nozdrzach wciąż miałem jeszcze zapachy ostatniej nocy. Zapach jest elementem doskonale wywołującym wspomnienia. W tym przypadku woń spalenizny nagle otworzyła przede mną kilka drzwi na raz.

Ostatni raz wdychałem ją w 1972 lub 1973. Wybraliśmy się z żoną do San Antonio w odwiedziny do moich rodziców. Spaliśmy w dawnym pokoju mojej siostry, na drugim piętrze. Przez korytarz sąsiedował z nim mój pokój z lat chłopięcych. W nocy obudził mnie jakiś hałas. Postanowiłem napić się wody. Wychodząc z sypialni, poczułem dziwny zapach, jakby tłęcego się kartonu.

Gdy byłem w połowie drogi do łazienki, z mojego dawnego pokoju wypadła nagle niewysoka, ciemna postać z czerwonym światełkiem w ręce i ruszyła po schodach w dół. Przez chwilę stałem, kompletnie zaskoczony, lecz w końcu uznałem, że to ktoś z domowników. Wzrost postaci zbyt niski, jak na człowieka, nie wzbudził moich podejrzeń. Dlaczego? Prawdopodobnie z tych samych powodów, z jakich nikt z nas nie pamiętał wydarzeń z 4 października. Może tak właśnie miałem pomyśleć?

Światełka w rękach Przybyszów występują w wielu relacjach z bliskich spotkań, a baśniowe podania aż roją się od rozjarzonych „magicznych kamieni”.

Ciąg dalszy opisaną wyżej historii nie nastąpił, jeśli nie liczyć wzmianki jednego z domowników dotyczącej dręczącego go przez całą noc koszmaru. Nikt tego wtedy nie skomentował i trudno dziś domyślić się, czego ów koszmar mógł dotyczyć.

Z zadumą myślę o tym, jak długo prowadziłem życie uciekiniera. Pewna młoda kobieta, której przypadek naglego zaniku ciąży po spotkaniu z Przybyszami jest udokumentowany medycznie, również opisuje swoje życie jako nieustanną ucieczkę: – Cały czas pragnęłam przeprowadzić się do Nowego Jorku ze względu na blask światła i bliskość ludzi.

Ja przecież czułem to samo, a teraz okazuje się, że ona mieszka przecnicę dalej. Oboje uciekaliśmy jak wariaci po to, by zatrzymać się w tym samym miejscu, rozdzieleni zaledwie jedną ulicą. Przypadek? Możliwe, lecz wierzę, że umysł ludzki wyszukuje zarówno te główne, jak i te subtelne uporządkowania – wizerunki w chmurach, łowców wśród gwiazd – a wszystko to w pogoni za ukrytym sensem świata. To samo pragnienie zrozumienia, które dawniej kazało człowiekowi nadawać gwiazdnemu chaosowi formy konstelacji, dziś może zmuszać mnie do wyciągania fałszywych wniosków. A przecież bez pomocy ogólnej teorii przypadkowości, nie mógłbym osądzić, co dzieje się naprawdę. Ponownie zatem zanurzyłem się w odmęty swej przeszłości.

Miałem dziewięć lat, kiedy wraz z kolegą nocowałem na dworze w jedną z tych pięknych letnich nocy, jakie zdarzają się tylko w Teksasie. Tuż po północy coś wyrwało nas ze snu – może sowa polująca na szczury, urwane nagle cykanie świerszczy lub też zachód księżyca. W każdym razie leżeliśmy rozbudzeni, delektując się w ciemności swą samotnością. Wyruszyliśmy odkrywać kulisy nocy, odwiedzając znajome miejsca, szerokie trawniki i splątany gąszcz krzewów, przemienione na ten czas w nowy, niesamowity świat. Na niezamieszkanym działce na tyłach naszego domu znajdowało się akrowe pole słoneczników, z których każdy był wyższy od nas. Wędrowaliśmy właśnie wśród ich łodyg, gdy usłyszeliśmy, że ktoś się zbliża. Mój kolega odwrócił się na pięcie i już go nie było. Ja przez chwilę stałem jak wryty, po czym również rzuciłem się do ucieczki. Kiedy dotarłem do naszych śpiworów, stwierdziłem, ku swemu najwyższemu zdumieniu, że kolega zdążył zasnąć tak mocno, iż nie mogę go obudzić. W jaki sposób z pędzącego na oślep w przestrachu chłopca zmienił się w jednej chwili w pogrążone we śnie, bezwładne ciało? Dlaczego po tym, co się zdarzyło, nadal pozostał na zewnątrz? Dlaczego nie pobiegł prosto do domu? Kolejny to przypadek, gdy nasze zadawanie nie idzie w parze z rangą przeżycia.

Innym razem zaobserwowaliśmy na niebie zjawisko, które do dziś uważam za niewytłumaczone: po niebie nad naszymi głowami przemknął potężny obiekt. Po dwudziestu pięciu latach zatelefonowałem do owego kolegi. Rozmawialiśmy chwilę, po czym zapytałem, czy pamięta obie opisane przeze mnie noce. Ani słowem nie wspomniałem przy tym o moich przeżyciach czy o kwestii Przybyszów. Pierwszą noc skomentował następująco: „Przestraszył nas pewnie jakiś pies”, a po chwili dodał, mówiąc już o drugiej nocy: „A, tak. Pamiętam. To było coś wielkiego. Wyglądało jak..., cóż w każdym razie dość dziwnie. A potem przejechał ten czarny samochód”.

Wtedy również przypomniałem sobie, że gdy tylko obiekt zniknął nam z oczu, pojawił się stary, czarny samochód z wygaszonymi światłami, pędzący Elizabeth Road w tym samym kierunku, gdzie zniknął obiekt.

Czy powyższe opisy dotyczą rzeczywistych wypadków, czy też wspomnień osłonowych? Być może przy dużej dozie cierpliwości i staranności uda się wypracować metodę bardziej wiarygodną niż hipnoza, dzięki której będzie można odpowiedzieć na takie pytania.

Pamiętam również, że któregoś dnia leciałem w towarzystwie jakichś istot nad dachami domów w naszym sąsiedztwie. Niejednokrotnie budząc się rano, znajdowałem w łóżku żdźbła trawy i kawałki gałązek, wskazujące na to, że wychodziłem dokądś w nocy.

Nie znajduję już więcej nic szczególnego, może oprócz wspomnienia przerażającego owalnego obiektu, majaczącego niewyraźnie na niebie w okresie mego niemowlęstwa oraz gromady płowych małąp wyłaniającej się zza wzgórze. Najprawdopodobniej miało to miejsce w wiejskim domu mojej babci, kiedy miałem dwa lata, a więc w lecie 1947 roku.

Od czasu, kiedy miałem dziewięć lat do wydarzeń w Austin we wrześniu 1967, nieliczne wspomnienia, które mnie nawiedzały, a które nie zostały ujawnione podczas hipnozy, były bardzo niejasne. W 1967 uczęszczałem na Uniwersytet Teksaski. W ostatnim tygodniu sierpnia, kiedy właśnie wynająłem nową pracownię i przeprowadziłem się z San Antonio z powrotem do Austin na jeden semestr, zdarzyło mi się coś, co dzisiaj zakwalifikowałbym jako „dziurę w czasie”, trwającą przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

Poprzedniego dnia wprowadziłem się do mieszkania i koło południa siedziałem sobie właśnie, konsumując telewizyjny obiad, kiedy ze zdumieniem stwierdziłem, że talerz jakimś cudem skoczył

mi z kolan na stół, a potrawa zupełnie wystygła. Zastanawiam się, czy przypadkiem w tym momencie nie wpadłem w jakąś dziurę w czasie. Pamiętam, że odgrzałem jedzenie i przy okazji zanotowałem, że jest druga po południu. Uznałem, że musiałem zasnąć przy jedzeniu. Wstawiłem obiad do piecyka i nastawiłem wyłącznik na piętnaście minut. Odwróciłem się, by sprawdzić temperaturę podgrzewania i zamarłem, a w ustach zrobiło mi się sucho – za oknem zachodziło słońce. Obiad znów był zimny, a ja nie byłem w stanie (i nadal nie jestem) określić, jak minęły wypełniające ten czas godziny. Przestraszyłem się, że cierpię na zaćmienia umysłu i postanowiłem zadzwonić po lekarza. Kiedy wyciągnąłem rękę po telefon, wmontowany w piecyk zegar pokazywał północ. Moje wrażenia wydawały się biec nieprzerwanym ciągiem, nie pamiętałem również, bym stracił przytomność. W jednej chwili zegar pokazywał, że jest nieco po szóstej i niebo rozświetlał popołudniowy blask, w następnej uczyniłem ruch w stronę telefonu i zegar wyświetlił północ, podczas gdy za oknem niebo okryło się nieprzeniknioną czernią. Wyglądało to, jakby sześć godzin minęło niezauważalnie w jedną sekundę.

Przerażony, rzuciłem się do wyjścia z tego ciemnego mieszkania. Dostałem drgawek ze strachu, a pragnienie, które zacząłem odczuwać, było nie do zniesienia. Następną rzeczą, jaką pamiętam, była umywalka. Woda przelewała się w pełnej szklance, a mój zegarek pokazywał czwartą trzydzieści. Wypadłem za drzwi i natychmiast owiało mnie chłodne powietrze teksaskiego przedświt. W tym momencie na niebie rozgrywała się scena wyjątkowej piękności, która, jak później opowiadałem przyjaciółom, przypominała deszcz meteorów, ten jednak miał już miejsce w początkach sierpnia. Wsiadłem w samochód i pojechałem do całonocnej restauracji „Nighthawk” na Guadalupe Street. Tam spożyłem potężne śniadanie, składające się z tostów, jajek, bekonu, płatków i kawy oraz co najmniej sześciu szklanek soku pomarańczowego. Gdy opisałem te dwadzieścia cztery godziny Jimowi Kunetce, który ma dar tworzenia nowych terminów, wkrótce znalazł nazwę dla mojego stanu. Nazwał go „złodziejskim transem”. Całe lata naśmiewaliśmy się ze „złodziejskiego transu”, lecz teraz wcale mi nie do śmiechu. Brak dowodów na to, że cierpię na zaburzenia funkcji mózgu, a czułem się wówczas równie dobrze jak dziś.

Kilka tygodni później, w domu mojej babci w San Antonio, nastąpił niesamowity epilog powyższej historii. Leżałem w łóżku, czytając *Time*. Było już całkiem późno i właśnie szykowałem się do snu. Za każdym razem, gdy pojawiałem się w San Antonio, kierowałem swe kroki do domu babci. Wolałem się zatrzymać tam, bo mój młodszy brat, wówczas kilkunastoletni, skutecznie przejął mój dawny pokój, a przy okazji kontrolę nad całym domem.

Leżąc w łóżku, będąc przy zdrowych zmysłach i w pełni władz umysłowych, doświadczyłem zjawiska tak niewiarygodnego i napawającego strachem, że do dziś pamiętam je w najdrobniejszych szczegółach. Otóż nagle przeniosłem się do Austin, cofając się w czasie o parę tygodni. Wskoczyłem do samochodu i tyłem wyjechałem z parkingu przed domem, w którym mieszkałem. Była noc i okna w samochodzie były zamknięte, tak że nie widziałem na zewnątrz nic, z wyjątkiem odbicia deski rozdzielczej na szybie. Czułem się jak ślepy, stanąłem więc na poboczu. Jakiś kształt zbliżył się do samochodu. Z przerażeniem patrzyłem, jak na bocznej szybie rozplaszcza się wąska i ciemna twarz zaglądnąca do środka demona o skośnych oczach. Usłyszałem jego wysoki, piskliwy głos. Pamiętam, że odpowiedziałem, iż nie możemy tak po prostu zostawić samochodu na środku drogi.

Przez krótką chwilę uwikłałem się w śmiertelną walkę. Z jednej strony znajdowałem się w samochodzie, rozpaczliwie usiłując odjechać i zwalczyć nieodparty impuls, by wysiąść i wrócić do mieszkania, jednocześnie zaś, na jawie, zmagając się z przemożnym pragnieniem, by wyskoczyć z łóżka i wybiec na zewnątrz. Wydawało mi się, że rzucam się jak ryba w sieci.

Nagle wszystko ustało. Wbrew moim odczuciom okazało się, że nie poruszyłem się ani o cal. Przed sobą trzymałem nadal rozłożone czasopismo, a po drugiej stronie korytarza przez otwarte drzwi mogłem dostrzec babcię pogrążoną w cichej lekturze. Przerażający koszmar, jaki dosłownie przed chwilą przeżyłem, nie podniósł nawet pyłka kurzu z podłogi.

Tej nocy długo leżałem przy zapalonym świetle. Zasnąłem dopiero krótko przed świtem. Dzisiaj sądzę, że opisany koszmar był niespodziewanie ujawnionym wspomnieniem mojej ucieczki przed

Nieznany w Austin. Strach, który przeżyłem ponownie, był tak intensywny, że do dziś pamiętam jedynie ów sen, a nie faktyczne wydarzenie.

W moim życiu pojawił się motyw ucieczki i jest obecny w nim do dziś. Parę tygodni po opisanym wydarzeniu, nagle dostałem obsesji na punkcie wyjazdu ze Stanów, porzucenia uniwersytetu i zaszycia się w jakimś odległym zakątku świata. Wyobrażenia przynosiła mi obraz miłego, przytulnego mieszkanka w jakimś olbrzymim mieście. Łaknąłem zgiełku, powodzi światła, które zastąpiłyby surowy krajobraz Teksasu i jego rozgwieżdżone noce.

Posiadałem niewiele pieniędzy, różnymi sposobami usiłowałem zatem wykombinować dostateczną ilość gotówki potrzebnej na wyjazd. Uzyskałem pożyczkę w Minnie Stevens Piper Foundation z San Antonio na studia filmowe w London School of Film Technique. Dostałem też trochę pieniędzy za przekład *Tiestes* Seneki i napisanie na jego podstawie scenariusza filmowego dla U.T. Department of Radio, Television and Film. Ponadto podjąłem prace jako operator kamery. W styczniu 1968 roku dysponowałem już potrzebną sumą i bez przeszkód wyjechałem do Londynu. Nigdy w życiu nie opuszczałem żadnego miejsca z równą przyjemnością, z jaką wówczas wyjeżdżałem z Teksasu. Przez wiele lat jako wyjaśnienie mojego nagłego wyjazdu podawałem szok, jaki przeżyłem po incydencie z Charlesem Whitmanem. Prawda natomiast jest taka, że nawet ów szalony snajper nie wykurzyłby mnie ze Stanów: uczyił to lęk.

Pierwsze miesiące pobytu w Londynie stanowiły błogą rozkosz. Czułem się, jakby ktoś zdjął mi kamień z serca. Szkoła dostarczała mi wielu rozrywek. Dużo czasu spędzałem na zajęciach z historii filmu, oglądając stare dzieła. Wieczory spędzałem w National Film Theatre na oglądaniu innych starych filmów. Zawarłem interesujące przyjaźnie. Raptem w lipcu wydarzył się kolejny incydent. Nie potrafię jasno powiedzieć, co zaszło, bo było to zbyt pogmatwane, zbyt zawiłe. Znajdowałem się w mieszkaniu przyjaciela na King's Road na Chelsea. W późniejszych latach określałem to zdarzenie mianem „nalotu na mieszkanie”, z którego wyrwałem się, „uciekając po dachach”. Jedyne, co faktycznie pamiętam, to okres kompletnego chaosu percepcyjnego, po którym nastąpiło fascynujące wrażenie, jakbym zaglądał z góry w kominy budynków. Potem nastąpiła ciemność. Następnego ranka ocknąłem się w swoim własnym mieszkaniu, nie mając pojęcia, jak się tam dostałem. Nie wiedziałem też, co się wydarzyło poprzedniego dnia, nie mając żadnych świadków, z jednym może wyjątkiem, o którym za chwilę.

Następnego dnia podjąłem decyzję wyjazdu na kontynent. Czułem, że nie wytrzymam w Londynie ani chwili dłużej. Jeden ze świadków wydarzeń w mieszkaniu kolegi ostrzegał mnie przed tym wyjazdem, wmawiając mi, że nigdy już nie wrócę. Rozbawił mnie tylko. Zamierzałem przecież wyjechać na dwutygodniowe wakacje, a nie na całe życie. Powiedział mi na to, że postara się o wiedźmę, która rzuci na mnie urok i sprowadzi z powrotem. Cóż za niedorzeczność, pomyślałem wtedy. Ostatnio odnalazłem tego człowieka i wypytałem o tamten incydent. Nie potrafił wytłumaczyć swego zachowania, chociaż pamiętał, że odczuwał niejasne obawy w związku z moim wyjazdem.

Do Włoch pojechałem pociągiem, drugą klasą. W tej podróży zaprzyjaźniłem się z pewną młodą kobietą, z którą postanowiliśmy wspólnie kontynuować podróż. Od tej chwili z moimi wspomnieniami zaczyna się dziać coś niedobrego. Dopóki o nich nie myślę, wszystko jest w najlepszym porządku, lecz gdy próbuję je uporządkować, zupełnie do siebie nie pasują. Pamiętam, że jechaliśmy do Rzymu i po drodze zatrzymaliśmy się na kilka dni we Florencji. Od osiemnastu lat opowiadam wszystkim, że byłem we Florencji sześć tygodni, ale kiedy latem 1984 roku udałem się tam w ramach promocji włoskiego wydania *Warday*, złapałem się na tym, że zupełnie nie znam tego miasta. Mimo to spokojnie przeszedłem nad tym do porządku dziennego.

Z jakiegoś powodu pozostawiłem moją towarzyszkę podróży w Rzymie i wsiadłem do pierwszego lepszego pociągu, bez biletu, bez określonego celu. Wylądowałem w Strasburgu, gdzie zwiedziłem katedrę, po czym, pod wpływem nagłego impulsu, ruszyłem na stację, wskoczyłem do pociągu – tym razem lokalnej linii – który w żółwym tempie przemierzał Francję, by w końcu zatrzymać się w Port Bou przy granicy hiszpańskiej. Tam wsiadłem w pociąg hiszpański, który zawiózł mnie do Barcelony. Byłem splukany, musiałem więc gnieździć się w obskurnym pokoiku

hotelowym na Ramblas. Przypominam sobie noce pełne strachu, przy zgaszonym świetle, zamkniętych oknach i drzwiach. Jednym słowem, życie uciekiniera obawiające go się samotności, straszącego jak duch na Ramblas, dziękującego Bogu za rzekę ludzi płynącą ulicami. Pozostałe wspomnienia są tylko bezładną gmatwaniną. Wiem tylko, że wypadły mi z życia całe dwa tygodnie. Powraca do mnie scena na pokładzie głośnego samolotu, wypełnionego jakimś odorem, z kimś, kto tytułował siebie trenerem. Są też obrazy związane z jakimś kursem na starożytnym uniwersytecie oraz widok niewielkich chatek z cegły suszonej na słońcu, których prostota wzbudziła moje zdumienie.

W niewyjaśniony sposób znalazłem się z powrotem w Londynie, kilka tygodni później niż planowałem. Nie mam pojęcia, co robiłem w tym czasie, czy jak wróciłem, wiem tylko, że około szóstej rano znalazłem się przed hotelem, w którym natychmiast wynająłem pokój i spałem aż do południa. Zaraz po lunchu udałem się na stację, gdzie okazało się, że mój pokój został już komuś wynajęty, a mój dobytek spoczywał w piwnicy, spakowany w kuferku. Nieco poirytowani właściciele poinformowali mnie, że mówiłem o dwóch tygodniach, zniknąłem na znacznie dłuższy czas, a ponieważ nie zapłaciłem czynszu z góry, zdecydowali się wynająć mój pokój następnemu na długiej liście oczekujących.

Nie miałem wyjścia, musiałem się z tym pogodzić. Przez jakiś czas mieszkałem kątem u kolegi, potem znalazłem mieszkanie na West Moreland Terrace na Pimlico, gdzie pozostawałem do końca grudnia 1968 roku. Gdyby tego rodzaju incydenty zdarzały się regularnie w moim życiu, mógłbym podejrzewać, że znajduję się w jakimś transie, lecz mimo mnogości tych przypadków ich charakter był tak zróżnicowany, że nie pasowały do swoistej logiki cechującej chorobę.

Nieco więcej zachowałem w pamięci z wiosennych wydarzeń roku 1977. Od 1970 zajmowaliśmy wraz z żoną dwupokojowe mieszkanie na ostatnim piętrze starego budynku przy Zachodniej Pięćdziesiątej Piątej na Manhattanie. Pomimo ciasnoty byliśmy szczęśliwi. Tam właśnie scementowało się nasze małżeństwo, utwierdzając nas oboje w pragnieniu wspólnego pożycia. Któregoś kwietniowego wieczora w 1977 zdarzyło się coś tak niesamowitego, że do dziś nie rozumiem, dlaczego nie przywiązywaliśmy do tego większej wagi. Siedzieliśmy w pokoju, gdy naraz ktoś przemówił przez nasz zestaw stereofoniczny, który jeszcze przed chwilą odtwarzał płytę. Zdumienie nasze nie miało granic, gdy głos rozpoczął z nami konwersację.

Dźwięczał głośno i czysto, nie jak w przypadku zniekształconych brzmień, które można czasami odebrać z przejeżdżającej taksówki lub od krótkofalowca. Nie zdarzyło się to nigdy ani przedtem ani potem. Nie pamiętam przebiegu rozmowy oprócz ostatniego zdania, które brzmiało: „Wiem o was coś jeszcze”. Tylko tyle. Pozostawiono nas w niepewności. Oczywiście nie potraktowaliśmy tego incydentu zupełnie obojętnie. Zadzwoiłem do Federalnej Komisji Łączności, gdzie poinformowano mnie, że krótkofalówki i radiotelefony używane przez taksówkarzy i policję czasami zakłócają odbiór programów radiowych, lecz jednocześnie zapewniono mnie, że rozmowa na falach eteru jest wykluczona. Nasz zestaw nie posiadał mikrofonu ani nawet magnetofonu. Był to model KLH, niezłej jakości i względnie tani, a przy tym ogólnie dostępny w połowie lat siedemdziesiątych. Miałem go od czterech czy pięciu lat.

Kilka tygodni później ogarnęło mnie nieodparte pragnienie zmiany miejsca. Anna przystała na to z chęcią. Mieliśmy parę ważnych powodów: potrzebowaliśmy przestrzeni, a ja właśnie dostałem całkiem niezłą podwyżkę (byłem wówczas zatrudniony w przemyśle reklamowym, mogliśmy więc sobie na to pozwolić). Pod koniec maja wprowadziliśmy się do mieszkania na ostatnich dwóch piętrach eleganckiego budynku z elewacją z piaskowca, na Zachodniej Siedemdziesiątej Szóstej. Przez rok wszystko szło jak z płatka. Którejś nocy w czerwcu 1978 roku wydarzyło się coś straszego. Nie mam pojęcia, co się właściwie wtedy stało. Raz wydawało mi się, że był to niespodziewany telefon, po którym nastąpiła pełna grozy wizyta, potem z kolei sądziłem, że była to cała seria nocnych telefonów z pogrózkami. Wiem, że telefonowałem po policję, która przeszukała dach i nikogo tam nie znalazła. Pamiętam jednak wyraźnie, że patrząc przez okno na ogród dachowy, zobaczyłem stojącą tam postać. Mógł to być zwyczajny włamywacz, lecz instynkt podpowiadał mi, że za tą postacią kryje się coś więcej.

Niemal z dnia na dzień podjąłem decyzję, że przeprowadzamy się do Connecticut. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może to w jakikolwiek sposób wiązać się z nocnymi wydarzeniami. W lipcu 1978 roku wynajęliśmy dom w Cos Cob, po czym wyjechaliśmy do Teksasu, gdzie spędziliśmy większość czasu dzielącego nas od przeprowadzki. W naszym mieszkaniu spaliśmy zaledwie kilka nocy. Także i tym razem mieliśmy dość powodów, by zmienić miejsce zamieszkania: puściliśmy w niepamięć nocny incydent, usprawiedliwiając nasze plany racjonalnym motywem wyrwania się z miasta. To pragnienie wydaje się z perspektywy czasu naturalną konsekwencją paniki, jakiej ulegliśmy. Anna była wówczas w ciąży i perspektywa wchodzenia na ostatnie piętro, (nie było tam windy), nie uśmiechała jej się zanadto. Nie przyszło nam do głowy, że radykalne decyzje przenoszenia się z miasta do miasta podejmowaliśmy pod wpływem chwili. Uciekaliśmy, nie zdając sobie z tego sprawy.

W Cos Cob mieszkaliśmy przez niepełny rok. Na początku roku 1979 którejś nocy obudziłem się pod wpływem niesamowitego wrażenia, że przez okna naszego, bądź co bądź samotnie stojącego domu, wdiera się masa ludzi. Przeraziłem się nie na żarty, byłem przecież świeżo upieczonym ojcem. Pamiętam jedynie, że podjąłem desperacką próbę dotarcia do swego dziecka, i to wszystko. Kolejnej nocy zbudziły nas mroźące krew w żyłach krzyki w sąsiedztwie. Wezwaliśmy policję, ta jednak nie pojawiła się, a sąsiedzi nigdy nie wspomnieli o tym incydencie ani słowem. W parę tygodni później opuściliśmy Cos Cob, tłumacząc się „zmęczeniem wiejskim życiem” i pragnieniem powrotu do miasta.

Inny interesujący przypadek nocnych krzyków miał miejsce w sierpniu 1986 roku w Provincetown w stanie Massachusetts. Przebywaliśmy tam u przyjaciół. W nocy poderwał nas z łóżek przerażający wrzask, dobiegający, jak nam się zdawało, sponad dachu domu, w którym gościliśmy. Żadna z osób, z którymi rozmawialiśmy następnego dnia – z naszymi gospodarzami włącznie – nie pamiętała żadnych nadzwyczajnych zdarzeń z poprzedniej nocy. Właściciel domu stojący o dobry kilometr od naszego, zapytany przeze mnie, czy dobrze spał owej nocy, odparł jednak, że obudziły go głośne krzyki. Jak się okazało, on również miał w przeszłości do czynienia z Przybyszami.

W styczniu 1980 roku zajęliśmy mieszkanie na ostatnim piętrze wieżowca na Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej. Szło nam doskonale aż do września. Zaczęło się od tego, że zauważyłem na niebie dziwne światło, poruszające się znacznie szybciej niż samolot. Instynktownie poczułem, że dotyczy ono mojej osoby. Odczułem niewytłumaczalne podniecenie, a w moim umyśle zaroiło się od niejasnych przeczuc. W nocy obudził mnie płacz dziecka – rozhisteryzowany wrzask pełen przerażenia. Jak wichur przemknąłem przez pokój, zmierzając do sypialni synka. Kątem oka ujrzałem małą, ciemną postać, która rzuciła się w stronę rozsuwanych drzwi prowadzących na balkon, zawieszony trzydzieści trzy piętra nad ziemią. W te same sekundy nastąpiła potworna eksplozja i kryształki szkła ze spiżarni rozleciały się na wszystkie strony. Po chwili, która wydała mi się wiecznością, dopadłem do kołyski zanoszącego się od płaczu dziecka. Utuliłem je w ramionach, podczas gdy Anna miotła się po mieszkaniu, zapalając wszystkie światła. Oddałem jej synka i poszedłem zobaczyć, co też mogło się stać w spiżarni. Syfon wody sodowej eksplodował z taką siłą, że szkło zostało rozbite na pył. Nigdzie nie było widać śladu wody, którą syfon był napełniony. Anna zabrała się za sprzątanie, podczas gdy ja w tym czasie uspokajałem synka. Po dłuższej chwili wróciliśmy do łóżka.

W listopadzie zrezygnowaliśmy z tego mieszkania i już w styczniu 1981 roku zamieszkaliśmy w Yillage, gdzie zresztą pozostajemy do dziś. Dziesiątki razy opowiadałem historię o dawnym znajomym ze studiów, który przez telefony z pogroźkami i najściami w środku nocy, zmuszał nas kolejno do przeprowadzki z Siedemdziesiątej Szóstej do Cos Cob, stamtąd na Siedemdziesiątą Piątą, i w końcu do Yillage. Kluczową postacią tej historii stanowił uprzejmy detektyw, który zahipnotyzował mnie, przyczynił się do zidentyfikowania tego osobnika na podstawie jego głosu nagranych na taśmę. Zabawę zakończyliśmy w prosty sposób – po którymś z jego złośliwych telefonów zadzwoniliśmy do niego do domu, prosząc, by przestał się wygłupiać. Sęk w tym, że nic takiego się nie zdarzyło. Jest to tylko i wyłącznie moja wersja osłonowa, podobnie jak sześć

tygodni spędzone we Florencji, w której nigdy nie byłem. (Gdy zdałem sobie z tego sprawę, uwierzyłem w inną wersję, według której udałem się do Rosji, a stamtąd do Francji, gdzie zatrzymały mnie strajki roku 1968 – nie przeszkadzało mi wcale, że zakończyły się one na dwa tygodnie przed moim przybyciem do Francji.) Po co zatem potrzebne mi są te absurdalne historie? Nie są to kłamstwa; kiedy je opowiadam, sam głęboko w nie wierzę. Być może, opowiadając je innym, wmawiam je sobie, starając się nie myśleć o tym, dlaczego uciekam przed własnym życiem.

W Yillage minął nam rok – przyjemny i bez incydentów. Wreszcie zdarzyło się coś, co nazywamy z żoną „przypadkiem białej postaci”.

Zaczęło się od najbardziej zrównoważonej osoby w rodzinie, czyli Anny. Którejś nocy zbudziła się z krzykiem, twierdząc, że coś szturchnęło ją w brzuch. Widziała to „coś” na własne oczy: przezroczysta postać o wzroście około stu pięćdziesięciu centymetrów. Anna była tym niezmiernie podniecona. Naturalnie uznaliśmy to za koszmar i więcej nie rozmawialiśmy na ten temat. Zrozumiałą rzeczą jest również, że nic nie powiedzieliśmy synkowi, by go nie straszyć.

Następnej nocy około dziesiątej spokojnie czytałem, siedząc w łóżku. Anna właśnie przewróciła się na drugi bok, gdy poczułem uderzenie w ramię. Odwróciłem się dość szybko, by zobaczyć niewielką, bladą sylwetkę, umykającą z sypialni na korytarz. Skoczyłem na równe nogi i pogałem za nią. W korytarzu nikogo nie zauważyłem. Nie mógł to być nasz synek – spał wtedy smacznie w swoim łóżku. Rankiem prawie nie rozmawialiśmy na ten temat. Zapytany przez Annę, dlaczego wstawałem w nocy, bąknąłem coś na temat zaraźliwości koszmarów. Zauważyłem też pokaźny siniak na ramieniu, lecz wyszedłem z założenia, że musiałem uderzyć się o stół czy coś innego.

Kilka nocy później nasz synek postawił cały dom na nogi swoim krzykiem. Wyskoczyłem z łóżka i pospieszyłem do niego. Był okropnie przestraszony. Wyjąkał, że „coś małego i białego” przyszło do jego łóżka i poszturchiwało go.

Jednak ani on, ani Anna nie odnieśli żadnych fizycznych obrażeń.

Następnej niedzieli udaliśmy się z Anną na przyjęcie weselne. Zadzwoiłem do domu, gdzie telefon odebrała matka naszej opiekunki do dziecka. Powiedziała mi, że wystąpiły kłopoty, ale już wszystko w porządku. Jak łatwo się domyślić pospieszyliśmy do domu, opuszczając przyjęcie, zanim jeszcze na dobre się zaczęło, czym ściągaliśmy na siebie dozgonny gniew młodej pary. Okazało się, że coś przydarzyło się opiekunce. Gotowała obiad, kiedy prosto ze schodów pożarowych zajrzało do kuchni dziecko okryte białym prześcieradłem i bardzo ją przestraszyło. Opowieść tę słyszała tylko moja żona, mnie przy tym nie było. Usiłowaliśmy odnaleźć tę opiekunkę, ale minęło już wiele lat, pamiętaliśmy, że po zakończeniu semestru wyniosła się z tych stron, nie znaliśmy nawet jej imienia wobec czego nie można zweryfikować relacji mojej żony. W końcu doszliśmy do wniosku, że biała postać jest mocno podejrzana. Przyznaję, że moje pierwsze skojarzenie dotyczyło Przyjaznego Duszka Kacpra. Co dziwniejsze, zanotowano więcej przypadków pojawienia się podobnej białej postaci w kontekście wizyt Przybyszów, zachowującej się w zbliżony sposób.

Pomimo rozbawienia wywołanego powyższymi incydentami, wkrótce stanąłem przed faktem, że moja ucieczka nie dobiegła jeszcze końca. Mieszkanie zostało wystawione na sprzedaż, chociaż i tym razem nie wiązaliśmy chęci przeprowadzki z jakimikolwiek wydarzeniami. Postanowiliśmy przenieść się do Upper West Side, lecz tym razem nie poszło nam łatwo. Nie byliśmy w stanie uzyskać za nasze mieszkanie takiej ceny, by pozwolić sobie na podobny standard w droższej dzielnicy. Wkrótce też zrezygnowaliśmy z tego pomysłu.

Pod koniec marca 1983 roku znów spotkało mnie coś dziwnego. Wyszedłem na zewnątrz dosłownie na kilka minut, by zaczerpnąć świeżego powietrza i wróciłem do domu po trzech godzinach. Wprawdzie Anna była nieobecna, a syn był w szkole, lecz całe zdarzenie wydawało mi się tak niewiarygodne, że popuściłem wodze fantazji, wyobrażając sobie, jak spędziłem brakujące godziny w Nowym Jorku. Opowiedziałem tę barwną historię tuzinowi przyjaciół, jednak po dłuższym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nic podobnego nie miało miejsca. Był to wyłącznie parawan dla innych, prawdziwych wydarzeń. Prawda jest taka, że nie wiem, co mi się przytrafiło podczas owych trzech godzin. Nie jestem wcale pewien, czy w ogóle opuszczałem

mieszkanie. Po prostu zniknąłem i tyle.

Ostatecznie zrezygnowaliśmy ze sprzedania naszego mieszkania, za to kupiliśmy domek. W kategoriach czasu wróciliśmy zatem do punktu wyjścia.

Emocjonalnie rzecz biorąc, pojęcia statków kosmicznych i Przybyszów są dla mnie trudne do przyjęcia. Nic na to nie poradzę mimo przeczucia, iż przyszłe pokolenia mogą mnie uznać za tępaka. W obliczu tylu dowodów moja powściągliwość może się wydać niezrozumiała, lecz w niczym nie różni się od niechęci, z jaką traktowane są hipotezy o Przybyszach większość moich znajomych z kręgów naukowych i akademickich.

Dzieje się tak, ponieważ założenie, że bardziej zaawansowani technicznie Przybysze ukrywają przed nami swoją wiedzę, z jednej strony powoduje poczucie zagrożenia, a z drugiej niezmiernie irytuje. Sugeruje ono, że ludzkość jest w pewnym sensie niegodna kontaktu lub nawet, że jesteśmy więźniami na własnej planecie. Są to niewesołe stwierdzenia i ja osobiście przedkładałam wizję niezamieszkanego wszechświata nad tę, w której traktuje się nas z pogardą lub olimpijską wyniosłością.

My, ludzie, posiadamy zakodowany, naturalny system wartości i hierarchii w naszym gatunku. Sprawdza się to szczególnie w przypadku ludzi, których osobista ważność wynika z pracy intelektualnej. Jeżeli umysł ludzki jest towarem drugiego gatunku, to tym bardziej są nim ludzie, którzy z pracy umysłu żyją.

Pomimo to, na innej płaszczyźnie rozważań stwierdzam, że coraz spokojniej reaguję na myśl, iż Przybysze istnieją naprawdę, i to z zupełnie nieoczekiwanej przyczyny. Myślę bowiem o tych rozbieganych postaciach, prześladujących mnie oczach, zapachach, komnatach i kombinezonach w kategoriach ciężkiej pracy. Przed oczami mam jeszcze ich sztywne, kanciaste ruchy podkreślające podobieństwo do owadów, pieczołowite roztaczanie nade mną kontroli i myślę, że może nawet domyślam się, dlaczego tak z nami postępują. Jeśli mam rację, to źródłem ich rezerwy nie jest pogarda, lecz obawa, i to uzasadniona. Nie dotyczy ona ludzkiej chciwości czy barbarzyństwa, lecz naszej zdolności podejmowania samodzielnych działań.

Przyjrzałem im się z bliska i jeśli oglądałem żywe istoty, to najbardziej uderzającą cechą stanowiła oszczędność i celowość ruchów, sprawiająca wrażenie, że decyzje dotyczące poszczególnych czynności każdej jednostki podejmowane były w jednym miejscu i transmitowane do każdej istoty.

Powracam tu do idei roju. W takim przypadku Przybysze stanowiliby twór o jednym umyśle i milionach ciał – twór genialny, lecz prędkością myślenia nie dorównujący niezależnemu i bystremu gatunkowi ludzkiemu. Jeśli, relatywnie rzecz biorąc, ich proces myślenia przebiegałby wolno, wówczas szybko myśląca, autonomiczna jednostka ludzka stanowiłaby dla nich poważne zagrożenie. Może okazać się, że stara i w gruncie rzeczy prymitywna inteligencja, napotykając nową, bardziej rozwiniętą, obawia się potencjału, który w nas drzemie.

Wyobrażam sobie, jak któreś nocy znów podchodzą do mojego łóżka. Wokół tak ciemno, że będę musiał z całej siły wyteżać wzrok, ale z pewnością dostrzegę ich niewysokie postaci, odziane w dobrze mi znane kombinezony. Zobaczę te ich wielkie, chwiejące się głowy i spojrzę prosto w niepokojące i przenikliwe oczy. Poczuję ich chłodne, drobne palce na moim ciele i usłyszę ich oddech, kiedy uniosą mnie ze sobą. Może nawet uda mi się uchwycić przypadkowy wysoki szep, słowa wypowiedziane i pomyślane jak identyczne fale na jednym oceanie. Będę już znał powód ich zainteresowania i nieśmiałości wobec mnie: wzbudzam w nich strach i dobrze wiem, dlaczego.

Jeżeli nie mylę się co do nich, to jakikolwiek rodzaj kontaktu między gatunkami, który z ludzkiego punktu widzenia wydaje się logiczny i oczywisty, stanie się bardzo mało prawdopodobny. Istota ludzka, nawet przyjaźnie usposobiona, oznacza dla nich zagrożenie, gdyż dzięki przypadkowemu działaniu, wykraczającemu poza ich przewidywania, mogłaby pozbawić ich panowania nad sytuacją wewnątrz ich własnego pojazdu. Uwolniony człowiek bez trudu mógłby zgłębić jego tajniki i, przynajmniej w teorii, otworzyć przed nami bramy wszechświata.

Czy to możliwe, by każdy z nas mógł być zarazem poddanym i władcą ich gatunku?

Rozważanie tego rodzaju pojęć rozsadza mi mózg pragnieniem dowodu, ale jednocześnie unosi mnie w przestworza, uwalniając od przytłaczającego, niewidzialnego ciężaru.

Hipnoza

Pół w morzu przeszłości

Część 1: Płycizny

Data seansu: 10 marca 1986

Pacjent: Whitley Strieber

Psychiatra: dr med. Donald Klein

Po zapoznaniu się z przedstawionym powyżej materiałem dotyczącym mojej przeszłości, zdecydowaliśmy wspólnie z Donem Kleinem przeprowadzić w nim hipnotyczny pół w morzu. Odbyliśmy dwa kolejne seanse, koncentrując się raczej na próbie odkrycia fizycznej przyczyny zjawisk niż wyławianiu nowych treści, pomimo iż w okresie od kwietnia do października wydarzyło się kilka incydentów. Z pewnością w przyszłości powrócimy do hipnozy, lecz – przy całej swej atrakcyjności – nie przyczynia się ona do zrozumienia mechanizmów zjawisk, a pomaga jedynie ustalić ich treść. Pozostaje pytanie dlaczego – skoro przemożem już strach – zapamiętanie najnowszych zdarzeń bez uciekania się do hipnozy przekracza moje możliwości.

Założyliśmy sobie, że skoncentrujemy się na wypadkach w letnim domu mojej babci, w nowojorskim mieszkaniu jesienią 1980 roku oraz na sprawach, które wyjdą w trakcie hipnozy. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, i chciałbym powiedzieć to jasno, że mogą wystąpić przekłamania, spowodowane moim nieumyślnym pragnieniem spotkania Przybyszów. Mimo iż do czasu tych seansów unikałem książek mających jakikolwiek związek z moją sprawą, kontakt z własną przeszłością mógł wywrzeć niezauważalny wpływ na mnie i moją percepcję. Tylko w jednym wypadku mogłem oprzeć się na relacji świadka.

Podczas pierwszego seansu przeanalizowaliśmy z Donem wypadek, który miał miejsce na autostradzie za miastem, w któreś październikowe czy listopadowe popołudnie 1984 roku. Wracalem samochodem z zakupów w sklepie spożywczym, gdy nagle dostrzegłem obłok mgły. Zjechałem z autostrady zaciekawiony i zaintrygowany, gdyż dzień był wprawdzie jesienny, lecz jasny i bezchmurny. Wjechałem w boczną drogę, by lepiej się przyjrzeć temu zjawisku, gdy nagle mgła otuliła szczelnie samochód, a przez okna zajrzało mi do środka dwoje ludzi w granatowych uniformach. Po chwili znów znajdowałem się na autostradzie, w drodze do domu. Nie przywiązywałem wagi do tego incydentu do czasu, gdy, kierowany chęcią przeprowadzenia wizji lokalnej, udałem się w to samo miejsce na autostradzie, z którego skręciłem w boczną drogę. Nie znalazłem tam żadnej drogi ani nawet śladu, świadczącego o tym, że kiedykolwiek istniała.

Budd Hopkins nalegał, by zająć się tym przypadkiem w pierwszej kolejności, gdyż przypominał on jeden z najczęściej spotykanych scenariuszy uprowadzenia – wyciągnięcia delikwenta z pędzącego samochodu. Nie powiedział mi, co sam później odkryłem, że dezorientacja terenowa występuje bardzo często u ofiar porwania – stąd historie o drogach, które nie istnieją, plażach, których nie ma na mapie czy budowlach, które nigdy nie zostały wzniesione. Zdarzają się też przypadki, gdy ziemię spowijają chmury spływające z nieba lub mgły zawierające coś więcej niż cząsteczki wody. Łatwo jest ulec pokusie i przypisać wszystkie te relacje stanom ekstatycznym, lecz nie wyjaśnia to, co dzieje się z samochodem, kiedy kierujący znajduje się w transie, a w grę wchodzi niekiedy długie godziny. Na dodatek, w wielu przypadkach w samochodach tych znajdują

się pasażerowie. Po pewnym czasie wszyscy budzą się i stwierdzają, że jadą w złym kierunku czy coś w tym stylu. Chodzi jednak o to, że nie znajdują się tam, gdzie się znaleźć powinni, to znaczy w przydrożnym rowie.

Dr Klein: Jesteś teraz w samochodzie, w samochodzie...

– Wyjechałem za rogatki. Minałem sklep i jadę dalej. Nie wiem... Chcę się trochę przejechać. Włączyłem radio, słucham WAMC.

– Co grają?

– To „Don Giovanni”. (Tak właśnie powiedziałem, ale zabrzmiało to strasznie sztucznie.) Jadę... autostradą w kierunku rozwidlenia. Wydaje mi się, że dostrzegam coś nad drogą, nad samochodem. Jestem trochę zdenerwowany. Wyłączam radio. Odkręcam szybę, po czym znowu ją zakręcam. Nie wiem dlaczego, przegapiłem swój zjazd i mam zamiar zawrócić, ale jeszcze tego nie robię. W pobliżu nie ma żywej duszy. Uspokajam się, ponownie włączam radio. (Pamiętam, że sięgnąłem do gałki wyłącznika po to tylko, by stwierdzić, że radio cały czas było włączone. Przestało działać, co było zresztą na porządku dziennym w samochodzie, który wówczas posiadałem.) Przejeżdżam obok przydrożnej restauracji, po lewej stronie zauważam całkiem ładny widok. Wychylam się przez okno samochodu. Mija mnie biała półciężarówka. Chyba coś z nią nie w porządku. To jest... Nie rozumiem, co się tu dzieje. Chcę jechać do domu. Piekielnie boli mnie żołądek. Paskudne uczucie. Nie chcę już więcej opowiadać, jak się czuję.

– W porządku, odpręż się. Nie musisz nam tego opowiadać. Tylko jeśli będziesz w stanie. Odpręż się. Co możesz nam powiedzieć?

– Jechałem samochodem, gdy nagle zbliżyła się do mnie biała półciężarówka. Śmieszny biały pickup z czarną przednią szybą. A w następnej chwili byłem już jak odrętwiały. Nie myślałem... nie myślałem wcale o nich, aż tu nagle coś takiego. Siedzę w jakimś długim pomieszczeniu, a to coś – to stworzenie – stoi naprzeciw mnie. Długi, szary pokój. Bum! Skoczyłem w dół, chcąc się dostać do samochodu. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, gdzie się znajduję ani też, co stało się z samochodem. Wszystko było dziełem chwili. A teraz to – czuję, że ktoś się we mnie wpatruje. Mam wrażenie, że wokół mnie dzieje się dużo rzeczy, lecz jestem totalnie odrętwiały. Nie potrafię opisać, co teraz czuję. Zupełnie jakby wyrócono mnie na lewą stronę. Jedyna rzecz, jaką naprawdę czuję, to straszliwy ból żołądka. Zupełnie nie potrafię... nic z tego nie rozumiem.

– Nie próbuj nic zrozumieć. Nie próbuj.

– Jedno z nich staje teraz przede mną. Siedzę na podłodze, nogi mam rozsunięte. Mam na sobie moje własne ubranie: brązowy sweter; widzę też buty. To dlatego, że siedzę bardzo szeroko. Czuję wpatrzone w siebie czyjeś wielkie oczy. Wielkie, czarne oczy. W jednej sekundzie myślę, że są nieprzyjazne, w drugiej sam nie wiem, co sądzić. Teraz już się nie boję. Jestem tylko zaskoczony i kompletnie... kompletnie... to jak... – to zupełnie jakbym skręcił z drogi i nagle znalazł się w Arabii, czy coś w tym rodzaju.

Myślę teraz, że ta biała ciężarówka... Usiłuję to uporządkować. Co się zdarzyło? Trochę się wystraszyłem, ponieważ myślałem, że zrobiłem coś złe, wjechałem w tunel ze złej strony czy coś takiego. A tam (wskazuję na lewo), ktoś zawzięcie się krząta. Nikt nie mówi ani słowa. Ja też nic nie mówię.

– Ktoś się krząta?

– Kątem oka widzę, jak ktoś, czy też coś, krząta się wokół mnie, jakby ciskał się na wszystkie strony. A cały rząd ludzi – małych ludzików – stoi bez słowa na podwyższeniu... znajdują się nieco wyżej ode mnie. Nadal jestem... mój umysł kręci się w kółko, nieprzerwanie, jakby zablokowany krótkim spięciem. To znaczy, czuję się jak..., jakby przemęczony, czy coś w tym rodzaju. Cały czas towarzyszy mi uczucie, że mogę się stąd wyrwać.

– Czy oni komunikują się z tobą?

– Nie.

– Po prostu tam jesteś?

– Po prostu sobie siedzę.
– Czy zwracają na ciebie uwagę?
– Owszem, w tej chwili jedna z nich siedzi naprzeciwko mnie i wpatruje się we mnie. Różni się znacznie od pozostałych, tamci są bardzo mili, a ona wysoka i wysmukła. Siedzi. Wygląda na przywódcę. Nie wiem, co o tym sądzić. Skąd, do diabła, jak u diabła... wiesz, to tak, jakbym był ślepy. Po prostu nie wiem, co, do cholery, o tym sądzić! To po prostu niemożliwe. To absolutnie nie do pomyślenia. To nie może być prawda.

– Może wcale tak nie jest.
– Więc jak jest, do cholery?
– Spójrz bardzo uważnie i powiedz, czy dostrzegasz jakieś zmiany. Spójrz uważnie.
– Ona wpatruje się we mnie. Wygląda jak wielki robak. Po prostu siedzi i gapi się na mnie.
– Czy patrzysz jej w oczy?
– Nie wiem dokładnie, co robię. Jest mi smutno.
– Smutno?
– Właśnie, smutno. Czekaj... Tak, patrzę na nią, a ona na mnie.
– Czy domyślasz się, dlaczego?
– Nie mam pojęcia. Po prostu nie rozumiem. Bardzo trudno mi to pojąć.
– Mówisz, że wygląda jak robak?
– Tak. Ma wielkie, ogromne, czarne oczy. Skóra w odcieniu brązu. Małe, maleńkie usta. Jest smukła.

– Ma czułki?
– Nie.
– Włosy?
– Nie, jest łyśa.
– Uszy?
– Nie dostrzegam ich.
– Brwi?
– Nie.
– Czy posiada nos?
– Ma coś w rodzaju maleńkiego nosa o dwóch dziurkach.
– Nos, czy tylko same otwory?
– No, chyba cały nos.
– Jak wyglądają usta?
– Proste i jakby... proste i... trudno mi je zobaczyć wyraźnie.
– Spróbuj rozróżnić szczegóły. Czy wargi są poziome?
– Tak, lecz słabo zaznaczone – po prostu taka poprzeczna kreska. Siedzi tam w ten sposób. (Objąłem rękami kolana, demonstrując jej pozycję; następnie zamilkłem pod wpływem pogmatwanych obrazów.) Zaraz potem coś się ze mną stało. Ona przez długi czas siedziała w ten sposób. Potem wyciągnęła rękę, wsunęła mi ją pod sweter i koszulę i położyła mi dłoń na piersi, nieco z boku. Jej dotyk był miękki i... i pomyślałem wtedy, że jak na taką istotę jest całkiem przyjemny. W tej sekundzie cofnęła rękę.

Gdzie ja, do diabła, jestem? Jestem gdzieś za miastem. Wydawało mi się, że... Ach, słuchaj, boje się. Ogromnie się boje. Zmykam stąd. Nie, chyba nie. Pomyliłem się.

– Spróbuj się zrelaksować.
– Don, ja jestem śmiertelnie przerażony.

– Po prostu odpręż się. Usiądź wygodnie. Ten strach jest prawdziwy, ale nie może ci zrobić krzywdy. Dlaczego się boisz?

– Boję się od momentu, gdy dotarło do mnie, że jadę jakąś polną drogą, nie wiedząc, gdzie jestem. To była piaszczysta droga przez las – jak i skąd się tam wziąłem? Miałem dość... Jechałem autostradą, dopóki nie pojawił się ten niesamowity pickup. Wtedy wszystko się poplątało. A potem ocknąłem się za kierownicą, przerażony do szpiku kości.

– Czy możesz coś powiedzieć o dwóch postaciach w uniformach?

– Siedzę w samochodzie. Jestem sam.

– Czy ktoś ci powiedział, że masz wracać?

– Tak. On mówi do mnie: „Wynoś się stąd”, a ona odzywa się z drugiej strony: „Nie chcemy cię tu”. Pytam: „Kim jesteście?” W odpowiedzi ona posyła mi pełne wrogości spojrzenie. Jest... Wyczuwam w niej wrogość.

– Co mają na sobie?

– Zwracałem się głównie do niej. (Na miejscu pasażera z przodu.) Wydawało mi się, że to kobieta. Trudno mi powiedzieć, o co tu chodzi. Nie mam zielonego pojęcia, co się stało. Następnym obrazem, jaki mam przed oczami, to autostrada. Jadę do domu.

– Chcę teraz, żebyś się odprężył. Zrelaksuj się. Pozwól, by twoje ciało zupełnie zwiotczało. Odpręż się. Znowu śpisz głęboko. Śpisz głęboko. Chcę, byś zdał nam relację. Bądź jak reporter. Opowiedz mi o tym, co się dzieje. Chcę, żebyś cofnął się do tego długiego pokoju. Spoglądasz w oczy tamtej istoty. Powiedziałeś, że to kobieta. Dlaczego tak sądzisz?

– Bo tak jest.

– Czy słyszałeś, jak to mówi?

– Nie, powiedziała mi o tym już dawno.

– Czy to ktoś, kogo znasz?

– Nie mam pojęcia.

– Czy przypomina ci kogoś?

– Nie wiem. Nie pytaj mnie.

– Spróbuj się nad tym zastanowić.

– Tak, przypomina... kogoś, kogo... (Z trudnością chwytni powietrze, wyraźnie okazując zaniepokojenie.)

– Spróbuj dokończyć.

– Nie mogę, nie potrafię tego ogarnąć rozumem. Widzę ogromne, kłębiące się..., ona coś trzyma, wskazuje tym na mnie, w moim umyśle pojawiają się skłębione wizje; nie wiem, czego dotyczą, ale niczego konkretnego. To jak... Przyprawia mnie o mdłości, jakieś abstrakcyjne wizje. Różne przedmioty dopasowane do siebie. (Przerwa.) Czuję się lepiej. Uspokoilem się.

– Z jakiego powodu?

– Nie wiem. Tak po prostu.

– Co ona takiego zrobiła?

– Może z powodu tych wizji...

– ...zrobiło ci się lepiej?

– Tak. Lepiej. To abstrakcje: trójkąty, koła i takie tam rzeczy, wszystkie poukładane w kompozycje. Trójkąt z wpisanym okręgiem i opisanym kwadratem, wszystko to porusza się jednostajnym ruchem i wprawia mnie w lepszy nastrój. (Uwaga: 30 procent ludzi poproszonych zniemacka o narysowanie pierwszej figury, która im przyjdzie na myśl, narysuje trójkąt. Nikt nie potrafi tego wytłumaczyć.)

– Czy ona chciała ci pomóc?

– Nie wiem. Nic mi nie powiedziała.

- Czy ta osoba... Mówiłeś, że widziałeś kogoś, gdy miałeś dwanaście lat. Czy to ta sama osoba?
- Tak.
- Dokładnie ta sama?
- Nie wiem. Wygląda podobnie.
- Powiedziałeś, że była bardzo wysoka i smukła.
- Widuję ją zawsze na siedząco. Posiada wiele rąk i nóg.
- Wiele odnóży?
- Nie, cztery. Dwie ręce i dwie nogi, ale jest taka wysmukła... Jej ręce sprawiają wrażenie, jakby tkwiły w rękawiczkach. Słuchaj, ja już ją kiedyś widziałem.
- Cofnij się do momentu, kiedy ją widziałeś. Spróbuj cofnąć się w czasie.
- Do kiedy?
- Do momentu, gdy ją widziałeś.
- Widywałem ją wielokrotnie.
- Wielokrotnie?
- Pewnie, widziałem ją mnóstwo razy. Nie cierpię o tym myśleć. Jezu, naprawdę nie cierpię! Naprawdę, ciężko mi o tym myśleć jakby chłostano mnie szpicrutą. Nie będę tego wspominał. Nie chcę.

W tym stadium dr Klein uznał kontynuowanie hipnozy za bezcelowe, ze względu na mój widoczny stan depresji, i obudził mnie. Moje pierwsze słowa po seansie brzmiały:

- Pod koniec czułem się tak, jakby ściskano mi głowę w imadle, a ktoś tłukł mnie jeszcze i chłostał. Okropne. Skąd ta intensywność przeżyć?
- Może to wynik negatywnego nastawienia?
- To jak kamień. Kamień, który mnie przygniata.

Tamtej nocy po seansie hipnotycznym zdałem sobie sprawę z czyjejś niemal namacalnej obecności obok – to jej wizerunek, szczegółowo przeanalizowany, przeniknął z hipnozy do mojej świadomości. Wracając do domu, miałem go przed oczami, dokładnie tak samo jak w długim pokoju. Patrzył na mnie wielkimi, ciemnymi oczami.

Podczas hipnozy odniosłem wrażenie, że tamtego popołudnia zmierzałem dokądś, dokąd nie powinienem. To tak, jakbym, kupując dom w tamtej okolicy, wykazał zbyt gwałtowną reakcję na bodźce, reakcję, która popchnęła mnie prosto w objęcia Przybyszów. Czy to możliwe, żeby istniał pewien rodzaj odwzorowania czy rzutu na płaszczyznę rzeczywistości, gdzie mogły by się gromadzić wszystkie te formy? A może Przybysze mieli w sąsiedztwie tylko bazę? A może są tu od niepamiętnych czasów?

Po ostatnim seansie hipnotycznym zauważyłem u siebie objawy podobne do tych, jakie wystąpiły po wypadkach z 26 grudnia: obniżona temperatura ciała, nadwątłone siły, nieprzyjemne wrażenie odseparowania od świata zewnętrznego. Któregoś popołudnia poczułem śmiertelne zmęczenie. Albo spalałem się wewnątrz, usiłując dostarczyć więcej materiału niż mogłem pojąć za jednym razem, albo też moja pamięć posiadała limit informacji, jakie mogła zgromadzić. A może nie potrafiłem udzielić odpowiedzi, ponieważ mój nieprzytomny umysł nie był przygotowany na takie pytanie i nie zdążył ułożyć nowej bajeczki?

Cóż, zastanawiam się.

Hipnoza

Pół w morzu przeszłości

Część 2: Głębiny

Data seansu: 14 marca 1986

Pacjent: Whitley Strieber

Psychiatra: dr med. Donald Klein

Tym razem spróbowaliśmy użyć bardzo głębokiego transu. Pragnąłem wyeliminować możliwość, w której, zamiast spełniać polecenia Dona, który zachowuje neutralność, zaspokajałbym własne, ukryte pragnienie potwierdzenia własnych wspomnień. Żywiłem nadzieję, że stan głębokiego transu skieruje moją uwagę wyłącznie na Dona. W ten sposób będę stosował się jedynie do jego poleceń, żywiąc do niego w tym względzie pełne zaufanie.

Trans, w który zostałem wprowadzony, został pogłębiony poprzez sugestię powolnego schodzenia dwudziestostopniowymi kondygnacjami schodów. Po obudzeniu czułem się, jakbym wyszedł ze studni. Byłem umiarkowanie zadowolony z faktu, iż poświęcając całą uwagę hipnotyzerowi, nie byłem w stanie wpływać na swoje zachowanie, choć z drugiej strony nigdy nie można być pewnym do końca. Zauważyłem potem, że Don ograniczał swe pytania do minimum, prawdopodobnie by uniknąć jakichkolwiek sugestii.

Rozpoczęliśmy od incydentu w domu mojej babci w 1967 roku. Obrazy były zaskakująco realistyczne, zupełnie jakbym znów się tam znalazł, cofnąwszy się o dwadzieścia lat.

– Babcia jest w drugim pokoju. Też czyta. Widzę, że pali się jej lampka. Gigi śpi przy jej łóżku. Reszta domu jest nieoświetlona. Przewracam stronę, widzę ogłoszenie o samochodzie, wpatruję się w nie... Do licha, coś mi przeszkadza! Opędzam się. Nagle ktoś przystawia mi do głowy jakiś przedmiot. Wygląda jak kołek szynowy. To srebrny gwóźdź, duży srebrny gwóźdź o płaskiej główce. Uderza mnie prosto w skroń. Przemieniam się w... w coś innego. Czuję się wielki i ciężki. Wstaję z łóżka, czuję się jakoś dziwnie, inaczej, jak duch włóczący się po domu. Schodzę do piwnicy.

Nie, to nieprawda – nadal jestem w łóżku. To dziwne. W ogóle się nie poruszyłem. Wciąż patrzę na to ogłoszenie. Nigdzie nie wychodziłem, cały czas tu byłem. Wstaję i idę po szklanek wody. Jestem śmiertelnie wystraszony. Nie wiem, co się ze mną stało.

– Mówiłeś, że coś się zdarzyło na samym początku.

– Tak. Przy łóżku pojawiła się twarz o zawziętym wyrazie, dziwna twarz gigantycznej muchy. Srebrny gwóźdź wbija mi się w głowę. Czuję, jak następuje przemiana. To straszne, zupełnie jakbym w jednej chwili przedzierzgnął się w inną istotę. Jestem wielki, ciężki i kościsty. Przekraczam próg pokoju i... To po prostu okropne. W następnej chwili znów leżę w łóżku, a żołądek boli mnie, jakby był zawiązany na supeł. Trzęsę się ze strachu. W rękach wciąż trzymam czasopismo...

– Czy mógł być to tylko sen?

– Nie wiem. Nie wiem, co o tym myśleć. Tak, oczywiście, że to sen. Mimo to boję się spojrzeć w tym kierunku, gdzie ukazała się twarz. Jestem tak przerażony, że... tego się nie da wyrazić. Nie wiem, skąd to się wzięło. Zwyczajnie znikąd. I do tego ta twarz, zawzięta, nieprzyjemna twarz.

– Czy to był człowiek?

– Nie, coś w rodzaju dużego owada. Z tą różnicą, że kiedy na ciebie spojrzę, natychmiast spuszcza wzrok. Trzyma srebrny gwóźdź i uderza mnie jego tępym końcem, wywołując wrażenie

ruchu, choć tak naprawdę nadal jestem w łóżku, a magazyn, który czytam, jest otwarty na tej samej stronie. Czytam ogłoszenie o fordzie mustangu, podobnym do mojego, tyle że niebieskim.

– Czy miałeś już kiedyś do czynienia z podobnym przedmiotem? (Prawdopodobnie miał na myśli incydent z 4 października, lecz nie to przyszło mi do głowy.)

– Tak, coś podobnego już mi się zdarzyło. Byliśmy na działce. Coś mignęło nam przed oczami. Moja siostra stwierdziła, że to meteor, ja zaś, że motocykl. Rozbiliśmy namiot. Wracałem wieczorem do namiotu. Padał deszcz. Nagle pojawiła się ta istota ze szkieletem na wierzchu. Wystraszyłem się jak wszyscy diabli. Odwróciłem się i pobiegłem do domu, skąd bałem się wychylić nosa. Szkielet buszował w krzakach. Zwalił im namiot na głowy, a oni – Patricia, Roxy i Angie – nic nie zrobili, po prostu siedzieli w środku. Miał bardzo długie ręce i srebrną igłę. Wołałem tę jak opętany, a to coś przyszło do mnie i położyło mi rękę na ramieniu. Wcale tego nie chciałem, to okropne uczucie. (Rzucam się do ucieczki.) Nie mogę uciec. Nie mogę. Trzyma mi dłoń na ramieniu, a ja nie mogę się ruszyć z miejsca. Tkwię jak wryty. Okropne! Zagląda mi w oczy i widzę... Mój Boże! Uff! Chryste! (Łapię oddech.) Po prostu patrzy na mnie. Teraz unosi ten przedmiot.

Ach, już mi lepiej. Czuję się... wiem, że to coś nadal tu jest, ale już się nie boję, już nie uciekam. Całkiem nieźle. Leżę na ziemi, na trawie – trochę kłuje mnie w plecy. Mam na sobie tylko koszulkę, a... Wiem, że wciąż tu jest, widzę dokładnie. Wygląda jak owad. Modliszka, wypisz wymaluj. Z tym, że olbrzymia. Jakim cudem tak urosła? Nie jest mi najgorzej, ale... Jezu! Trzyma ten przedmiot i manipuluje mi nim we włosach. Nic nie czuję. Teraz odlatuje.

Zniknęła. Widzę wschodzące gwiazdy, choć przedtem było pochmurnie.

– Ile masz lat?

– Dwanaście. W tej chwili wszyscy wrzeszczą na mnie, bo zwaliłem im namiot na głowy. Siostra jest wściekła i pewnie naskarzy mamie. Mama zbije mnie za to, że zawałem namiot i przestraszyłem ich. Zabieramy swoje rzeczy i idziemy do domu. Patricia opowiada mamie, że widzieliśmy ognistą kulę. Rodzice oglądają telewizję, leci właśnie „Ed Sullivan Show”. Mama mówi, że możemy obejrzeć Seniora Wencesa, jeśli mamy ochotę. W domu jest chłodno, na zewnątrz powietrze było gorące i wilgotne. Czuję, jak... Patricia opowiada, że widzieliśmy ognistą kulę i dlatego przyszliśmy. Zastanawiam się, dlaczego nie wspomniała o namiocie. Nie było przecież żadnej ognistej kuli. Mama mówi, że nie ma się czego bać, to tylko meteor.

Tamtej nocy spaliśmy na osłoniętej siatkami werandzie. Tatuś przyszedł do nas i zaśpiewał kołysankę. Patricię wprowadził w za kłopotanie, ale ja byłem zachwycony, podobnie jak Roxy i Angie.

– Ta... modliszka, którą widziałeś, czy przypomina inne postacie z jakimi się zetknąłeś?

– Oni wszyscy tak wyglądają. Z początku myślałem, że to szkielet na motocyklu. Leciał w powietrzu – nie, nie leciał. Po prostu ujrzałem tę postać i zdawało mi się, że to modliszka, tyle że olbrzymich rozmiarów. Miała ogromne oczy, które wystraszyłyby nawet bazyliuszka, naprawdę przerażające. Wielkie, ogromne oczy. Chwileczkę... Tak naprawdę to niezupełnie przypominała modliszkę. One mają białe oczy, a ta tutaj miała ciemne, czarne. Pomyślałem o motocyklu, bo wyglądała jak motocyklista w ciemnych okularach. Dopiero później zorientowałem się, że to coś dziwnego.

Przeszła obok namiotu i zbliżyła się do żywopłotu z kapryfolium, a ja rozpaczliwie usiłowałem przedostać się przez ten żywopłot na nasze podwórko. Mój Boże!

– A więc już przedtem manipulowano przy twojej głowie?

– Owszem.

– Czy był to ten sam zabieg?

– Nie, tym razem zadziałał uspokajająco. Było mi... dobrze. Dotknęła czymś mojej głowy i uspokoiła mnie. Było całkiem przyjemnie. Zdawałem sobie sprawę z jej obecności, mimo to położyłem się na... zaraz, zaraz... Na podwórzu? Nie, na działce za domem. Tam rośnie sporo ostów, więc trochę kłuło, ale ogólnie nie było najgorzej. Położyłem się na plecach i przyglądałem

się, jak rozgarnia mi włosy. Byłem kompletnie znieczulony. Wplotła mi we włosy coś długiego.

Chwilę nad tym pracowała, po czym odeszła. Nie czułem już strachu, ale nie zorientowałem się, co robiła. Nie widziałem nic oprócz tego, że wplotła mi coś we włosy. Nie poczułem najmniejszego bólu.

– Spróbuj się teraz odprężyć. Rozluźnij mięśnie. Śpij głęboko, zrelaksuj się. Rozmawialiśmy kiedyś o innym przypadku, kiedy – jak twierdzisz – widziałeś meteoryt.

– Zgadza się.

– Ile masz lat w tej chwili?

– Trzydzieści sześć.

– Opowiedz mi, co się zdarzyło.

– Niedawno rozpocząłem pracę z młodzieżą w Fundacji. (Mowa o Fundacji Gurdijewa – organizacji zajmującej się kształtowaniem świadomości na podstawie idei G. I. Gurdijewa i P. D. Uspianskiego. Nie jest ona w żaden sposób związana z grupami, które publicznie podają się za „Fundację Gurdijewa”. Prawdziwa Fundacja nie jest organizacją publiczną.) Ostatnio bardzo ciężko harowałem – dużo wysiłku, dużo medytacji, nowa książka (*The Hunger*). Jim Landis pojechał na urlop i przeprowadza badania w terenie, zostałem więc sam. Nie jest mi z tym źle. Dużo wspólnie pracowaliśmy, a teraz on wyjechał do Morrow. Myślę, że będzie się mu tam podobać.

Zobaczyłem ten... Bardzo lubiłem swoją pracę w Fundacji, bo wydawało mi się, że nawiązałem kontakt z tymi młodymi ludźmi. Być może dzięki temu również ja osiągałem nowy pułap świadomości. Któregoś wieczoru, tuż po zachodzie słońca, wyjrzałem przez okno na miasto, spowite w ciemnopomarańczową poświatę i roziskrzone ulicznymi światłami. Pomyślałem sobie, że lubię tę klitkę, w której mieszkam, naprawdę ją lubię. Dawała mi taki piękny widok, w pogodne dni mogłem dostrzec w oddali Bear Mountain.

Wtedy zobaczyłem meteor, chociaż był prawie niewidoczny. Przemknął przez niebo, maleńki jak iskierka. Pomyślałem wtedy: „To nie samolot, to nic takiego” i poczułem niepokój, jakbym spodziewał się czyjejś wizyty. Powiedziałem o tym Annie. Odparła: „A któż mógłby to być?” Odparłem, że nie wiem i poszedłem spać.

Tak bardzo ją kocham. Spójrz, nie wierzę własnym oczom: jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu. Podnoszę wzrok znad książki, a tam przy końcu łóżka stoi sześć postaci wpatrujących się w nas. Żona śpi, odwrócona plecami. Mówię do niej: „Anna, Anna, spójrz tylko!”

Wyglądają niezbyt przyjaźnie. To dziwne, nie potrafię sobie nawet wyobrazić, skąd się wzięli. Nie wydają dźwięku. Chyba weszli tu z pokoju. Drzwi są ciemną plamą. Nelson śpi pod łóżkiem (Nelson to nasz pies).

„Nelson! Nelson!” Szelma, śpi pod łóżkiem. Czuję się tak, jakby ktoś wrzucił mi na barki przygniatający ciężar. Chcę wstać. Przychodzi mi na myśl mój synek. Rozpaczliwie próbuję wstać. Myślę o dziecku. Nie rozumiem, o co tu chodzi. Może to dlatego, że mieszkamy tak wysoko? Dlaczego przydzielili nam to mieszkanie? Nie mogli mi dać czegoś na parterze? Zaraz wybuchnę płaczem – nie mogę wstać, a za drzwiami panuje ciemność. A oni po prostu stoją. Nie odzywają się, w ogóle nie wyglądają na żywe istoty. Pięcioro, sześcioro dzieci. Sześcioro dzieci czarnych jak smoła. Czy ja naprawdę to widzę? „Anna! Anna!” Nikt tego nie zauważa, to tylko moje przywidzenia. Zamykam oczy, potem je otwieram. Nastąpiła zmiana. Teraz stoją po obu stronach łóżka, skamieniali w ruchu, jak gdyby przemieszczali się tylko wtedy, gdy się na nich nie patrzy.

Zwariowałem. Zupełnie zwariowałem! To nie może być prawda! „Anna? Anna!” Szarpnię ją, nie spuszczać z nich wzroku. Mają na sobie uniformy. To wprost niewiarygodne, nierealne. Z pewnością nierealne. „Anna?” Dlaczego do licha nie mogę jej obudzić? Nigdy nie śpi tak mocno. „Anna, obudź się, proszę! Anna, Anna!” Jezu Chryste! Czuję się jak w innym świecie. Nie mogę jej obudzić, a za każdym razem, gdy na nią spojrzę, oni posuwają się kawałek w moim kierunku. To prawdziwy koszmar. To prawdziwy, wstrętny koszmar! O Boże, dlaczego nie mogę jej obudzić?

Głos 1 (*basso profundo*): Wcale nie próbujesz jej obudzić.

– Nie próbuję jej obudzić? Odczuwam ulgę, uspokajam się.

Głos 2 (jasny, wysoki): Oni są w porządku.

– Oni są w porządku? Co to znaczy?

Głos 2: Oni muszą to zrobić.

– Muszą to zrobić. Kim oni są? Dlaczego tu stoją? Mam wrażenie, że sypialnia jest pełna ludzi. Ktoś powtarza mi, że wszystko w porządku. Wiem, że wszystko w porządku, ale nadal chciałbym wstać i...

Znów się przysunęli. Gdy usiłowałem wstać z łóżka, przysunęli się jeszcze bliżej. Stoją teraz przy mnie: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... (razem ośmiu). Trzech z prawej strony, pięciu w nogach łóżka. A cholerny Nelson chrapie pod łóżkiem. Przynajmniej pies powinien się obudzić. Na co komu taki pies? To nie ludzie, a więc to sen.

Mój dzieciak westchnął „ach!” Powiedział „ach!” Teraz krzyknął głośno, naprawdę głośno! Teraz znowu. „Ach!” Pierzchają na wszystkie strony, gdy wyskakuję z łóżka i pędzę do jego sypialni, a on wciąż krzyczy. Wpadam do pokoju, tam na samym środku stoi modliszka. Już jest przy oknie. Podbiegam do synka – wyciąga do mnie rączki i krzyczy. Nigdy nie słyszałem takiego wrzasku dziecka.

A co się dzieje z Anną? „Anna! Co to u licha było?” Unoszę dziecko, przytulam zesztywniałe, lodowato zimne ciało. Pieluszkę zsunęła mu się i zaplątała wokół kolan. Wchodzi Anna. Oboje tulimy dziecko, które powoli się uspokaja.

– Co się stało?

– Nie wiem.

– Na Boga, coś eksplodowało w kuchni.

– Potrzymaj go przez chwilę. Pójdę sprawdzić. To syfon. Dziecko zasypia w moich ramionach.

– Jaki syfon, kochanie?

– Wybuchł syfon z wodą sodową.

– Żartujesz – trzymając synka w objęciach, wychodzę do kuchni.

– Uważaj, nie skalecz się. Na podłodze leży pełno szkła.

Kołyszę synka na rękach. Żona zbiera szkło. W domu palą się wszystkie światła. Kołyszę synka.

(W tym momencie Don za pomocą sugestii umieścił mnie z po wrotem w łóżku i ponownie, tym razem wyraźnie, ujrzałem otaczające mnie postaci.)

– Wpatrują się we mnie z otwartymi ustami. Ich twarze pozostają jednak nieruchome. Nie potrafię powiedzieć, kim są.

– Czy przypominają poprzednią istotę?

– Nie, nie, tamta jest wiotka i wysoka. Ci tutaj są krępi i niscy.

– Jakiego są koloru?

– Koloru? Mają na sobie niebieskie uniformy, ciemnoniebieskie. Twarze szare – wyglądają, jakby przez całe lata nie widzieli słońca. Ciekawie pachną – jak spalona główka zapałki. Twarze zupełnie bez wyrazu – dwoje okrągłych oczu i okrągłe usta. Nie wydaje mi się, żeby posiadali nosy. Naprawdę, nie przyglądałem im się zbyt uważnie. Nie pamiętam, czy mieli nosy. Byłem wtedy porządnie wystraszony. To z pewnością sen, bo pies nadal śpi jak zabity. Darmozjad, po co ja w ogóle go karmię?

Za chwilę Don wyprowadził mnie z transu.

Byłem zaszokowany realizmem obrazów, które ujrzałem. Obecnie miałem pewność, że Przybysze to żywe istoty. A przecież nie mogli nimi być.

Istniała możliwość sprawdzenia przynajmniej jednej z moich relacji, ponieważ dotyczyła ona osoby dobrze mi znanej – mojej siostry. Zastanawiałem się, czy do niej zadzwonić. W końcu

zatelefonowałem następnego dnia i zadałem jej rutynowe pytanie na temat najdziwniejszego wydarzenia w życiu.

Odpowiedziała: To było wtedy, gdy spaliśmy w namiocie na działce i zobaczyliśmy meteoryt.

Siedziałem przy telefonie, ściskając słuchawkę z uczuciem, jakbym zapadał się w głęboką studnię, na dnie której czały się wielkie, lśniące oczy.

– Czy możesz to opisać?

– To była ogromna, zielona kula ognista. Niespodziewanie przeleciała nam nad głowami. Przeraziliśmy się i pobiegliśmy do domu. Tej nocy, zamiast w namiocie, spaliśmy na werandzie.

– Czy powiedzieliśmy o tym rodzicom?

– Mama stwierdziła, że nie ma się czego bać. To tylko meteoryt.

Nadal nie pamiętam, bym widział jakiś meteoryt. Przez całe życie prześladowało mnie luźne wspomnienie szkieletu na motocyklu – wizerunek nieco makabryczny. Dziś znam już jego pochodzenie.

Czy słowa siostry stanowiły potwierdzenie, którego oczekiwałem? Owszem, wskazywały na to, że na naszej działce, dawno temu, wydarzyło się coś niezwykłego. Kwestia, co to było dokładnie, pozostaje nadal otwarta.

Najbardziej interesuje mnie w tym wszystkim pewna prawidłowość. Ogólnie występują dwa typy interakcji z Przybyszami. W pierwszym udział bierze zwykle pojedynczy osobnik lub mała grupka, jak to miało miejsce w noc meteorytu, w domu babci, w mieszkaniu na Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej oraz 4 października. W drugim rodzaju spotkań odbywa się dłuższa wizyta, tak jak w 1957 roku w pociągu do San Antonio, w Austin, w sierpniu jeszcze przed incydem u babci oraz 26 grudnia 1985. W tym przypadku zachodzą bardziej złożone interakcje, często na własnym terenie Przybyszów.

Krótkie wizyty wydają się zwykle związane z zabiegami natury psychologicznej, długie zaś oznaczają badania i testy fizyczne, zupełnie jakby najpierw czyniono do nich przygotowania albo też weryfikowano rezultaty.

Do grudnia 1985 roku zdarzył mi się chyba tuzin podobnych przypadków, które jednakże niczego mnie nie nauczyły. Za każdym razem mój strach, udręka i zdumienie były identyczne jak poprzednio.

Oto jeden z najtrudniejszych problemów związanych z tymi przeżyciami. Można by pomyśleć, że umysł, działając niezależnie, powinien już posegregować cały materiał – jak to czyni z powtarzającymi się snami i koszmarami – tak abym, znajdując się w danym stanie, miał jakieś odniesienie do pokrewnych zjawisk, pomimo iż jak w przypadku koszmarów – materiał nadal zawierałby pewien ładunek strachu.

Moja obecna kondycja wydaje się sugerować, że podjęto próbę uczynienia mnie bezbronny przez wytworzenie takiego stanu, w którym każde spotkanie było postrzegane jako pierwsze i jedyne, bez jakiegokolwiek punktu odniesienia do pozostałych. W ten sposób zaskoczenie było za każdym razem stuprocentowe.

Przebiegając w myślach swe wspomnienia, wyczuwam gęstą atmosferę terroru. Ale czy to przymus biologiczny, czy tylko moje własne fobie?

Może okazać się, że pewnych aspektów kontaktu z istotami, uformowanymi w innej biosferze, nie jesteśmy w stanie w ogóle pojąć. Być może podlegają one jakimś instynktownym emocjom. Odnoszę wrażenie, że oni również przeżywają te spotkania niezwykle intensywnie, może nawet z uczuciem strachu.

Jeżeli stan przerażenia to nieunikniony efekt uboczny naszej biologii, to amnezja staje się wówczas nie tylko samoobroną, lecz również aktem łaski.

Jeżeli moja percepcja nie zawodzi, to mniejsza książka urasta do rangi kroniki opisującej nie tylko moje odkrycie istnienia Przybyszów, lecz również moje wysiłki przełamania strachu przed nimi.

Wyglądam przez okno. Jest ciepło, pochmurno, co zapowiada burzę – typowe wczesnowiosenne popołudnie. Ludzie spieszą w różne strony pod parasolami, rozchlapując kałuże. Powietrze przecina helikopter, odrzutowiec schodzi nad lotnisko La Guardia.

Wszystko to takie zwyczajne, jak to w domu. Czym jednak był ten nagły błysk na niebie – smugą srebrnego światła, czy tylko odbłaskiem szkiele moich okularów?

Wizerunek

Następnego ranka po seansie hipnotycznym dotyczącym incydentu z obłokiem mgły (11 marca 1986) obudziłem się z uczuciem, jakbym w nocy został pobity. Jednocześnie dręczyła mnie świadomość obecności nowej formy w moim umyśle.

Z początku natura tego zjawiska nie była dla mnie jasna. Prześladowało mnie wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Powoli zacząłem sobie uzmysławiać, skąd to się brało: rzeczywiście byłem obserwowany; patrzyła na mnie twarz poważna, nieprzejednana, nieco nawet komiczna – twarz, którą rozpoznałem w hipnozie.

Jej wyraźny wizerunek wyłonił się w moim umyśle w sposób tak realistyczny, że nieomal mogłem go dotknąć. Niepokoił mnie i chętnie pozbyłbym się go z pamięci, traktując go jako efekt uboczny seansu, spowodowany pytaniami Dona Kleina o szczegóły wyglądu widzianej istoty.

Ostrość i wyrazistość obrazu wprawiły mnie w panikę. Nie wyobrażałem sobie dalszego życia z tą twarzą przed oczami, nieustannie przypominającą mi o widmowej obecności Przybyszów w moim życiu.

Wszedłem do swego gabinetu i usiadłem na podłodze, wprawiając się w stan głębokiej medytacji. Skoncentrowałem się na własnym ciele, skupiając uwagę na środku ciężkości, znajdującym się nieco poniżej pępka, separując się w ten sposób od rozbieganego umysłu.

Wystarczyła jedna chwila, by zorientować się, że twarz nie zniknęła. Wręcz przeciwnie, jej obraz zyskał jeszcze na wyrazistości. Nie przypominał żadnego z dotychczasowych wyobrażeń, które nawiedzały mój umysł. Nie mogłem się uspokoić. Przez pierwsze kilka godzin wizerunek pozostawał statyczny, wpatrując się we mnie wielkimi, błyszczącymi oczami.

Nigdy nie posiadałem pamięci fotograficznej, zatem ta twarz była dla mnie czymś absolutnie nowym. Obraz ejdetyczny przypomina fotografię zrobioną okiem umysłu. W moim przypadku obraz wykraczał poza granice fotografii, zdawał się żyć.

Pomimo wysiłków, by uświadomić Kleinowi i Hopkinsowi szczególne znaczenie, jakie wizerunek dla mnie przedstawiał, nie udało mi się tego w pełni przekazać. Zresztą ja sam nie zdawałem sobie z tego sprawy do chwili, gdy ujawniły się niektóre z nadzwyczajnych właściwości tego obrazu.

Sądzę, że został on częściowo wywołany przez hipnozę. Może wynurzył się z podświadomości pod wpływem nasilonej koncentracji, a może stanowił odpowiedź Przybyszów na moje działania, na które zwrócili uwagę.

Zaraz po pojawieniu się wizerunku, zagłębiłem się w lekturę na temat pamięci ejdetycznej i dowiedziałem się, iż u osób dorosłych występuje ona niezmiernie rzadko, do tego stopnia, że w kulturze Zachodu jej przypadki są prawie nie notowane. Na dodatek opisy obrazów ejdetycznych, na które się natknąłem, w najmniejszym stopniu nie pokrywały się z moim przeżyciami. W żadnej z przytaczanych relacji nie znalazłem na przykład, by ktoś twierdził, że jego obrazy żyją własnym życiem.

Mój wizerunek natomiast sprawiał wrażenie, że za moment wyciągnie rękę, by mnie dotknąć. Czułem się z nim niezwykle silnie związany. Przypominało to raczej spoglądanie na kogoś zza dźwiękoszczelnej szyby niż oglądanie fotografii.

Wkrótce odkryłem, że postać nie tylko porusza się z własnej woli, ale również reaguje na rozkazy. Pokazała mi w ten sposób swe ręce, twarz – każdy szczegół swego ciała. Kiedy Anna poprosiła, bym opisał jej stopy, postać oparła się o niewidzialny przedmiot i uniosła nogę. Stopa wydawała się uproszczoną wersją ludzkiej – zwarta w miejscu palców przecięta tylko w jednym miejscu kostką, podobnie jak inne stawy, wydawała się połączeniem prostym.

Pomimo iż nie można było wykluczyć, że oglądałem istotę realną, istniało również przypuszczenie, że miałem do czynienia z twórczym aktem wyobraźni – wytworem umysłu pragnącego dostarczyć kolejny dowód na istnienie w tej sprawie czynników zewnętrznych.

Jeśli rzeczywiście przyszło mi się zmierzyć z własnym, niezrozumiałym i instynktownym usiłowaniem stworzenia nowego bóstwa, to pozostanie agnostykiem wymagało postawienia mojej świadomej części w opozycji do mego podświadomego działania.

A jeśli to podświadomość odmówiła posłuszeństwa i rzuca mi teraz przed oczy obrazy przerażające, a nawet niebezpieczne? Nie mamy zielonego pojęcia o wiedzy tajemnej czy magii. My, którzy tak bardzo kochamy naukę, odrzuciliśmy te pojęcia. A może podświadomość posiada zdolność wytwarzania rzeczywistych wielkości fizycznych? To zaledwie jedna z wielu hipotez zainspirowanych ostatnimi wydarzeniami. Osobiście obawiałem się utraty kontroli nad tą nowo odkrytą tajemniczą zdolnością. Dopiero co wyczarowałem rzecz bardzo niepokojącą. Co będzie, jeśli podświadomość posiada w swym panteonie zjawiska jeszcze bardziej przerażające?

Tak to wyglądało z jednej strony. Z drugiej jednak, może udałoby mi się przemienić ten obraz w żywą istotę – straszną, lecz zarazem fascynującą.

Budd Hopkins zaproponował, abym skorzystał z usług artysty, który odtworzyłby wizerunek. Zdecydowaliśmy się na Teda Jacobsa dlatego, że potrafił tworzyć portrety na podstawie opisów.

To właśnie wtedy, gdy zjawił się Ted ze swoim szkicownikiem, odkryłem najbardziej interesujące cechy wizerunku. Siedziałem z zamkniętymi oczami, opisując twarz najdokładniej, jak umiałem. Jej widok był zdumiewająco szczegółowy: to zbliżał się, to oddalał, ukazując takie detale, jak delikatny, biały meszek pokrywający jej policzki i czoło, miękkie w dotyku – według moich wyobrażeń – jak główka niemowlęcia. Nos nie był zbyt mocno zaznaczony, choć jego koniuszek wydawał się wrażliwy, prawie jak opuszki palców.

Zobaczyłem, że nos porusza się – był to więc wrażliwy organ mieszczący zmysł powonienia oraz dotyku. Linia ust przypominała raczej jeden z tych pełnych i złożonych kształtów, jakie przybierają ludzkie usta z biegiem lat. Te usta posiadały jakiś szczególny wyraz, wynikający, jak mi się zdawało, z nieugiętej woli emanującej od całej postaci, ale złagodzony przez coś, co mogę określić jedynie jako wesołość. Ted Jacobs szczególnie starał się uchwycić tę ulotną cechę i niewątpliwie doskonale mu się to udało, chociaż końcowy rezultat, widoczny na okładce tej książki, wykazuje nieco więcej cech ludzkich niż w rzeczywistości. Dokładniej mówiąc, usta stanowiły zaledwie kreskę, choć skomplikowaną. Warg nie było w ogóle. Poza tym czaszka była znacznie większych rozmiarów, niż by sugerował portret na okładce.

Podbródek był mocno zarysowany, sprawiający wrażenie płytki kostnej obciągniętej skórą.

Najbardziej przykuwającą uwagę cechą tej twarzy były od początku oczy, znacznie większe niż nasze. Raz czy dwa wydało mi się, że dostrzegam w nich czarną tęczę i takąż źrenicę, co oznaczałoby, że za tymi studniami mroku kryją się jakieś organa optyczne, lecz przyznaję, że było to tylko przelotne wrażenie.

To właśnie te oczy ujrzałem 4 października, połyskujące wściekle w bladym świetle nocy. Pamiętam je z 26 grudnia, z letniej nocy 1957 roku i z incydentu z obłokiem mgły.

Ted zadał mi wiele pytań na temat oczu. Kiedy zapytał mnie, jak wyglądają, gdy są zamknięte, przeżyłem kolejny szok: obraz zamknął oczy. Zobaczyłem, jak ich wielkie, szkliste powierzchnie zwężają się i marszczą, podczas gdy powieki zamykały się, opadając i podnosząc się zarazem, aż zwarły się nieco poniżej centrum gałki ocznej.



Opisałem je Tedowi, lecz to mu nie wystarczyło. Jak wyglądają z profilu? Czy kiedykolwiek widziałem jej profil? Siedząc i wpatrując się w mrok swego umysłu, spostrzegłem, że obraz posłusznie odwrócił głowę.

Trudno uwierzyć w to, co zobaczyłem. Czy to zjawą? Moje dotychczasowe dociekania nie ujawniły jeszcze natury tego zjawiska. Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że jest ono wynikiem niezidentyfikowanego dotąd procesu umysłowego, choć w danej chwili wydawało się to prawdopodobne.

Przez cały ten czas wizerunek przed moimi oczami nie zmienił się ani na jotę. Mogłem oglądać każdą część ciała od czubka głowy do końca pięty nieskończoną liczbę razy i wciąż widziałem to samo. 13 marca nagrałem kompletny opis obrazu. 23 marca zrobiłem to jeszcze raz, a następnie porównałem oba opisy. Okazały się identyczne.

Oprócz twarzy mogłem zobaczyć oba profile, plecy, ramiona i dłonie, stopy, tors, brzuch – praktycznie każdą część ciała. Przy bliższym zbadaniu powierzchnia skóry okazała się gładka, nie stwierdziłem jednak pod nią warstwy tłuszczu. Skóra wydawała się ciasno opinać szkielet kostny. Budowa stawów kolanowych i łokciowych przypominała mi odnóża świerszczy i koników polnych. Długie dłonie, zakończone trzema palcami i przeciwnym kciukiem, oglądane w spoczynku zwężały się stożkowato, natomiast przy zetknięciu z jakimś przedmiotem rozpląszczały się, co świadczyłoby o giętkości większej od naszych dłoni. Na końcach palców znajdowały się paznokcie, przypominające nieco szpony.

Ciało to nie sprawiło na mnie wrażenia mocno rozwiniętego, a wręcz przeciwnie – emanowała z niego prostota. Nieskomplikowana budowa wskazywała na słabo rozwinięty kościec i niewielką masę ciała.

Nie potrafię wytłumaczyć, jak powstał ten wizerunek. Jeżeli nie wywołały go pytania Dona o wygląd Przybyszów, to wobec tego mogłem mieć do czynienia z wyrafinowaną formą projekcji

holograficznej. Dysponując wiedzą na temat sposobów stymulacji ośrodka wzroku, można zatrzymać jakiś obraz w czyimś umyśle.

Czy tak się właśnie stało? Późniejsze wydarzenia wskazują na to, że geneza tego wizerunku jest bardziej niewiarygodna, niżby się mogło wydawać.

Wizyta z 15 marca 1986

Późną nocą 14 marca po powrocie z seansu obejmującego wypadki na Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, powtórnie zabrałem się do przemyśleń. Oczywiście wizerunek nadal mi towarzyszył. Zastanowiłem się, co by się stało, gdybym zaprosił go do siebie.

Długa jest historia ludzkich praktyk magicznych i czarów. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że większość tych praktyk wywodzi się z pragnienia, by w najprzeróżniejszy sposób wpłynąć na otoczenie, od którego ludzie byli całkowicie uzależnieni. Lecz jeśli kryło się za tym coś więcej? Co wtedy? Siedziałem zapatrzony w towarzyszący mi wizerunek. Odwzajemniał moje spojrzenie – tylko tyle. Zupełnie mimowolnie przemknęła mi przez głowę myśl, że wszystko, co dotychczas napisałem, nabrałoby innego wymiaru, gdybym tylko mógł otrzymać potwierdzenie. Było to trafne spostrzeżenie, dokładnie oddające mój stan w owej chwili. W odpowiedzi poczułem baczne spojrzenie świdrujących mnie oczu.

W sobotni rano udaliśmy się na wieś. Nasz syn zaprosił koleżankę, po którą wstąpiliśmy po drodze. Była to siedmioletnia dziewczynka z grona jego szkolnych przyjaciół, kipiąca wprost z radości tego wspólnego weekendu. Ani razu nie wspomnieliśmy w jej obecności o latających talerzach czy Przybyszach – wątpię zresztą, by tego rodzaju sprawy zaprzętały obecnie umysły dzieci. Nasz synek, częściowo dzięki naszym wysiłkom, nadal nie miał o nich najmniejszego pojęcia.

Przed kolacją wybrałem się na spacer nieuczęszczaną prywatną drogą. Noc była raczej pogodna, na niebie widniała ćwiartka księżycy. W pewnej chwili ciemność przecięła cieniutka smuga światła. Poczułem rozczarowanie – to ma być oczekiwana manifestacja obecności?

Było już po zmroku, kiedy zasiedliśmy do kolacji. Ledwie zabraliśmy się do jedzenia, gdy zaproszona przez syna dziewczynka wykrzyknęła:

– Świecący samolocik przeleciał przed chwilą nad podwórzem!

Na twarzy dziecka malowało się nieklamane zdumienie. Spojrzała na mnie z niepokojem. W pierwszym odruchu chciałem schować się pod stołem, ale opanowałem się, a nawet zdobyłem się na swobodny i uspokajający ton.

– Mamy tu pod bokiem bazę lotnictwa – wyjaśniłem. Wprawdzie lotnisko Gwardii Narodowej położone jest jakieś pięćdziesiąt kilometrów od naszego domku, lecz było to jedyne wyjaśnienie, na jakie mogłem się zdobyć.

– Nie pozwolimy zepsuć sobie wieczoru, prawda? Najlepiej będzie, jak od razu o tym zapomnimy.

Wstałem od stołu i wyszedłem przed dom. Nic jednak nie zauważyłem. Dzieci wkrótce ochłonęły i zabrały się do jedzenia. Spojrzeliśmy po sobie z Anną. Poprzedniego popołudnia przeżyła swój pierwszy seans hipnotyczny, lecz nadal miała nikłe pojęcie na temat tego, co działo się ze mną. Na podstawie rezultatów hipnozy wywnioskowała jednak, że w grę wchodzi możliwość wizyty Przybyszów, dlatego też na uwagę dziewczynki zareagowała z niepokojem.

Po kolacji udaliśmy się na górę, by przedyskutować to zdarzenie na osobności. Szczerze mówiąc, obserwacja poczyniona przez dziewczynkę, gdy ja oczekiwałem jakiegoś znaku, przekonała mnie do pewnego stopnia o prawdziwości dotychczasowych wydarzeń. W przeciwnym razie, czemu miałyby służyć ogłoszona przez nią uwaga? W obecności dzieci nie padło ani jedno

słowo na temat Przybyszów, a poza tym dziewczynka nie posiadała żadnej wiedzy na ten temat.

Zwierzylem się Annie z moich zamiarów nawiązania kontaktu.

– Przeczuwałam, że coś takiego zrobisz – powiedziała. Szkoda, że nie umiem prowadzić; zabrałabym dzieciaki do miasta, a ty zostałabyś sobie tutaj, żeby wypić to piwo, którego nawarzyłeś – urwała nagle. – Nie, nie mogłabym tak postąpić.

Siedzieliśmy w ciemności, trzymając się za ręce. Z dołu dobiegały przyciszone głosy dzieci, wspólnie czytających książkę.

Prawdopodobnie nie byłbym w stanie usiąść za kółkiem nawet gdybym musiał. Oczy same mi się zamykały. Rozpoznałem znajome uczucie lekkości, właściwe stanowi płytkiej hipnozy. Czyżbym sam się hipnotyzował? To całkiem możliwe.

Cóż takiego mogła dostrzec koleżanka syna? Następnego dnia spytałem ją, czy wie, co to jest latający talerz.

– Co takiego? – zdziwiła się.

– No wiesz, latający talerz. – Dziewczynka spojrzała na mnie jak na szaleńca.

– Nie wiem, co to jest. Idziemy z pana synem do jego klubu. – Jej zmieszanie powiedziało mi wszystko – nie wiedziała nic. Po powrocie do miasta zagadnąłem jej ojca:

– Słyszałeś kiedyś o latających talerzach?

– Co? A, tak.

– Czytałeś może jakieś książki na ten temat?

– Nie przypominam sobie.

– A rozmawiałeś kiedyś z kimś na ten temat?

– Whit, o co ci chodzi?

– Rozmawiałeś czy nie?

– Nie. No i co? Wygrałem czy przegrałem?

Dziecko wychowane w latach pięćdziesiątych z pewnością wiedziałoby, co to takiego latające talerze. W owych dniach była to sensacja na dużą skalę, zupełnie inaczej niż teraz. Niewiedza dziewczynki nie zaskoczyła mnie zatem, niemniej jednak stanowiła istotną wskazówkę. Dziecko zobaczyło coś i zrelacjonowało to na swój dziecięcy sposób. Ignorując tego rodzaju świadectwo osoby niewinnej i nie poinformowanej, popełnilibyśmy duży błąd. Właśnie ze względu na czynnik niewiedzy jest ono mocnym dowodem na prawdziwość zjawiska.

O jaką prawdziwość jednak nam chodzi? Owszem, dziecko mogło zobaczyć obiekt istniejący w świecie fizycznym, lecz jeśli umysł po siada moc, której nie zdążyliśmy jeszcze poznać, co wtedy? Może istnieje coś takiego jak telepatia – wówczas zwracając się do towarzyszącego mi wizerunku o pomoc, w rzeczywistości wysłałem na poszukiwania część siebie. Odnalazła ona niewinny i otwarty umysł dziecka, posiadała go i wytworzyła halucynacje, doskonale zdając sobie sprawę, że nasz mały gość będzie najmniej prawdopodobnym kandydatem na świadka niezemskich zjawisk, a przez to jego świadectwo stanie się jak najbardziej wiarygodnym.

O dziesiątej dzieci już smacznie spały. Byłem w niezwykle pogodnym nastroju – słuchając stacji WAMC z Albany, mogłem nareszcie nacieszyć się towarzystwem własnej żony. Siedzieliśmy w naszej przestronnej sypialni, powoli ulegając ogarniającemu nas zmęczeniu. Z wybiciem dziesiątej stać nas było jedynie na to, by wczołgać się do łóżka. Zasnęliśmy natychmiast.

Obudziło mnie nagle szturchnięcie w ramię. W jednej chwili odzyskałem przytomność. Tuż przy łóżku ujrzałem trzy małe postaci, których sylwetki rysowały się wyraźnie na tle poświaty, emitowanej przez tablicę kontrolną alarmu. Stały zupełnie nieruchomo w swoich niebieskich kombinezonach.

Nie były to zawzięte, wielkookie postacie kobiece, które poprzednio dokładnie opisałem, lecz również znajome, karłowate sylwetki, krępe, dobrze zbudowane, o płowych, humanoidalnych twarzach i błyszczących, głęboko osadzonych oczach. To oni 26 grudnia skojarzyli mi się z „dobrą

armią”.

Pomyślałem sobie: „Dobry Boże, jestem całkowicie przytomny, a oni stoją tu przede mną”. Przyszło mi do głowy, że mógłbym zapalić światło, a może nawet wstać z łóżka. Spróbowałem poruszyć ręką, by dosięgnąć wyłącznika nocnej lampki i sprawdzić, która godzina.

Towarzyszące temu uczucie mogę porównać jedynie do machnięcia ręką zanurzoną w znajdującej się pod napięciem gęstej smole. Zainicjowanie ruchu pochłonęło każdy gram mojej koncentracji. Wezwałem na pomoc całą swoją wolę i skoncentrowałem uwagę. Próby poruszenia ramieniem nie dały rezultatu. Zmuszony byłem nakazać ten ruch siłą woli, wywalczyć go. Przez cały czas tej walki oni stali nieruchomo.

Z wysiłkiem, cal po calu, moje drżące palce zbliżyły się do wyłącznika. Odwróciłem głowę, pokonując opór równy ciężarowi ołowianej zbroi i dostrzegłem w ciemności wyłącznik. Patrzyłem, jak moja dłoń powoli go dosięga, wyczułem go palcami, usłyszałem pstryknięcie i... nic. Spróbowałem ponownie. Znowu nic.

Nie było prądu. Alarm antywłamaniowy działał, ponieważ posiadał awaryjne zasilanie z akumulatora, lecz najwyraźniej nie stanowił dla nich problemu, jako że nie przeszkodził im w dostaniu się do środka.

Gdy z powrotem odwróciłem głowę, napotkałem widok tak niesamowity, że z trudnością znajduję słowa, by go opisać.

Tuż przy łóżku, może z pół metra od mojej twarzy, wystarczająco blisko, bym nie potrzebował okularów, stała jedna z wysmukłych postaci, do których należała też „Ona”. Od tamtej różniły ją jednak oczy – ogromne, czarne guziki, okrągłe raczej niż skośne. Miała na sobie nieudolną kartonową imitację niebieskiego dwurzędowego garnituru, z trójkątną białą chusteczką, wystającą z kieszonki na piersiach.

Ogarnął mnie strach tak porażający, że prawdopodobnie bardziej biologiczny niż psychiczny, ponieważ dotyczył on w większym stopniu moich mięśni, kości i krwi niż umysłu. Skóra zaczęła mnie swędzieć, a włosy stały się dęba jak naładowane. Poczucie ich obecności w mojej sypialni było przytłaczające i niesamowite. Chciałem obudzić Annę, lecz nie mogłem otworzyć ust. Pomyślałem o dzieciach i w tej samej sekundzie przez głowę przemknął mi obraz ich obojga pogrążonych w spokojnym i bezpiecznym śnie.

Postać przed moimi oczami przyjęła postawę wyczekującą. Myślałem gorączkowo: Po co ten garnitur? Czyżby chcieli mi pokazać osobnika męskiego? Jeśli to gatunek rojny, to może istnieć wśród nich kilka płci, różniących się znacznie pod względem fizycznym: osobniki męskie, żeńskie oraz małe, krępe trutnie.

Powiedziałem sobie: „Przywołałeś ich i co teraz? Masz zamiar leżeć tu i trząść się ze strachu? Sam chciałeś nawiązać kontakt”.

Najwyraźniej czekali na moją reakcję. Dokładnie widziałem ich twarze, ciemne oczy jak błyszczące dołeczki w ciemnobrązowej skórze. Nie mogłem nie poczuć bijącej od nich swego rodzaju wesołości. Już przedtem przyszło mi na myśl, że wyglądają na szczęśliwych. Z pewnością wszystko, do czego się zabrali, szło jak z płatka.

Przybyli na moje wezwanie, lecz co, u licha, miałem im powiedzieć? Chciałem pokazać im, że panuję nad sobą i pomimo tego, co mogę nazwać jedynie przerażającym napadem na moją osobę, nadal funkcjonuję zarówno w sferze fizycznej, jak i psychicznej, a nawet do pewnego stopnia zachowałem niezależność. Ponadto pragnąłem im przekazać, że nie czuję do nich wrogości pomimo wieloznaczności ich postępowania ze mną. Być może jest ono w pełni uzasadnione. Nie wiemy, czy wszystkie ich dotychczasowe kontakty z ludźmi miały charakter pokojowy. Czyż ja sam nie stawiałem oporu przy pierwszych spotkaniach?

Jeśli stanowili społeczność rojną o centralnym mózgu, mogło się okazać, że częśćka wolnej woli, jaką mi pozostawili, stanowiła wszystko, na co mi mogli pozwolić, nie narażając się na ryzyko utraty kontroli nad sytuacją. A gdybym tak uczynił coś zupełnie nieoczekiwanego i chwycił jednego z nich za ramię? Czy rój straciłby wówczas orientację, nie potrafiąc określić położenia jednego ze

swych członków? Czyżby wzięcie jednego z nich do niewoli było tak prostą sprawą?

Nie miałem i nadal nie mam zamiaru wykonywać jakichkolwiek prowokujących ruchów w ich obecności. Nie zamierzam nawet drgnąć, jeśli mnie do tego nie zachęcą – przynajmniej dopóki nie dowiem się o nich więcej. Zbyt łatwo zagubić się w ich świecie.

Leżąc nieruchomo w łóżku, czułem dużą odpowiedzialność. Musiałem nawiązać kontakt w sposób nie wzbudzający obaw. Byłem pewnego rodzaju emisariuszem, choć może tylko w królestwie koszmarów. Jeśli tak, to był to bardzo specyficzny koszmar, gdyż strach powoli ustępował, choć sen nie dobiegł jeszcze końca.

Ponownie użyłem całej siły woli, skoncentrowałem się, włożyłem niewyobrażalny wysiłek w uaktywnienie mięśni twarzy i w końcu osiągnąłem cel – uśmiechnąłem się.

Reakcja była natychmiastowa. Rozpierzchli się z szumem, a ja pogrążyłem się we śnie, znacznie różniącym się od tego co zaszło przed chwilą. Szczerze mówiąc jestem przekonany, że istoty, które zobaczyłem, nie były częścią żadnego snu ani też halucynacji. Czym były, pozostaje nadal zagadką.

Ciekawa sprawa, że sen, który potem nastąpił, okazał się powtórzeniem jednego z niewielu naprawdę strasznych koszmarów, jakie kiedykolwiek mnie nawiedziły, choć tym razem w bardzo łagodnej wersji. W wielkim kamiennym pałacu ścigał mnie robot o wyłupiastych oczach jak paciorki. Ponieważ jednak nie rzuciłem się do ucieczki, robot usiadł i poprzestał na intensywnym wpatrywaniu się we mnie.

Obudziłem się z nadejściem ranka. Otworzyłem oczy z uczuciem śmiertelnego znużenia i usłyszałem głos Anny:

– Nareszcie spokojna noc.

Zeszła na dół, by przygotować pyszne śniadanie, a ja siedziałem w łóżku, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

Przy stole wszyscy tryskali wesołością. *Times* miał tyle samo stron, co zawsze, a kawa i gofry były wyśmienite. Znowu znajdowałem się we własnym świecie, przy stole z ukochaną rodziną. Gdy opowiedziałem Annie, co wydarzyło się w nocy, roześmiała się wesoło, ubawiona pomysłem namalowanego staroświeckiego garnituru, po czym nastawiła zegar przy kuchence, który „zgubił” tej nocy pięć minut.

Dowiedziałem się później, że ktoś oprócz mnie także zetknął się z Przybyszami ubranymi w niemodne garnitury. Oznaczałoby to, że nie przywiązują oni większej wagi do naszego odzienia lub też nie do końca zrozumieli jego znaczenie. Być może ich procesy myślowe nie uwzględniały zagadnienia odzieży. Jeśli kiedykolwiek dojdzie do otwartego spotkania, to może okazać się, że z wnętrza kosmicznych pojazdów wyłonią się postaci bynajmniej nie nagie, jak to widzieliśmy w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia”, lecz ubrane w dwurzędowe marynarki, skrojone według mody z roku 1952, z białymi chusteczkami wystającymi z kieszonki na piersiach.

Zdarzenie z 15 marca wydało mi się bardziej czytelne i odbiegające od wszystkich dotychczasowych spotkań. Przybysze w sposób niezaprzeczalny zmanifestowali swoją obecność. Pozwolili, bym ujrzał ich mając pełną świadomość dotychczasowych doświadczeń, mimo ograniczonych władz fizycznych. Ponadto zapowiedzieli swoją wizytę ustami niewinnego dziecka, które w żaden sposób nie było związane z tą sprawą.

Kim byli moi nocni goście? Czy rzeczywiście przybyli z nieba, czy z innego kosmosu, gdzie sny są rzeczywistością, a rzeczywistość snem, gdzie postaci i ich cienie stanowią jedność?

Kilka tygodni po napisaniu powyższego spotkałem kobietę, która opisała widzianego Przybysza jako postać rodzaju męskiego, niewysoką, łagodną, o oczach lśniących i okrągłych jak dwa czarne guziki i niemal szczątkowych ustach.

Ja widziałem dokładnie to samo, zatem garnitur miał mi coś oznajmić.

Dlaczego po prostu nie przemówią? Dysponują przecież głosem. Potrafią również przekazywać sygnał prosto do naszego mózgu. Zastanawiałem się, czy ich pojawienie miało jakikolwiek związek z moim pragnieniem potwierdzenia. Czy tych trzech stojących przy łóżku trzymało przed sobą

kukłę, by przekonać się, jak zareaguję, dysponując pewną zdolnością poruszania się?

Patrząc wstecz, cieszę się, że nie próbowałem schwytać żadnego z nich. Mam wrażenie, że te istoty, oczywiście jeśli istnieją, są nie tylko ostrożne, a wręcz pełne obaw przed nami. Sądzę, że lepiej było się uśmiechnąć niż wyciągać do nich ręce, choć bardzo pragnąłbym fizycznego kontaktu. Lecz kto mi zaręczy, że moje palce nie natrafiłyby na próżnię? Zawsze będę o tym myśleć.

Prosiłem o potwierdzenie, a nie namacalny dowód. Zdaje się, że zostałem potraktowany dosłownie.

Rozdział 5

Sojusz zagubionych

Wspomnienia mojej rodziny

*Wściekłość mą wzbudza myśl
o istotach do mnie podobnych, uciskanych przez śmierć,
wyjałowionych przez spekulacje,
które tulą się do ognisk łaskawej nocy,
i cierpię, myśląc o losie nas wszystkich –
podpierających ściany w tym walcu gwiazd*

Diane Ackerman *Lady Faustus*

W potrzasku ciemności

Od samego początku dręczy mnie niepokój, że moja żona i syn mogą mieć swój udział w moich przeżyciach. W najlepszym przypadku byli zmuszeni znosić konsekwencje moich zmiennych nastrojów, w najgorszym zaś mogło okazać się, że są wplątani w sprawę Przybyszów w równym stopniu co ja. Co prawda oboje z Anną staraliśmy się, by syn nie był obecny przy rozmowach na ten temat, a także nie odczuwał skutków mojego osobistego cierpienia. Od początku sprawą nadrzędną było utrzymanie go w stanie szczęśliwej niewiedzy.

Gdy skojarzyłem swoje przeżycia z opisami w *Science and the UFOs* nie napomknąłem o tym nikomu, nawet Annie. Jak już wspomniałem, ulegając pierwszemu impulsowi, chciałem wszystko zataić, a gdy okazało się to niewykonalne, poszukałem fachowej pomocy u Budda Hopkinsa. Nawet Anna nie miała o tym najmniejszego pojęcia, nie mówiąc już o naszym synku.

Po raz pierwszy poddając się hipnozie, Anna mogła jedynie domyślać się, że prosząc ją o relację z 4 października i 26 grudnia, z jakichś przyczyn uważamy te daty za szczególnie ważne. Nie powiedziałem jej nic nie dlatego, by zachować naturalność i spontaniczność jej wspomnień, lecz

głównie dlatego, że istniało prawdopodobieństwo, jakkolwiek nikłe, że znajdujemy się pod ciągłą obserwacją Przybyszów.

Hipoteza zakładająca istnienie kosmitów była przez nas omawiana jedynie w ogólnym zarysie. Dopiero po pierwszym seansie hipnotycznym żony, który odbył się 13 marca 1986 roku, wspomniałem, iż dopuszczam możliwość ingerencji istot pozaziemskich w nasze życie. Trudno się dziwić, że krótko potem, wieczorem 15 marca, Anna była zaszokowana, słysząc opowiadanie zaproszonej przez syna dziewczynki. Fakt, że zdecydowała się zostać i spędzić tam noc, świadczy o jej odwadze.

Z drugiej strony Anna posiada niezwykle aktywny i dociekliwy umysł i pewien jestem, że wrodzona ciekawość nie pozwoliłaby jej się wycofać. Kiedy zorientowała się, że w naszym życiu zachodzą niesamowite wydarzenia, zadziałał nasz system rodzinnego partnerstwa, który kazał jej przejąć kontrolę nad kierunkiem naszych intelektualnych dociekań. W ten sposób miałem po swej stronie jej otwarty i twórczy umysł oraz jej niezłomne przekonanie, że wszelkie spekulacje muszą znajdować oparcie w faktach.

Przed hipnozą przebłyski wspomnień Anny z 4 października dotyczyły mojego alarmu o pożarze domu, wybuchu i wołania naszego synka. Żadne z nas nie potrafi wytłumaczyć jej obojętności na moje ostrzeżenie o pożarze, jak również na głośną eksplozję. Jeżeli zaś chodzi o noc 26 grudnia to według Anny niczym nie różniła się ona od innych.

Okazało się, że kilka innych wspomnień dotyczy wcześniejszych wydarzeń. W marcu zeszłego roku opowiedziałem jej podobno, że któreś nocy „latałem po pokoju”. Sny o lataniu nie są bynajmniej czymś nadzwyczajnym ani też w najmniejszym stopniu patologicznym. Psychiatri generalnie wiążą je z ukrytym pragnieniem uwolnienia się od stresu. Ponadto w 1982 roku zdarzyła się historia z „białą postacią”, szczegółowo zanalizowana podczas hipnozy.

13 marca 1986 roku Anna została zahipnotyzowana przez doktora Roberta Naimana. Zdecydowaliśmy się na innego psychiatrę, by wykluczyć możliwość nieświadomie tendencyjnych pytań, jakie mógłby zadawać Don Klein z racji swojej znajomości tematu.

Wyczuwałem doskonałą okazję do uzyskania odpowiedzi na wiele pytań i byłem gotów uczynić wszystko, co w mojej mocy, by te odpowiedzi otrzymać. Jesteśmy z Anną małżeństwem na dobre i na złe. Cokolwiek się ze mną działo, miała prawo o tym wiedzieć, gdyż dotyczyło to również jej. Jeśli jej relacje w żadnym punkcie nie będą zgodne z moimi, będzie to oznaczać, że mój problem jest wyłącznie natury psychicznej, pomimo że nie byłem przypadkiem jednostkowym. W ten sposób upadłaby hipoteza o ingerencji Przybyszów, dając pierwszeństwo przypuszczeniom na temat tajemniczych, nie znanych dotąd procesów psychicznych o określonych objawach fizycznych.

Bob Naiman miał już poprzednio do czynienia z pacjentami o podobnych problemach, reprezentował zatem to samo zdrowe podejście, co Don Klein.

W seansie brał również udział Budd Hopkins. Pytania przez niego zadawane poprzedzone są w tekście jego nazwiskiem. Pozostałe pytania zadawał dr Naiman.

Pomimo wszelkich postępów w przystosowaniu się do nowej sytuacji, jakie do tej chwili poczyniłem, muszę przyznać, że seans żony odebrałem jako wstrząsający. Było oczywiste, że Anna nie miała w związku z hipnozą żadnych konkretnych oczekiwań ani też nie próbowała się niczego doszukiwać, a jednak jej relacja wskazywała na silne oddziaływanie zewnętrzne na jej pamięć oraz na jej wyznaczoną rolę w naszym związku.

Hipnoza wykazała, że Anna nie wymyślała własnych historii, a wręcz przeciwnie – starała się nie pamiętać czegoś, co kategorycznie kazano jej zapomnieć. Wydawało się, że jest posłuszna wydanym wcześniej rozkazom, niweczącym wysiłki psychiatry z bardzo prostej przyczyny: moja żona najwyraźniej uwierzyła, że moje zdrowie psychiczne zależy od tego, czy dostatecznie szybko zapomni o pewnych wydarzeniach, od tego, czy będzie w stanie stworzyć mi bezpieczną i cichą przystań.

Podejrzewam, że takie rozumowanie nie jest pozbawione słuszności. Jej determinacja nie ustąpiła nawet pod działaniem hipnozy, co prawdopodobnie oznacza, że nie tylko uchroniła mnie w

ten sposób przed szaleństwem, ale również całą rodzinę przed rozpadem.

Retrospekcję rozpoczęliśmy od wrażeń z nocy 30 lipca 1985. Z dziennika prowadzonego przez naszego syna wynikało, że mogła wówczas brać udział w pewnym incydencie. Nie było mnie wtedy w domu – wyjechałem w interesach, a żona z synkiem pojechała na wieś. Nie próbując niczego sugerować, dr Naiman rozpoczął seans od tamtej daty.

Hipnoza

30 lipca, 4 października i 26 grudnia 1985

Data: 13 marca, 21 marca 1986

Pacjent: Anna Strieber

Psychiatra: dr med. Robert Naiman

Dr Naiman: Rozpoczniemy od 30 lipca 1985. Byłaś wtedy sama z synem, prawda?

– Tak.

– Byliście na wsi?

– Zgadza się.

– Czy był tam ktoś z wami?

– Tego dnia przyszło wielu robotników, więc mimo braku samochodu nie czułam się osamotniona. Whitley pojechał do miasta. Wydaje mi się, że wzięłam rower i pojechałam do sklepu. Tak, pojechałam do sklepu. Pamiętam, że zastanawiałam się, jak tam dojadę. I tak nie pojechałabym samochodem, ale cieszyłam się, że mogę zostawić synka z robotnikami. Tak też zrobiłam. Zamierzaliśmy urządzić sobie małą ucztę i chciałam kupić coś do jedzenia.

– Czy twój syn miał ochotę na coś do jedzenia?

– Ja również. Wiedziałam, że gdy położę go do łóżka, poczuję się samotna. I tak właśnie było. Poza tym nie pamiętam nic szczególnego.

– Nie jesteś przyzwyczajona zostawać z nim sama?

– Nie, zwykle jeździmy wszyscy razem, a ponieważ nie prowadzę zbyt dobrze i raczej nie wybieram się bez Whitleya, więc nigdy nie zostawałam na noc sama z synem.

– Chciałbym, żebyś skupiła się teraz na tym, co działo się po twoim powrocie ze sklepu.

– W porządku.

– O jakiej porze to było?

– Po południu. Może nawet późnym popołudniem, wydaje mi się, że koło trzeciej lub czwartej. Robotnicy szykowali się już do wyjścia.

– Przy czym pracowali?

– Budowali basen.

– I kiedy wyszli o czwartej, zostałaś sama z synem?

– Tak.

– Co się potem stało?

– Nie pamiętam dokładnie, co jedliśmy na kolację, ale chyba nic wyszukanego. Możliwe, że coś upiekłam, nie jestem pewna. Wydaje mi się, że przywiozłam wiórki czekoladowe i zrobiliśmy ciasteczka. Musiało to jednak być wcześniej, bo pamiętam, że dawałam je robotnikom, ale mogło to równie dobrze być kiedy indziej. Pamiętam tylko, że któregoś dnia poczęstowałam ich

ciasteczkami. Nie miałam wiórków czekoladowych i właśnie po nie pojechałam do sklepu. W każdym razie brakowało mi czegoś, po co musiałam pojechać do sklepu. Potrzebowałam papieru i... tak, pamiętam dokładnie, powiedziałam sobie: „Dlaczego miałabym tu siedzieć beczynn timer, skoro mam rower?”

– Zatem jedliście kolację tylko we dwoje?

– Tak.

– Która to była godzina?

– Szósta, w okolicach szóstej. (Niepewność w głosie.) Nie pamiętam kolacji. Czyżbyśmy byli do kogoś zaproszeni? Nie, nie wydaje mi się.

– A o której godzinie położyłaś syna do łóżka?

– Około ósmej. O siódmej trzydzieści.

– Nie byłaś tym zachwycona.

– Cóż, nie jest lekko mieć dzieciaka na głowie przez cały dzień. Poza tym wieczorem szybko ogarnia mnie znużenie i to nie ja zwykle układani go do snu. Nie dorównuję Whitleyowi w czytaniu bajek na dobranoc, dlatego, kiedy on wyjeżdża, usypianie dziecka nie idzie mi najlepiej.

– Ale tym razem poszło dobrze?

– Tak... Nie pamiętam. Nie... Nie mogłam obejrzeć filmu w telewizji, bo nie mieliśmy jeszcze założonej anteny. Ale mieliśmy video. Nie sądzę jednak, bym coś oglądała. Pamiętam, że Whitley wrócił wcześniej niż się spodziewałam.

– To znaczy kiedy?

– Następnego dnia.

– Czy pamiętasz coś szczególnego z tej samotnej nocy?

– Nie... no, nie.

– Czy dziecko wołało cię w nocy?

– Nie sądzę.

– Spałaś jak zwykle – mocno?

– Tak mi się wydaje. W nocy na wsi człowiek czuje się taki samotny. Możliwe, że słyszałam jakieś hałasy, ale nie przejmowałam się nimi, wiedząc, że drzwi są zamknięte.

– Czy system alarmowy był włączony?

– Tak.

– Czy często słyszysz kroki... dźwięki?

– To nie kroki... Wątpię, żeby to był odgłos kroków. Nie zawsze można złowić ten dźwięk, jest bardzo cichy. Nie nazwałabym go hałasem.

– W porządku, dam ci jeszcze minutę, bo chcę, żebyś skupiła się teraz najbardziej, jak potrafisz. Posiadasz w tej chwili niezwykłą zdolność koncentracji. Skup się na tamtej nocy, począwszy od zmierzchu.

– To dziwne. Pamiętam całe popołudnie, a absolutnie nic z wieczoru po wyjściu robotników. (Długa przerwa.)

– W porządku, nie będziemy już więcej o tym rozmawiać. Możliwe, że gdy wyprowadzę cię z transu, przypomni ci się coś na ten temat. Postaraj się wówczas zachować to w pamięci, jeśli wogóle cokolwiek przyjdzie ci do głowy.

– Dobrze. (Nic takiego się nie stało. Wspomnienia Anny urywają się tuż przed kolacją i pojawiają z powrotem od momentu mojego powrotu następnego dnia. Wszystko, co zaszło w tym czasie, zostało wymazane z pamięci, jakby pod wpływem potężnej sugestii. Wcześniejsze wspomnienia z tamtego dnia są niczym nie zakłócone.)

– W związku z procedurą, stosowaną w naszych seansach, może okazać się, że pewne wspomnienia zostaną dziś uwolnione, lecz wyłonią się w twojej świadomości dopiero po zakończeniu

transu. Bądź zatem czujna.

– W porządku.

– Przejdźmy teraz do tamtego wieczora, czwartego października. Jeżeli dobrze zrozumiałem, byłaś wtedy z Whitleyem, synem i waszymi gośćmi, Jacquesem i jego przyjaciółką...

– Annie.

– Idziecie już spać. Bawiliście się znakomicie, zjedliście dobrą kolację, dużo wina, długie rozmowy. Czy nie tak?

– Czy ja wiem? Byliśmy w restauracji, to wszystko.

– Aha.

– Następnego dnia mieliśmy ubaw z Jacques'a, który wskoczył do lodowatej wody w basenie.

– Cofnijmy się jeszcze do nocy z czwartego października. Powiedziałaś dobranoc gościom, twój syn oczywiście już dawno śpi...

– Wróciliśmy późno. Siedzieliśmy w restauracji prawie do dziewiątej. Jacques i Annie byli już u nas przedtem, ale wtedy spali na tapczanie. Teraz po raz pierwszy zobaczyli nasz pokój gościnny. Dopiero niedawno wstawiliśmy tam łóżko. Byliśmy wszyscy tak zmęczeni, że zaraz po przyjsciu wskoczyliśmy w piżamy i położyliśmy się do łóżek. Chyba nie rozmawialiśmy długo.

– Tak?

– Wyjechaliśmy później niż zwykle, albo też... Nie, nie pamiętam. Chyba dlatego właśnie jedliśmy w restauracji. Nie było już czasu na zakupy. Musieliśmy zatem z jakiegoś powodu wyjechać później niż zwykle.

– To było w piątek po południu?

– Tak.

– Więc powiedziałaś wszystkim dobranoc i ty z Whitleyem udaliście się na górę?

– Tak.

– Opisz mi, co działo się w nocy. Skup się najmocniej jak potrafisz.

– (Długa przerwa.) Noc była niespokojna, ale nie pamiętam, dlaczego. (Przerwa. Oznaki niepokoju.)

– O czym myślisz w tej chwili?

– Nie bardzo wiem.

– Właśnie wykrzywiłaś twarz i zacisnęłaś powieki.

– Mam wrażenie, że działo się bardzo dużo, ale nie potrafię tego sobie przypomnieć. Pamiętam, że Whitleyowi wydawało się, że płonie dach. Nie pamiętam, by coś się paliło, ale pamiętam, że zbiegło się wiele rzeczy na raz... to było jak... wyglądało jak kulminacja kilku wydarzeń. Nie mogę... nie mogę... wydawało mi się, że mimo późnej pory wcale nie jest ciemno, ale to wspomnienie jest niejasne. Chyba było jaśniej niż zwykle. Zazwyczaj jest tam bardzo ciemno, zupełnie ciemno. Ale raczej nie tym razem. Mam wrażenie, że Whitley przez całą noc wstawał i cały czas coś się działo, raz to, drugi raz tamto, a w końcu ten dach. To nie był pożar dachu. Chodziło o piec, ale z zupełnie innej przyczyny.

– Co ci przychodzi na myśl w tej chwili?

– Nic.

– Nic? Skoncentruj się.

– Widzę światło. To znaczy wokół nie jest ciemno. Rozumiesz, nie jest ciemno.

– Przecież powiedziałaś, że wracając z restauracji zwróciłaś uwagę na fakt, że było bardzo ciemno.

– Tak powiedziałam?

– Owszem.

– Pamiętam, że w domu panowała ciemność, nie można było nic zobaczyć. Pomyślałam, że nie będą mogli obejrzeć sobie pokoju gościnnego, a przecież widzieli go po raz pierwszy. Oczywiście mogli zapalić światło. Na zewnątrz ciemność była nieprzenikniona. Nie sądzę, byśmy zapalili wiele świateł – po prostu poszliśmy spać. Wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni i śpiący. Jako gospodyni przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinniśmy usiąść na moment, wypić drinka i porozmawiać, ale wszyscy wydawali się myśleć wyłącznie o łóżku.

– O której godzinie to było?

– Myślę, że około dziewiątej.

– Kiedy wróciliście z restauracji?

– Człowiek szybciej się tam męczy. To śmieszne, ale dotyczy to wszystkich bez wyjątku. Nigdy nie siedzimy do późna.

– Nie wiem, jak to wygląda w kalendarzu, ale wydaje mi się, że tamtej nocy księżyc znajdował się w nowiu i dawał bardzo mało światła. (Dr Naiman nie wiedział, że tamtej nocy dom spowiła gęsta mgła – noc więc była ciemna choć oko wykol, również z braku świateł w tej skąpo zaludnionej okolicy. Ubywało księżyc, który pojawił się około 22.30 i zaszedł tuż przed świtem.)

– Nie.

– Ale co nie?

– Nie... nie wiem. Wydawało mi się, że było jasno.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie, nie wydaje mi się... To znaczy, miałam oczy zamknięte, ale czułam, że nie jest ciemno.

– Mówisz cały czas o nocy czwartego października?

– Staram się. Idziemy spać. Znacznie lepiej pamiętam kolację w restauracji. Wychodzimy z lokalu, idziemy na parking. W samochodzie jest zimno, bardzo zimno. Wokół ciemność, ale restauracja jest oświetlona na zewnątrz. Noc wydaje się bardzo ciemna. Może to kontrast ze światłami restauracji sprawia, że... ale nie, noc jest czarna jak smoła. Skąd zatem ten blask? Z gwiazd? Nie wydaje mi się, by było pochmurnie, ponieważ wówczas noc jest jaśniejsza. Z kolei w pogodną noc widać czerń nieba, lecz również gwiazdy. A ja nie...

– Wróćmy do momentu, kiedy leżysz w łóżku. Jest nieco po dziewiątej.

– Czułam się skrępowana, mając gości w domu – wydawało mi się, że nie możemy głośno rozmawiać; nasz dom jest bardzo akustyczny.

– Co takiego?

– Nasz dom jest bardzo akustyczny.

– Musieliście więc zachowywać się cicho?

– Masz wrażenie, że słyhać, jak przewracasz się w łóżku, nie mówiąc już o normalnej rozmowie. No więc, szepczesz i czujesz się skrępowany. Nie mogłam też oswoić się z myślą, że na dole śpi tyle osób, ponieważ zazwyczaj leży tam tylko nasz syn i jest pusto... w kuchni..., a tym razem pełno ludzi. Rozumiesz, dom był pełen ludzi.

– Czy dawało ci to poczucie bezpieczeństwa?

– Nie o to chodzi, czułam się po prostu inaczej.

– Ale pamiętasz, jak rozmawiałaś szeptem z Whitleyem w łóżku?

– Niezupełnie. Jak przez mgłę. Prawdę mówiąc niewiele z tego pamiętam.

– Czy było wam wygodnie?

– No, raczej tak... Tak, zawsze jest nam wygodnie.

– W taką październikową noc musi być tam bardzo chłodno.

– Październikową? To był listopad, nie – grudzień.

– Nie, rozmawiamy o czwartym października.

– Października?

- Tak. Jacques i Annie byli u was w październiku...
- Wydawało mi się, że to grudzień, bo pamiętam śnieg. Ale przecież w październiku śnieg jeszcze nie padał.
- Nie?
- To mało prawdopodobne. Pamiętam śnieg. (Być może pomyliła październik z grudniem lub też w ten sposób skojarzyła gęstą mgłę.) Pamiętam, że było bardzo zimno.
- Czy przypominasz sobie, jak byłaś ubrana w restauracji?
- Nie, ale nie mogła to być żadna kreacja. Najprawdopodobniej miałam na sobie codzienne ubranie. Spódnice... Chyba nawet się nie przebrałam.
- Interesuje mnie, na ile było ci zimno. Czy byłaś dostatecznie ciepło ubrana?
- Mogłam nie być, ponieważ jechaliśmy prosto z miasta, a wszystkie ciepłe rzeczy zostawiam w domku. Tam jest zawsze zimno, dopóki nie rozpalimy w piecu. Z pewnością byłoby mi zimno, gdybym nie okryła się elektrycznie ogrzewanym kocem.
- Jak reagowało twoje ciało tamtej nocy?
- Z początku było mi zimno, potem ogrzałam się. Kiedy Whitley mnie zbudził, w pokoju było bardzo gorąco.
- Kiedy to było: w nocy, czy rano?
- Ach, to było w środku nocy, tak.
- Opowiedz mi o tym.
- Whitley mówił coś o kominie. Wydawało mu się, że zapalił się dach. Ale wiedziałam, że to nieprawda, gdyż nie było widać ani płomieni, ani blasku ognia. (Po raz pierwszy obudziłam ją, gdy mnie samego wyrwało ze snu światło za oknami. Zanim zareagowała, światło zmieniło się w nikły blask na podwórzu.) Gdyby dach naprawdę się palił, byłby cały rozświetlony blaskiem płomieni. Whitley widział ten blask, a ja nie.
- Czy powiedział ci o tym blasku, kiedy się obudził?
- Cóż, powiedział... nie pamiętam dokładnie, ale domyśliłam się, że widział płomienie albo ich blask. Nie, nie płomienie. Nie wiem, nie miało to dla mnie najmniejszego sensu.
- Czy to możliwe, że wcale nie otwierałaś oczu?
- Tak.
- Naprawdę?
- Naprawdę.
- A mimo to wspomniałaś coś na temat światła tamtej nocy.
- To wrażenie już minęło. Ale pamiętam, że była to niespokojna noc.
- Wiesz oczywiście, że jest tu z nami Budd. Chciałby zadać ci teraz kilka pytań.
- Proszę.
- Budd Hopkins: Czy tamtej nocy coś ci się śniło?
- Nie przypominam sobie.
- Budd Hopkins: Stwierdziłaś, że noc była niespokojna. Czy to z powodu koszmarów?
- Daj mi pomyśleć... Chyba dlatego, że przez większą część nocy nie było przy mnie Whitleya, który dokądś wyszedł. Wiesz, on czasami wychodzi w nocy. Idzie pracować albo tak po prostu wychodzi z łóżka.
- Dokąd poszedł tamtej nocy?
- Zszedł na dół.
- Czy czujesz, kiedy Whit wychodzi z łóżka?
- Tak. Czuję się wtedy samotna. Wołałabym, żeby tego nie robił.
- Czy wyszedł zaraz po tym, jak powiedział ci, że dach się pali?

- Myślę, że już wcześniej go nie było. Wrócił dopiero po pewnym czasie. Całą noc coś robił.
- Z pewnością nie zaznałaś tej nocy zdrowego, głębokiego snu, prawda?
- Nie odpoczęłam zbyttnio, ale nie wiem, co mi przeszkadzało.
- Czy słyszałaś głos syna?
- Tak!
- Słyszałaś go?
- O, tak. Brzmiał w nim strach, ogromny strach.
- Czy często zdarza mu się krzyczeć w nocy?
- Czasami śnią mu się koszmary. Ale tym razem był bardzo wystraszony. Pamiętam, że wyczułam w jego głosie wielkie przerażenie – chyba wystraszył się bardziej niż zwykle.
- Czy krzyczał głośno?
- O, tak. O, tak! To było bolesne. (Nikt inny nie pamiętał krzyków synka oprócz tego, gdy wołał mnie.)
- Czy gdyby nic nie zakłócało ci snu, mogłabyś nie usłyszeć tego krzyku?
- Na pewno nie! To prawda, że Whitley zazwyczaj budzi się pierwszy, ale ja wszystko słyszę.
- Więc nie spałaś zbyt mocno?
- Nie, słyszałam ten krzyk wyraźnie.
- Wiem, że go słyszałaś, chciałbym się jednak dowiedzieć, czy...
- Nie, nie. Słyszałam na pewno. Musiałabym spać naprawdę kamiennym snem, by się nie obudzić. To był głośny krzyk.
- Czy zawierał jakieś słowa?
- Owszem, ale nie pamiętam ich. Był pełen strachu. Coś musiało go przerazić. Pomyślałam, że ktoś zrobił mu krzywdę. To był zupełnie inny krzyk niż zwykle.
- Dlaczego nie poszłaś zobaczyć?
- Ponieważ Whitley był już w drodze na dół. Czułam się nieswojo. Chciałam również zejść do syna, ale coś mi mówiło, że nie powinnam.
- Dlaczego nie?
- Wydawało mi się, że Whitley... że chodziło o jego osobę. To on miał pójść.
- Whitley miał tam pójść?
- Tak. Ja też chciałam zejść, ale czułam, że nie powinnam.
- Musiało ci być ciężko.
- Owszem. Dręczyło mnie to, co się stało.
- Kiedy zorientowałaś się, co się wydarzyło?
- Nie pamiętam. Nie pamiętam.
- Co się stało?
- Pamiętam tylko, że Whitleya nie było przez dłuższy czas. Długo nie wracał. Czasami, kiedy naszego synka dręczą koszmary, schodzi na dół i śpi z nim. To samo dzieje się w naszym mieszkaniu w mieście. Pamiętam, że czułam się bardzo samotna i nawet złościłam się trochę. Byłam samotna i zagubiona. Czułam się nieswojo. On wciąż wychodził, wciąż wychodził. (Nigdy nie spałam i nie śpię w pokoju syna.)

Budd Hopkins: Czy wyszedł, gdy wasz synek płakał?

- Whitley wychodził. Ciągle dokądś wychodził.

Budd Hopkins: Chciałbym, żebyś teraz zrobiła rzecz następującą: wyobraź sobie, że leżysz bardzo, bardzo wygodnie. Jesteś odprężona, tak jak wtedy w nocy. Chcę, żebyś skupiła się na tym, co widzisz, czujesz i słyszysz. Czy masz czucie w rękach i nogach? Odpręż się.

– Nie jestem odprężona. Nie czuję się odprężona. Nie mogę się zrelaksować, jeżeli wtedy czułam się inaczej. Wokół działo się zbyt wiele.

Budd Hopkins: Czy coś działo się w sypialni, czy może Jacques i Annie...?

– Nie, ich to nie dotyczyło. Coś stało się w naszym domu i chciałam się dowiedzieć, co. Wyglądało to, jakby... Coś się działo w domu, a ja chciałam się dowiedzieć, co! Wokół tyle się działo, a ja nic z tego nie rozumiałam!

– Dlaczego nie wstałaś z łóżka, by się przekonać?

– Nie mogłam. Bałam się. Wydawało mi się, że nie powinnam tam iść. Nie powinnam. Czułam się jak dziecko, któremu matka przykazała: „Masz tu zostać”, a które umiera z ciekawości, ale nie rusza się z miejsca, ponieważ tak mu polecono. (Ciekawe, że założyła, iż rozkazująca jej siła jest rodzaju żeńskiego.)

– Czy ktoś cię w ten sposób wyszkolił?

– No, cóż. Wszyscy jesteśmy w ten sposób wychowywani w dzieciństwie.

Budd Hopkins: Kto ci nakazał zostać?

– Nikt mi nie nakazał! Po prostu musiałam zostać i koniec!

– Czy to Whitley tak ci powiedział?

– Nie. On po prostu wyszedł. Nie, to nie on.

– Nie uległaś pokusie, by zapalić światło?

– O, nie. Nie wolno mi było nic zobaczyć.

– Kto tak powiedział?

– Nikt. Po prostu wiedziałam, że tak ma być.

– Nie wolno ci było nic zobaczyć?

– Nie. Zdawałam sobie z tego sprawę i dlatego właśnie się martwiłam. Miałam nie ruszać się z łóżka, a tam na dole mój synek krzyczał z przerażenia. Whitley powiedział, że dach się pali, a ja nie mogłam nic zrobić. To tak jakby ktoś ci mówił: Słuchaj, za chwilę nasz samochód roztrzaska się o skałę, ale ty zachowaj spokój i nic nie rób!

– Dziwne polecenie.

– To nie było polecenie. Widzisz, sęk w tym, że to wcale nie było polecenie, z całą pewnością nie było.

Budd Hopkins: Anno, czy możesz coś dla mnie zrobić? Chcę, żebyś nie otwierając oczu rozluźniła się, odprężyła...

– Nie mogę się odprężyć.

– ...na tyle, na ile to możliwe. Chcę, żebyś przeżyła teraz krótki sen, fantazję na temat tamtych wydarzeń. Zgoda?

– W porządku.

– W jakimś stopniu dotyczy to też Whitleya i waszego syna.

– Ale mnie nie!

– Dobrze, dobrze, to będzie tylko sen. Powiedz nam, co pamiętasz.

– Przyszli po Whitleya. Whitley musi iść z nimi.

– Proszę?

– Przyszli po Whitleya i musi z nimi pójść. Ja mam tu zostać.

– Kto przyszedł?

– Nikt znajomy. Po prostu mam przecucie, że on musi pójść. To uczucie podobne do tego, gdy ktoś wyrusza na wojnę. Jedni idą, drudzy zostają.

– Czekaj, wygląda na to, że zmieniałaś zdanie. Wcześniej tego samego wieczoru, kiedy wydawało ci się, że Whitley wychodzi, powiedziałaś, że często schodzi na dół, by pisać.

– Ale nie w naszym domku. Tutaj pisze na górze, choć rzadko, bo, żeby cokolwiek widzieć, musiałyby zapalić górną lampę. Miałam na myśli nasze mieszkanie w mieście – tam rzeczywiście wstaje w nocy. Przekonałam się, że w nocy robi wiele rzeczy. Nie zawsze się budzę, czasami tylko to wyczuwam.

– Mówisz, że zdarza się to tylko w mieście?

– Tak.

– Więc to, że wstał tamtej nocy...

– Tak, to było rzeczywiście coś niezwykłego. Zwykle śpi spokojnie, naprawdę. Myślę, że lepiej tam wypoczywa. Kładzie się do łóżka i zasypia, bo nie ma dokąd iść, nie ma co pisać, nic go nie kusi, no więc dłużej śpi rano. Ja za to wstaję wcześniej i czytam.

Budd Hopkins: Jak sądzisz, dlaczego Jacques i Annie nie zerwali się z łóżka na krzyk waszego syna? Czyżby ich to nie obchodziło?

– Wydawało mi się, że też wstali. (Okazało się, że to nieprawda. Żadne z nich nie pamięta, by budzili się w nocy, przy czym oboje byli na tyle przytomni, by rejestrować swoje wzajemne poczynania.)

– Słyszałaś ich?

– Wydaje mi się, że słyszałam, jak Annie... przemawia do mojego dziecka. Musiała pierwsza się przy nim znaleźć. Pamiętam, że odczułam... odczułam coś w rodzaju zazdrości, że to nie ja, że nie mogę się ruszyć z miejsca. To nie w porządku, w końcu jestem matką. Stawiało mnie to w złym świetle. Mogło wyjść na to, że nie dbam o własne dziecko. (Annie Gottlieb ani na chwilę nie opuściła w nocy pokoju gościnnego, ani też nie uspokajała naszego syna.)

Budd Hopkins: Gdy usłyszałaś krzyk, czy poczułaś, jak sztywniejają ci mięśnie nóg?

– Tak! Zwykle to Whitley idzie do dziecka, ale tym razem brzmiało to tak poważnie, że też chciałam pójść. Zaraz... dlaczego wydawało mi się, że ktoś tu był?

– Co masz na myśli?

– Nie wiem dokładnie. Jakby był z nami przyjaciel czy coś w tym rodzaju. To tylko przebłysk. (Później powiedziała, że odnosiło się to do naszej sypialni, gdzie, jak się jej zdawało, widziała „przyjaciela”. Nie powiedziała nic więcej na ten temat. Zapytana po dwóch tygodniach o to wspomnienie, nie miała nic do dodania.)

– Co cię wstrzymywało?

– Nie wydaje mi się, żeby coś mnie wstrzymywało. Po prostu byłam przekonana, że nie powinnam schodzić.

Budd Hopkins: Czy kiedykolwiek przedtem ulegałaś podobnym uczuciom?

– Chyba nie.

– Czy jest to znajome uczucie?

– Nie... nie .. Ale kiedyś zawsze tak robiłam, rozumiesz.

– Co takiego?

– Jeśli mogłam wybierać, to zawsze to robiłam. Bo jeśli to zrobisz, masz świadomość, że to zrobiłeś, rozumiesz mnie?

– Niezupełnie.

– Chodzi mi o to, że nie uważam się za osobę, która nic w życiu nie zrobiła. To nieprawda.

– Zatem to sprawa względna.

– Też nie do końca, ponieważ to Whitley zawsze wstaje w nocy, nie ja.

– W porządku. Możemy teraz przejść do tego, co działo się rano?

– Trudno mi przypomnieć sobie cokolwiek związanego z tym porankiem, ale spróbuję. Nie wiem, co jedliśmy na śniadanie. Pamiętam, że poszliśmy popływać. Zakładaliśmy się o to, czy Jacques wskoczy do wody, a była bardzo zimna. Ja nawet nie próbowałam. A może jednak? Nie,

chyba nie. Założyłam wprawdzie kostium kąpielowy, lecz nie byłam w stanie nawet zamoczyć stóp. Czułam się głupio, bo Jacques wskoczył do wody. Jacques był pierwszym i jedynym, który się wykapał. Nawet Whitley nie wskoczył, a jeśli, to tylko na chwilę. Annie chciała dorównać Jacquesowi – ona jest jeszcze mniejsza ode mnie. Wszyscy podpuszczaliśmy Jacquesa – to była niezła zabawa.

– Nie pamiętasz, co jedliście na śniadanie, a czy możesz coś powiedzieć o atmosferze przy stole?

– Wydaje mi się, że było przyjemnie. Sympatycznie.

– Jak się czuł twój synek?

– Nie pamiętam. Chyba dobrze.

– W porządku. Czy chciałabyś coś dodać na temat tamtej nocy czwartego października albo następnego ranka?

– Tylko tyle, że czułam się dezorientowana, widząc rano, że dach nie jest popalony.

– Zdziwiło cię to?

– Tak. Wydawało mi się, że powinien się spalić.

Budd Hopkins: A co powiesz o wybuchu?

– Może właśnie z tego powodu noc wydała mi się taka ożywiona.

– Co przez to rozumiesz?

– Wszystkie nocne hałasy.

– Jakie hałasy?

– (Długa przerwa.) Nie pamiętam.

– Czy potrafisz je opisać?

– Wydawało mi się, że słyszę wiele odgłosów. W każdym razie to nie była spokojna noc – takie odniosłam wrażenie. Zdawało mi się, że w domu ktoś jeszcze przebywa oprócz Annie i Jacques'a, bo oni byli w swoim pokoju i z niego nie wychodzili. Ale... potem słyszałam, jak Annie uspokaja nasze dziecko... to był kobiecy głos... Sądziłam, że to Annie. To musiała być Annie.

– Czy rozpoznałaś jej głos?

– Tak. Tak mi się wydaje. Tak mi się wydaje. Ach, mam takie wrażenie..., bardzo ogólne i mgliste... to dlatego, że nie mam dobrej pamięci. Odniosłam niejasne wrażenie, że oni byli jak spowici kokonem. Zamknięci w swoim pokoju.

– Jacques i Annie?

– Tak.

– Jak to się stało?

– No, po prostu byli zamknięci. Nie mogli się wydostać, rozumiesz?

– Sądzisz, że zostali sparaliżowani czy coś w tym rodzaju?

– Wiem tylko, że nie wyszli z pokoju. Wcale nie mieli takiego zamiaru. To dziwne. Zwykle, gdy śpisz na piętrze, to wydaje ci się, że na dole wstaną wcześniej i będą chodzić po domu, więc będziesz słyszeć ich, a oni ciebie, ale wtedy wiedziałam z góry, że tak nie będzie. To bardzo niejasne uczucie, ale tak właśnie pomyślałam: że nie wyjdą z pokoju. Zamknęli drzwi i nie wyszli z pokoju. Pamiętam, że kiedy zeszłam rano, drzwi nadal były zamknięte i wtedy pomyślałam: Aha, wciąż tam siedzą. Zastanawia mnie, czy w końcu się pokażą, a może nie mogą się wydostać? Wiedziałam z całą pewnością, że są w środku, a jednak miałam irracjonalne uczucie, że wcale ich tam nie ma.

Budd Hopkins: Czy wydaje ci się w tej chwili, że ta osoba mówiąca do twego syna...

– Próbowала go uspokoić.

– No więc musiała jednak wyjść z pokoju.

– Tak, jeśli to była Annie. To musiała być Annie.

Budd Hopkins: Czy słyszałaś, co mówiła?

– Pojedyncze słowa, bardzo niewyraźnie, „Co się stało?“, czy coś podobnego. Ale pamiętam, jak pomyślałam, że wszyscy znaleźli się tam przede mną.

– Chciałbym, żebyś przeskoczyła teraz do dwudziestego szóstego grudnia 1985. Co pamiętasz z tego dnia? Skoncentruj się.

– To był dzień po... Nic nie pamiętam.

– Pomyśl, proszę. Kto był z wami?

– Nikt.

– Byliście wszyscy troje?

– O, tak.

– Czy to był dzień, w którym ukazała się sowa?

– Tak mi powiedziano. Pamiętam tę sowę. Pamiętam też, jak Whitley opowiadał o kryształach.

– O czym?

– O kryształach na niebie. Ale to było jeszcze przed sową.

– Co to jest „kryształ na niebie”?

– Wielki kryształ na niebie.

– Widziałaś go?

– O, nie.

– Dlaczego mówisz „O, nie”, jakbyś...

– Whitley widział wiele rzeczy, których ja nie mogłam dostrzec.

– Czy szukałaś tego kryształu na niebie?

– Nie, bo wiedziałam, że on nie istnieje.

– Skąd wiedziałaś? Whitley to facet, który mocno stoi na ziemi.

– Nieprawda.

– Nieprawda?

– Nie, w końcu kryształy nie unoszą się w powietrzu. Whitley powiedział, że kryształ w pewnym punkcie dotykał ziemi.

– Nie byłaś zbyt zaskoczona, gdy Whitley ci to opowiedział?

– Nie.

– Czy to stara historia?

– Nie, to nie tak.

– Dlaczego nie byłaś zaskoczona?

– No, cóż... chyba sądziłam, że wyjaśni to później. Wiesz, kiedyś opowiadał, jak latał po pokoju.

Co ty byś na to powiedział?

– Kiedy to było?

– W zeszłym roku.

– Czy uważasz, że Whitley powinien się udać do psychiatry?

– Skądże.

– Nie?

– Nie. Dlatego, że... uważam, że jest w stanie poradzić sobie z takimi problemami.

Budd Hopkins: Wróćmy do tamtej nocy. Czy była niespokojna?

– Jak huczne przyjęcie. (Nerwowy śmiech.) Działa się cała masa rzeczy. Czułam się tak, jakby obok odbywało się przyjęcie, na które mnie nie zaproszono.

Budd Hopkins: Przyjęcie towarzyskie?

– O, nie.

– Wobec tego jakie?

– Wiem tylko, że Jacques'a i Annie także nie zaproszono. Wszystko odbywało się na dole. Musiałam poczekać, aż wszyscy wrócą. (Ponieważ to pytanie, dotyczące czwartego października, zostało zadane podczas próby odtworzenia wydarzeń z dwudziestego szóstego grudnia, Anna prawdopodobnie pomyliła daty. Nie można zatem stwierdzić, czy mówiąc o wydarzeniach „na dole”, miała na myśli październik czy grudzień.) Czułam się, jakbym znów była dzieckiem i matka powiedziała mi: „Nie możesz z nami iść. Poczekać, aż przyjdziemy do ciebie na górę”.

Budd Hopkins: Chodziło mi o to, czy kiedykolwiek przedtem doświadczyłaś podobnego uczucia?

– Jakiego?

– Że dzieje się wokół ciebie coś, czego nie powinnaś oglądać. Coś takiego jak owej nocy.

– Często wydawało mi się, że z Whitleyem dzieje się coś, o czym nie powinnam wiedzieć. Ja mam mu pomagać dojść do siebie, kiedy jest już po wszystkim – to moja rola. Ale sama nie mam wpływu na nic. To zależy tylko od niego.

– Czy sądzisz, że Whitley sam to wszystko wymyślał?

– Nie, wcale nie uważam, że Whitley ma halucynacje. Myślę, że oni interesują się nim ze względu na to, co ma w głowie. A ma rzeczywiście nieprzeciętny umysł.

Budd Hopkins: Anno, chciałbym cię o coś zapytać. Pamiętasz noc na La Guardia Place...

– La Guardia Place? Tak, pamiętam.

– ...kiedy coś cię uderzyło?

– A, „noc białej postaci”.

Budd Hopkins: Jakie są twoje wrażenia z tamtej nocy? Opowiedz nam o nich.

– To było gwałtowne szturchnięcie w brzuch, o tu (kładzie ręce nieco poniżej żeber, w samym centrum brzucha), jakby ktoś dźgnął mnie nie jednym, lecz czterema palcami jednocześnie. To było... Uff! To było jak żart. Ale kto mógł to zrobić? Obudziłam się natychmiast.

– Otworzyłaś oczy?

– Nie sądzę. Ale usiadłam na łóżku, wyrwana ze snu. Mój synek obudził się w tym samym czasie pod wpływem koszmaru, że coś uderzyło go w brzuch. A potem Whitley – nie pamiętam dokładnie kiedy – następnego dnia czy kiedyś tam – powiedział mi rano, że coś uderzyło go w brzuch. Mówił też, że widział małą, białą postać; nasz syn mówił, że widział małą, białą postać i jego opiekunka twierdziła, że widziała małą, białą postać.

Budd Hopkins: Spróbuj sobie wyobrazić, jak taka postać mogła wyglądać.

– Jak mały duszek. Mały, biały duszek o delikatnych stopach. Wszędzie go pełno, znika jak na zawołanie. Przekonasz się, jak cię szturchnie. Opiekunka powiedziała, że z początku sądziła, iż to dziecko ubrane w prześcieradło, ale on wyglądał zupełnie inaczej. (Gdy czytałem o „delikatnych stopach”, drepczących po naszym mieszkaniu w 1982 roku, przyszły mi na myśl wspomnienia Annie Gottlieb, dotyczące „odgłosów stąpania” w domku w 1985 roku. Podczas tego seansu moja żona nie знаła jeszcze szczegółów relacji Annie Gottlieb.)

Budd Hopkins: Inaczej? To znaczy jak?

– Miał kanciastą głowę, był biały, niemal przezroczysty... Ja go nie widzę, Budd, ja go sobie tak wyobrażam.

Budd Hopkins: Czy miał jakieś fałdy?

– Nie. Emanował za to słabą poświatę, ledwie widoczną w ciemności. Inaczej byłby niedostrzegalny.

Budd Hopkins: Czy był kolorowy?

– Nie, po prostu biały.

Budd Hopkins: Czy odzywał się do ciebie w jakiś sposób?

– Nie.

Budd Hopkins: Co, twoim zdaniem, tam robił?

– Nie wiem, sądziłam, że to żart.

Budd Hopkins: Czy posiadał ręce i nogi?

– Tak.

Budd Hopkins: A palce?

– Tak, chociaż nie wydaje mi się, bym zauważyła palce u nóg. Miał spiczaste stopy. Wydawało się, że nie ma nic na sobie, a jednocześnie jest czymś okryty. Nie było widać ubrania jako takiego, szwów na materiale ani niczego podobnego, lecz z całą pewnością nie był też nagi. Miał małe, spiczaste stopy.

Budd Hopkins: Czy mylisz, że pojawiał się więcej razy?

– Co masz na myśli?

Budd Hopkins: Czy widziałas go więcej niż jeden raz?

– Nie, szturchnął mnie tylko raz. Zastanawiam się teraz, czy nie widziałam go już przedtem, w dzieciństwie. Wiesz co... Zaczekaj. (Przerwa.) Wydaje mi się, że go widziałam, choć nie pamiętam dokładnie, kiedy. Wiesz, jako dziecko czułam się bardzo samotna. Zawsze byłam sama, choć teraz wydaje mi się, że ktoś mi towarzyszył. Nie miałam nigdy wyimaginowanych przyjaciół, nie wierzyłam w to. Zastanawiam się, czy on nie był ze mną w pokoju. Widziałam poświatę. Zupełnie nie bałam się tej białej postaci.

Budd Hopkins: Czy to było w mieszkaniu na La Guardia Place?

– Pomyślałam, że to trochę dziwne, iż pokazał się opiekunce. (Śmiech.) Uważam, że to bardzo złośliwe z jego strony.

Budd Hopkins: Czy jest w nim coś budzącego strach?

– Nie. (Najwyraźniej zapomniała już, jak krzyczała obudzona przez uderzenie. To jedyny przypadek jej koszmaru, jaki pamiętam.)

Budd Hopkins: Czy jest w nim coś groźnego?

– Nie.

Budd Hopkins: Więc to tylko słodki, kochany mały...

– No, niezupełnie. Narusza twoją prywatność, a powinien trzymać się z dala i pilnować swego nosa. Mam uczucie – teraz, kiedy o nim myślę – że skądś go znam. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wydaje mi się, że znałam go jako dziecko, ponieważ..., ale nie pamiętam. Sądzę, że to fałszywe uczucie. To nieprawda, to tylko teraz, pod wpływem chwili wydaje mi się, że go znam. Naprawdę nie sądzę, by tak było.

Pod działaniem hipnozy Anna zwróciła uwagę na fakt, iż część jej wspomnień została w jakiś sposób „wymazana” i dopiero pod wpływem uspokajających zapewnień hipnotyzera, że nic podobnego już się nie zdarzy, dała się posłusznie wyprowadzić z transu.

Powodem jej frustracji była również świadomość, że pamięć zawiodła ją w najważniejszych momentach. Nie potrafiła sobie na przykład przypomnieć blasku widzianego przez zamknięte powieki. Zapytana o to wrażenie, wykazywała duże niezdecydowanie. Ostatecznie mogła mieć na myśli światło w gabinecie doktora Naimana. Postanowiła ponownie poddać się hipnozie i tydzień później spotkała się z doktorem Naimanem, któremu nadal nie znane były wyniki moich seansów.

Przed rozpoczęciem seansu Anna była bardzo rozmowna i imponowała doskonałą pamięcią szczegółów. Podczas hipnozy okazało się jednak, że nadal nie jest w stanie przypomnieć sobie czegokolwiek z dwóch najważniejszych nocy. Odniosła wrażenie, że krzyki, które słyszała w nocy, nie były krzykami syna, lecz moimi. Przed oczami stanęła jej moja twarz wykrzywiona konwulsyjnie w histerycznym wrzasku. Na ten widok poczuła strach, że coś było w stanie aż tak

bardzo mnie przerazić. Ulotne wrażenie obecności osoby płci żeńskiej, wspomniane podczas pierwszego seansu, urasta tym razem do konkretnego wymiaru.

Niestety podczas dyskusji na temat jej hipnozy, nierozważnie wymknęła mi się uwaga, że to prawdopodobnie ja krzychałem w nocy 4 października. Nawet jeśli w ten sposób jej wspomnienia uległy pewnemu skażeniu, to ich wyrazistość i rzetelność, widoczne w protokole, mogą równie dobrze świadczyć o ich prawdziwości.

Ponieważ większą część seansu poświęciliśmy na z góry skazane na niepowodzenie wysiłki wydobycia wspomnień, które nie istnieją bądź też są nie do odtworzenia, zdecydowałem się przedstawić wyłącznie istotne partie materiału. W poprzedzającej seans rozmowie z doktorem Naimanem Anna wyjaśniała powody, dla których zdecydowała się ponownie poddać hipnozie.

– Pamiętam bardzo niewiele zdarzeń, które miały miejsce w mojej obecności. Mam kilka parosekundowych przeblysków z przeżycia, które trwało półtorej godziny, mam na myśli faktyczne, wyraźne wspomnienia...

– Ponieważ nagrywamy cały seans, dodam teraz dla porządku, że mamy dwudziesty pierwszy marca 1986 roku; Anna odpowiada na moje pytania dotyczące jej ostatniej wizyty, która miała miejsce tydzień temu. A jakie są twoje odczucia po hipnozie?

– Odkryłam dwie rzeczy. Po pierwsze nie wiem, jak głęboki był mój trans, gdyż mimo to niezwykle ciężko było mi przywołać obrazy w moim umyśle. Ale podejrzewam, że ocenę należy pozostawić innym, chyba że, w miarę nowych doświadczeń, sama do tego dojdę. Po drugie cudowną rzeczą w hipnozie – prawdopodobnie główną przyczyną dobrego samopoczucia – jest to, że bariera, obecna zawsze przy kontaktach z innymi – nawet w przypadku rozmowy o sprawach przyziemnych, gdzie praktycznie nie ma żadnych tajemnic – nagle znika i czujesz absolutną szczerłość. Nie w tym sensie, że ktoś wyciąga z ciebie rzeczy, o których nie chcesz mówić – nie odniosłam takiego wrażenia – lecz masz zupełną swobodę i nieograniczoną możliwość wypowiedzi. To bardzo pokrzepiające, ponieważ wystarczy jedynie skupić się na tym, co pragniesz odpowiedzieć, a nie, jak odbierze to twój rozmówca.

– Dlaczego tu dzisiaj przyszłaś?

– Myślę, że ta sprawa dotyczy w równym stopniu Whitleya co mnie, a poza tym nie sądzę... uważam, że powinnam podjąć jeszcze jedną próbę, zanim dam sobie z tym spokój... no i jestem też trochę zaintrygowana. Wszystkie wspomnienia, które ujawniliśmy ostatnio, są bardzo niejasne i niepewne. Czuję się tak, jakby ktoś zamknął je na klucz. Nie potrafię powiedzieć, czy blade światło, widziane pod powiekami, pochodzi z lampy w tym pokoju, czy też rzeczywiście widziałam je w tamtym momencie... to takie niejasne... Czuję się zawstydzona, gdy ludzie tak usilnie próbują znaleźć rozwiązanie. Nie sądzę, żeby...

– Jedna z twoich końcowych uwag brzmiała: „Mogę teraz iść do domu i przesłuchać taśmy Whitleya”.

– Postanowiłam tego nie robić. W domu rozmawiałam z Whitleyem i zdecydowaliśmy, że na tym etapie stanowiłoby to błąd.

– Rozumiem. Wtedy jeszcze nie byłaś zdecydowana przyjść tu ponownie?

– Doszłam do wniosku, że jeśli chcę sama kierować własnym życiem, to powinnam przyjść. Zapytałam Whitleya, co sądzi o tym, żebym spróbowała jeszcze raz, zanim przesłucham jego taśmy, a on przyznał mi rację.

– Ale to była twoja inicjatywa?

– O, tak. Jestem tu dzisiaj z własnej woli. Gdybym powiedziała: „Dość tego”, nie siedziałabym tutaj.

– Co o tym wszystkim sądzisz?

– To intrygujące.

Budd Hopkins: Podstawowa zasada obowiązująca dzisiaj: Nie martw się, że powiesz coś, co ja lub Whitley chcielibyśmy od ciebie usłyszeć.

- Lub coś, co sama chciałabym usłyszeć.
- Nie przejmuj się tym. Nie próbuj decydować, czy to stosowne czy nie.
- Tego się nie obawiam. Martwię się natomiast o swoje ukryte motywacje, o podświadomość. Świadomie nic takiego nie zrobię.

Budd Hopkins: Po prostu nie próbuj cenzurować czy też osądzać własnych wypowiedzi.

Dr Naiman: Nie zamierzamy wcale obarczać cię odpowiedzialnością za twoje ukryte motywacje – wręcz przeciwnie, ich ujawnienie będzie bardzo korzystne. Pozwól działać podświadomości, nie ma w tym nic złego. Oczekujemy wszelkich skojarzeń. Wyglądasz na zakłopotaną.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli moja podświadomość podpowie mi: „Chrzanić to, wszyscy inni widzieli to światło, więc ja też muszę je widzieć...”

– To wcale nie podświadomość! To działanie jak najbardziej świadome! Właśnie na tej zasadzie nic nam nie wyszło ostatnio.

– To tak, jakbyś widział wypadek i wszyscy oprócz ciebie zdążyli zapisać numery samochodu. Wychodzisz na idiotę.

(Następnie dr Naiman wprowadził ją w trans. Przez chwilę opisywała wielki, przepiękny dom w stylu wiktoriańskim, stojący na trawiastym wzgórzu. Wkrótce stało się jasne, że nie jest to symbol latającego talerza, lecz raczej naszego życia rodzinnego.)

– Czy jesteśmy gotowi przerwać teraz sen o domu?

– Tak.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to zamienię się miejscami z Buddem, który przejmie rolę zadającego pytania.

– Dobrze.

(Wszystkie kolejne pytania zadawane były przez Hopkinsa. Dalsza indagacja, dotycząca „białej postaci”, wykazała w końcu, że Anna nie spotkała jej w dzieciństwie.)

Przechodząc do nocy, gdy biała postać pojawiła się w naszym mieszkaniu, Hopkins starał się wydobyć z Anny wszelkie uczucia, jakie wobec niej żywiła.)

– Dziwi mnie, że w ogóle się ujawnił. Gdyby uderzył jedynie Whitleya, potraktowałabym to jako jego kolejną dziwną historię; pewnie powiedziałabym coś w rodzaju: „Jeszcze jedno niewyjaśnione zdarzenie do kolekcji”. Ale ponieważ uderzył także mnie i nasze dziecko, potwierdził w ten sposób swoje istnienie, co uznałam za bardzo dziwne. Uderzając wszystkich po kolei... ujawnił się. Nawet, gdy ukazał się opiekunce na schodach przeciwpożarowych, sprawa nie była jeszcze przesądzona – najprawdopodobniej uznalibyśmy, że dziewczyna zwariowała albo był to niekonwencjonalny włamywacz. Gdyby nawet zobaczył to nasz synek, nie uwierzyłabym mu – pomyślałabym, że coś mu się przywidziało. Ale jednak coś go uderzyło. Gdyby nie to, pomyślałabym, że po prostu przywidział mu się Kacper. Przyjazny Duszek i potraktowałabym to jako sen. Gdyby nawet tak się złożyło, że ojciec i syn mieliby podobne sny... czasami zdarza się, że ludzi łączy niewidzialna nić, owszem, byłoby to intrygujące, lecz jedynie do pewnego stopnia. Dlatego ogromnie interesuje mnie, dlaczego ten duszek w taki sposób zdradził swą obecność.

– Zastanów się przez chwilę i wyobraź sobie dialog, wyimaginowany dialog: pytania, które byś mu zadała i jego odpowiedzi. Co mogliby powiedzieć Whitley i wasz syn...

– Nie potrafię sobie wyobrazić takiej rozmowy. Nie wydaje mi się, by można z nim porozmawiać. To znaczy, nie potrafię... on po prostu nie wygląda na coś, z czym można porozmawiać. Oni nie umieją mówić. Nie mogę sobie tego wyobrazić. Nie przyszłoby mi nawet do głowy pytać go o cokolwiek. Wcale nie czuję, że chciałby ze mną rozmawiać ani też, że potrafi mówić. Gdyby nawet potrafił, to niekoniecznie pragnie się porozumieć.

– Ostatnie pytanie na ten temat, skoro wiemy już, że widziano go u was kilkakrotnie... Czy kiedykolwiek zdawało ci się, że widziałas go przedtem? Czy dopuściłaś do siebie myśl, że jego obecność nie jest dla ciebie czymś nowym?

– Nie. Wiem, że Whitley mógł odnieść takie wrażenie, bo on widzi różne rzeczy kątem oka. Dlatego właśnie sądzę, że uderzenie mnie było dużym błędem. Może to sprawdzian realności, podobnie jak późniejsze ukazanie się opiekunce? Wygląda na to, że popełnił w ten sposób błąd, bo jakby nie przemyślał do końca swych planów.

– Jakie, według ciebie, miał plany?

– No, tego już nie wiem. Uderzyć kogoś i zwać – to jak dziecinna psota.

– Przejdźmy zatem do czegoś innego. Chcę, byśmy przenieśli się w czasie do dnia czwartego października. To dziwna noc, z której pozostały ci jedynie strzępki i przebłyski wspomnień. Zacznijmy od momentu, gdy usłyszałaś krzyk swego synka. Zastanów się przez chwilę i spróbuj usłyszeć ten dźwięk, tak jak słyszałaś go tamtej nocy. Leżysz w łóżku, wsłuchaj się w dźwięki, w słowa... Co to za słowa, jaki głos je wypowiada?

– Nie wiem, czy zawołał „Mamusiu, mamusiu” czy też „Tatusiu”. Wydawało mi się, że po prostu krzyknął. Chyba zawołał mnie, chociaż wszyscy twierdzą, że Whitleya. Na pewno wrzasnął. (Druga przerwa. Widoczne napięcie. Krótki oddech.) Nie chcę tego powiedzieć, ponieważ czuję, że powiem to pod wpływem rozmowy z Whitleyem. Dlatego nie chcę tego mówić.

– Nie przejmuj się tym, powiedz to, co czujesz.

– No cóż, Whitley powiedział mi, że to on krzyczał. Tak mi powiedział. Teraz ta myśl zagnieździła się w moim umyśle i za każdym razem, gdy myślę o tych krzykach, słyszę Whitleya. Ciężko mi z tym, bo Whitleyowi nie wolno krzyczeć z przerażenia. On ma nas bronić. Ale ja słyszę jego wrzask, widzę wykrzywioną przerażeniem twarz, rozszerzające się oczy z wywalonymi białkami. Jest oszalała ze strachu. Nie wiem, czy to wszystko dzieje się na jawie. Może to tylko moja wyobraźnia?

– O to się nie martw.

– Jeśli faktycznie krzyczał, to niecodzienny przypadek zazwyczaj jest taki opanowany. Ale zdarza mu się czegoś bać. Czasami.

– Sposób, w jaki opisujesz jego głos, jego twarz...

– Och! Widzę to! Próbuję sobie przypomnieć, kiedy to widziałam. Słyszę kobiecy głos... on jest taki wystraszony... wydaje mi się, że jednocześnie strasznie się zawstydził. Cokolwiek by zobaczył, jego strach wiązałyby się z nami, a nie z jego własną osobą – a teraz boi się właśnie o siebie.

– Czy znajdował się daleko od ciebie, kiedy zaczął krzyczeć?

– Nie, widziałam jego twarz, raczej niedaleko.

– Czy był w pokoju?

– Nie mam pojęcia. Nie widzę żadnego pokoju.

– Przypomnij sobie, czy kiedykolwiek przedtem Whitley krzyczał w ten sposób.

– Próbuję sobie uzmysłwić, czy kiedykolwiek miało miejsce coś podobnego. Zdarzało się, że wyglądał na wystraszonego, ale nie sądzę, by kiedykolwiek reagował krzykiem. Wiesz, to strasznie deprymujące widzieć, jak mężczyzna krzyczy, bo na ogół oni nie krzyczą ze strachu. Może nawet i powinni, ale tego nie robią. Nie spotyka się krzyczących mężczyzn. Podejrzewam, że większość z nich nawet nie wie, czy to potrafią.

– Dlaczego Whitley krzyczał?

(Szept.) – Nie wiem. (Długie milczenie.) Teraz zamilkł. Próbowałam przywołać wspomnienia.

– Powiedziałaś, że słyszałaś kobiecy głos. Czy to była Annie?

– Mamrotała coś kojącym tonem.

– Mamrotała?

– Tak.

– Czy pamiętasz jej słowa?

– Nie, to raczej ton czynił ten głos łagodnym i kojącym, jak wtedy kiedy mówisz: „Nie bój się,

już po wszystkim”.

– Czy przypominał on głos Annie Gottlieb?

– Miał głębsze brzmienie. Annie ma dość wysoki głos. (Długa przerwa.) Mam wrażenie, że moja niewiedza w pewien sposób mnie ochrania.

– Powiedz nam, co czujesz w tej chwili, Anno.

– Czuję, że nie chcę już o niczym opowiadać. Nie rozumiem tego, z natury jestem dość gadatliwa. (Długie milczenie.)

– Chcę, żebyś wyraziła głośno, co teraz czujesz. Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

– Tak, może wtedy zacznę opowiadać.

– Chcę, żebyś określiła swoje miejsce w tym wszystkim.

– Znam swoje zadanie – dosyć nużące, ale przy mojej osobowości, uległej od urodzenia, nie potrafię mu się przeciwstawić. Jestem tą, której nikt nic nie mówi, może z wyjątkiem Whitleya. To ja reaguję na wszystko emocjonalnie i wiem, że tak musi być. Whitley nie ma za grosz intuicji, czasami nie potrafi wyczuć rzeczy najbardziej oczywistych.

– Czy uważasz, że ktoś narzucił wam te role, czy też sami je sobie wybraliście?

– Myślę, że nie ma od nich ucieczki.

– Z powodu osobowości?

– Tak. W moim odczuciu role te zależą nie tylko od tego, kim jesteś, ale również od tego, z kim spędzasz życie. W ten sposób twoja rola uzależniona jest od partnera.

– Przez kilka najbliższych minut przemyśl sobie to wszystko, swoją rolę, Whitleya, waszego syna, pomyśl o białej postaci, o krzyku Whitleya... Analizując te obrazy, zastanów się, co jest istotne, a co marginalne, i co z tego wszystkiego wynika.

– Słabość Whitleya. To raczej nieprzyjemna świadomość. Wolałabym nie wiedzieć o przyczynach słabości męża.

– Anno, czy chcesz nam jeszcze coś powiedzieć?

– Nie.

Seans dobiegł końca.

„Whitley musi iść. Oni przyszli po Whitleya”.

Wysłuchałem powyższego zapisu w poniedziałek 17 marca 1986 roku, tuż po „zamówionej” wizycie Przybyszów. Nie zabrałem się do nich od razu – to znaczy w poprzedni piątek – ponieważ Anna uprzedziła mnie, że niewiele zdołała sobie przypomnieć. Wynikało to z tego, że nie przywiązuje do swej relacji większej wagi.

Zapytałem ją:

– Co masz na myśli, mówiąc „Whitley musi iść”?

– Dokładnie to, co powiedziałam.

– Widziałaś, jak wychodzę?

– Nie, słyszałam. Czasami robisz dużo hałasu, ale mimo to nie otwieram oczu.

– I nie niepokoisz się?

– Nie, rano zawsze jesteś przy mnie.

Szczęśliwie się złożyło, że słuchając jej taśm, byłem już dobrze uodporniony na szok, stąd też moja reakcja nie należała do najgwałtowniejszych. Obyło się bez lunatycznych spacerów po ulicach i wpatrywania się w przestrzeń.

Niemniej jednak świadectwo Anny wywarło na mnie mocne wrażenie. W żadnym wypadku nie stanowiło ono „typowego” scenariusza spotkania, który mógłby powstać na bazie podświadomych wspomnień, wyłonionych po latach, a dotyczących jakiegoś artykułu w gazecie. Było to

świadczenie wyjątkowe, oparte nie na zjawiskach kulturowych, lecz na faktycznych wspomnieniach i osobistych wrażeniach mojej żony.

Jej relacja stanowiła z pewnością jeden z najbardziej godnych uwagi elementów w dotychczasowej łamigłówce, a to ze względu na ogromne oddziaływanie podświadomych procesów na jej wypowiedzi. Wynikało z tego, że wykonuje pewne zadania, do których została przyuczona. Na dodatek potwierdziła ona udział nieznannej bliżej istoty kobiecej w interesujących mnie wydarzeniach. Podczas mojego seansu przypominałem sobie, że 4 października, stojąc u wezglowia mojego łóżka, wydawała ona jakieś dźwięki, najwyraźniej zwracając się do mnie. Anna potwierdziła to wrażenie. Chociaż niechcący napomknąłem jej o tym, że obudził ją prawdopodobnie mój krzyk, nie dawało jej to żadnych podstaw do spekulacji na temat owej postaci. A przecież słyszała – w odpowiedzi na mój krzyk – uspokajający mnie głos.

Pokusa, by stwierdzić, że hipnoza o Przybyszach jest obecnie tak przekonująca, iż musi być prawdziwa, była bardzo silna. Świadczenie Anny, dostarczające potwierdzenia w sposób niekonwencjonalny, wskazywało na to, że wszystkie dotychczasowe incydenty stanowiły wynik części konsekwentnie realizowanego planu. Musiały istnieć przyczyny, dla których co jakiś czas odrywano mnie od rzeczywistości, by następnie umieszczać mnie w niej z powrotem przy pomocy Anny, która została zaprogramowana specjalnie do tego celu.

Mimo to jednak rygorystyczny obiektywizm mógł, moim zdaniem, okazać się bardziej owocnym podejściem niż przyjęcie konkretnej hipotezy.

Ale jak tu pozostać obiektywnym, kiedy cały czas byłem wy stawiony na działanie tajemniczych sił? Roztapiałem się w mroku nocy, sondowano mi mózg, a w oczach mojej żony byłem istotą słabą i bezradną?

Przy zachowaniu ostrożności w formułowaniu osądów, można ustalić kilka pewników. Wydarzyło się coś, co dotyczyło mojej osoby i prawdopodobnie także mojego syna. Źródło i natura tych wydarzeń pozostawały nieznanne, lecz istniały uzasadnione podejrzenia, iż powodowała je przyczyna zewnętrzna, całkowicie niezależna od nas. Pojęcie to może obejmować zarówno nie odkryty jeszcze rodzaj wrażliwości na zaburzenia pola magnetycznego ziemi, jak i istnie nie Przybyszów „z krwi i kości”. Można również bez wahania stwierdzić, że moja żona miała świadomość zmian w naszym życiu, na które zareagowała postawą neutralną. Być może została do tego zaprogramowana, choć niekoniecznie. Równie dobrze mogła kierować się instynktownym pragnieniem ochrony męża. Wsparcie, którego mi udzielała, mogło być wynikiem jej własnych decyzji, a nie sugestii Przybyszów. Czy to możliwe, by to właśnie ona była wspomnianą kobietą – lub raczej kobietą postacią pouczającą mnie w nocy 4 października i łagodzącą moje cierpienia?

Kim naprawdę byli starożytni bogowie? Czy sami ich stworzyliśmy? Może podświadomość objawia się właśnie w ten sposób?

Wspomnienia Anny zachowują klarowność do momentu, gdy pojawia się związek z Przybyszami – w tym momencie urywają się gwałtownie. Najlepszą ilustracją tej prawidłowości jest początek zapisu, gdy wspomina dzień 30 lipca spędzony z naszym synkiem.

Podpytaliśmy go bardzo delikatnie o tamten dzień. Okazało się, że uzyskaliśmy mnóstwo informacji, którym poświęcam odrębny rozdział. Jeszcze zanim Anna poddała się hipnozie, wpadły mi w ręce dwa eseje pisane przez niego jesienią jako szkolne wypracowania. Oba zawierają opisy wydarzeń z udziałem Przybyszów. A może są to tylko wytwory dziecięcej fantazji? Jakby nie było, wizerunki „potworów”, ilustrujące te historie, posiadają wielkie, skośne oczy Przybyszów.

Oba opowiadania dotyczą wyłącznie syna i Anny, stąd też wywnioskowaliśmy, że mogą być związane z dniem 30 lipca. Datę ustaliliśmy tym łatwiej, że w ostatnim czasie niemal bez przerwy przebywaliśmy wszyscy razem. Tamtego dnia udałem się do Filadelfii, by uczestniczyć w audycji National Public Radio. Przenocowałem w hotelu Harley w Nowym Jorku i rankiem trzydziestego pierwszego lipca pojawiłem się z powrotem. Zostałem wszystko w najlepszym porządku. Zarówno żona, jak i synek sprawiali wrażenie radosnych i szczęśliwych. Gdybym nie powiązał esejów syna z innymi niewyjaśnionymi wypadkami, nigdy nie przyszłoby nam do głowy, że owego dnia coś

zaszło. Nikt nie wspominał Annie przed hipnozą, o co będzie pytana ani też, z jakiego powodu. Nie wiedziała również nic na temat esejów naszego syna, ponieważ skwapliwie usunęliśmy je z jej zasięgu.

Pamiętała doskonale przebieg całego dnia aż do zapadnięcia zmroku. Potem sądziła, że zostali do kogoś zaproszeni i tu wspomnienia gwałtownie się urywały. W obu opowiadaniach nasz syn pisze, że zemdląca, ujrawszy potwora.

Ciekawa sprawa, że w jednym z przeblysków stwierdziła, że oglądała telewizję. Pamiętam, że kilkakrotnie umieszczano mnie przed ekranem, podobnym do tego, z jakim zetknąłem się mając lat dwanaście.

Następny punkt hipnozy stanowi odtworzenie wydarzeń z czwartego października. W tym przypadku ani pacjentka, ani hipnotyzer nie mieli pojęcia, co zaszło tamtej nocy – co zresztą objawia się ich początkową dezorientacją.

Szczerze mówiąc najwięcej dały mi do myślenia niewymuszone aluzje Anny do mocno odczuwalnej obecności w naszym domu kobiecej postaci. Patrząc na Annę pogrążoną w spokojnym śnie, zastanawiałem się nad znaczeniem tego, co nas spotkało.

Zapytana po raz pierwszy przez doktora Naimana o wspomnienia z czwartego października, Anna wykazała objawy paniki, konwulsyjnie wykrzywiając twarz i zaciskając powieki, jak gdyby pragnąc uchronić się przed bolesnym widokiem lub hałasem. A jednak na pytanie, o czym myśli, odpowiedziała prędko, że nie ma pojęcia. Uporczywość w zadawaniu pytań doprowadziła do wyłonienia pełnego sprzeczności obrazu tamtej nocy, w której skazana była na rolę biernego świadka. Z początku stwierdziła, że w nocy przeszkadzało jej silne światło, choć w dalszej części seansu temu zaprzeczyła. Nie zdając sobie sprawy z wagi problemu światła, dr Naiman nie uczynił nic więcej, by wydobyć z niej bliższe informacje na ten temat. W ten sposób zarówno jej wspomnienia, jak i późniejsze zaprzeczenie pozostały niezakwestionowane. Oznacza to również, że prawdopodobnie nie otrzymała żadnych wskazówek, by zachować w pamięci więcej szczegółów na temat światła.

Zapytana po zakończeniu seansu, na jakiej podstawie twierdziła, że noc była jaśniejsza niż zwykle, odrzekła:

– Wydawało mi się, że leżę z zamkniętymi oczami i nagle jasny blask wdziera mi się pod powieki, zupełnie jakby w pokoju paliło się światło. Ale to bardzo mgliste wspomnienie.

Kolejne pytanie dotyczyło mnogości i różnorodności wypowiedzi na temat zakłócenia nocnego spokoju. Zapewnienia, że niektóre wspomnienia wypłyną dopiero po zakończeniu hipnozy, nie sprawdziły się. Skomentowała to następująco:

– Czuję się jak nitka spaghetti. Wy ciągniecie za jeden koniec, a drugi nie ma zamiaru ruszyć się z miejsca. Konkluzja brzmiała:

– Widzę światło. To znaczy, że nie jest ciemno. Rozumiecie, nie jest ciemno.

W dalszej części seansu napomknęła coś o domu pełnym gości, jakby było w tym coś „nadzwyczajnego”, by użyć jej określenia. Często zapraszamy znajomych i obecność Jacquesa i Annie nie była niczym nowym. Czy próbowała zatem dać nam do zrozumienia, że ktoś obcy w domu znajdował się wówczas? Z zapisu nie sposób stwierdzić tego jednoznacznie, aczkolwiek protokoły obu seansów zawierają wzmianki o obecności postaci kobiecej, jak również o tajemniczym „przyjacielu” w naszej sypialni – wątek zupełnie nierozwinięty.

Zapytana o to, kim mógł być „przyjaciel”, odrzekła, że po prostu miała poczucie czyjejś obecności w pokoju. Dlaczego zatem nazwała go przyjacielem, a nie człowiekiem czy osobą?

– To był ktoś znajomy. Stary przyjaciel.

– Jacques czy Annie?

– Nie. Ktoś inny.

– Czy możesz go opisać?

– Nie, po prostu tak to odbierałam.

Należało jeszcze rozstrzygnąć kwestię, kto krzyczał w nocy. Przeprowadziliśmy eksperyment, aby zorientować się, w jakim stopniu odgłosy z pokoju syna są słyszalne w naszej sypialni. Krzyk docierał na górę jasno i wyraźnie, głośna rozmowa gorzej, z czego wynikałoby, że następujące po krzyku ciche, uspokajające słowa, zapamiętane przez Annę, nie mogły do niej dotrzeć, nawet jeśli weźmie się pod uwagę niezwykle akustyczną konstrukcję domu.

Gdyby jednak krzyk dobiegał z bliska, cichy szept byłby doskonale słyszalny – szczególnie jeśli był przeznaczony dla nas obojga, a wrzaski zostały stłumione dzięki nie znanym nam efektom dźwiękowym.

Kilka wypowiedzi Anny utwierdziło mnie w przekonaniu, że powinienem zrewidować poglądy na swe dotychczasowe życie. Jedna z nich brzmiała:

– Nie wydaje mi się, by Whitley był ze mną przez cały czas. Wychodził dokądś. Wiecie, on czasami wychodzi w nocy. Idzie pracować albo tak po prostu wychodzi.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wychodził z łóżka nocą i nie mam zwyczaju pracować w środku nocy. Gdy już się położę, zwykle śpię do rana – chyba że zawoła mnie synek, co zdarza się przeciętnie dwa lub trzy razy w roku.

Podczas gdy zadanie Anny ogranicza się jedynie do udzielania mi wsparcia, jej cele życiowe są diametralnie inne. Obrazuje je odpowiedź na pytanie doktora Naimana, czy poddaje się hipnozie z własnej woli.

Powiedziała wówczas:

– Gdybym powiedziała: „Dość tego”, nie siedziałabym tutaj.

Jest osobą niezależną, o przekonaniach feministycznych, na tyle aktywną politycznie i społecznie, na ile potrafi się zaangażować w sprawę. Wyjątek stanowią wszystkie niewytłumaczalne zdarzenia, w których automatycznie przyjmuje bierną postawę. W kontekście jej codziennego życia to niemal nie do pomyślenia.

W miarę narastania napięcia Annie przestała odpowiadać narzucona rola:

– Coś się działo wokół mnie i chciałam wiedzieć, co! – Wypowiedziała to z mocą, niemal gniewnie.

Na pytanie, dlaczego zwyczajnie nie wstała z łóżka i nie zeszła na dół, odpowiedziała, że nie było jej wolno. Na poparcie tego nawiązała po raz pierwszy, lecz nie ostatni, do uosabiającej władzę postaci kobiecej:

– To tak, jakby matka powiedziała: „Masz tu zostać”.

Z zapisu hipnozy mojej żony wyraźnie wynika, że moje życie jest bezustannie zakłócanie. Moje seanse dostarczyły mi dowodów na dwa najnowsze przypadki. W momencie hipnozy Anna nie zdawała sobie sprawy z tego, iż mam świadomość większej liczby incydentów niż te dwa, o które ją pytano. Dlaczego więc użyła słowa „przyjaciel” i dlaczego utrzymywała, że wychodzę „cały czas”?

Kiedy dr Naiman i Budd Hopkins przeszli do wypadków z 26 grudnia, ujrzałem, jak musi wyglądać życie osoby nieustannie uraczanej opowieściami o tajemniczych zjawiskach, Anna wspomniała bowiem o kryształach na niebie. Doskonale pamiętam ową wizję, jak również zakłopotanie, które ogarnęło mnie podczas jej opisywania. Od początku wiązało się z nią bowiem uczucie oszukiwania innych i samego siebie – głównie w celu uśmierzenia własnych utajonych niepokojów.

Anna wyznała szczerze, iż nie uważa mnie za „faceta mocno stojącego na ziemi”. Nawet się z tego cieszę, gdyż po tym wszystkim, co się wydarzyło, musiałaby być kompletnie niewrażliwa, by twierdzić, że jestem niewzruszonym realistą. Zupełnie naturalnie dr Naiman spytał ją, czy sądzi, iż powinienem udać się do psychiatry. Odpowiedź jest interesująca:

– Nie, uważam, że sam sobie z tym poradzi.

Co takiego? Mam zwidy, twierdzę, że latam po pokoju, a moja praktyczna, przeciwna absurdom żona nie uważa, bym potrzebował porady psychiatry? Być może zdawała sobie sprawę, że nic z tego nie wyniknie, gdyż – na innym poziomie świadomości, niedostępnym na zawołanie –

wiedziała, że to efekty uboczne prawdziwych przeżyć.

Chciałbym teraz krótko przedstawić incydent z „lataniem po pokoju”. Zdarzyło się to w marcu lub kwietniu 1985 roku w naszym domku. Leżałem już w łóżku, czytając książkę, kiedy nagle odniosłem wrażenie, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Poczułem się nieswojo, gdyż sypialnia wydawała się pusta. Ktoś mógłby pozostać niezauważony jedynie pod warunkiem, że stale utrzymywałby się tuż poza granicą mojego widzenia peryferyjnego. Zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, unosiłem się już nad łóżkiem. Nie wspominałem już Annie o tym, że w następnej chwili ujrzałem drzewa, dom, a potem księżyc, wirujące mi przed oczami. Wydało mi się to zbyt fantastyczne, zadowolilem się zatem wersją o lataniu po pokoju. Sny, w których występuje motyw latania, nie są bynajmniej rzadkością, lecz marzenia o tak wysokim stopniu realizmu, spadające na człowieka nagle podczas czytania książki – czyli na jawie – wydają się raczej nie do wiary. Dlatego też postanowiłem zwierzyć się z tego snu Annie. Musiałem z kimś porozmawiać, a ona była akurat pod ręką, gotowa wypełniać powierzoną jej rolę. Zamiast zapytać, czy nie chciałbym porozmawiać z lekarzem, roześmiała się, jakby nic się nie stało. To pozwoliło mi zbagatelizować problem, szybko odzyskać równowagę psychiczną i puścić w niepamięć cały incydent.

Zamieszanie, jakie powstało na tym etapie ujawniania wspomnień Anny, zostało wywołane nieprecyzyjnym określeniem Hopkinsa: „tamtej nocy”.

W konsekwencji Anna pomyliła daty. Kiedy powiedziała: „To było jak przyjęcie, działo się wiele rzeczy jednocześnie” nie byliśmy w stanie określić, czy chodzi jej o 26 grudnia, czy 4 października. Ona sama nie pamiętała, kiedy to było, choć jej uwaga, iż Jacques i Annie nie byli zaproszeni, może oznaczać, że miała na myśli dwudziestego szóstego grudnia, kiedy byliśmy tylko we troje.

Ponownie pojawiła się też aluzja do tajemniczej i władczej postaci kobiecej: „Czułam się jak dziecko, któremu matka powiedziała: Masz tu zostać”.

W końcu sama wyznała, że bardzo często nawiedzała ją uczucie, iż dzieją się ze mną rzeczy, o których „nie powinna wiedzieć”. Ponadto wyraźnie określiła swoją rolę: „Moim zadaniem jest pomagać Whitleyowi, kiedy jest już po wszystkim. Ale nie mogę ich powstrzymać, to już jego zadanie”.

Zapytana o to, czy miewam halucynacje, zaprzeczyła i dodała: „Przychodzą do niego ze względu na jego umysł”.

Następnie zrelacjonowała historię z „małą, białą postacią”, która wkradła się pewnej nocy do naszego mieszkania w Yillage. Prawdo podobnie nigdy nie dowiemy się, kim lub czym była owa postać i jaki był cel jej wizyty.

Słuchając taśmy z zapisem swego seansu, Anna odniosła wrażenie, że w jej relacjach brakuje czegoś istotnego. Niezrozumiałe były dla niej luki w pamięci objawiające się w najmniej oczekiwanych momentach. Wbrew temu wrażeniu uważam, że zachowała w pamięci dużo istotnych szczegółów.

Zainteresowała mnie jej wzmianka o „kobiecy głosie”. Anna przyznała, że nie mogła być to Annie Gottlieb, choć nie uczyniła tego w sposób jednoznaczny: „Był znacznie głębszy, Annie ma wyższy głos”.

Istnieje również inne wytłumaczenie jej zachowania: może być ono wyrazem wiary w człowieka, którego głęboko kocha i pragnie wyrwać z sideł szaleństwa poprzez subtelny akt pokrzepienia – duchowej wspólnoty, pośredniego udziału w przeżyciach, o których wiedziała zbyt mało, by dostarczyć przekonujących szczegółów.

Którejś kwietniowej nocy zaczęła mówić przez sen. Rozmyślałem właśnie nad zatytułowaniem tej książki „W potrzasku strachu” ze względu na skrajne fizycznie doznania strachu, jakich doświadczyłem w spotkaniu z Przybyszami 26 grudnia. Nagle Anna odezwała się głębokim głosem, brzmieniem przypominającym *basso profundo*:

– Nie wolno ci przestraszyć ludzi tą książką. Powinieneś ją zatytułować „Wspólnota”, bo o tym właśnie będzie traktować.

Odwrociłem się, by przedstawić argumenty na korzyść mego tytułu i ujrzałem, że Anna śpi w najlepsze. Uświadomiłem sobie wówczas, że słyszałem już kiedyś ten głos.

Pochyliłem się nad żoną, obejmując wzrokiem jej śpiącą postać, podczas gdy głowę rozsadał mi natłok pytań, na które nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Nasz syn

Z dużą pieczołowitością i konsekwencją usiłowaliśmy uchronić nasze dziecko od choćby cienia podejrzenia, że styka się ze zjawiskami nie mieszczącymi się w kategoriach ludzkiego doświadczenia. Traktowaliśmy jego przeżycia jako koszmarne sny, co – ku naszemu zdumieniu – uznał za pewnego rodzaju fantazję dorosłych. Jego opis zapamiętanych wydarzeń jest prosty i jasny, a co najważniejsze nie znalazłem w nim oznak lęku.

Wydaje mi się, że, aby nas zadowolić, gotów jest używać określenia „sen”, choć najwyraźniej nie martwi go możliwość, że przeżył to wszystko naprawdę. Potwierdza w ten sposób moje własne spostrzeżenie, że materiał, z jakim mamy do czynienia, ma posmak prawdziwych wspomnień, lecz jest tak nieprawdopodobny, że wydaje się snem.

Poprosiłem synka, by opowiedział mi jeden ze swych dziwnych snów. Nigdy dotąd nie był poddawany hipnozie i postanowiłem, że nie będzie, dopóki sam o tym nie zadecyduje. Materiał ten, bez względu na swoje pochodzenie, rzeczywiście potrafi wytrącić z równowagi nawet dorosłego człowieka, uważam więc, że żaden z rodziców nie ma prawa wystawiać dziecięcego umysłu na takie niebezpieczeństwo w imię eksperymentu.

Oto kilka ze snów chłopca, przedstawionych jego własnymi słowami:

– Śniło mi się, że płynąłem łódką z Ezrą (jego przyjacielem). Ktoś nas zaatakował i skoczyliśmy do wody. Już byłem w powietrzu, kiedy znalazłem się w tym drugim śnie. To było w szpitalu, w przyszłości, gdzie próbowali leczyć jakąś chorobę. Nie wiem, co to było. Wyciągnęli mnie z łóżka, położyli na noszach i wynieśli na werandę.

– Kto wyciągnął cię z łóżka?

– Jakiś doktor.

– Jak wyglądał?

– O, to był bardzo niski, gruby człowieczek z takimi okularami, podniesionymi o, tak. (Pokazuje, że oczy były osadzone ukośnie.) I miał taki udawany uśmiech na twarzy, jak przyklejony. (Uśmiecha się od ucha do ucha zamkniętymi ustami.) Zawsze się uśmiechał, chyba że spał.

– Skąd wiedziałeś, kiedy śpi?

– No, bo... no, dlatego że pracował w nocy, a w dzień spał.

– Jak wyglądały jego oczy?

– Nosił normalne okulary. Miał oczy niebieskozielone, ciemne. Miał tylko dwie twarze: jedną taką (demonstruje uśmiech), a drugą taką małą, kiedy spał (ściąga usta w literę „O”).

– Spał z otwartymi ustami?

– Tak.

– A kiedy otwierał usta, to stawały się okrągłe?

– Tak. I zmarszczone, mocno zmarszczone.

– Czy widziałeś go, gdy się nie uśmiechał?

– Tak, to było wtedy, kiedy mnie operował.

– Co to była za operacja?

– No, taki test.

- Co ci robił?
- Miałem chorobę na rękę.
- Zrobił ci coś z ręką?
- Nie, poczekaj, tato. Zamroził mi nos, jak wtedy, gdy zjadłem za dużo lodów.
- Bolało cię?
- Nie, chyba nie.
- Mówiłeś, że badali cię na werandzie. Co to znaczy?
- No, wynieśli mnie na werandę. Nie mogli mnie umieścić na sali operacyjnej. Potem włączyli światło, to znaczy taką lampę zewnętrzną, jak w domach. Wiesz, u nas też jest takie światło na zewnątrz.
- Wiem.
- No, więc zapalili to światło. Potem wzięli takie specjalne lampy i zbadali mój nos, prześwietlili go i takie inne rzeczy. (Ostatnie zdanie może wiązać się ze wspomnieniem urazu nosa z wczesnego dzieciństwa, kiedy to trzeba go było prześwietlić, by ustalić, czy nie nastąpiło złamanie. Reszta materiału jest jednak zdecydowanie inna od tego jednego zdania.)
- Co to były za lampy?
- Niektóre były niebieskie i oni patrzyli zza nich, a one prześwietlały mnie jak rentgen.
- Tak?
- Były jeszcze pomarańczowe lampy, które nie pokazywały kości, tylko to, co się dzieje pod skórą. Zamiast rentgena i innych przyrządów oni mieli lampy, wielkie lampy, zielone.
- Powiedz mi, czy pamiętasz taki sen, kiedy do domu przyszedł potwór i mama zemdląła? Skąd to jest?
- To historia z mojego dziennika.
- O, widzisz, zgadza się. Dlaczego ją zapisałeś?
- Nie wiem. Pamiętam ją jak przez mgłę. Napisałem ją już dawno. (To znaczy wczesną jesienią, a wtedy mieliśmy już marzec.) Mieliśmy napisać opowiadanie według własnego pomysłu i nie potrafiłem nic stworzyć. Wierciłem się przy biurku, próbując coś wymyślić. I nagle ten sen niespodziewanie przyszedł mi do głowy.
- Co to był za sen?
- Byłem w takim... Nie wyjaśniłem tego w dzienniku. Byłem z mamą na polu kukurydzy i żułem ziarna, a mama opowiadała mi bajki. Aż tu nagle taki wielki... jak stąd do tego budynku... zamajaczył nad nami. Był pomarańczowo-zielony, miał niebieskie stopy. (Pomarańczowy i zielony są kolorami światła na latających talerzach, które zaobserwowano nad naszym obszarem.)
- Czy to było zwierzę?
- Nic z tych rzeczy. Było wielkie i masywne, miało wszędzie wielkie guzy w kolorze niebieskim, a stopy pomarańczowe...
- Czy sądzisz, że widziałeś coś przelatującego wam nad głowami, coś niebiesko-pomarańczowo-zielonego, ale nie mogłeś się połapać, co to takiego?
- To wyglądało na coś latającego, coś w tym rodzaju.

W tym momencie zdałem sobie sprawę z popełnionego błędu – ostatnie pytanie było wprost naładowane sugestią. Natychmiast zakończyłem rozmowę, oświadczając synowi, że miło się nam gawędziło o jego interesujących snach, a on wrócił do swoich popołudniowych zajęć – lektury *Tin-Tina* i sporządzania kartki dla babci z okazji Dnia Świętego Patryka.

Usiadłem w fotelu, by się uspokoić, lecz słowa mojego syna prześladowały mnie bezlitośnie. Szczególnie intensywnie myślałem o incydencie na polu kukurydzianym. Na krótko przed przytoczoną rozmową miałem bowiem sen.

Znajdowałem się z Anną i synem gdzieś w Anglii, pośród obcych krajobrazów. Mieszkaliśmy w

wynajętej wiejskiej chacie, wewnątrz przypominającej nasz domek. Byłem niespokojny, gdyż nadchodził już wieczór, a Anna i syn nie wrócili jeszcze do domu. Leżałem już w łóżku, kiedy zadzwonił telefon. Pamiętam, że od powiedziałem: „Nie, wszystko w porządku, wrócą dopiero rano”. Z jednej strony byłem pełen obaw, z drugiej zaś pogodziłem się z ich zniknięciem, z jakichś przyczyn uważając je za usprawiedliwione.

W środku nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. Gdy je otworzyłem, zobaczyłem synka w otoczeniu grupy „ratowników”, zwyczajnie nie wyglądających mężczyzn i kobiet o łagodnych i tchnących życzliwością rysach twarzy. Mój syn był nagi, jeśli nie liczyć granatowej czapki, którą ktoś wsadził mu na głowę. Poruszał się w sposób nieskoordynowany, jakby nie kontrolował własnych mięśni. Oczy miał niesamowicie, nieobecne jak w transie. Objąłem go i utuliłem w ramionach, gdyż powiedziano mi, że mój dotyk przywróci mu siły. Rozejrzałem się, szukając wzrokiem Anny. Potrząsnęli głowami ze smutkiem, lecz troska i miłość płynące z ich oczu utwierdziły mnie w przekonaniu, że i ona wkrótce powróci.

Niespodziewanie sceneria zmieniła się. Pokazywano mi w ten sposób, gdzie znaleziono żonę i synka. Było to pole kukurydzy, zupełnie jak ze snu mojego dziecka. Na tym sen się kończył.

Gdy tamtego wieczoru kładłem syna do łóżka, sam nawiązał do naszej rozmowy o snach. Tym razem nie nagrywałem jego opowieści. Poskarżył mi się, że kiedy układa się do snu, jego ciało ogarnia silne mrowienie, a włosy na głowie stają mu dęba. Następnie jakiś głos wypytuje go, jak spędził dzień, jak się czuje i jak tam jego „prywatne sprawy”, o których nie chciał ze mną rozmawiać. Poza tym, gdy miał zamiar odpocząć, pojawiał się przed nim szkielet. Nasza rozmowa na ten temat przebiegała mniej więcej tak:

– Szkielet?

– Tak. Gapi się na mnie, jakbyśmy stali twarzą w twarz i nie chce zniknąć.

– Jak wygląda?

– No, jest... ach, to nie szkielet, to jeden z tych chudych, co stali z tyłu, za lekarzem.

– Jakich chudych?

– No wiesz, z tych chudych, co mówią zawsze: „Nie chcemy cię skrzywdzić”. To jeden z nich, nie żaden szkielet.

Wygląd Przybyszów nie był nigdy przedtem tematem rozmów z synem, a jednak jego opis – zarówno niskich, jak i smukłych postaci – pokrywał się nie tylko z moimi własnymi spostrzeżeniami, ale również z wrażeniami wielu innych uczestników bliskich spotkań.

Tamtego popołudnia mój syn kupił w antykwariacie tomik wierszy haiku zatytułowany „Siatka pełna świetlików”. Nie uznałem za konieczne mówić mu, że dokładnie ten sam tomik kupiłem mając lat dwadzieścia, gdy mieszkalem z babcią, i że czerpałem z jego lektury ogromną przyjemność i zarazem otuchę. Wieczorem kazał nam czytać wiersze na głos. Zacząłem:

*Tnąc delikatnie powietrze zmrożone podmuchem wiatrów,
Tryskają pączki brzoskwini migotliwym jedwabiem płatków.*

Uśmiechnął się szeroko:

– Tyle obrazów, a tak mało słów. A potem przeczytał:

*Cichutko upuścił ktoś białą kamelię,
By kamiennej studni zmierzyć mroczną głębię.*

Następnie zwrócił się do mnie:

– Wiesz, tato, podobają nam się haiku i inne piękne słowa, ale ci chudzi, oni są haiku; w środku oni są haiku.

Tej nocy ojciec długo czuwał przy dziecku, rozmyślając o łagodnym płomyku duchowej wspólnoty, rozpalanym każdym oddechem jego życia.

Rozdział 6

Obiekty na niebie

Nauka, historia i wiedza tajemna

Żadna budowla nie została nigdy wzniesiona tak szybko jak ta świątynia lub raczej ta świątynia została wzniesiona, jak na świątynię przystało. By wyrzucić na niej zemstę, zbeczczyć lub zmieść z powierzchni ziemi, potrzeba było narzędzi o nie spotykanej ostrości, ciosających każdy kamień – z jakich to kamieniołomów pochodził? – z wieczności, która przetrwa dłużej niż świątynia, niezdarne, bezsensowne bazgranie dziecięcych rąk, lub raczej znaki barbarzyńskich mieszkańców gór.

Franz Kafka – „Budowa świątyni”

Co się dzieje?

W ciągu ostatnich czterdziestu lat problem UFO badali psychologowie i psychiatry – w szczególności Carl Jung – osobistości życia publicznego – jak prezydenci Jimmy Carter i Gerald Ford oraz senator Barry Goldwater – niezliczone rzesze naukowców, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, przeróżne instytucje bezpieczeństwa, a także opinia publiczna.

Oprócz tego, stosunkowo świeżego, zainteresowania istnieją również relacje dotyczące latających talerzy, statków powietrznych i ludzi w srebrnych kombinezonach zebrane na przestrzeni tysiącleci.

Swoje prywatne badania rozpocząłem, wychodząc z założenia, że mam do czynienia z zaburzeniami natury umysłowej lub też z przypadkiem wizyty „z innej planety”. Gdyby mnie wówczas zapytano o wnioski, odpowiedziałbym, że moim zdaniem Przybysze przebywają na Ziemi stosunkowo krótko i badania, jakim zostałem poddany, były prawdopodobnie przeprowadzane przez ich biologów i antropologów.

Widząc niezwykle szeroki zasięg materiałów, na które się na tknąłem – nie mówiąc już o ich wieku – nie uważam już tej odpowiedzi za wyczerpującą. Nawet jeśli w części pokrywa się ona z prawdą, to z pewnością nie obejmuje całości zjawiska. Bez względu na rezultat badań, właściwe i ostateczne zrozumienie problemu Przybyszów stanowi intelektualne, emocjonalne i duchowe wyzwanie o bezprecedensowej złożoności i delikatności.

Wiemy tak niewiele, że pozostają nam jedynie domysły, choć niekoniecznie przypadkowe. Mogą to być domysły ostrożne i ukierunkowane.

Przybysze mogą być:

- z innej planety lub innych planet;
- z Ziemi, lecz ze względu na swoją odmienność pozostają dla nas nadal poza marginesem zjawisk realnych;
- z innej czasoprzestrzeni, a więc z innego wymiaru;
- z tej samej przestrzeni, lecz z innego wymiaru czasowego. Pewne formy podróży w czasie nie są wcale niemożliwe, a tylko mało prawdopodobne i wymagające wielkich nakładów energetycznych. Gdyby dało się przekształcić człowieka w pewną formę energii, światło czy fale radiowe, i umieścić specjalny konwerter 100.000 lat świetlnych od Ziemi, to człowiek ów mógłby przekroczyć próg drzwi, sądząc, że zajęło mu to jedną sekundę, a następnie cofnąć się i odkryć, że w tym czasie minęło 200.000 lat. Nieporęczny to wehikuł czasu, ale skuteczny. Nie możemy więc z góry założyć, że przemieszczanie się w czasie jest niemożliwe;
- z naszego wnętrza. Wracam wciąż do tej hipotezy, ponieważ wydaje mi się niesłychanie ciekawa i, w gruncie rzeczy, sama mi się narzuca. Pomysł, że bogowie przez nas stworzeni stają się realni, ponieważ to właśnie my powołaliśmy ich do życia, posiada, jak przypuszczam, pewien urok o zabarwieniu nieco ironicznym dla współczesnych intelektualistów;
- skutkiem ubocznym jakiegoś naturalnego procesu. Tak mało wiemy o wpływie magnetyzmu i superniskich częstotliwości na ludzki organizm! Być może istnieją naturalne anomalie elektromagnetyczne, które powodują pewne reakcje w mózgu, dające złudzenie fizycznej rzeczywistości;
- odmienną formą gatunku ludzkiego. Tradycja życia po śmierci jest zjawiskiem odwiecznym. Szacunek, z jakim ponad trzydzieści tysięcy lat temu neandertalczyk ze Środkowego Wschodu grzebał swych zmarłych, sugeruje, że wierzenia dotyczące życia pozagrobowego mogą pochodzić z czasów przed powstaniem naszego gatunku. Nasze życie po śmierci może jednak wyglądać nieco inaczej, niż to głosi tradycja. Może nasza obecna postać to tylko forma larwalna, a Przybysze są postacią dojrzałą gatunku ludzkiego? Świadczyć może o tym fakt, że pochłaniamy zasoby naszej planety z żarłocznością równą gąsienicy na krzaku.

Starożytni astronomowie hinduscy wierzyli, że Siddhowie (istoty ludzkie, które osiągnęły stan doskonałości) szybują pomiędzy chmurami i księżycem, przekształceni w lżejszą, mniej materialną substancję.

Może od wieków otaczane wciąż pojęcie duchowej transformacji człowieka odnosi się do procesu przekształcania larwy w postać dojrzałą?

W naszym społeczeństwie słowo „transformacja” posiada negatywne konotacje, głównie ze względu na modę na przeróżne formy medytacji oraz szafowanie nim przez grupy propagujące idee błyskawicznego sukcesu. Ale prawdziwa transformacja nie ma nic wspólnego ze zdobywaniem dóbr doczesnych. Nie istnieje żaden związek pomiędzy prawdziwym wyzwoleniem a nauką intonowania buddyjskich pieśni modlitewnych w celu zdobycia nowego mercedesa, podobnie jak zbawienie nie jest skutkiem ubocznym uzdrawiającego działania fundamentalistów. Przeobrażenie jest tym samym dla mnicha wyznającego filozofię Zen, dla muzułmańskiego sufi, dla katolika i świadka Jehowy, a polega na całkowitym oddaniu swojego „ja” w posiadanie Bogu. Znakomicie ujął to Mistrz Eckhart, pisząc: „Musimy stać się jak przejrzyste szkło, przez które świecić może Bóg”. Rezygnacja z własnego „ja” w pewnym sensie oznacza jednak śmierć.

Dokonany przeze mnie przegląd wykazał, że zjawisko latających talerzy i małych postaci sięga daleko w przeszłość. Gdybyśmy mieli do czynienia z istotami pozaziemskimi, czy naprawdę pozostałyby one w ukryciu przez tyle tysięcy lat? A może przybyły całkiem niedawno i znalazły sposób, by wśliznąć się i ukryć w ludzkiej mitologii? Może pojawiły się w jakimś punkcie w przyszłości, po czym, cofnąwszy się w czasie, rozproszyły się po naszej historii, by przeprowadzić

na nas swoje badania? Oznaczałoby to, że przebywają tu krótko – powiedz my kilka tygodni, miesiąc – ale przeprowadzają badania, które z naszego punktu widzenia, w kategoriach ciągłości czasu, wydają się obejmować cały okres naszej udokumentowanej historii.

Ta teoria jako je dyna tłumaczy, dlaczego istoty pojawiające się w roku 1986 mogły być nieświadome naszej kultury, języków, a nawet znaczenia ubioru, jednocześnie mając za sobą całe wieki obecności na Ziemi jako bogowie i wróżki. Wyjaśnia ona również enigmatyczność i pozorną niematerialność postaci, z którymi się stykamy. Jeżeli możliwe są podróże w czasie, Bóg jeden wie, jak mogą wyglądać podróżnicy wracający z przyszłości. Przy naszych ograniczonych możliwościach percepcji mogłoby się wydawać, że z chwilą pojawienia się w naszym czasie przyswajają sobie znajomość całej naszej historii, kultury i języków. Jednak w ciągu tych kilku chwil dzielących odkrycie od zrozumienia, odbywaliby oni podróż przez całe nasze dzieje, z łatwością wybierając i przyswajając wszelkie istotne szczegóły, podczas gdy my mielibyśmy złudzenie, że znamy nas doskonale, choć przecież dopiero przybyli.

Wszystkie powyższe hipotezy są bardzo interesujące, lecz żadnej z nich nie da się udowodnić. Wyznaczają one jednak kierunki dalszych badań.

Pozostaje jeszcze najważniejsze pytanie: jak ma się to wszystko do rzeczywistości?

Spędziłem kilka miesięcy, przeszukując literaturę na temat UFO i ich załóg. Rozmawiałem z naukowcami, którzy uważają to wszystko za totalną bzdurę, a także z tymi, którzy nie są tego wcale tacy pewni. Przeczytałem dziesiątki relacji z bliskich spotkań i spotkałem się z wieloma ich uczestnikami.

Coś się tu dzieje, to pewne. Nie jest to wcale pochodna żadnego znanego nam zjawiska.

Prowadząc badania, instynktownie wyczułem, że koła rządowe są znacznie lepiej zorientowane w tej sprawie, niż się to oficjalnie przyznaje. Postanowiłem zbadać prawdziwość tego przypuszczenia.

W ten sposób wkroczyłem na pole minowe: prawdziwe dokumenty, które wydawały się fałszywe, fałszywe dokumenty wyglądające na prawdziwe, niezliczone przypadki „tajnych źródeł informacji” i wisząca nad tym wszystkim ciężka atmosfera niesamowitości.

Są podstawy, by przypuszczać, że rząd Stanów Zjednoczonych nawiązał kontakt z Przybyszami już pod koniec lat czterdziestych jak również, że wszedł w posiadanie części rozbitych latających talerzy oraz ciał ich załóg.

Opieram się tu na dwóch najmocniejszych dowodach, które udało mi się znaleźć, a które zbadałem osobiście, stwierdzając ich autentyczność.

Dowody te są niewątpliwie prawdziwe w tym sensie, iż nie są świadomym oszustwem. Oczywiście człowiek jest istotą omylną.

Pierwszy dokument to list napisany przez doktora Roberta J. Sarbachera, z datą 29 listopada 1983, skierowany do pana Williama Steinmana, badacza zjawisk UFO, w odpowiedzi na jego pytanie o rządową działalność doradcą Sarbachera w latach czterdziestych. List ten do dziś nie został w całości opublikowany, jeśli nie liczyć biuletynu *Mutual UFO Network*, organizacji zrzeszającej między innymi naukowców zainteresowanych poważnymi badaniami tego zjawiska. Wzmianki o nim można również znaleźć w *Omni*. Ponieważ Sarbacher zmarł 26 lipca 1986 roku, na kilka dni przed moim odkryciem wspomnianego listu, nie udało mi się przeprowadzić z nim wywiadu. Rozmawiałem natomiast z Barrym Greenwoodem, współautorem książki *Clear Intent*, który z Sarbacherem spotykał się kilkakrotnie. Na podstawie tej rozmowy wywnioskowałem, iż Sarbacher przekazał w liście wszelkie znane mu fakty i z całą pewnością zapisał je dokładnie tak, jak je zapamiętał.

Doktor Sarbacher pracował na stanowisku doradcy Departamentu Badań na Rzecz Obrony oraz konsultanta przy Komisji Rozwoju w latach prezydentury Eisenhowera. Kształcił się na uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, na Harvardzie i w Princeton. Jest autorem następujących publikacji: *Hyper and Ultra-High Frequency Engineering*, *Research Accrediting at Military Establishments* oraz *Encyclopedia Dictionary of Electronics and Engineering*, z których ostatnia

pozycja wniosła znaczący wkład w rozwój nauk ścisłych.

Był też dziekanem Szkoły Wyższej Instytutu Technologii w Georgii i pracował jako doradca w Instytucie Badań Jądrowych Oak Ridge w Tennessee, w marynarce wojennej oraz w Departamencie Obrony. Był członkiem dyrekcji Korporacji Nauk Amerykańskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego.

W swym liście pisał między innymi:

„Co się tyczy moich osobistych doświadczeń z odnalezieniem latających talerzy, muszę stwierdzić, iż nie byłem w żaden sposób związany z osobami uczestniczącymi w odkryciach, jak również nie jest mi znany czas ich dokonania. Pamiętam jedynie, że niektóre z materiałów pochodzących z rozbitych pojazdów odznaczały się wyjątkową lekkością i twardością. Jestem pewien, że poddano je wnikliwym analizom w naszych laboratoriach.

Z raportów wynikało, że przyrządy lub też istoty kierujące tymi pojazdami, posiadały bardzo niewielką wagę, pozwalającą im wytrzymać znaczne przeciążenia wynikające z przyspieszeń i hamowań pojazdu. Pamiętam, że z rozmów z pracownikami biura wywnioskowałem, iż «kosmici» budową przypominali pewien gatunek owadów żyjących na Ziemi.

Nadal nie potrafię zrozumieć, dlaczego zaliczono te badania do ściśle tajnych i oficjalnie zaprzeczono istnieniu tych urządzeń”.

Mogę tylko dodać, że czytając ten list miałem przed oczami obraz Przybyszów. Opisując stawy istoty, którą widziałem, użyłem określenia „owadopodobne”, zaś zapis mojej hipnozy w kilku miejscach zawiera moje wrażenia, iż mam do czynienia z istotami poruszającymi się jak owady. A przecież do 9 sierpnia 1986 roku nie słyszałem nawet o Sarbacherze i jego liście.

Rewelacje Sarbachera w połączeniu z moimi wspomnieniami o zachowaniu Przybyszów mogą tłumaczyć ich metody postępowania z nami przy użyciu siły, lekceważące nasze prawa i ludzką godność.

Jeśli Przybysze rzeczywiście podobni są do owadów, to mogą tworzyć zorganizowane roje, nie tylko małe (jak sam widziałem), lecz również lekkie (jak powiedziano Sarbacherowi). Fizycznie nie są w stanie nam sprostać, nawet w większej grupie. Poszczególne jednostki roju mogą mieć bardzo niewielkie poczucie własnej indywidualności i co za tym idzie bardzo mało znaczą, jednak razem tworzą niesamowitą społeczność. Jeśli ich umysł jest również strukturą o charakterze rojnym, wówczas ich język jest raczej funkcją biologiczną niż wyuczoną umiejętnością, podobną do języka ziemskich owadów, na który składa się skomplikowana kombinacja ruchów, zapachów i dźwięków. Zasady funkcjonowania roju i zagadnienie zbiorowego umysłu pozostają nadal jedną z największych zagadek biologicznych.

Postaram się wyjaśnić złożoność tego zjawiska na przykładzie. Od kilku lat na uniwersytecie Princeton prowadzone są badania nad zachowaniem pszczół. Jeden z eksperymentów polegał na określeniu czasu, w jakim rój odnajdzie przeniesione źródło pożywienia. Każdego dnia przenoszono je o określoną odległość. Wkrótce okazało się, że pszczoły gromadzą się idealnie w tym miejscu, w które danego dnia powinno zostać umieszczone źródło pokarmu.

Trudno będzie nam stwierdzić, jakie są możliwości inteligentnego umysłu roju i w jaki sposób odbywa się tam przekazywanie informacji.

Moim drugim dowodem na to, że rząd coś ukrywa, jest mały, ale znaczący fakt – publikacja prasowa z lipca 1947 roku. Dotyczy ona incydentu na ranczo w okolicach Roswell w Nowym Meksyku, który zapoczątkował pogłoski o posiadaniu przez rząd ciał Przybyszów i szczątków ich pojazdów. W 1947 roku Nowy Meksyk wprost kipiał od doniesień na temat dziwnych świateł na niebie. W tym samym czasie prasa szeroko rozwodziła się na temat pierwszego przypadku zaobserwowania UFO niedaleko Mount Rainier w stanie Washing ton. Na dodatek na poligonie White Sands w dniach 12 czerwca i 3 lipca odpalono dwie rakiety V-2, które mogły być omyłkowo wzięte za pojazdy kosmitów.

Jednakże mieszkańcy Roswell zauważyli coś na niebie 2 lipca i natychmiast donieśli o tym miejscowym władzom. Przemierzający niebo obiekt był jasno oświetlony i podążał w kierunku północno-zachodnim. 8 lipca baza Sił Powietrznych w Roswell wydała komunikat, opublikowany później między innymi w *San Francisco Chronicle*. Informacja ta została przekazana przez oficera biura prasowego, porucznika Waltera Hauta, na rozkaz komendanta bazy.

„Pogłoski o pojawieniu się latających talerzy sprawdziły się w dniu wczorajszym, kiedy to oficer wywiadu 509. Grupy Bombowców Sił Powietrznych, stacjonującej na lotnisku w Roswell, przy odrobinie szczęścia, wszedł w posiadanie talerza dzięki pomocy jednego z miejscowych farmerów i biura szeryfa w powiecie Chaves.

Obiekt latający wylądował na ranczo w okolicach Roswell w zeszłym tygodniu. Farmer nie posiadał telefonu, więc przechował obiekt do czasu, gdy mógł się skontaktować z biurem szeryfa, który z kolei natychmiast zawiadomił majora Jessego A. Marcela z Biura Wywiadu 509. Grupy Bombowców.

Podjęto natychmiastowe działania w celu przetransportowania obiektu do bazy w Roswell, gdzie został on poddany wstępnym oględzinom, a następnie przekazany wyższemu dowództwu”.

Późniejsze raporty stwierdzały, że obiektem tym był zniszczony balon meteorologiczny. Możliwe, że tak właśnie było, choć osobiście nie wierzę, by rozdarty balon mógł wyglądać na coś więcej, niż sflaczałą plastikową powłokę i trochę cynowej folii.

W artykule pod tytułem „Rozwiązanie zagadki latającego talerza” *Chronicle* przytaczała oświadczenie generała Rogera M. Rameya, że szczątki domniemanego pojazdu kosmicznego zidentyfikowano jako „urządzenie do badania warunków atmosferycznych na dużych wysokościach”, składające się ze skrzynki z urządzeniami pomiarowymi oraz balonu. W dalszych partiach swego oświadczenia Ramey stwierdził, iż obiekt ten był „urządzeniem do naprowadzania radarów wykonanym z folii cynowej w kształcie gwiazdy”. Dziwne to zaiste, że znajdując się w posiadaniu szczątków obiektu, generał miał trudności z określeniem jego przeznaczenia. Balony meteorologiczne, skrzynki z aparaturą pomiarową i gwiazdy radarowe nie były w latach czterdziestych żadną nowością dla personelu baz lotniczych i wydaje się nieprawdopodobne, aby oficerowie służby czynnej Sił Powietrznych mogli w tym przypadku popełnić jakąkolwiek omyłkę. Jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo omyłki istnieje w przypadku komendanta bazy, pułkownika Williama Blancharda, który polecił oficerowi biura prasowego opublikowanie oświadczenia stwierdzającego jednoznacznie, że znalezione szczątki pochodziły z rozbitego latającego talerza. Zostały one zabrane z rancza przez dwóch oficerów wywiadu: Jessego Marcela i „Cava” Cavetta, których nie podejrzewam o to, że nie potrafili rozpoznać balonu meteorologicznego czy też makiety do celów radiolokacyjnych.

Wydaje się całkiem możliwe, że szczątki pochodziły – zgodnie z przypuszczeniami oficerów wywiadu – z niezidentyfikowanego obiektu latającego, co zresztą początkowo podano do prasy, nie wiedząc o zamierzeniach generała Rameya.

Dużo szumu powstało wokół osoby ranczera W. W. Brazela, który, jak podała Associated Press, miał się wyrazić, że żałuje iż ujawnił swoje znalezisko, i oświadczyć, że obiekt, który przekazał wojsku, był zwykłym złomem z kawałkami folii cynowej. Jego wiarygodność podważają następujące fakty: początkowo nie pozwolono mu udzielić jakiegokolwiek informacji, a członkowie jego rodziny zeznali, iż powyższe oświadczenie złożył pod przymusem, co może potwierdzić fakt odizolowania go od prasy przez pierwsze kilka dni. Trzeci, najbardziej wymowny fakt dotyczy stosunku związanych ze sprawą oficerów do znaleziska. Otóż żaden z nich nawet przez chwilę nie uważał, że mają do czynienia z jakimkolwiek ze znanych im przedmiotów, a już z pewnością nie dopuszczał do siebie myśli o publikowaniu wyników oględzin w prasie.

Przeglądając stare numery *Skeptical Inquirer*, znalazłem w wydaniu z kwietnia 1986 artykuł zatytułowany „Upadek hipotezy o upadku latającego talerza”. Ponieważ dotyczył badanego przeze mnie przypadku, przeczytałem go dość uważnie. Z przykrością muszę stwierdzić, że główna teza

artykułu nie wytrzymuje krytyki. Autor utrzymywał, że cała sprawa zaczęła się od książki Franka Scully'ego *Behind the Flying Saucers* (New York: Henry Holt & Co., 1950). Postarałem się o nią i stwierdziłem, że nie ma najmniejszego związku pomiędzy jej mocno naciągаныmi opowiastkami a wydarzeniami w Roswell w 1947 roku. Zdobyłem także odbitkę artykułu w *San Francisco Chronicle* datowaną 9 lipca 1947, a więc na rok przed „wydarzeniami” opisanymi w książce. Łączenie książki Franka Scully'ego z wydarzeniem w Roswell świadczy, moim zdaniem, o słabym przygotowaniu naukowym autora i nie ma oparcia w faktach. Ponadto *Skeptical Inquirer*, przytaczając oświadczenie Brazela za Associated Press, pomija milczeniem fakt, że złożył je po pewnym okresie odosobnienia i w obecności przesłuchujących go wcześniej oficerów Sił Powietrznych. Jeśli znaleziony przez niego przedmiot był zwykłym balonem meteorologicznym, czemu zatem miało służyć przesłuchanie? Bardziej logicznym posunięciem byłoby przesłuchanie i dyscyplinarne ukaranie oficerów odpowiedzialnych za fałszywą notatkę w prasie, a nie przetrzymywanie Bogu ducha winnego obywatela, który popełnił drobną omyłkę. Dziwnym trafem w dokumentach, które udało mi się zdobyć od Sił Powietrznych, nie znalazłem żadnej wzmianki o wszczęciu postępowania dyscyplinarnego względem oficerów zamieszanych w sprawę publikacji oświadczenia.

Czy przesłuchania Brazela miały na celu przekonać go do zmiany zeznań? Wydaje się to jedynym logicznym wnioskiem. Pozostaje niezbitą fakt, że grupa zawodowych oficerów zamieściła w prasie informację o odnalezieniu szczątków latającego talerza już po dokonaniu oględzin obiektu. Dopiero po ukazaniu się artykułu, podjęto próby odkręcenia całej sprawy, lecz nawet wtedy nie zakwestionowano kompetencji autorów tekstu, czyli komendanta bazy i podległych mu oficerów wywiadu. Nie zrobiono tego ani oficjalnie, ani też z tego, co mogłem się zorientować – w procedurach wewnętrznych Sił Powietrznych. Za to świadka zdarzenia, nieświadomego znaczenia tego, co zaobserwował, poddano presji i zmuszono do zmiany zeznań. Zabrało to sporo czasu, można zatem przypuszczać, że człowiek ten uparcie trzymał się prawdziwej wersji, mimo niewygodnego położenia, w jakim się znalazł. Najnowsza próba odsłonięcia prawdy, podjęta w *Skeptical Inquirer*, okazała się niezadowolająca. Autor artykułu wychodzi z założenia, że wszystkie przypadki obserwacji UFO da się wytłumaczyć. Niewielu spotkałem w swym życiu naukowców, skłonnych do tak kategorycznych oświadczeń na temat zjawisk ulotnych i nie zbadanych. Zastanawiam się, czy tym artykułem *Inquirer* nie przekroczył granic zdrowego sceptycyzmu.

Nie można zaprzeczyć, że sprawa niezidentyfikowanych obiektów latających kryje wiele tajemnic. W 1970 roku senatorowi Barry'emu Goldwaterowi odmówiono dostępu do tajnych dokumentów dotyczących badań nad UFO, przeprowadzanych w bazie Sił Powietrznych Wright Patterson. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego odwołała się aż do Sądu Najwyższego, by ochronić część dokumentacji o latających talerzach.

Książka Lawrence'a Fawcetta i Barry'ego J. Greenwooda pod tytułem *Clear Intent* zawiera prawdziwe dokumenty uzyskane na podstawie Ustawy o udostępnianiu informacji. Jasno wykazują one, że część personelu administracji rządowej posiada informacje o niezwykłych zdarzeniach na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Książkę cechuje jasność i spójność rozumowania. Autorzy dowodzą w niej, że sfery rządowe odpowiedzialne są za zatajanie danych na temat niewyjaśnionych przypadków, częstokroć związanych z UFO.

W 1966 roku na Uniwersytecie Colorado rozpoczęto „Naukowe Badania nad Niezidentyfikowanymi Obiektami Latającymi” (tzw. *Raport Condon*). Opublikowany w 1969 roku raport z tych badań sprawił, że straciłem wszelkie zainteresowanie tematem latających talerzy i podobnych zjawisk. Przeczytawszy wstęp, doszedłem do wniosku, że nie ma w zasadzie czym się interesować, jeśli to wszystko zjawiska wytłumaczalne metodami naukowymi. Utwierdziłem się w przekonaniu, że historie o UFO są wysane z palca i wkrótce o nich zapomnielim.

Ostatnio jednak przeczytałem *Raport Condon* uważnie i do końca. Ku swemu zdumieniu odkryłem, że wnioski zawarte w tekście, zupełnie nie pasują do wstępu, który faktycznie zniechęcił! We wstępie najzwyczajniej sfalszowano wymowę całego raportu, z którego jasno wynika, że większość przypadków UFO pozostaje niewyjaśniona.

W toku prac przygotowawczych nad *Raportem Condon* Robert Low, ówczesny zarządca administracyjny Uniwersytetu Colorado, wystosował do swoich zwierzchników następujące memorandum:

„Nasze badania będą przeprowadzane prawie wyłącznie przez sceptyków, którzy nie mogą znaleźć dowodów zaprzeczających istnieniu UFO, przedstawiają przekonującą liczbę dowodów na nierzeczywistość pewnych zdarzeń.

Uważamy, że wybieg będzie polegał na takim przedstawieniu sprawy, że opinii publicznej *Raport* wyda się całkowicie obiektywny, podczas gdy dla środowiska naukowego, badacze pozostaną grupą sceptyków, dążącą do obiektywizmu, lecz z góry nastawioną na negatywny rezultat poszukiwań dowodów na istnienie latających talerzy”.

Tuż przed rozpoczęciem przedsięwzięcia, podczas publicznego spotkania Condon wypowiedział się następująco:

„Jestem skłonny natychmiast polecić, by wyłączono rząd z całej sprawy. Stoję w tej chwili na stanowisku, że nic nie znajdziemy, ale oczekuje się, że do wniosków dojdziemy dopiero w przyszłym roku”.

Taki stosunek do badań jeszcze przed ich rozpoczęciem wydaje się nielogiczny. Po takim oświadczeniu Condon powinien złożyć rezygnację z funkcji kierownika projektu.

Wielu współpracowników Condon prezentowało odmienne opinie, zwłaszcza po przestudiowaniu danych. Niektórzy z nich w geście protestu zrezygnowali z udziału w badaniach. Jeden z takich naukowców, dr David Sanders opublikował swą książkę pod tytułem „UFO? Tak!” na kilka tygodni przed ogłoszeniem przez Condon negatywnych wyników badań w listopadzie 1968 roku.

Raport Condon był ostatnim przejawem zainteresowania rządu amerykańskiego sprawą niezidentyfikowanych obiektów latających. Natychmiast też wzrosła liczba ludzi twierdzących, że zetknęli się z Przybyszami z kosmosu.

Oficjalne stanowisko rządu spowodowało ogólne zubożenie na problem UFO w kręgach naukowych. Dotknęło to również specjalistów o najlepszej reputacji.

W każdym razie uwolniono się od wizji Przybyszów maszerujących pośród nocy, by podbijać spokojnie amerykańskie domostwa. Paradoks polega na tym, że najprawdopodobniej tak się właśnie dzieje obecnie. Jeżeli nie jesteśmy w stanie w żaden sposób kontrolować Przybyszów, powinniśmy skonsolidować się jako społeczeństwo. Niebezpieczeństwem nie są wcale fizyczne następstwa spotkania z Przybyszami, lecz uczucie wyobcowania, towarzyszące uczestnikom tych spotkań na skutek obojętności i niezrozumienia, z jakim się spotykają na co dzień, i to ze strony kompetentnych specjalistów.

Z wielkim żalem przyjmowany jest fakt, że ogólnie poważane instytucje publiczne, takie jak rząd czy stowarzyszenia naukowe i instytuty badawcze, uparcie ignorują problem Przybyszów. Brak społecznego poparcia prowadzi do izolacji uczestników bliskich spotkań w chwili, gdy najbardziej potrzebują akceptacji i pocieszenia. Odbierają oni szyderstwa i zafałszowane relacje ze swych doświadczeń jako kolejną napaść, tym razem ze strony własnego społeczeństwa, i trudno im odmówić racji.

Carl Sagan, profesor Uniwersytetu Cornell, oświadczał wielokrotnie, że nie ma żadnych dowodów na istnienie niezidentyfikowanych obiektów latających czy też Przybyszów. Ściślej mówiąc, żaden fizyczny dowód ich istnienia nie został udostępniony opinii publicznej. Pozostaje nam natomiast olbrzymia liczba relacji ze spotkań, z których wiele nosi znamię wybujałej fantazji autorów, lecz inne wydają się całkiem wiarygodne. Wszystkie wskazują na to, że coś się dzieje. Są także dowody bardziej namacalne – drobiazgowo sprawdzane zdjęcia obiektów, których autentyczność trudno jest podważyć, chyba że kierując się reakcją emocjonalną. Oczywiście, jak

wszędzie, trafiają się oszuści opowiadający o kontaktach z istotami pozaziemskimi lub przedstawiający sfabrykowane zdjęcia, świadczące o ich dużym kunszcie fotograficznym.

Wygląda na to, że posiadamy coś więcej niż tylko strzępki dowodów na obecność Przybyszów, jak również na to, że ich działalność na Ziemi dotyczy bezpośrednio nas samych. Ta tajemniczość w oczywisty sposób wskazuje na to, że pragną jeszcze pozostać w ukryciu. Czy to możliwe, by rząd nieświadomie im w tym pomagał lub by zmusili go do tego? Z pewnością tajemniczość zarówno Przybyszów, jak i rządu – stanowi źródło frustracji opinii publicznej. Nie wiemy bowiem, co się dzieje, nie mamy dowodów na to, że Ziemia jest odwiedzana przez obce istoty, nie możemy udowodnić żadnej z wielu hipotez na ten temat. Nie wolno nam też przedwcześnie wyciągać wniosków.

Może kontakt z Przybyszami to nic innego jak spojrzenie w lustro, w którym jawi się prawdziwe i przerażające odbicie.

Coś w tym musi być, ale co? Skąd mogło się wziąć? Powoli zbliżamy się do sedna tajemnicy.

Starożytna przyszłość

Pierwszą próbę oficjalnego wytłumaczenia zjawiska latających talerzy podjęli wcale nie Amerykanie, lecz Japończycy. Podczas manewrów generał Yoritsune zauważył na południowym krańcu nieba tajemnicze, kołyszące się światło. Zjawisko to trwało całą noc. Rankiem generał polecił grupie badaczy wyjaśnić sprawę dziwnych znaków na niebie. Po długich debatach ogłosili oni, że był to tylko „wiatr kołyszący gwiazdami”. Należy im wybaczyć tę pomyłkę, ponieważ zdarzenie miało miejsce 24 września 1235 roku, to znaczy 751 lat temu.

Dużo później, bo w 1953 roku ceniony astronom z Harvardu doktor Donald Menzel w swojej książce *Flying Saucers* wyjaśniał, że równie dziwne zjawisko obserwowane przez wykwalifikowanych astronomów przy użyciu dobrej jakości sprzętu było „efektem soczewkowym”. Według fizyka floty morskiej, doktora Bruce'a Maccabee, Menzel popełnił kardynalny błąd, odnosząc dane otrzymane od obserwatorów do własnej teorii soczewki. Przede wszystkim kąt prowadzenia obserwacji był zbyt duży, by mógł wystąpić efekt soczewkowy, nawet przy założeniach teorii Menzela. W opisie Menzel nic nie wspomina o kącie obserwacji, zakładając, że był on zgodny z założeniami jego teorii.

Obserwacji dokonała o godzinie 10.30, 24 kwietnia 1949 roku grupa szkolonych kadetów marynarki wojennej pod kierunkiem Charlesa B. Moore'a, śledząca za pomocą teodolitu zachowanie balonu meteorologicznego. Moore zauważył jednocześnie balon i niezidentyfikowany obiekt i natychmiast zanotował azymut oraz kąt wznoszenia obiektu. Z notatek wynika, że w ciągu sześćdziesięcioszekundowego okresu obserwacji, azymut zmienił się o około 190 stopni, zaś kąt pomiędzy krańcowymi punktami położenia obiektu wynosił 120 stopni. Informacje te przekazano do Centrum Urządzeń Specjalnych Marynarki Wojennej.

Odkryłem znaczne rozbieżności między opisem Menzela w *Flying Saucers* a raportem Moore'a. Doktor Menzel twierdził, że obserwatorzy widzieli pozorny obraz balonu, przesuwający się pionowo w dół znad prawdziwego balonu, gdzie się najpierw ukazał. Raport jednak wyraźnie zaznaczał, że obiekt pojawił się tak blisko balonu, iż Moore sądził początkowo, że to właśnie balon. Obiekt jednak z dużą prędkością oddalił się na północ.

Menzel doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że pozorny obraz jakiegoś przedmiotu nie może się pojawić pod dużym kątem do swego źródła – w posłowie do *Flying Saucers* wyraźnie zaznacza on, że kąt pomiędzy przedmiotem a jego obrazem pozornym nie może przekraczać jednej czwartej stopnia. Pomiary Moore'a wykazywały jednak zupełnie co innego: aby móc zastosować w tym wypadku teorię pozornego obrazu, pomiary musiałyby się różnić o około sto stopni. W swojej

książce Menzel ani razu nie wspomniał o prawdziwych kątach podanych przez Moore'a.

Minęło siedemset pięćdziesiąt lat, a ciągle „wiatr kołysze gwiazdami”. Oto wyjaśnienia proponowane przez tych, którzy z przyczyn emocjonalnych bądź też intelektualnych nie potrafią zdobyć się na uznanie tej tajemnicy za realny problem. Nie znaczy to wcale, że są kiepskimi naukowcami. Być może ich postawa stanowi wynik porozumienia z wywiadem, lecz to tylko domysły. Daleko bardziej przekonująco przedstawia przyczyny tego irracjonalnego zachowania dr Robert L. Hali, profesor socjologii Uniwersytetu Illinois w swoim referacie przedłożonym Amerykańskiemu Towarzystwu Postępu Naukowego w 1969 roku:

„Stan wiedzy naukowej w danym czasie i ludzi, posiadających tę wiedzę, można nazwać czynnikiem tworzącym niezwykle silny system wierzeń, odrzucający wszelkie niespójne z nim zjawiska z jeszcze większą gorliwością niż laik broniący swych przekonań politycznych... Sama siła, z jaką system ten przeciwstawia się zagrażającemu mu pojęciu UFO, świadczy o tym, że chodzi tu o rzecz niebagatelnej wagi”.

Od czasu tego referatu do głosu doszła nowa siła – wykształceni chrześcijańscy fundamentaliści. „Naukowcy” ci połączyli swe siły z niedowiarkami, zakładając „grupy sceptyków”, którym przypisuje się motywacje kreacjonistyczne.

Instytut do Badań nad Stworzeniem wydał następujące oświadczenie:

„Nie ma jak dotąd najmniejszego dowodu ani w nauce, ani w Piśmie Świętym, że inteligentne istoty rozwinęły się lub zostały stworzone gdzieś we wszechświecie poza Ziemią. Centrum zainteresowania Boga stanowi Ziemia. Nie wypatrujcie zatem, gdyż nic nie znajdziecie”.

Banalność takiego stanowiska jest raczej godna pożałowania niż przerażająca. Znajdują się również skądinąd kompetentni naukowcy jak na przykład John D. Barrow i Frank J. Tipler, którzy opublikowali niedawno wspaniałą książkę pod tytułem *The Anthropic Cosmological Principle*, w sposób elegancki podtrzymującą pogląd równie nielogiczny, choć z pozycji intelektualnie przewyższającej kreacjonistów. Słabość najrozsądniejszej nawet filozofii antropocentrycznej stanowi brak przykładów czy też próbek, na podstawie których można wysuwać prognozy. Naszą jedyną próbką jest ta planeta. Gdybyśmy mieli możliwość obserwacji kilku milionów planet, byłibyśmy w stanie sformułować bardziej sensowne prognozy, dysponując pewną bazą danych o niewielkiej chociaż liczbie możliwych systemów planetarnych we wszechświecie.

Siłę oddziaływania poglądów niedowiarków i kreacjonistów poważnie zmniejsza ich emocjonalne podejście do tematu, natomiast żywotność co bardziej spójnych argumentów antropocentrystów ogranicza brak odpowiednich próbek.

Prawda jest taka, że nie znamy i nie będziemy znać warunków życia gdzie indziej we wszechświecie, dopóki nasza wiedza ogranicza się wyłącznie do Układu Słonecznego. Sądząc jednak z ilości dostępnych dowodów, moglibyśmy dowiedzieć się więcej, podchodząc do zagadnienia latających talerzy w rzetelny, naukowy sposób. Moglibyśmy znaleźć w nich Przybyszów lub nie, lecz z pewnością uzyskalibyśmy mnóstwo ważnych danych – tak wielowymiarowych w swej złożoności, że samo wysunięcie użytecznych hipotez na ich temat byłoby poważnym wyzwaniem nie tylko dla nauk fizycznych i społecznych, lecz również dla językoznawstwa.

Cała ta sprawa jest jak zachwaszczony ogród, przez który tylko głupiec przedzierałby się, wykrzykując jakąś doktrynę – czy to kreacjonistów, czy zwolenników UFO. Decydując się na zbadanie problemu, należałoby najpierw przebadać całą historię niesamowitych opowieści, zadziwiających wypadków, będących – przynajmniej potencjalnie – wiernym zapisem wydarzeń.

My, Amerykanie, mamy zwyczaj uznawać przeszłość za coś nieważnego, nawet trochę głupiego. Nasz związek z czasem przeszłym wyraża się w nostalgii, a nie w historii.

Kiedy nasz rząd rozpoczął pod koniec lat czterdziestych badania nad problemem UFO, nikomu z

wysokich urzędników państwowych nie przyszło nawet do głowy, by spojrzeć w przeszłość.

A oto co mogliby znaleźć.

W prowincjonalnym miasteczku Merkel w Teksasie, 26 kwietnia 1897 roku, grupa osób wracających wieczorem z kościoła, zauważyła ciężki obiekt, przesuwający się po ziemi. Podążyli za nim aż do szyn kolejowych, o które przedmiot ów się zaczepił i stwierdzili, że to kotwica. Gdy spojrzeli w górę, oczom ich ukazał się „statek powietrzny” lśniący światłami, z reflektorem umieszczonym z przodu, jaśniejszym od światła lokomotywy. Stali tak może dziesięć minut, po czym zobaczyli, że po linie spuszcza się człowiek niewielkiego wzrostu, ubrany w niebieski, marynarski uniform. Kiedy ich spostrzegł, momentalnie odciął linę i statek odpłynął w mrok, zostawiając za sobą kotwicę.

Istoty, które sam widziałem, były ubrane w granatowe kombinezony, które mogły im służyć jako coś w rodzaju nocnego kostiumu, podobnie jak owe karły, zwane koboldami, odwiedzające w średniowieczu niemieckie kopalnie. Od nich właśnie pochodzi nazwa minerału – kobalt – oraz koloru – błękit kobaltowy. Skąd się to wzięło? Być może od barwy ich granatowych kombinezonów.

Pewnej niedzieli parafianie kościoła Świętego Kinariusza w okręgu Cloera w Irlandii usłyszeli jakiś hałas dochodzący z dachu. Wybiegli z kościoła i ujrzeli zahaczoną o poszycie dachu kotwicę. Wzrok ich pobiegł do góry po przymocowanej do kotwicy linie, która wychodziła z zawieszzonego nieruchomo w powietrzu obiektu. Nagle na linie pojawiła się jakaś istota, szybko schodząca. Zobaczywszy stojących na dziedzińcu parafian, szybko odcięła linę i wskoczyła na pokład powietrznego statku, który począł się oddalać. Kotwica pozostała w kościele, lecz nie przetrwała do naszych czasów. Działo się to wszystko w roku 1211.

Cóż mogą oznaczać te dwie historie?

Spotykając na swej drodze Przybyszów, ludzie współcześni często myślą, że są pierwszymi przedstawicielami naszego gatunku, którym się to zdarza. Zapominają, co przytrafiło się świętemu Antoniemu z Aleksandrii, założycielowi ruchu klasztorowego w 300 roku. Szedł on sobie pewnego razu ustronnym wąwozem, gdy nagle wyrosła przed nim niewysoka postać, „manekin z rogami wystającym z czoła i kończynami przypominającymi kozie kopyta”. Odegrała się krótka wymiana zdań między istotą a świętym, który w końcu uciał dialog, uderzając z mocą laską o ziemię i ogłaszając uroczyście: „Biada ci, Aleksandrio, która miast Boga czcisz potwory! Biada ci, o miasto, gdzie gromadzą się hordy demonów z całego świata!”

Nie trzeba chyba dodawać, że istota wzięła nogi za pas.

Pod rządami Pepina we wczesnym średniowieczu Francuzów nękały zjawy maszerujące przez równiny nieba, obozujące w niebiańskich namiotach lub też we „wspaniale skonstruowanych statkach powietrznych”, które przelatywały nad Francją w regularnych szwadronach. Lud zżymał się na taką manifestację bezsprzecznej wielkości i dobrobytu, toteż zarówno Karol Wielki, jak i jego następca, Ludwik, nałożyli na „powietrznych tyranów” grzywny. W ramach kontrpropagandy sylfowie porywali im poddanych do swych powietrznych domostw, pokazując im tam swój świat. Odsyłanych przez nich nieszczęśników bez wahania palono na stosie. Prawdopodobnie mieli akurat tyle czasu, by wykrzyknąć swoje historie, nim płomienie zamknęły im usta na zawsze.

Nie dziwię się więc wcale Mariusowi Dewilde, mieszkańcowi Quaroble – francuskiej wioski położonej przy granicy belgijskiej – że swoje spotkanie z dwoma tajemniczymi istotami pewnej wrześnie nocy 1954 roku, przy torach kolejowych, chciał zachować w tajemnicy. Jak twierdzi Jacques Yalieu w swojej książce *Pasport to Magonia* (Chicago: Regnery, 1969), pan Dewilde pokazał francuskiej Policji Lotniczej kawałek wypalanej skały, pochodzący z miejsca zdarzenia. Został on przekazany instytucji tak tajnej, że nawet Ministerstwo Obrony nie miało prawa wymienić jej nazwy.

Może strażnicy tych sekretów na całym świecie powinni zastanowić się nad odwieczną naturą podobnych zjawisk? Ciekaw jestem, czy demon świętego Antoniego i średniowieczni „powietrzni tyrani” znaleźliby się w jednej przegródce z wypaloną skałą.

Inny kawałek spopielalej ziemi z czyjegoś ogrodu trafił do rąk Budda Hopkinsa, który nie miał jednak dostępu do tajnych archiwów. Analiza laboratoryjna ziemi wykazała, że została ona poddana intensywnemu działaniu ciepła. Aby uzyskać podobny efekt, palono ziemię z tego samego ogrodu przez osiem godzin w temperaturze ośmiuset stopni. Należy nadmienić, że tej nocy, po której w ogrodzie znaleziono zwęglone grudki ziemi, nie zanotowano w okolicy żadnego uderzenia pioruna ani nawet burzy.

Z upływem wieków zmieniają się może nie tyle Przybysze, co nasz sposób osadzania ich w naszej kulturze. Może nie przybyli tu ani w 1946, ani 1897, w 1235 czy nawet 300 roku. Wspomniałem już, że istota, z którą rozmawiałem, przypominała boginię Isztar. Możliwe, że nią jest – powiedziała przecież, że liczy sobie wiele lat.

Przypisuję temu zjawisku większe znaczenie niż rząd, nauka i religia razem wzięte, a to dlatego, że uważam, iż nasza cywilizacja nie zwraca uwagi na doświadczenia archetypowe i mitologiczne naszych czasów. Jeśli to prawda, to po raz pierwszy człowiek nie reaguje na bogów i duchy. Czy to dlatego stały się one tak bardzo realne, wyciągając ludzi z łóżek jak porywacze, zmuszone zwrócić na siebie naszą uwagę, aby znaleźć potwierdzenie swojej własnej prawdy?

Może dzieje się to wszystko za sprawą wizji i chimerycznych tworów umysłu, pukających do drzwi rzeczywistości? Nie są to jednak chaotyczne przebłyski.

Istnieje zadziwiający i subtelny związek między Przybyszami i ukrytym życiem naszego mózgu. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie przedstawiam hipotezy zaprzeczającej istnieniu Przybyszów z innej planety. Sugeruję jedynie, że nie wiemy, kim są, a nasz związek nie opiera się na znanych nam zasadach.

W trakcie wielkiej awarii zasilania w 1965 roku aktor Stuart Whitman spostrzegł zagadkowy obiekt za oknem swego mieszkania na dwunastym piętrze i usłyszał dziwny odgłos, przypominający gwizd. Zapamiętał też przesłanie, że awaria jest „ostrzeżeniem dla świata”.

Po raz pierwszy niezidentyfikowany obiekt latający, powodujący zaciemnienie, pojawił się w sztuce *Twilight Bar* napisanej przez Arthura Koestlera w 1933 roku. W sztuce tej nad miastem przelatuje potężnych rozmiarów meteor, wydając dźwięk przypominający gwizd, po czym nagle gasną wszystkie światła. Meteor oznacza „ostrzeżenie dla świata”. Zbieżność przeżyć Whitmana z treścią sztuki wcale nie kwestionuje ich prawdziwości; przeciwnie, sugeruje, że jakaś część jego życia wewnętrznego i otaczającego go świata, usiłowała przekazać mu ostrzeżenie.

W powieści *The Flying Saucer* Bernadra Newmana z 1950 roku, po raz pierwszy pojawia się motyw zatrzymania silnika samochodu przez obiekt latający. Dopiero później zaczęły mnożyć się opowieści o samochodach, odmawiających posłuszeństwa w zetknięciu z UFO. Nie twierdzę jednak, że to niemożliwe – nie znam przecież rodzaju energii, jaką napędzane są te statki.

W grudniu 1985 roku, krótko po doświadczeniach z Przybyszami, pewien człowiek miał kłopoty z instalacją elektryczną w swoim samochodzie. Wysiadło zasilanie i samochód nie chciał zapalić. Doholowano go do warsztatu, gdzie jednak nie stwierdzono żadnej usterki. Przez noc akumulator naładował się samoczynnie. Wiem, że to szczerza prawda, ponieważ tym człowiekiem byłem ja, a cała historia miała miejsce już po moich przeżyciach z 26 grudnia.

Kimkolwiek lub czymkolwiek są Przybysze, jest dla mnie jasne, że ich działalność wykracza poza rutynowe badania ludzkości. Nasze więzy są bardzo mocne, przenikają do naszych snów, splatając ze sobą rzeczywistość i wyobraźnię. W ten sposób Przybysze wydają się nam różnymi postaciami jakiejś jedności. Aby nauczyć się ich właściwie postrzegać, musimy wymyślić nowy sposób widzenia, który będzie łączył w sobie mistyczną swobodę wyobraźni z intelektualną dyscypliną podejścia naukowego.

W wielu relacjach Przybysze przekazują ludziom wiedzę tajemną. Przeważnie okazuje się ona bezwartościowa – jak to się stało w przypadku mojego silnika elektromagnetycznego.

Fascynujący przykład takiej relacji pochodzi z 1491 roku i zdarzył się mediolańskiemu matematykowi Girolamowi Cardano. Kiedy zapytał Przybyszów o powstanie wszechświata, „najwyższy z nich zaprzeczył, jakoby Bóg stworzył świat z wieczności. Drugi dodał, że Bóg

tworzył go chwila po chwili, tak że gdyby choć na sekundę się zawahał, świat przepadłby na zawsze”.

Nie jest to bynajmniej koncepcja piętnastowieczna. Przy głębszej kontemplacji wyłania się jednak ona z filozofii Zen. Co więcej, przypomina ona teorię fizyki kwantowej, według której to obserwator nadaje obserwowanemu zjawisku rację bytu.

Mimo że w piętnastym wieku w Europie koncepcja ta nie była jeszcze znana, w kulturze arabskiej pojawiła się ona już w wieku jedenastym. Czy dotarła ona do doktora Cardana za pośrednictwem sylfów, czy też bardziej konwencjonalnych środków? Nie znajdujemy jednak zapisu o podobnej treści w całej europejskiej literaturze naukowej i religijnej tego okresu. Jeśli doktor Cardano poznałby tę koncepcję w zwykły sposób, jakie miałyby powody, by ryzykując życie, przyznawać się do związków z sylfami, które Inkwizycja uważała za demony? Jak na owe czasy jego sposób myślenia był niesłychanie rygorystyczny. Był to człowiek uczciwy, znajdujący się przy zdrowych zmysłach. Odpowiednikiem jego czynu w dzisiejszych czasach byłoby oświadczenie uznanego fizyka, że otrzymał on ważne przesłanie od Przybyszów, lecz nie może przedstawić dowodów na prawdziwość swych słów. A może doktor Cardano był po prostu zbyt uczciwy, by ukryć prawdę?

W ostatnich latach wielu świadków przyznaje się do kontaktów seksualnych z Przybyszami. Jest to dla nich źródłem wielkiego niepokoju, który przebija w wypowiedziach uczestników dyskusji, przedstawionej w dalszej części niniejszego rozdziału.

Doświadczenia tego typu wzbudzają uzasadnione przerażenie, choć na przestrzeni wieków ludzkość zawsze miała kontakty seksualne z wrózkami, sylfami, zmorami, zjawami i demonami nocy. W dzisiejszych czasach mężczyznom przymocowuje się urządzenia ssące do intymnych narządów, a kobiety przechodzą prawdziwe katusze, gdy niespodziewanie znika ich ciąża. Jest to cierpienie, którego rozmiarów ja, mężczyzna, nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

Znam osobiście kobietę poniżoną przez swoje cierpienie. Muszę dodać, że nie znaleziono dotąd żadnego logicznego wyjaśnienia tego, co się z nią stało. Sprawa ta wpędziła jej ginekologa w ciężką frustrację. Szukanie jakiegoś oczywistego wyjaśnienia godziłoby nie tylko w jego fachowość, lecz przede wszystkim w jej prawdomówność, a także udrękę. Byłby to policzek wymierzony ludzkiemu cierpieniu.

Swetoniusz utrzymywał, że cesarz August był owocem związku swojej matki ze zmorą. Z podobnego związku miał pochodzić Platon, a także Merlin, zrodzony z demona i jednej z córek Karola Wielkiego.

W traktacie zatytułowanym „O małych demonach, zmorach i zjawach”, ojciec Ludovicus Maria Sinistrari de Ameno opisał kilka niesamowitych zdarzeń z drugiej połowy siedemnastego wieku. Pewna kobieta obudziła się w środku nocy na dźwięk pięknego, wysokiego głosu, przypominającego gwizd. (Kiedy to przeczytałem po raz pierwszy, oblał mnie zimny pot na wspomnienie zjawy, która nienawidziła mnie w Austin w 1967 roku i wydawała identyczne dźwięki. A w *Malleus Maleficarum*, słynnym traktacie przeciwko wiedźmom i demonom, to one właśnie przemawiają podobnymi, wysokimi głosami.)

Mającą w mroku postać o wysokim głose wyznała swą miłość do wspomnianej kobiety. Pocałunek tej istoty był delikatny jak dotyk bawełny na policzku. Powtarzało się to co noc. Kobieta zwróciła się o pomoc do egzorcysty, który jednak nie był w stanie jej pomóc. W końcu zjawa przybrała postać chłopca o złotych lokach. Nie skruszyło to wszakże oporu wybranki. Nieproszony gość począł zabierać jej rzeczy i drażnić ją na tysiąc innych sposobów. Pewnej nocy wzniósł wokół jej łoża kamienny mur tak wysoki, że zarówno dama, jak i jej mąż musieli użyć drabiny, by się przezeń przedostać. Pozwólmmy zatem ojcu zrelacjonować kulminacyjny punkt zalotów dręczonego miłością Przybysza:

„W Dniu Świętego Stefana małżonek owej damy zaprosił kilku swoich przyjaciół, rycerzy, na wieczerzę. Uczta była wystawna, gdyż pragnął w ten sposób uczcić przybycie gości. Kiedy zgodnie ze zwyczajem obmywali dłonie, nagle – hop! – znikł stół, a wraz z nim półmiski, talerze

i inne naczynia pełne jadła, a także szklanice, butelki i kielichy. Można sobie wyobrazić zdumienie gości”.

W rzeczy samej.

Zjawa nie ustawała w wysiłkach, zaś jej wybranka nie zaprzestała prób pozbycia się zalotnika. By się przed nim ukryć, przyodziła nawet habit zakonny. Kiedy pewnego dnia szła na mszę w ciżbie innych parafian, nagle coś zdarło z niej habit, pozostawiając ją zupełnie nagą wśród tłumu. Cóż miała począć – zbiegła do domu. Jej kłopoty ciągnęły się, jak utrzymuje zacny ojciec, „jeszcze przez wiele lat”.

Obecnie mamy okazję sprowadzić nasze związki ze zmorami i zjawami do wymiaru ludzkiego poprzez nawiązanie kontaktu z Przybyszami z krwi i kości. Oznaczałoby to wkroczenie Przybyszów w naszą świadomość, gdzie obecnie żyją jeszcze bogowie i elfy.

Słynny przypadek seksualnego kontaktu z Przybyszami, miał miejsce w Brazylii w roku 1957. Ofiara, Antonio Villas-Boas, widział wielokrotnie przed samym incydentem dziwne światła, pojawiające się nad jego polem. Pewnego dnia, podczas prac polowych, silnik prowadzonego przez niego traktora nagle zgasł. Villas-Boas zobaczył wtedy duży obiekt, który wylądował na jego polu. Został rozebrany, obmyty za pomocą gąbki i zabrany do wnętrza obiektu. Tam położono go nagiego na stole. Jakiś czas później, ku swemu zdumieniu, zobaczył nagą kobietę, wyglądającą na istotę ludzką. Miała blond włosy uczesane z przedziałkiem, szeroką twarz o spiczastym podbródku i skośne, niebieskie oczy. Jej wargi były niezmiernie cienkie, prawie niewidoczne. Była od niego niższa. Podejrzewam, że wyglądała jak skrzyżowanie istoty, która ukazywała mi się jako ejdetyczny obraz, z człowiekiem – chyba, że była po prostu Przybyszem „w przebraniu”. Kochała się z nim, po czym wskazała na swój brzuch, potem na niebo i odeszła. Zabrała go następnie do pomieszczenia z osobnikami męskimi, gdzie usiłował ukraść zegar. Jak w dziesiątkach innych baśni, nie udało mu się jednak zdobyć namacalnego dowodu.

Dlaczego tak się stało? Albo dlatego, że Przybysze dobrze strzegą swojej własności lub też dlatego, że istnieją na pograniczu snu i rzeczywistości. Nasze wewnętrzne ja dobrze więc wie, iż nie można uchwycić w dłoń przedmiotu z fabryki snów.

29 grudnia 1980 roku w pobliżu Huffman w stanie Teksas zdarzył się straszny wypadek. (Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tym samym czasie w Rendlesam Forest w Anglii zanotowano niesamowity i kontrowersyjny przypadek obserwacji UFO.) Grupa osób zauważyła obiekt w kształcie gwiazdy wiszący w powietrzu i emitujący ostre światło. Otaczały go śmigłowce. Obserwatorzy zostali wystawieni na działanie wysokich temperatur i promieniowania. Wnieśli pozew do sądu federalnego, zakładając, że padli ofiarą awarii tajnej jednostki powietrznej armii Stanów Zjednoczonych. Sprawa obfitowała w wiele zabawnych nieporozumień, a proces ciągnie się po dziś dzień. W tym czasie biedni ludzie stargali sobie zdrowie i nerwy skutkiem samego wypadku oraz walenia głową w kamienny mur sądownictwa.

Za najbardziej interesujące w powyższych materiałach uważam zjawisko eliminacji kolejnych wcieleń Przybyszów na przestrzeni ostatniego półwiecza. Poszły w zapomnienie niebiańskie armie, zmory i wspaniałe istoty zamierzchłych czasów, a ukazało się prawdziwe oblicze zagadnienia – trudnego i zagadkowego. Samo jego istnienie pozwala wywnioskować, że być może nie jesteśmy tymi, za których się uważamy, a poznanie przyczyn tego stanu będzie niewątpliwie stanowić olbrzymie wyzwanie.

Stosunek nauki do tego zagadnienia nie zmienił się od wieków. Pierwszym niewiernym Tomaszem okazał się biskup Adelbard z Lyonu, który w czasach Karola Wielkiego ocalił z rąk oszalałego tłumu trzech mężczyzn i kobietę, zauważonych przez połowę mieszkańców miasta podczas schodzenia z powietrznego statku. Twierdzili, że przetrzymywano ich tam kilka dni. Biskup uratował ich, oznajmiając gromkim głosem, że rzecz cała jest w oczywisty sposób niemożliwa. Ludzie wcale nie widzieli tego, co widzieli, a biedne ofiary nie mogły przebywać w powietrznym statku, ponieważ takowe nie istnieją. W ten sposób pierwszy niedowiarek uratował życie pierwszym ofiarom kosmicznego porwania.

Od końca dziewiętnastego wieku nikt już nie spuszcza się na linie z baśniowych statków. Może ich świat przeszedł równoległe z naszym rewolucję techniczną? Może ludzki umysł stworzył nowe możliwości w swoim tajemnym wszechświecie lub też umarli odkryli cuda, o których żywi mogą tylko pomarzyć? Może naprawdę żyje jeszcze na Ziemi inny gatunek – wróżki, gnomy, sylfy, wampiry i zjawy, związane z rzeczywistością inaczej niż my? Mimo to zna nas i kocha, tak jak my kochamy dzikie, leśne istoty, próbujące nas ustrzec przed nami samymi, związane z nami nierozzerwalną nicią. Jeśli umrzemy, to czy wówczas bogowie, wróżki i elfy także rozpląną się w niebieskawej mgłę niebytu? Czy ich tajemny świat ostygnie wraz z naszym, czy też straci tylko swój urok?

Jeśli inteligencja powstaje zazwyczaj w kontekście roju lub skupienia, to gatunek taki jak ludzki, obdarzony dużą indywidualną niezależnością, może być niewyczerpanym źródłem nowych myśli i zachowań.

Można założyć, że umysł roju miałby tendencję do izolowania nas po to, aby z jednej strony chronić naszą świeżość, a z drugiej zabezpieczyć się przed nami. W momencie osiągnięcia przez nas dojrzałości i powstania pewnego zrozumienia, moglibyśmy wejść w bliższy związek z Przybyszami. Dla tak starego gatunku i jego osamotnionego, olbrzymiego umysłu, możliwość taka byłaby w stanie przewyciężyć najsilniejszy nawet instynkt przetrwania – szczególnie, jeśli nauczymy się nie straszyć ich zbyt.

Myśl ta nieuchronnie prowadzi do refleksji nad charakterem obecnych porwań i spotkań. Wydają się one jakościowo bardziej „realne” niż te z przeszłości, chociaż już wcześniej kontakty we Francji, Japonii i innych miejscach na kuli ziemskiej wskazywały na powszechność tego zjawiska.

W swoim dziele *An Essay on Man* Alexander Pope napisał:

*Człowiek, co z gruntu samotny się wydaje,
Bezwiednie może sile ulegać nieznaney.
Kółkiem w maszynie będąc, do celu dążymy,
Nie wiedząc, iż miast całości, część tylko widzimy.*

Dyskusja

Budd Hopkins rozwinął w sobie dużą wrażliwość na problemy, które niosą ze sobą odwiedziny Przybyszów. Miał już do czynienia z ponad setką przypadków i poznał schemat, jakiemu podlegają ludzkie reakcje na to zjawisko. Kiedy zaproponował, bym spotkał się z niestowarzyszoną grupą innych świadków z obszaru stanu Nowy Jork, początkowo przystałem na to z ochotą. Potem jednak naszło mnie powątpiewanie.

– Nie martw się – powiedział Budd. – Każdemu z nich wydaje się czasami, że to wszystko wymyślił lub wyśnił. Tak jest najprościej. Obiecuję, że nikt nie będzie ci pokazywał kosmicznej kłamry do paska ani robił ci wody z mózgu.

Mimo wszystko nie byłem do końca przekonany, czy spotkać się z innymi „ofiarami”. Zaledwie przed kilkoma dniami rozmawiałem z człowiekiem, twierdzącym, że nawiązał kontakt z ludźmi, którzy „kurczę blade, wyglądali jak najpiękniejsi bogowie i boginie na tym świecie”. Pouczyli go, iż wkrótce nastąpi koniec świata, a wszyscy „wybrańcy” zamieszkają na jednym z księżyców Jupitera. Pozostaje mi tylko żywić nadzieję, że nie będzie to Io. Opis tego człowieka do pewnego momentu sprawia wrażenie rzeczowego, lecz momenty strachu i utraty kontroli, zostały zastąpione wytworami fantazji, stosownymi do wierzeń opowiadającego.

Spodziewałem się spotkać ludzi łaknących sławy i rozgłosu, hołdujących fantazyjności i pretensjonalności, ze skłonnościami do paranoi włącznie. Sądziłem, że natychmiast wyłapię

oczywiste ułomności ich psychiki.

Nic bardziej błędnego. Okazało się, że w ogóle nie pragnęli rozgłosu, a wręcz przeciwnie – stawiali warunek anonimowości. Stanowili grupę zwykłych, przeciętnych ludzi. Nie odważyłbym się twierdzić, że cierpią na zaburzenia psychiki, czy są choć trochę nie zrównoważeni. Wykazywali pewien niepokój, lecz w tych okolicznościach to inna reakcja byłaby nienormalna.

Większość ze stanowiących grupę była praktyczna i trzeźwo myśląca, niespecjalnie obdarzona wyobraźnią. Znajdowali się między nimi: pracownik administracji państwowej, kosmetyczka, naukowiec, fryzjerka, były kustosz muzeum, tancerka – krótko mówiąc, przekrój wielkomięskiej populacji. Każde z nich żywiło nadzieję, że wszystko to jedynie im się śniło; chwyтали się tego przekonania kurczowo jak dryfującej belki podczas sztormu.

Stwierdziłem, że w naszych przeżyciach występują pewne prawidłowości. Prawie wszyscy widzieliśmy identyczne rodzaje tych samych istot: jedne małe i bardzo szybkie, noszące płowe albo granatowe kombinezony, drugie wyższe i szczupłe, o pełnych wdzięku ruchach; mają oczy w kształcie migdałów lub też okrągłe jak guziki. W dzieciństwie widziałem podobnie władczo wyglądającą postać w bieli, o jasnobłękitnych oczach i skórze białej jak papier. Obraz ten pojawił się w formie luźnego wspomnienia, najwyraźniej zniekształconego przez ciągłe spekulacje na ten temat.

Kolejne wspólne punkty naszych obserwacji to: wszechobecny szary stół o masywnej podstawie, niski wzrost Przybyszów, ich wielkie, czarne oczy, pozbawione tęczówek i źrenic, oraz fakt, że w tym samym kontekście pojawia się więcej niż jeden typ lub gatunek Przybyszów. Wielu z nas wydaje się też łączyć z niektórymi z tych istot szczególnie więź.

Skórę Przybyszów opisuje się jako popielatą, w różnych odcieniach. Gdy przemawiają do nas, mówią czasami wysokim, piskliwym głosem, innym razem zaś głębokim basem. Potrafią również sprawić, by słowa powstawały w naszych umysłach. Sporadycznie można wyczuć bijące od nich emocje, choć raczej sprawiają wrażenie zimnych i niewzruszonych jak kamień. Co do zapachów, świadkowie opisują całą ich gamę, przeważnie ostrych i mocnych woni. Często spotykany element to światło, używane zarówno do celów anestetycznych, jak i transportowych. Typowe stwierdzenia opisujące te zjawiska to: „Uniosłem się, otoczony powodzią światła” lub: „Uderzenie światła kompletnie mnie sparaliżowało”. Równie często występują zjawiska elektromagnetyczne, a w szczególności awarie samochodów, telewizorów i instalacji elektrycznej.

Kilkoro z nas zostało umieszczonych w małej sali operacyjnej, choć nikt nie pamięta, co tam zaszło. Jednej z kobiet pozwolono poruszać się samodzielnie po całej sali.

Ciekawe, że jeden z dźwięków, przewijający się w relacjach, a nie będący głosem, wydawany jest w bardzo niskich rejestrach. Pewne badania, prowadzone jak dotąd na małą skalę, sugerują, iż dźwięki o niskich częstotliwościach mogą wywołać określone reakcje u organizmów żywych – w szczególności dezorientację.

W wielu wysłuchanych i przeczytanych przeze mnie relacjach, ukrywa się symbolika, uderzająca swą konsekwencją. Praktycznie nie ma ona związku ze współczesną kulturą Zachodu, a zatem najprawdopodobniej nie została zaczerpnięta z ogólnego zbioru ludzkich symboli.

Jednakże symbol ów jest odwieczny i tak się złożyło, że przez ogromną część historii ludzkości odgrywał niepoślednią rolę. Fascynowała mnie przez całe życie, urastając nieomal do rangi obsesji.

Wszyscy uczestnicy naszej rozmowy zwrócili na niego uwagę w ten czy inny sposób. Pojawia się w ich relacjach, których pozwolili mi wysłuchać, a także na wykonanych przez nich rysunkach. Jego związek z wizytami Przybyszów należy chyba jednak uznać za przypadkowy, gdyż do tej pory nie stwierdzono, by utożsamiali się z nim.

Symbolem tym jest trójkąt, nazwany w autobiografii Buckminstera Fullera „podstawowym elementem budowy wszechświata”. Według pradawnych tradycji, trójkąt to symbol wzrastania, a zgłębienie jego natury jest kluczem do rozwiązania zagadki Sfinksa oraz piramid. Stanowi on również paralelę życia wiecznego. G.I. Gurdijew utożsamia go z „trzema świętymi siłami” stworzenia, stanowiącymi kwintesencję Trójcy Świętej.

W lutym 1986 roku wytatuowano mi na skórze dwa trójkąty. Pragnący zachować anonimowość dr NN z Arles we Francji odkrył w następstwie spotkania z Przybyszami trójkątny obszar wokół swego pępka, pokryty nieznaną wysypką.

Symbol trójkąta będzie przewijać się w toku naszej dyskusji, choć nikt wówczas nie zdawał sobie sprawy z jego znaczenia.

W rozważaniach na temat wysłania w kosmos jakiegoś sygnału brano pod uwagę przede wszystkim symbole, które wydają się uniwersalne i znaczące – któraś z liczb pierwszych lub wartość liczby Π (pi). Trójkąt równoramienny wydaje się całkiem rozsądną alternatywą.

Wieczorem 13 kwietnia 1986 roku spotkaliśmy się wszyscy u Budda Hopkinsa. Jedynym kryterium doboru naszej jedenastki był fakt, że mieszkamy w okolicach Nowego Jorku i w danej chwili mogliśmy poświęcić trochę czasu na rozmowę.

W trakcie dyskusji prosiłem wielokrotnie, by wymieniać jedynie konkretne przypadki bliskich spotkań, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Dla wielu z tych ludzi szczegóły ich przeżyć to sprawa intymna, której strzegą przed obcymi. Biorąc pod uwagę agresywność demaskatorów – krzykaczy, gotowych w każdej chwili oskarżyć ich o wszystko, od szarlataństwa do pomieszenia zmysłów, jak również zjadliwość prasy, zawsze skłonnej do drwin, nie należy im się wcale dziwić.

Cel naszej dyskusji nie stanowiła wymiana informacji na temat okoliczności spotkań z Przybyszami. Staraliśmy się raczej przedstawić sposoby, na jakie stawiamy im czoło, próbujemy wieść normalne życie, nie mając pewności, co jest realne, a co nie, wystawiając się na ryzyko osobistego lub publicznego ośmieszenia, usiłując odnaleźć własną drogę w świecie, który z dnia na dzień zmienił swoje oblicze.

Nie muszę chyba dodawać, że żadna z biorących udział w dyskusji nie zezwoliła na umieszczenie swego imienia w druku. Prawdziwe są jedynie imiona Budda Hopkinsa i moje. A oto skład grupy anonimowych dyskutantów:

- Mary, kosmetyczka, lat 29
- Jenny, tancerka, lat 22
- Mark, były kustosz muzeum, artysta, lat 55
- Sally, urzędniczka, lat 36
- Joan, fryzjerka, lat 23
- Sam, pracownik naukowy, lat 39
- Fred, muzyk, lat 34
- Pat, gospodyni domowa, lat 35
- Amy, matka Pat, lat 56
- Betty, urzędniczka, lat 43
- Whitley, pisarz, lat 40

Dyskusja przebiegała następująco:

Whitley: Budd, chciałbym, żebyś to ty rozpoczął. Nie doświadczyłeś wprawdzie tego, co my, lecz mimo to jesteś jednym z nas.

Budd: Powiem wam, co moim zdaniem, może przynieść interesujące rezultaty: zamiast relacjonować przebieg spotkania, skoncentrujmy się na waszych odczuciach związanych z tym doświadczeniem.

Whitley: Myślę, że musimy jednak opowiedzieć, co nam się przytrafiło, żeby ludzie, czytający zapis tej rozmowy, mieli jakieś pojęcie o naszych przeżyciach.

Budd: Najcenniejszą rzeczą, uwierz mi, będzie wypowiedź każdego z was o tym, jak daje sobie radę z tym ciężarem, jak stara się go włączyć do swojego dotychczasowego życia i jak poważnie go

traktuje. To niezwykle istotne.

Joan: Czasami problem sprawia mi określenie rangi wydarzenia. Chodzi mi o to, co dzieje się na świecie, w mojej pracy i tak dalej. Wszystko wydaje mi się nieistotne w porównaniu z tym, co u nich widziałam. To, co robimy... Ludzie poświęcają tak wiele uwagi i kładą tak duży nacisk na to, co w życiu robią, że czasami wydaje mi się, iż wszyscy powariowaliśmy. Myślę sobie wtedy: to i tak nie ma znaczenia. Wkrótce nadejdzie czas, kiedy nic z tego, co teraz robimy, nie będzie się już liczyć. Oni próbują nam coś przekazać, ale nikt nie chce ich słuchać.

Whitley: Co ci się przytrafiło?

Joan: Powiem ci tyle: pokazali mi miasto, które budują. To, co robimy obecnie z naszą planetą, to powolne zabijanie jej. Nadejdzie dzień, gdy nie zostanie na niej ani skrawek do życia. Myślę, że oni przygotowują się do stworzenia nowego świata, w którym znajdzie się też miejsce dla ludzi. Kiedy myślę o tym, jak przebiega moje życie, zaczynam się bać, ponieważ odnoszę wrażenie, że nic nie dzieje się w nim naprawdę. Świat się kończy – to właśnie usiłują nam powiedzieć. Dali mi do zrozumienia, że sami siebie zabijamy. To okropne.

Whitley: Czy miewasz też jakieś inne myśli?

Jenny: Sądzę, że nasze przeżycia, które Joan określa jako mierne, wydają się takie tylko w oczach ludzi z zewnątrz. To, co istotne, znajduje się w nas i niektórzy są w stanie zrozumieć, co się z nami dzieje. Może oni to wcale nie „oni”, tylko my, a my to oni? Jeśli więc mówisz: „Oni patrzą na nas, oni robią z nami to czy tamto”, to jesteś w błędzie. Oni to my, a my to oni, tak więc...

Whitley: Co ci się przytrafiło?

Jenny: Nie jestem jeszcze pewna, odbyłam zaledwie jeden seans hipnotyczny. Wiem jednak, że zdarzyło się coś strasznego, gdy miałam pięć lat. Od tego czasu moje wspomnienia są zablokowane, a ja żyję w nieustannym strachu. Widuję różne rzeczy, obcych ludzi w moim domu, nocami budzę się z krzykiem.

Whitley: Masz na myśli postaci nie będące ludźmi?

Jenny: Nie wiem. To były cienie, bardzo małe. Kiedyś zauważyłam też, że coś zielonego sączy się ze ściany. Wyglądało to jak trójkątna lampa, emitująca niesłychanie silny, zielonkawy blask. Wpadłam z krzykiem do sypialni mojej matki, która uspokoiła mnie, mówiąc: „Wracaj do łóżka, to tylko zły sen”. Coś takiego widuję od czasu, gdy miałam pięć lat. Prawdopodobnie nigdy nie powiążałabym tego w całość, gdyby jakieś pół roku temu moja siostra nie napomknęła mi o niesamowitym zdarzeniu, w którym podobno brałam udział. Owszem, pamiętałam wszystko ze szczegółami, lecz byłam przeświadczona, że to tylko sen.

Whitley: W lutym tego roku odkryłem na ramieniu nacięcie w kształcie trójkąta.

Mary: Dla mnie najlepszy sposób na przetrwanie stanowi niewiara w prawdziwość tego, co się stało. Po prostu jakaś część mnie nie jest w stanie tego zaakceptować i włączyć do realiów życia codziennego.

Whitley: Ile razy ci się to zdarzyło?

Mary: Wiele razy od czasu, gdy miałam pięć lat.

Whitley: Możesz określić dokładnie?

Mary: Siedem razy, nie... osiem... dziewięć... dziesięć...

Whitley: Czy to dotyczy również kogoś z twojej rodziny?

Mary: Całej mojej rodziny, sąsiadów i kilku przyjaciół, a działo się to jeszcze, zanim ich spotkałam.

Budd: Mówiłaś, że pojawia się zawsze jakaś postać, mężczyzna...

Mary: Zawsze jest centralna postać.

Budd: Czy on jest nastawiony przyjaźnie?

Joan: Czy jest wysoki?

Mary: Nie, wszyscy byli maleńcy. On był moim obrońcą, a pozostali zawsze... wykonywali

swoją pracę, to wszystko. Nie czułam z ich strony... nie byli ani źli, ani wściekli, ani szczęśliwi. Robili to, co do nich należało. Ale ten jeden, zawsze on... kiedy chwycił mnie strach, uspokajał mnie; kiedy czułam się źle, pocieszał mnie. (Uwaga: pozostali uczestnicy dyskusji również stwierdzili obecność „przyjaciela” lub „obrońcy” przy swym boku. Płeć tej istoty jest często, choć z pewnymi wyjątkami, postrzegana jako przeciwna.)

Whitley: Jak on wyglądał?

Mary: Jak wszyscy inni.

Whitley: To znaczy?

Mary: No, wiesz, jak te maleńkie ludziki o wzroście nie przekraczającym metra pięćdziesiąt, płowej skórze, wielkich głowach i ogromnych, szklistych, czarnych oczach, z których wyziera nieskończoność.

Whitley: Innymi słowy, nie mógłby uchodzić za człowieka?

Mary: Nie, przynajmniej nie w moim mieście. Może w Nowym Jorku, ale nie u nas. Bez względu na to, czy był to sen czy coś więcej, moje emocje były najzupełniej prawdziwe. Od pewnego czasu odczuwam niepokój bez żadnej uzasadnionej przyczyny.

Whitley: Czy twoje dzieci są w to zamieszane?

Mary: Niestety tak.

Whitley: Jak to odbierasz?

Mary: Źle. To jedyny aspekt tej sprawy, który wyprowadza mnie z równowagi. Sądzę, że odzywa się we mnie instynkt macierzyński. Chciałabym wiedzieć o wszystkim, co dzieje się z moimi dziećmi i chciałabym przy tym być. Nie podoba mi się, że ktoś używa moich dzieci do swoich celów bez mojej wiedzy i zgody. To nie w porządku, one są przecież zupełnie bezbronne. Prawdę mówiąc, wszyscy jesteśmy wobec nich bezbronni jak dzieci. Praktycznie jedynie pod wpływem macierzyńskich odruchów budzi się we mnie oburzenie na ich postępowanie. Nie bardzo to rozumiem. Powiedziałam Pat, że nie czuję urazy za to, co robią ze mną, bo to i tak nic nie da. Mam dość kłopotów w życiu codziennym i nie najlepiej daję sobie radę ze stresem. Po prostu żyję z dnia na dzień, jak wszyscy inni. Po co więc mam zwiększać ten stres poprzez gniew spowodowany zjawiskami, na które nie mam absolutnie żadnego wpływu? Jeśli zzielenieją ze złości, nie wyniknie z tego nic dobrego – wręcz przeciwnie, pogorszę tylko swoje położenie. Tak więc nie chowam do nich urazy, chyba że chodzi o moje dzieci.

Whitley: Zdecydowałaś się zatem...

Mary: Pogodzić się z tym.

Whitley: ...oddzielić to od rzeczywistości?

Mary: Wierzę, że każdemu się coś przydarza, przynajmniej w tym gronie. Nie wiem, dlaczego łatwiej mi uwierzyć w wasze historie, niż we własną. Zawsze łatwiej przyjmuje się coś, co zdarzyło się innym.

Fred: Mamy tu do czynienia z wieloma rzeczami, które bynajmniej nie są oczywiste. Dla mnie jednak najważniejsze są nasze spotkania z nimi. Uważam, że mają kolosalne znaczenie. Jeśli dowiedzieliśmy się od nich czegoś, to tylko dzięki spotkaniom. Moje przeżycia – mówię teraz za siebie, bo nie wiem, jakim szokiem były dla innych – otworzyły mi oczy na pewne sprawy. Dzięki tej małej grupie, poznaję znaczenie miłości i muszę przyznać, że ma to dla mnie niezwykłą wprost wagę. Reszta znajduje się już w zasięgu ręki.

Whitley: Czy chciałbyś opowiedzieć o swoim spotkaniu?

Fred: Raczej nie.

Budd: Wszyscy, którzy tu przychodzą po raz pierwszy, mówią: „Czuję się jak w rodzinie”.

Whitley: To prawda, tak właśnie się czuję. To nadzwyczajne. (Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że skądś znam Mary – wydała mi się znajoma od pierwszej chwili.)

Mary: Tak, to bardzo dziwne.

Pat: Pojechałam kiedyś na konferencję do Massachusetts. Cała masa uczestników, a tutaj troje obcych ludzi spotkało się na samym środku sali. To niesamowite, ale w jednej chwili zorientowaliśmy się, dlaczego. Wszyscy mieliśmy kiedyś do czynienia z Przybyszami. Nikt inny na sali nigdy w życiu nie widział...

Budd: Nie bądź tego taka pewna.

Pat: Nie o to chodzi. Istotne jest to, że wszyscy troje rozpoznaliśmy się w jednej chwili. Wyglądało to tak, jakbyśmy się przyciągali. To było niesamowite.

Betty: W pewnym momencie czujesz, że jeżeli nie spojrzysz na to wszystko z dystansu, to oszalejesz. Musisz ujrzeć siebie okiem bezstronnego obserwatora, jakby wszystko, co się dzieje, nie dotyczyło twojej osoby.

Sally: Wydaje mi się, że to dlatego właśnie tak trudno poskładać wszystko w całość. Kiedy coś się dzieje, wmawiasz sobie, że ciebie to nie dotyczy; wtedy twój umysł świadomie odcina się od wydarzeń, częściowo tylko je rejestrując. Stąd bierze się późniejszy chaos i luki w pamięci. Tak to przynajmniej odbieram. Gdy mnie to spotkało, czułam, jak mój mózg rozlatuje się na kawałki. Po prostu eksplodował.

Whitley: Co się z tobą działo? Czy potrafisz to opisać?

Sally: Czułam druzgocący strach. Moje człowieczeństwo wyparowało ze mnie. Działałam na zasadzie instynktu, zupełnie jak zwierzę.

Whitley: Czułem dokładnie to samo.

Sally: Rozpaczliwie czepiałam się każdego strzępu życia, wszystkiego, co mogło mi dać schronienie; pragnęłam wcisnąć się w kąt, uciec od nich, skryć się. Nie obchodziło mnie, co chcieli ze mną zrobić, po prostu pragnęłam uciec, wrócić do domu – tylko tyle. Wrzeszczałam ile sił, a potem straciłam przytomność. Myślałam: „Do diabła z ewolucją, do diabła z waszymi pojazdami kosmicznymi, nic mnie to nie obchodzi, wypuście mnie stąd!” Oczywiście miałam chwile, gdy strach ustępował i mogłam się rozejrzeć, choć nigdy nie było tak w ich obecności. Przez cały czas odczuwałam na przemian gniew i strach – tak właśnie to wyglądało.

Fred: Przeczytałem sporo książek na ten temat i nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia, że tu, w tej grupie, dowiaduję się rzeczy, które trafiają mi do przekonania znacznie bardziej, niż książkowe mądrości.

Whitley: Sam, siedzisz tak bez słowa...

Sam: Mój przypadek miał miejsce kilka lat temu. Nie sędzę, by różnił się od waszych. (Jego przeżycia musiały stanowić nie lada szok dla naukowca.) Łatwiej jest mi rozmawiać z wami, niż zaszyć się w cichym kącie i zagłębiać się w zakamarki swego umysłu, próbując dociekać, co też zaszło. Nie potrafię zamknąć oczu i przeżywać tego ponownie... to niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Sally: To zbyt straszne, gdy jest się samemu. Spróbowałam kiedyś autohipnozy i...

Fred: Mój Boże, jesteś cholernie odważna!

Sally: No cóż, spróbowałam. Ułożyłam się w łóżku i ponownie przeżyłam swoje spotkanie z nimi. Tak jak wtedy, wchodziłam po schodach mojego domu. Musiałam jednak przekroczyć próg wytrzymałości, gdyż powiedziałam sobie: „O nie, to zbyt realistyczne”. Rzeczywiście, moje wspomnienia były bardziej wyraziste niż podczas seansu z terapeutą. Stwierdziłam, że to do niczego nie prowadzi i dałam sobie z tym spokój.

Sam: Kiedy jestem sam w domu i zaczynam o tym rozmyślać, wzbiera we mnie gniew. Myślę sobie wtedy: „Za kogo oni się, do diabła, uważają, żeby robić z nami to, co im się podoba – jakbyśmy nie byli wcale żywymi istotami?!” Denerwuje mnie to do tego stopnia, że zmuszam się, by nie rozpamiętywać swoich przeżyć. Nie chcę nawet słuchać o tym, co przydarzyło się innym, żeby oszczędzić sobie oburzenia, które to we mnie wzbudza.

Budd: Mark, może zechciałbyś zabrać głos na ten temat? Pamiętam, że nie potrafiłeś określić, na ile realne było twoje zdarzenie. Chciałbym teraz usłyszeć od ciebie coś więcej.

Mark: Cały czas próbuję się zorientować w sytuacji. Zdarzyło mi się to w wieku dziesięciu lat, nie wiem dokładnie gdzie, ale przez te trzydzieści siedem czy osiem lat miałem świadomość, że to coś zaszło. Towarzyszyło temu ogólne wyobrażenie miejsca akcji, ale nigdy nie udało mi się wyjaśnić tej historii. Nieustannie usiłowałem zlokalizować miejsce, w którym się to działo. Ludzie zamieszkujący domniemany obszar mogli poświadczyć, że w tym samym czasie miały tam miejsce niewytłumaczone zjawiska. Dopiero po pierwszym seansie hipnotycznym, wydarzenie wyłoniło się w moim umyśle w formie wyrazistych i realnych obrazów. Okazało się, że w towarzystwie jeszcze jednej osoby wybrałem się na wycieczkę rowerową. Pamiętam tylko, że wyjeżdżamy, a potem odprowadzamy rowery do domu. W domu opowiedziałem zmyśloną historię o wypadku, by usprawiedliwić bliźnę. Sam w nią nie uwierzyłem i nie wierzę do dziś.

Whitley: Przepraszam. Jeśli mogę ci przerwać na chwilę, to chciałbym się dowiedzieć, ilu z was opowiadało przez całe życie podobne historie, mając świadomość, że nie są prawdziwe?

Jenny: Przez cały czas słyszałam głos mojej matki... coś powtarzało w mojej głowie: „Kłamiesz, kłamiesz”, ale matka nigdy tego nie mówiła. Trwa to od czasu, kiedy miałam pięć lat.

Fred: Moja odpowiedź również jest twierdząca: Wiem, co się stało, ale w to nie wierzę. Co ciekawsze, patrzmy tu na siebie i myślimy: „Nie wierzę w jej historię, nie wierzę w jego, w twoją historię – nie wierzę w swoją historię”. Kryje się za tym znany nam wszystkim rodzaj pocieszenia, bo wszyscy myślimy to samo. Nie rozumiemy istoty zdarzeń, ale wiemy, że z pewnością zaszły.

Pat: Zgadzam się z przedmówcą.

Sally: Słuchajcie! Po raz pierwszy uznałam, że to, co się zdarzyło, nie stanowiło wytworu mojej wyobraźni, przejawu podświadomych pragnień, czy wyniku twórczej działalności umysłu, czytając relację Betty Andreasson. (*The Andreasson Affair* – książka napisana przez Raymonda E. Fowlera.) Wiecie, opisuje tam pewien rodzaj krystalicznych butów, które włożono jej na nogi. Ich przezroczyste spody stanowiły podstawę, w której znajdowały się jakieś urządzenia elektroniczne. Uświadomiłam sobie wówczas, że przecież ja miałam na nogach identyczne buty. Identyczne. Pomyślałam, że to wykluczone, by inna kobieta mogła posiadać wyobraźnię, tworzącą te same wizje co moja. To niemożliwe, stwierdziłam, i łzy pociekły mi po twarzy. Opanowałam się i powiedziałam sobie: „Dość tego!” Czułam się jednak rozbita i wytracona z równowagi. Nie mogłam zasnąć, przewracałam się z boku na bok, czułam się beznadziejnie. Pragnęłam ukryć się gdzieś, zaszyć w najdalszy kąt. To było okropne.

Joan: Nie ulżyło ci, kiedy okazało się, że to nie twoje złudzenia?

Sally: Nie! To było straszne. Jedynie gdy zarzucano mi kłamstwo, świadomość, że to prawda, przynosiła mi nieco satysfakcji. W innych przypadkach czułam się nieszczęśliwa.

Joan: Moim zdaniem ta świadomość przynosi ulgę.

Whitley: Gdybym uznał, że to wytwór mojej wyobraźni, z całą pewnością postradałbym zmysły. Początkowo sprawa wydawała mi się jasna: popadłem w obłęd. Sądziłem, że wkrótce wyląduję u czubków. Świadomość, że to nie moja wyobraźnia, którą uzyskałem na podstawie niezaprzeczalnych dowodów...

Joan: Czy wszystkim zdarzyło się coś w wieku pięciu lat?

(Ogólna jednomysłność. Ktoś wspomniał, że miał wówczas cztery lata, ktoś inny, że był wtedy dzieckiem.)

Whitley (do Amy): Chciałabyś coś powiedzieć? Wiesz, co ci się przytrafiło?

Amy: Tak, wiem. Chcę powiedzieć, że czuję to samo co Mary; jednego dnia wszystko wydaje mi się realne, następnego zamienia się w sen.

Mary: Gdy tylko spojrzę na zdjęcia mojego domu i ogrodu, jestem przeświadczona, że to prawda. (To właśnie stamtąd Budd Hopkins pobrał próbki spopielonej ziemi.)

Amy: Sally wspomniała o książce Betty Andreasson. Przerzuciłam kiedyś kilka stron, ale nie mogłam jej czytać. Nie wiem dlaczego, ale wzbudzała we mnie strach. To kłopotliwe uczucie

wiecie, mam dzieci – i zwyczajnie bałam się.

Tom (nauczyciel akademicki, który zajmuje się problemem UFO, mimo iż sam nigdy nie doświadczył bliskiego spotkania): W pewnym sensie zazdroszczę wam wszystkim, bo było wam dane na chwilę przenieść się w inny świat lub może inny wymiar. Wybiegliście w przyszłość – jeśli mogę zaryzykować stwierdzenie, które może być równie prawdziwe jak i fałszywe. Widzieliście coś, co, być może, czeka nas już wkrótce – tak przynajmniej twierdzą niektórzy. Posiedliście w ten sposób wiedzę dostępną garstce wybranych.

Sally: Powstaje jednak pytanie, na czym ta wiedza polega i czy rzeczywiście jej pragniemy. Jeśli nie, to możemy ją odrzucić. Jeśli to zrobimy, to już jej nie posiadamy. Jeśli jej nie posiadamy, to, znajdując się we wnętrzu nieznanego statku kosmicznego, zapytamy: „Czy to sen, czy rzeczywistość?”, ponieważ wydawać się nam będzie, że nigdy się z tym nie zetknęliśmy. Tak naprawdę, to marni z nas świadkowie – chodzi mi o to, że dysponujemy jedynie okruchami informacji. Gdyby na przykład pozwolono nam zwiedzić taki statek, to pomyślcie sami, jak wzbogaciłoby to naszą wiedzę. Urowadzanie Bogu ducha winnych ludzi nie stanowi wystarczającego dowodu na istnienie Przybyszów. Zawsze to tylko przelotne wrażenie, fragment tajemniczej całości.

Whitley: Nie sądzę, by kiedykolwiek urosło to do rangi wydarzenia publicznego. Jeśli nawet tak się stanie, to z pewnością nie nabierze tak intymnego charakteru jak nasze przeżycia. Ludzie po prostu potraktują to jako powszechnie widziany obiekt, wiszący na niebie cztery dni lub coś w tym rodzaju.

Sam: Na jakim etapie wiary się znajdujemy? Czy wszyscy wierzymy, że doświadczyliśmy pojedynczego spotkania? A może to zjawisko powtarzalne? Przychodzą do nas i odchodzą? Czy sądzicie, że towarzyszą nam cały czas?

Pat: Kto z was ma wrażenie nieustannego nadzoru?

Jenny: Stałej obserwacji?

Pat: Nieustannego nadzoru.

Joan: Czuję to bardzo silnie.

Whitley: Ja również.

Pat: A kto z was ma wrażenie niekontrolowanego przenoszenia się w inne miejsca?

(Mieszane reakcje.)

Whitley: Czasami miewam wizje, w których przemieszczam się w inne miejsce – raz jest to duży park, innym razem jakaś przestrzeń, rozświetlona niezwykłym blaskiem.

Fred: Moje wizje także dotyczą jasno oświetlonego miejsca.

Pat: Dlaczego boimy się zmian?

Joan: Bo odbierają nam poczucie kontroli nad sytuacją.

Pat: Moim zdaniem ich kod DNA jest bardzo mało zróżnicowany; wszyscy wydają mi się identyczni. Interesują się więc nami ze względu na nasze zindywidualizowanie. A my cenimy wysoko, zarówno naszą indywidualność, jak i swobodę działania jednostki, która zostaje ograniczona w chwili porwania. Oni nie potrafią tego zrozumieć, nie dociera do nich, na czym polega nasze pojęcie swobody i wolnej woli.

Sam: Sprawiali takie wrażenie, jakby podlegali wojskowej dyscyplinie.

Whitley: Tak, ja również to spostrzegłem.

Sam: Otrzymywali instrukcje, które wypełniali, to wszystko.

Whitley: Czy przyszło ci do głowy, że oglądasz roboty?

Sam: Rozważałem taką możliwość.

Mark: To fanatyzm czy dyscyplina?

Sam: Raczej dyscyplina.

Jenny: To prawda. Pamiętam, że wszyscy poruszali się w jednakowy sposób.

Sally: Coś w rodzaju unisono w mowie i ruchach?

W relacjach często pojawiają się zsynchronizowane ruchy spotyka się na przykład opisy trzech postaci maszerujących krok w krok.

Joan: Myślę, że za nimi kryje się ktoś przemawiający ich ustami, a oni mają jedynie wykonywać wyznaczone zadania.

Jenny: Nie posiadają osobowości...

Whitley: A jednak wyczuwam w jednej z tych postaci niesłychanie silną osobowość... najsilniejszą w moim życiu.

Jenny: Ach, ja też wyczuwam osobowość, ale nie wiem, skąd pochodzi. Kiedy próbuję ich sobie wyobrazić, wszyscy wydają mi się jednakowi. Jest jednak siła, która...

Pat: Ktoś, komu na nas zależy.

Fred: Spostrzegłem silną osobowość u jednego z nich, który kierował całą operacją od początku do końca. Pozostali nawet nie wykonywali poleceń – to znaczy, nikt ich nie wykrzykiwał ani nie wypowiadał. Oni po prostu – raz, dwa – robili co do nich należało. Momentami czułem nad nimi wyższość, chciałem nawet któregoś poklepać. Zawsze był jednak wśród nich ten jeden, który dawał mi poczucie komfortu i bezpieczeństwa.

Jenny: To tak, jakby był częścią mnie samej.

Mary: Bez przerwy czuję w sobie jego obecność.

Sally: Jeden z nich próbował mnie ukoić, ale sprzeciwiłam się. Nie miałam zamiaru pokazać swej słabości. Szczerze mówiąc, wydawało mi się, że spojrzenie na niego, to jak zdemaskowanie złodzieja. Wyobraź sobie, że napada na ciebie jakiś zamaskowany typ, a ty ściągasz mu maskę z twarzy – jesteś już trupem, zidentyfikowałaś go. Dlatego właśnie nie miałam zamiaru na niego patrzeć. Nie chciałam uwierzyć w prawdziwość tego zdarzenia, ani też stać się jego częścią. Sądziłam, że w ten sposób zapewnię sobie bezpieczeństwo: nie spojrzę na ciebie, nie zidentyfikuję cię, nie powiem nikomu, jak wyglądasz. Tak właśnie powiedziałam: „Nie spojrzę na ciebie”. Zdawało mi się, że jeżeli ujrzę jego twarz, moje życie będzie zagrożone. (Uwaga: przypadek Sally obejmuje nie tylko postacie Przybyszów, lecz również towarzyszące im postacie humanoidalne. Najwyraźniej to ich nie zamierzała rozpoznać w obawie o własne życie.)

Sam: Wyczuwałem istnienie nadrzędnej inteligencji, reszta się nie liczyła.

Sally: Reszta nie wykazywała cech ludzkich, tylko ten jeden. Wyczuwałam emocje... Ten, który do mnie przemawiał, to mieszaniec, krzyżówka ich i nas.

Whitley: Ta, która do mnie przemawia, wygląda jak wielki owad: olbrzymie oczy i tak dalej. W niczym nie przypomina ludzkiej istoty.

Sally: Tak, widziałam kilku takich.

Fred: Jedno pytanie. Kto z was czuje się wykorzystywany?

Sally: Ja.

Sam: To może być nieszkodliwe; wykorzystywanie, które nikomu nie czyni krzywdy.

Mary: Słuchajcie, przez cały rok miałam obsesję zabierania do domu każdego kawałka tego świata. Wychodziłam z dziećmi do parku, gdzie zbieraliśmy każde znalezione nasiono, kamień czy gałązkę – mój pokój wyglądał jak pracownia botaniczna. A potem nagle połowa zbiorów zniknęła w niewytłumaczalny sposób.

Whitley: Wiesz, czasami nachodzą mnie myśli o tym, co ze sobą zabiorę.

Mary: Ja też o tym myślę. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to wszystko kiedyś się skończy. Podświadomie pragnę wtedy zabrać ze sobą jak najwięcej, by moje dzieci mogły zobaczyć na

własne oczy, jak było kiedyś.

Sam: Ja też to czuję. Korzystam ze wszystkiego, co nam zostało, mając świadomość, że nie potrwa to już długo. Pragnę, by wszyscy ludzie to pojęli.

Mary: Dwadzieścia lat temu ktoś powiedział mojej siostrze, że do roku dwutysięcznego świat zmieni się nie do poznania. Ona nadal jest o tym święcie przekonana. Myślę, że nie będzie to wcale złe miejsce, choć dla tych, którzy nie potrafią się przystosować, przetrwanie stanie się poważnym problemem. Wierzę, że świat zmieni się na lepsze, stanie się bardziej stabilny.

Sam: I bardziej sztuczny.

Mary: Na pewno inny niż teraz. Mówi się, że będzie to świat dla ludzi młodych i silnych, choć nie wiadomo, o jaką siłę chodzi fizyczną czy psychiczną.

Sam: I to wszystko stanie się za piętnaście lat?

Whitley: Ja również mam przecucie, że nadchodzą wielkie zmiany. Moim zdaniem, wszystkie procesy uległy ostatnio znacznemu przyspieszeniu.

W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję, by szerzej uzasadnić powyższe stwierdzenie. Otóż dzięki zjawisku, które sam nazwałem spontanicznym przyływem wiedzy, uzyskałem szczegółowe informacje na temat zagrożenia ziemskiej atmosfery. Większa ich część wyłoniła się w moim umyśle w lutym i marcu 1986 roku, a dotyczyła niebezpiecznych zmian w składzie atmosfery Ziemi. W marcu zwołałem w Waszyngtonie konferencję prasową dla dziennikarzy czasopism ekologicznych, aby omówić napisaną wspólnie z Jamesem Kunetką książkę *Nature's End*, a jednocześnie ostrzec przed konsekwencjami, jakie może nieść dziura w powłoce ozonowej, odkryta niedawno nad Antarktyką.

Informacje przekazane mi przez Przybyszów wskazywały na tendencję do rozprzestrzeniania się dziur nad Arktyką, co prowadzi do rozrzedzenia warstwy ozonu nad półkulą północną. Mogłoby to spowodować znaczny spadek plonów w latach 1990-1993 w związku z nasileniem promieniowania ultrafioletowego. W chwili, gdy wskazywałem na to nowe zagrożenie, jedyne oficjalne wzmianki na temat dziury ozonowej mówiły o tym, że jej znaczenie nie zostało jednoznacznie ustalone.

Według moich informacji zakłócenia w składzie atmosfery mogły doprowadzić do zaniku lub osłabienia funkcji odpornościowych wszystkich istot żywych, a w konsekwencji do nawrotu i rozprzestrzeniania się chorób. Jak dotąd nie natrafiłem jeszcze na jakikolwiek ślad potwierdzający tę teorię w sposób naukowy. Uszkodzenie systemu immunologicznego może być spowodowane nadmiernym promieniowaniem ultrafioletowym, lecz zważywszy, że wszystkie informacje odbierałem w formie wizualnej – jako skomplikowane sekwencje obrazów – istniało ryzyko błędu w interpretacji. Może zamiast rozprzestrzeniać się dziury ozonowej, powstaną tylko w jednym punkcie nad kulą ziemską? Informacje dodatkowe mówiły o zaostrzeniu problemu na skutek ożywionej działalności wulkanicznej, a także o spodziewanym zmniejszeniu rozmiarów głównych dziur w powłoce ozonowej w latach 1986-1997, co jednak nie będzie oznaczać definitywnego rozstrzygnięcia problemu.

Bezpośrednio po konferencji ostrożnie wspominałem jednemu z reporterów, że moje rewelacje były częściowo wynikiem udziału w zagadkowych i niezwykłych wydarzeniach. Nadmieniałem też, iż staną się one tematem mojej następnej książki. Owym reporterem był Ed Lion z UPI, który natychmiast usiłował dowiedzieć się czegoś więcej. W recenzji mojej książki *Nature's End* z 16 maja 1986 napisał potem o mnie: „Zapytany o temat kolejnej książki, tajemniczo potrząsnął głową. – Będzie pan musiał poczekać – odrzekł”.

Poczułem się zakłopotany swoją enigmatyczną wypowiedzią, lecz z drugiej strony zależało mi na tym, by zaznaczyć w jakiś sposób prawdziwe pobudki zwołania konferencji. Gdybym otwarcie oznajmił dziennikarzom, że w sprawę zaangażowani byli Przybysze, mój autorytet najprawdopodobniej ległby w gruzach. Nie znoszę powtarzać czyichś prognoz, ponieważ nigdy nie jestem w stanie sprawdzić ich wiarygodności. Jednakże w ciągu ostatniego roku przewidywania, dotyczące zmian w składzie atmosfery, sprawdziły się – postanowiłem zatem poruszyć ten problem

z uwagi na jego dużą rangę.

Sally: Kto z was naprawdę czuje się wykorzystywany?

Mary: Moim zdaniem nie jest z tym tak źle.

Amy: Nie użyłabym tego określenia. Wypadki chodzą po ludziach.

Sally: Osobiście odczułam to jako naruszenie mojej prywatności, zakłócenie mojego spokoju psychicznego. Nic w moim życiu nie wywołało dotychczas takiego szoku. Kiedy zobaczyłam swoje nazwisko w gazetach, przeżyłam wszystko jeszcze raz od początku. To było straszne, straszne! Nie mogłam powstrzymać się od płaczu, by pozbyć się uczucia dławiącego mi gardło. Czułam się zupełnie bezbronna! Ponownie wszystko stanęło mi przed oczami. Nie mogłam patrzeć na wyraz „UFO”, nie mogłam go znieść! Czułam się rozdarta. Pomyślałam, że coś się ze mną stało, tak intensywne były moje uczucia, zbyt intensywne, by można... Owszem, wściekałam się, bo ujawnili moje nazwisko – lecz oprócz tego było jeszcze coś więcej, coś, co wprost skręcało mi wnętrzności. Pomyślałam sobie: „To się powtarza. Nie wiem, jak to się dzieje, ale czuję, jakby ktoś wbił mi nóż w plecy”. To było naprawdę okropne uczucie. To właśnie mam na myśli, mówiąc o wykorzystywaniu. (Prawdziwe nazwisko Sally zostało wymienione w prasie, w artykule wyśmiewającym spotkania z UFO.)

Amy: W książce Betty Andreasson znalazłam coś, co napawa mnie przerażeniem. Ona wyciąga na jaw wszystko, co ja próbowałam wymazać z pamięci. To dlatego nie mogłam jej dalej czytać – musiała bym przeżyć wszystko od początku, a tego nie chcę. Wcale mnie nie ciekawi, co to było.

Sam: Czy zdarza się wam widzieć światło, nie pochodzące z żadnego źródła? Pojawia się na ścianie albo na suficie, ma kształt trójkąta lub koła. Widziałem kiedyś trzy trójkąty nałożone na siebie na suficie. Czy ktoś widział coś podobnego?

Mary: Mój syn zobaczył któregoś nocy czerwone światełko, które wypłoszyło go z pokoju. Była to czerwona świecąca kula, z której coś wystawało. Zdarzyło się to tej samej nocy, kiedy zaszła jedna z niewielu rzeczy, w które naprawdę uwierzyłam.

Whitley: Zaledwie parę tygodni temu dostrzegłem światełko, przesuwające się korytarzem w kierunku pokoju mojego syna. Kiedy jednak tam wszedłem, nie zauważyłem nic szczególnego.

Sally: Widziałam, jak coś takiego spłynęło z dachu, zalewając korytarz silnym blaskiem. Wchodziłam wtedy na górę i kiedy odwróciłam się, ujrzałam swój własny cień. Po chwili światło zgasło, postanowiłam więc sprawdzić, co się dzieje.

Sam: Czy zdarzało się wam, że telewizor sam się włączał lub wyłączał?

Ogólne poruszenie. W moim własnym telewizorze kilka dni wcześniej wyskoczył samoczynnie główny wyłącznik prądu, tak że musiałem ponownie go wcisnąć, by móc korzystać z pilota. Wspólnie z żoną i przyjacielem – elektronikiem – zaobserwowaliśmy też, że czasami potrafimy zakłócić działanie urządzeń elektronicznych, kładąc na nich dłoń. Opierając się na ogólnej znajomości praw rządzących działaniem takich urządzeń, zamierzamy przeprowadzić serię doświadczeń fizycznych, mających na celu wyjaśnienie tego zjawiska. Oczywiście nie jesteśmy w stanie wykluczyć wpływu innych, nie znanych nam rodzajów energii, które mogą oddziaływać na urządzenia elektroniczne.

Mary: Zanim jeszcze wyszłam przed dom, a może zaraz po tym, trzech mężczyzn przyszło do mojego pokoju i dało mi skrzynkę...

Whitley: Co było w tej skrzynce?

Mary: Nie mam pojęcia. Kazali mi tylko na nią spojrzeć i powiedzieli, że kiedy ponownie ją zobaczę, będę wiedzieć, do czego służy. Miałam ją podnieść i zajrzeć do środka, co też zrobiłam. Wtedy mój telewizor zaczął się włączać i wyłączać jak szalony. Potrafił się sam włączyć w środku nocy, więc w końcu wyłączyliśmy go z sieci.

Whitley: Zdarza mi się, że wchodzę do pokoju i powoduję zwarcie w sprzęcie radiowym. Część

moich znajomych w ogóle nie dopuszcza mnie więc w pobliże swych zestawów, a kiedy przypadkowo dotknę magnetofonu czy radia, dostają wysypki, bo wydaje im się, że skraca to ich żywotność.

Jenny: Czy ktoś z was obudził się kiedyś z powodu niebieskiego światła, pulsującego w ten sposób? (Przebiera palcami w powietrzu.)

Whitley: O jakie światło ci chodzi?

Jenny: Niebieskie, z telewizora.

Whitley: Nie ma takiego światła.

Jenny: Jak to?

Fred: Czasami wyłączam telewizor i siadam do innych zajęć, a on sam się włącza.

Sally: Kiedyś przyszło mi do głowy, że mogę poprawić falujący obraz, kładąc dłoń na ekranie i w ten sposób wytwarzając energię. To było już po spotkaniu. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam.

Whitley: Czy jest wśród nas ktoś, kto nie zakłóca działania urządzeń?

Mary: Przyłożyłam kiedyś rękę do ekranu wyłączzonego telewizora i kiedy ją odjęłam, na ekranie pozostał jej zarys.

Whitley: To chyba nic nadzwyczajnego. Każdy może tak zrobić.

Jenny: Czasami budzę się w nocy i widzę, że telewizor świeci niebieskim światłem, choć na ekranie nie ma obrazu.

Sam: Może to silny prąd przepływający nagle przez wyłącznik...

Mark: Wydaje mi się, że przeżyłem dotychczas dwa spotkania – jedno w wieku dziesięciu lat, drugie jakieś czternaście lat temu, kiedy jeszcze pracowałem w szkole. To było... bardzo dziwne, ponieważ zdarzyło się w miejscu, gdzie praktycznie nie mogło pozostać niezauważone. Potraktowałem to jako wytwór własnej wyobraźni, nie wiem tylko, po co opowiadałem o tym wszystkim wokół. Próbowałem też odnaleźć miejsce tego zdarzenia. Tamtego wieczoru pojechałem z psem na spacer. Normalnie tego nie robię, to znaczy nie wsadzam psa do samochodu i nie jadę dokądś po to, by się wybiegał. W pewnym momencie zobaczyłem światło, które sprowadziło mój samochód na pobocze... A może tylko tak mi się wydawało? Nie pamiętam, bym wysiadał z samochodu, ale w jakiś sposób dotarłem do obiektu, emanującego silnym blaskiem. Wyszli z niego ludzie, troje małych istot. Jeden z nich zbliżył się do mnie, lecz nie padło ani jedno słowo, nie stało się nic. Potem pamiętam, że wsiadłem do samochodu i odjechałem. Obszar, na którym odbyło się spotkanie, to najmniej odpowiednie nań miejsce i jest praktycznie niemożliwe, by nikt tego nie zauważył. Chciałbym was zapytać, czy zdarzały się wam podobne rzeczy w równie nieprawdopodobnych miejscach?

Sally: W moim przypadku zdarzyło się to w Bronxie. To centrum Nowego Jorku, ale dosyć spokojne. Byłam przekonana, że istnieli świadkowie tego wydarzenia, lecz nie wiadomo, czy nadal tam mieszkają. Dałabym głowę, że ktoś jeszcze to widział, ale nikt nawet o tym nie wspomniał. A przecież to wisiało tuż nad dachem naszego budynku. Wyglądało dokładnie tak, jak to przedtem opisał Whitley: ciemny kształt, zasłaniający niebo, w samym sercu Bronxu. W dole, pod nami chodzili ludzie, jeździły samochody.

Mark: Kiedy o tym myślę, nie mogę sobie przypomnieć, czy to ja sam, czy ktoś inny zatrzymał mój samochód.

Fred: Mogli cię przenieść w zupełnie inne miejsce, a potem zaszczepić świadomość, że odbyło się to na gęsto zaludnionym obszarze.

Budd: Mark powiedział mi najpierw, że wyprowadził psa na spacer do parku. Naturalnie założyłem, że po prostu wyszedł z domu i poszedł do parku, innymi słowy było to w pobliżu domu. Lecz wtedy on zaoponował: „Nie, to było dość daleko”. Zapytałem więc: „Chodzisz na tak długie spacerzy z psem?” Odpowiedział: „Nie, nie. Pojechałem samochodem”. Wtedy zdziwiłem się: „Jeździsz samochodem, żeby wyprowadzić psa?” Spytałem, czy często tak robi. Powiedział, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Zaniepokoiło go to: „Co, u licha, strzeliło mi do głowy, żeby

wozić psa na spacer?”

Mark: Nie doczytałem do końca książki Budda (*Missing Time*). Po przeczytaniu stu stron uznałem, że wszystko wydaje mi się przerażająco znajome. Postanowiłem przerwać lekturę, by nie wpłynęła ona na kształt moich wspomnień pod hipnozą. Chciałem, by pozostały nieskażone i nietknięte.

Budd: Podczas seansu hipnotycznego Mark cofnął się do czasów, gdy był dziesięcioletnim chłopcem i opisywał miejsce zdarzenia, które, jak się okazało, nie istniało w sensie geograficznym. Obecna przy tym jego żona z ulgą skomentowała to odkrycie: „Spędziłam siedem lat, próbując wspólnie z mężem odnaleźć tamto miejsce. Wmówił mi, że to jeden z istniejących tuneli. Dzięki Bogu, nie musimy już dalej szukać – zagadka rozwiązana”. Mark był przeświadczony, że wszystko zdarzyło się w tunelu. (Uwaga: w obu incydentach Marka występowało zjawisko dezorientacji co do miejsca zdarzenia. Spotyka się to często, choć w jego przypadku o mało nie stało się przyczyną obsesji.)

Mark: Jakiś rok temu zapytałem matkę, czy pamięta ten incydent i co jej o nim mówiłem. Owszem, zapamiętała go i nawet była w stanie powtórzyć większość mojej relacji. Zapytana o miejsce zdarzenia, wskazała na koniec ulicy, gdzie mnie znalazła, z ulgą stwierdzając, że nie zostałem zabity. Jest tam wzniesienie, w którym wydrążono tunel, mogący pomieścić czteropasmową drogę. A jednak w moim pojęciu wszystko wydarzyło się w dużej odległości od domu, na drugim końcu miasta lub jeszcze dalej.

Zapytałem, jak wyglądała działalność zawodowa członków grupy. Otrzymałem obraz ludzi pędzących życie pełne zmian, w ciągłym ruchu, przenoszących się z miejsca na miejsce w nieustannej ucieczce. Jedna z nich, Jenny, przenosząc się niedawno do Nowego Jorku, zrealizowała marzenie swego życia, by „mieszkać w wielkim mieście pełnym światła i ludzi”, które towarzyszyło jej od momentu, gdy skończyła dziewięć lat.

Ja również dorastałem z takim samym marzeniem, by zamieszkać kiedyś w mieszkanku w jednym z tych ogromnych nowojorskich budynków z widokiem na ceglana ścianę.

Kiedy jednak już wprowadziłem się do takiego mieszkania, wcale mi to nie pomogło. Obecnie mieszkam w pokojach o dużych oknach, a i tak większość czasu spędzam w odosobnionym domku.

Przez większą część swego życia przed czymś uciekałem. Nie będę więcej uciekać, jestem już tym zmęczony.

Whitley: Wszystkim nam sprawia trudność opowiedzenie swoich historii.

Joan: Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

Whitley: Wydaje mi się, że wszystkim towarzyszy uczucie skrępowania czy tremy – to główna przyczyna, dla której trudno nam się skupić na jednej czynności. Dwukrotnie zostałem poddany wyczerpującym testom psychologicznym i w obu przypadkach stwierdzono u mnie obecność silnego niepokoju związanego z wykonywaniem pewnych czynności. Sądzę, że przyczyną tego są niezwykle trudne zadania, jakie przed nami postawiono. Ponadto odnoszę wrażenie, iż wszyscy zostaliśmy poddani przez Przybyszów wyczerpującej, bezlitosnej indagacji. Żadnego z tych wstrząsających doświadczeń nie możemy sobie jednak dziś przypomnieć.

Jenny: Czy macie problemy podczas testów psychologicznych? (Potakujące gesty.)

Whitley: O tym właśnie mówiłem.

Jenny: W moim zawodzie próby przedstawień są na porządku dziennym. Za każdym razem, kiedy wychodzę na scenę, mam jednak wrażenie, że za chwilę umrę ze strachu.

Sam: Ja jestem ogromnie pobudliwy. Nie mam wprawdzie problemów z zagadnieniami naukowymi – na tym gruncie czuję się dosyć pewnie – jednakże kiedy rozmowa schodzi na inne tematy, natychmiast czuję się zagubiony.

Whitley: Myślisz, że to strach?

Sam: Nie wiem, co to jest. Jakiś wewnętrzny niepokój. Nie potrafię tego odpowiednio nazwać.

Sally: Czasami najprostsze zadania, jak na przykład test pisanie na maszynie, potrafią wprowadzić mnie w stan hysterii.

Sam: Podczas badania...

Budd: Wyobraźcie sobie, że istniejecie jednocześnie w dwóch różnych światach. Na co dzień żyjecie w jednym, a w pewnych odstępach czasu jesteście porwani do tego drugiego. Nieuchronnym następstwem takiego rozdwojenia jest kryzys osobowości i zanik poczucia przynależności. Jeśli jeszcze, na dodatek, w tamtym świecie nie posiadacie swobody działania – wolnego wyboru, możliwości swobodnego ruchu i podejmowania decyzji – wtedy siłą rzeczy musicie zwątpić we własne siły. W pewnym sensie to ogólna fizyczna bezradność, uniemożliwiająca jakiegokolwiek działanie.

Sam: I wtedy, podczas jakiegokolwiek sprawdzania sił, trema automatycznie się zwiększa.

Budd: Pat pamięta dwa bardzo dziwne przypadki, kiedy wprowadzono jej igłę w głębię czaszki: raz tuż pod okiem, drugi raz przez przewód nosowy. Poproszony o konsultację neurochirurg stwierdził, że igła dociera w okolice nerwu wzrokowego. Jego komentarz brzmiał następująco: „Jak wspaniale byłoby oglądać świat oczami innych ludzi!”

Whitley: Jakie skojarzenia budzi w was słowo „miłość”? A „tęsknota”? Czy ktoś z was może śmiało powiedzieć, że żywi do nich jedno z tych uczuć? (Zgłosili się wszyscy oprócz Sally, która zabrała głos.)

Sally: To dziwne, jeszcze przed hipnozą czułam do nich swego rodzaju przywiązanie, coś na kształt miłości. Ale hipnoza zmieniła wszystko. Teraz czuję raczej złość niż miłość.

Pat: Ja odczuwam silną lojalność.

Sally: A ja mogłabym ich udusić.

Sam: Mam mieszane uczucia. Dlaczego zachowują się w ten sposób? To pytanie działa mi na nerwy. Miotam się jak w klatce, nie znajdując na nie odpowiedzi – stąd też bierze się moje niezdecydowanie. Jednocześnie wyczuwam bowiem, że oczekują ode mnie lojalności.

Whitley: Uważam, że nasze braterstwo nie wynika z faktu wspólnych doświadczeń, lecz raczej z tego, że pogodziliśmy się z nimi i staramy się je zrozumieć.

Sally: Najbardziej boli mnie brak szacunku w traktowaniu mojej osoby. Kiedy spotkam ich następnym razem, mam zamiar przejąć kontrolę nad sytuacją. Chcę wypowiadać własne poglądy, a nie wykonywać rozkazy, sama zadawać pytania. Żądam respektu dla mojej osoby. Jeżeli nie potrafią tego zrozumieć, to nie chcę ich więcej widzieć. Naprawdę nie chcę. Niech mi się nie pokazują na oczy, dopóki się na to nie zdecydują.

Amy: To znaczy, że chcesz świadomie uczestniczyć w tym, co robią, a nie tylko grać wyznaczoną rolę?

Sally: Dokładnie tak. Nie muszę nawet wiedzieć, co zamierzają. Oczywiście ciekawi mnie to, ale jeśli nie potrafią obdarzyć mnie zaufaniem, dlaczego miałabym im pomagać. Nie chcę nic wiedzieć o ich planach. Nasz gatunek zasługuje na trochę szacunku ze strony tych istot, a dotychczas nie spotkałam się z żadnym jego przejawem. Przekonana jestem, że kiedy wyciągają z domu dzieci w środku nocy, nawet przez myśl im nie przejdzie, że rodzice będą się niepokoić. Tylu rzeczy nie potrafią zrozumieć i nawet nie próbują. Dopóki sobie nie uzmysłowią, że my również liczymy się na tej planecie i zasługujemy na szacunek, nie uważam za stosowne okazywanie im jakichkolwiek względów.

Kilka osób biorących udział w dyskusji wspomniało o męczącej ich świadomości, że ich dzieci również miały do czynienia z Przybyszami. Jeden z obecnych, który na własne oczy widział, jak w środku nocy Przybysze zabrali jego syna, zdecydowanie nie zgodził się z Sally. Utrzymał on, iż okazano mu szacunek, pozwalając zobaczyć, co dzieje się z jego dzieckiem. Chłopcu nie stała się żadna krzywda, wręcz przeciwnie, wrócił do domu jakby napełniony nowym duchem i wygłosił następujący komentarz: „Rzeczywistość to sen Boga. Ludzka podświadomość jest jak wszechświat rozciągający się poza kwazary; to miejsce kuszące nas swą tajemnicą”. Zwracając się do swego

ojca, chłopiec powiedział ponadto: „Tato, dziś w nocy miałem sen, który tak naprawdę nie był snem: znajdowałem się w lesie, a z góry patrzyło na mnie ogromne oko”.

Sally: Podejrzewam, że czułeś się okropnie.

Człowiek ów odparł, że owszem, szalał z niepokoju, ale jednocześnie żywił przekonanie, że Przybysze zabrali mu dziecko z ważnej przyczyny. Dodał również, że podtrzymywali go oni na duchu aż do powrotu syna.

– Kiedy obudziłem się rano, przekonałem się, że dziecku nie stała się żadna krzywda, a nawet wręcz przeciwnie. (To szczerą prawdą.)

Sam: Czy sądzisz, że oni dostosowują się do naszych emocji: na otwartą wrogość odpowiadają wrogością, na ustępstwa – ustępowaniem, a gdy nie próbujemy im narzucać swojej woli, traktują nas przyjaźnie?

Whitley: Wątpię, by byli skorzy do ustępstw, ale kilkakrotnie doświadczyłem ich przychylności.

Sam: Nigdy nie okazują wrogości wobec dzieci.

Whitley: Mój syn zapamiętał słowa powstające w jego głowie: „Nie chcemy cię skrzywdzić”.

Sam: Dzieci stanowią dla nich mniejsze zagrożenie. Dorośli zdążyli już poznać nienawiść, strach, przemoc – może dlatego bardziej ich przerażają.

Whitley: Tak, wyczułem ten ich strach.

Sally: Ja również.

Budd: Ludzie bardzo często odnoszą wrażenie, że oni się nas obawiają.

(Rozmowa zeszła następnie na temat doświadczeń seksualnych, jak niespodziewany zanik ciąży i graniczące z gwałtem pobieranie nasienia za pomocą sondy lub przyrządów próżniowych.)

Sally: Spotkałam kiedyś faceta z Południowej Ameryki, który opowiedział mi kilka swoich niesamowitych snów. (Chodzi o świadka pochodzącego z Brazylii.) Brały w nich udział postacie na pół-ludzkie, na pół-Przybyszy. Miały większe głowy, lecz za to rysy twarzy bardziej przypominały nasze. Było to dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. Pamiętam, że pomyślałam wówczas, iż to nic wielkiego, po prostu sen. Kłopot w tym, że te jego sny często się powtarzały.

Mary: Cały czas zastanawiam się, czy moja zagadkowa ciąża nie miała podłoża psychicznego. Z całą pewnością nie była to ciąża urojona, ponieważ wszystkie możliwe badania dawały wyniki pozytywne: krew, kształt miednicy, nastąpił zanik miesiączkowania. Byłam w ciąży! Czasem jednak myślę, że mógł to być rodzaj psychosomatycznej reakcji na wcześniejsze poronienie. Pragnienie dziecka chroni mnie przed obłędem.

Budd: Tak, to rzeczywiście niełatwe.

Mary: To niedorzeczne, ale nigdy nie jestem sama.

Nie spotkałem dotąd w życiu podobnej grupy ludzi, z pozoru najzwyklejszych, a w rzeczywistości obarczonych przytłaczającym ciężarem, drażnionych pytaniem o sens własnych przeżyć.

Ci, którzy doświadczą bliskiego spotkania, muszą posiadać umiejętność balansowania na ostrzu noża, co w sensie psychologicznym sprowadza się do jednoczesnej akceptacji i odrzucenia danego pojęcia. Prawdziwy agnostycyzm oznacza stan niezwyklej aktywności umysłowej, coś w rodzaju ochoczej niewiedzy. Dla uczestników spotkania sceptycyzm oznacza jeden rodzaj szaleństwa, zaś ślepa wiara – drugi. Pozostaje oscylacja pomiędzy krańcowymi postawami. Naukowcy narażeni są dodatkowo na całkiem realne niebezpieczeństwo zaangażowania się w zgłębianie fałszywych niewiadomych. Wzrasta ono niewspółmiernie w przypadku zjawiska tak złożonego, a przy tym tak ulotnego, jak problem Przybyszów.

Obecnie dysponujemy pokaźną ilością informacji, pochodzących z obserwacji latających obiektów, dokonywanych nierzadko przez wykwalifikowanych, zawodowych obserwatorów. Posiadamy również tysiące stron relacji ludzi, twierdzących, że zostali wzięci na pokład statków kosmicznych i poddani badaniom mózgu za pomocą różnego rodzaju sond. Wydaje się więc, że istniejący zasób danych, mógłby przyczynić się do sformułowania konkretnych wniosków, pod warunkiem jednak odejścia od negatywnego nastawienia, stanowiącego rezultat wysiłków demaskatorów.

Potrzeba równowagi posiada fundamentalne znaczenie dla procesu osvajania się z wizytami, które składają nam Przybysze. Stanowi ona jednocześnie klucz do zrozumienia sensu tych wizyt, zawartego w symbolu trójkąta oraz liczbie trzy: Przybysze często pojawiają się trójkami; emitują światła w kształcie trójkąta; noszą również różnego rodzaju trójkątne przyrządy i emblematy; ludzie wiążą z nimi wizerunek trzech piramid lub trzech trójkątów; według relacji na niebie pojawia się czasem potężny, trójkątny kształt; na moim ramieniu wytatuowano trzy trójkąty, a dr X i jego syn dostali tajemniczej wysypki tworzącej trójkąt.

Przez ponad piętnaście lat byłem związany z Fundacją Gurdijewa, głównie ze względu na fascynację triadą, która w ujęciu G.I. Gurdijewa i jego ucznia P.D. Uspienskiego stanowi podstawową formę wyrażającą istotę życia.

Trójkąt uchodził dawniej za symbol bogini Pod Trzema Postaciami, zaś chrześcijanie upatrują w nim symbol najwyższej formy boskości, to znaczy Trójcy Świętej.

Żyjący w trzynastym wieku chrześcijański mistyk, Mistrz Eckhart, tak pisał na temat genezy Trójcy:

„Bóg roześmiał się i zrodził Syna. Śmiech ich obu powołał do życia Ducha Świętego. Ze śmiechu wszystkich trzech narodził się wszechświat”.

Współczesna teoria grawitacji twierdzi, że powstaje ona w wyniku oddziaływania dwóch, przeciwstawnych i wzajemnie się równoważących sił.

Aby choć na krok przybliżyć się do zrozumienia zagadnienia Przybyszów – o ile jest to w ogóle możliwe – należałoby najpierw rozważyć ukryte znaczenie trójkąta.

Triada

Poniższe wywody są owocem dłuższej kontemplacji, jaką odbyłem kiedyś samotnie w naszym leśnym domku. Rozmyślałem tam na temat znaczenia trójkątów i triad oraz o swej wewnętrznej walce o powrót do równowagi psychicznej, i o odzyskanie spokoju ducha.

Wiele tradycyjnych wierzeń wyróżnia w człowieku trzy elementy: ciało, umysł i serce. Sądząc po istnieniu trzech różnych form Przybyszów, jest całkiem możliwe, że jako kompletny organizm, złożony z trzech członów, funkcjonuje u nich cały gatunek. (Spotykane są również warianty w obrębie poszczególnych form, a także odmienne od pozostałych istoty o cechach humanoidalnych, lecz uwzględniając margines błędu postrzegania, możemy śmiało twierdzić, że w obrębie gatunku funkcjonują trzy podstawowe formy.) W związku z tym można przypuszczać, że gatunek o trzech odrębnych formach podstawowych, przyjął za swój symbol trójkąt, wyrażający jednocześnie charakter gatunku i istotę jego struktury.

Aby przybliżyć nieco tę strukturę, wróć jeszcze do przypadku doktora X i jego zagadkowej obserwacji. Wbrew pozorom zdarzenie zarejestrowane przez tego wybitnego w swoim czasie francuskiego lekarza nie jest pozbawione sensu.

Obudziwszy się pewnej nocy, dr X wyjrzał przez okno swej sypialni, z którego rozciągała się

wspaniała panorama doliny Loary i leżącego w niej miasta Arles. W pewnej odległości, zawieszona nad ziemią, płonęły jasnym blaskiem dwa eliptyczne obiekty. Między nimi przeskakiwały cienkie jak niteczki błyskawice wyładowań elektrycznych. Oba obiekty przesunęły się w kierunku domu doktora i na jego oczach zwały się w jeden. W niedługim czasie po tym wydarzeniu, doktor i jego syn zostali dotknięci dziwną wysypką, która utworzyła na ich brzuchach regularne trójkąty wokół pępka. Utrzymywała się ona przez całe lata i mimo przeprowadzenia kompleksowych badań, nie udało się ustalić jej przyczyny. Przypadek doktora X zbadał i opisał Alime Michel, uważany wówczas za najlepszego francuskiego eksperta w dziedzinie badań nad UFO. Tym razem jednak enigmatyczność zagadnienia połączona z niewyjaśnionymi objawami fizycznymi, skłoniła go do uznania problemu UFO za niemożliwy do wyjaśnienia.

Zasada, która leży u podstaw pojęcia triady jako konstruktywnej energii, mówi, że zrównoważenie dwóch przeciwstawnych sił wytwarza trzecią siłę. Nieco teatralną w swym charakterze demonstrację tej reguły miał okazję zaobserwować dr X. Czy była to próba przekazania informacji, czy też żądanie odpowiedzi z naszej strony? Czemu miało służyć pojawienie się trójkątnych form na ciele doktora?

W założeniu triada nie jest elementem statycznym, lecz wyrazem całej serii emanacji. Powstanie trzeciej siły uwarunkowane jest uzyskaniem absolutnej równowagi przez dwie pierwsze: dopiero kiedy wszystkie trzy siły zespolą się w sposób harmonijny, wyłania się niepodzielna całość.

Powyższe zjawisko rozważane jest oczywiście wyłącznie w ludzkim kontekście. Każdy człowiek może osiągnąć swoją pełnię, każdy z nas jest zdolny odbyć podróż do źródeł swojego istnienia i odnaleźć tam prawdę najprostszą i nieprzemijającą – w gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy jednakowi, w każdym ciele oprócz duszy tkwi ogromny potencjał czynności, bez względu na ich jakość. Wszystkim nam została dana głęboka świadomość własnej osoby, jak też całego wszechświata.

Może okazać się, że jesteśmy częścią triady, w skład której wchodzi również Przybysze. Mogą oni reprezentować agresywną siłę, naruszającą naszą suwerenność, wymuszającą na nas bierną postawę i pragnącą w ten sposób stworzyć nową jakość. Lecz żadna triada nie osiągnie stanu absolutnej harmonii, jeśli nie zostanie oparta na wzajemnym zrozumieniu. Nikt nie każe przyjmować nam wszystkiego bezkrytycznie i na ślepo. Przeciwnie, potrzeba nam dużej dozy obiektywizmu. Musimy także wykazać ostrożność, ponieważ jeśli Przybysze faktycznie istnieją, to mogą oni równie dobrze okazać się przyjaźni jak agresywni. Potrafią przecież wyciągnąć nas z domu w środku nocy; potrafią wprowadzać w nasze ciało swoje instrumenty, zaszczepiając w mózg właściwą sobie rzeczywistość. Nie należy jednak zbyt pochopnie uznawać tego za oznakę złej woli, podobnie jak nie należy gloryfikować ich i przedstawiać jako świętych, życzliwych nam nauczycieli z innego wymiaru. Stanowią oni bez wątpienia realną i ogromnie złożoną siłę, której wyzywający charakter nie wymaga ani miłości, ani nienawiści, lecz raczej szacunku, pojętego w kategoriach intelektualnego obiektywizmu i równowagi emocjonalnej.

Według dawnego systemu taoistycznego fundamentalną prawidłowością we wszechświecie była dwoistość, wyrażana przez takie pojęcia jak: *jin* i *jang*, dobro i zło, zamknięcie i rozwarcie, poszukiwanie i wyczekiwanie, mężczyzna i kobieta. Wiele innych kultur, z cywilizacją Azteków na czele, uważało dualizm za podstawę bytu. W perfekcyjnie zharmonizowanej formie tworzył on triadę. Obecnie skoncentruję się na koncepcji Azteków, by wykazać powagę sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, jeśli rzeczywiście wzięliśmy się za bary z realnie istniejącymi Przybyszami.

Moc triady zależy w głównej mierze od stopnia dwoistości. Nie byłoby narodzin dziecka, gdyby nie zetknięcie dwóch ciał, dzięki któremu ewoluuje wszechświat. Konieczne dla triady jest istnienie krańcowo przeciwnych sił, z których jedna napiera, a druga stawia opór. Czy Przybysze uważają się za siłę agresywną, zmierzającą do przełamania naszego oporu i zmuszenia nas do zaakceptowania ich istnienia? Jeżeli tak, to powodzenie ich zamiaru zależy jedynie od naszej powoli rosnącej świadomości, gdyż bez niej nigdy nie staniemy się im równi. Bez tej wymaganej równowagi sił nie ma szans na powstanie triady, a tym samym na jakąkolwiek konstruktywną więź między nami.

Harmonijne zespolenie dwóch sił powoduje uwolnienie trzeciej. Być może Francuzi, nazywając

szczytowy moment ekstazy seksualnej „namiastką śmierci”, mają na myśli przemijanie pokoleń i usuwanie się w cień rodziców wobec nowego życia. A może chodzi im o śmierć własnego „ja”, które w szczytowym momencie staje się czystym istnieniem, wyzwolonym przez stan absolutnej ekstazy.

Nocą 26 grudnia wydawało mi się, że moja konstrukcja psychiczna legła w gruzach, że strach doszczętnie zniszczył moje „ego”. Mam przeczucie, że nasz wzajemny strach wynika z biologicznej i instynktownej świadomości, iż nasze zjednoczenie może oznaczać powstanie trzeciej, potężniejszej formy, która jest w stanie zająć nasze miejsce, tak jak dziecko z czasem zajmuje miejsce rodziców.

Trzecia siła jest zjawiskiem niebagatelnym: to ogromny krok naprzód na drodze życia – to nic innego, jak ruch wszechświata w kierunku wytyczonego celu. Ludzie zmagający się w łóżku reprezentują dwie pierwsze siły. Trzecia siła wyłania się z ich ekstatycznego zjednoczenia wraz ze wszystkimi implikacjami, jakie niesie akt stworzenia; to ich wzajemne przyciąganie, tarcia pomiędzy ich ciałami, ich dziecko.

Wewnętrzna triada umysłu, ciała i serca osiąga stan permanentnej równowagi tylko wtedy, gdy w dążeniu do niej człowiek zrezygnuje z własnego „ja” i uciech, jakie niesie ze sobą ten świat. Z tej symbolicznej śmierci wyłania się czwarty stan, określony przez kulturę Zachodu mianem ekstatycznego obiektywizmu, znany w hinduizmie jako nirwana, a w filozofii Zen jako kwiat lotosu.

Istota ludzka w stanie duchowej harmonii podobna jest do kosmicznego jaja, z którego wykluwa się ptak zmartwychwstania – feniks, utożsamiony również z orłem, symbolem siły *jīn*.

Dawne wzorce – występujące w tarocie, jak również w ewangelicznej przypowieści o weselu w Kanie Galilejskiej – przedstawiają kobietę jako czarę, mężczyznę zaś jako wlewany do niej płyn. Poeci Azteków sławili moc płodności Boga i Bogini Dwoistości, nazywając trzecią siłę pieśnią kwiatu.

Kiedy tak sobie siedzę na werandzie, dochodzi do mnie szum jednego z leśnych strumieni, zasilonego wiosennymi roztopami. Liście migoczą na drzewach, trącane porywami wiatru, a nad łąką unosi się rój majowych muszek. Nagle wybucha krótka walka dwóch ptaków, wrzask, fontanna piór, potem cisza, już zniknęły. W którymś momencie posłuszna prawom, które uważam za równie ważne i tajemnicze jak cały wszechświat, samiczka zaprzestała oporu. Przeciwności złączyły się w jedno, tworząc triadę – nowe życie pulsujące w brzuchu samiczki.

Oba ptaki są teraz trochę starsze.

Każdy niezależny akt stworzenia wprawia w wibrację cząstkę wszechświata – niezależnie od tego, czy to gody ptaków, czy miłość kobiety i mężczyzny.

Nie wyobrażam sobie, by związek dwóch inteligentnych gatunków mógł nie zawierać w sobie potencjału twórczego.

Gdy się pobieraliśmy, znaleźliśmy z Anną w Księdze Eklezjastesa motto naszego małżeństwa: „We dwoje lepiej jest niż samemu... a węzeł trzykrotnie spleciony nie tak łatwo rozwiązać”. Anna stworzyła je z dwóch odrębnych fragmentów i odtąd zawsze nam towarzyszyło. Tym trzecim splotem jest na początku miłość, potem dziecko, wreszcie długie lata strzępiące brzegi węzła. Co w końcu pozostaje nam po spędzonym wspólnie życiu? Ulotne spojrzenia, świadomość nadejścia nowych pokoleń, radość tłąca się w duszy.

Wedle wierzeń Azteków, z zespolenia Pana i Pani Dwoistości powstaje niezwykła trzecia siła: Narodził się człowiek, zesłany tu przez matkę i ojca Pana i Panią Dwoistości.

Mędrcy Azteków zadawali sobie pytanie, czym jest trzecia siła, i co wynika ze stanu równowagi. Nie używali wszakże określeń mających znaczenie strukturalne, pytając raczej: czym jest jego kwiat, czym jest jej pieśń? Zarówno miłość, jak i dziecko mogą w jednej chwili uwierzytelnić małżeństwo.

A kiedy kwiat i pieśń połączyły się w jedno, Aztekowie mówili:

*Kwiaty puszczają pąki, są świeże, rosną; otwierają kielichy,
z ich wnętrza wylaniają się kwiaty pieśni;
obdarowujesz nimi ludzi, to Ty je zsyłasz. Ty jesteś piewczą!*

Kwiat oznacza mężczyznę, pieśń – kobietę; kwiat pieśni to właśnie trzeci splot zawiązujący się radośnie w ciemności.

Ten rodzaj zjednoczenia wymaga najwyższej ostrożności, gdyż łatwo może przerodzić się w płomień tak wielki, że kwiat ginie.

*Me kwiaty żyć będą wiecznie;
Me pieśni nigdy nie zamilkną;
To ja, piewca, je intonuję;
Roznoszą się wokół, szerzą się wśród ludzi.*

Cortez wynurzył się z morza, a wraz z nim cień stwórcy niszczyciela padł na kraj; kwiaty zostały wdeptane w ziemię, a pierwotna, wspaniała cywilizacja Azteków pogrzebana na wieki.

*Czy memu sercu pisane jest zginąć, jak więdną kwiaty?
Cóż może uczynić moje serce?
Tworzyć kwiaty, tworzyć pieśni!*

Mroczna triada została zamknięta, skrwawiony kwiat Azteków legł ścięty ostrzem grzmiącej hiszpańskiej pieśni.

Aby zamiast śmierci nastąpił rozwój, triada wymaga czegoś więcej niż tylko podboju czy też „kontaktu”, którym, przy swoim poziomie rozwoju, Przybysze zastąpiłyby podbój w znaczeniu dosłownym. Zjednoczenie stanie się tym pełniejsze, im szersza wiedza obu partnerów, tym głębsze, im większą cząstkę duszy w nie włożą. Małżeństwo wymaga cierpliwości, umiejętności dawania bez prowadzenia prywatnych rozliczeń. Jeśli ktoś mówi: – Dałem z siebie to czy tamto, więc teraz należy mi się coś w zamian – to dla niego małżeństwo jeszcze nawet się nie zaczęło. Prawdziwa wspólnota polega na akceptacji podobieństw i różnic, na odkrywaniu równowagi i równości.

Musimy bezgranicznie zatracić się w naszych doznaniach, nie wiedząc nawet, czym są wywołane, lecz ufając, że krok po kroku zbliżamy się do wyjaśnienia. Aby naprawdę wziąć udział w tym przedsięwzięciu, musimy ofiarować siebie w tajemniczym małżeństwie z Nieznanym. Miłość sprowadza się tu do skoku w otwarte ramiona nieba.

Jednakże nadmiar uczucia może grozić zachwianiem obiektywizmu, do którego dążymy. Musimy zachować umiar, gdyż stawka jest wysoka; ludzkość ma okazję osiągnąć dojrzałość jako gatunek, i to w tym samym czasie, gdy nasza planeta powoli umiera. Mamy przed sobą daleką drogę. Musimy przede wszystkim przewyciężyć pokusę zdania się na Przybyszów. Jeżeli jej ulegniemy, możemy być pewni, że nic już nas nie uratuje. Musimy nauczyć się żyć na krawędzi przepaści.

Kiedy dwa elementy, będące w równowadze, powołają do życia trzeci, który również się z nimi zespoli, powstaje większa całość. Każde poszukiwanie wyższego poziomu świadomości to, w istocie, dążenie do równowagi, po osiągnięciu której triada przeistacza się ze zbioru elementów w całość.

W postaci Sfinksa, jednego z najstarszych obiektów na Ziemi, zaklęta jest idea wielka, prosta i niewyobrażalnie potężna. Rozwiązanie zagadki Sfinksa oznaczałoby odnalezienie „drogi na bezdrożu” starożytności.

Najbardziej wstrząsającym przeżyciem, jakiego dostarczyła mi podczas mych poszukiwań współczesna literatura, poruszająca problem Przybyszów, było zetknięcie z książką pt. *The Andreasson Affair*. Niewiele przeczytanych przeze mnie relacji zawiera tak bogaty materiał

symboliczny. Najciekawsze, że pani Andreasson nie miała najmniejszego pojęcia na temat znaczenia oglądanych symboli, które stają się jasne i spójne, dopiero w świetle koncepcji, którą powyżej przedstawiłem.

– Stoję naprzeciw dużego ptaka – mówi pani Andreasson – jest bardzo gorąco... Wydaje mi się, że to orzeł. On żyje! Jego głowa wydaje się biała w aureoli światła padającego z tyłu – silnego, białego światła... Ono jest takie jasne, piękne... Bez przerwy wysyła promienie, które zbliżają się. Och, ten żar staje się nie do wytrzymania.

Prasymbolem transformacji, czwartym zwierzęciem Sfinksa, jest orzeł, kojarzony też z energią słońca, która niesie ze sobą światło mądrości i żar wypalający doszczętnie ludzkie „ego”.

Oto zagadka Sfinksa: Co to takiego, co posiada siłę byka, odwagę lwa i inteligencję człowieka? Odpowiedzią jest sam Sfinks, który przybrawszy skrzydła jak orzeł, spogląda na życie spoza marginesu czasu, prawdziwie obiektywny.

Latający Sfinks to triada uwieczniona w czwartym wymiarze rzeczywistości w postaci trójkątnej bryły – piramidy, którą nauka ezoteryczna określa mianem żywego pomnika nieśmiertelności. Nie jest ważne, czy piramidy są grobowcami, czy nie – pozostały bez wątpienia symbolami nieśmiertelności faraonów, którzy je wzniesli.

Betty Andreasson nie miała pojęcia, czego dotyczyła jej wizja. Zapytano ją, czy to rozumie. Odpowiedziała:

– Nie, nie rozumiem, po co to wszystko, nie rozumiem nawet, dlaczego tu jestem.

Całe moje życie było podporządkowane nadrzędnemu celowi: wypełnieniu triady, wykształceniu w sobie orła. I oto znajduję kluczowy motyw tych wysiłków, zmierzających do transformacji w niewinnych wspomnieniach uczestników bliskich spotkań, w krótkim fragmencie o niespotykanej mocy i wymowie. Dalej w tekście znalazłem wypowiedź pani Andreasson o tym, jak kilkakrotnie powtarzano jej, że „została wybrana”, co wprawilo ją w zakłopotanie, jako że nie pojęła znaczenia tego, co jej zademonstrowano. Sam fakt, że obraz ten stanowił najistotniejszą część jej relacji wskazywałby na to, że chodziło o jego wyeksponowanie.

Mój samotny dzień wśród lasów dobiegał końca. Wypełzająca spośród drzew ciemność zapędziła mnie do domu na kolację. Celowo nie zapaliłem światła, by noc mogła się wśliznąć do wnętrza.

Siedząc na tym samym tapczanie, na którym 26 grudnia złożyli mnie Przybysze, pogrążony w lekturze, do późnych godzin nocnych rozmyślałem o związkach niewinności z wzniosłością, teraźniejszością ze starożytnością. Jak to możliwe by pani Andreasson – amerykańska gospodyni domowa w średnim wieku, nie posiadająca prawdopodobnie żadnego dostępu do tekstów, zawierających głęboko ukrytą tajemnicę transformacji – mogła ujrzeć tak wspaniały symbol spełnionej triady?

Cóż to za bestia zmierza z głębin prosto ku powierzchni ludzkiego doświadczenia? Czy okaże się ona orłem, Feniksem transformacji, którego cień napełnia moją duszę tęsknotą?

Przejdźmy teraz do zagadnienia ścisłego obiektywizmu, który dodaje ludzkiej duszy skrzydeł i pomaga jej wzbić się ponad uroki życia doczesnego, nazwanego przez mędrców hinduskich przepięknie brzmiącym terminem „maya”, a w bardziej utylitarnej koncepcji Uspienskiego określonego mianem „utożsamiania się – z iluzoryczną ważnością codziennych spraw”. Przywiązanie do wartości niesionych przez życie doczesne, do szczegółów każdego dnia, wydaje się sprawą dużej wagi, choć w rzeczywistości wcale nią nie jest. Zachowując umiar, jesteśmy w stanie uchronić się od obsesji na punkcie tych wartości, choć nadal pozostają one kategoriami osądu.

Nie mamy żadnej pewności, że Przybysze naprawdę istnieją. Nie wiemy też kim jesteśmy my sami, co się z nami dzieje i dlaczego. Istoty problemu nie stanowi bynajmniej dostarczenie jednoznacznego wyjaśnienia, lecz przyjęcie otwartej postawy wobec kwestii Przybyszów w jej obecnym kształcie, ze wszystkimi aspektami, jakie niesie ze sobą, a więc także z elementami

tajemniczości i zagrożenia.

Spróbujmy jeszcze bardziej uchylić rąbka tajemnicy. Posłużymy się w tym celu równie tajemniczym narzędziem – tarotem. Przede wszystkim jednak proszę nie kojarzyć tarota z wrózeniem z kart. Moim zdaniem Główne Arkana ujawniają ukryty w symbolach związek logiczny o wielkiej przejrzystości, bardziej odzwierciedlający pewne uporządkowania niż przypadkowość. Tarotem zainteresowałem się jakieś piętnaście lat temu, podczas studiów nad powstaniem systemu klasztornego w Europie na użytek książki historycznej, której zresztą nigdy nie napisałem. Pojąłem wówczas, że tarot to nie tylko talia kart przepowiadających przyszłość – ale rodzaj mechanizmu filozoficznego, prezentującego swoje idee przy użyciu symbolicznych obrazów, a nie słów.

Historia, którą opowiada, jest ze wszech miar interesująca: otóż figury tarota, tak zwane Główne Arkana, można ułożyć w taki sposób, by stanowiły drogowskaz duchowej ewolucji. Dwudziesta pierwsza karta, ostatnia w układzie, jest nazywana Światem. Karta ta zawiera najpełniejsze przedstawienie natury i potęgi triady dostępne na tym świecie: cztery bestie Sfinksa, każda w jednym rogu, otaczające potężną i tajemniczą postać obramowaną wieńcem.

Genitalia postaci okryte są szatą. Posiada piersi, lecz inne cechy sugerują, że jest ona rodzaju męskiego. Sądzę, że to efekt zamierzony, mający na celu ukazanie potencjału jednostki bez względu na płeć. W rękach dzierży magiczne rekwizyty, między innymi różdżkę. Figura ta może być interpretowana jako symbol ludzkości przemienionej, odrodzonej bestii, kobiety lub mężczyzny, na pół ludzkiej, na pół boskiej.

Po etapie zjednoczenia następuje transformacja. Wyłania się z niej silne ciało, dzielne serce i ludzka inteligencja.

Co jest prawdziwym celem umysłu? Czy poszukuje on wiedzy jedynie po to, by konstruować coraz wymyślniejsze rozrywki i techniczne trucizny, czy też dla samej wiedzy? A może z całkiem innego powodu?

Umysł ludzki potrafi przenieść rozumienie na ciało i serce. Może poprowadzić ciało ku zdrowiu, a serce ku kojącej introspekcji.

Kiedy zaś istota osiąga stan wewnętrznej harmonii, gdy nastąpi pojednanie ciała, serca i umysłu, można nareszcie oderwać się od codziennej harówki, spojrzeć w górę i napotkać tam wspaniałe uniesienie, które każe śpiewać ptakom z nadejściem brzasku.

To wtedy marny robak przeistacza się z gliny w ogień, a dusza, wyzwalając się z objęć czasu i przypadku, szybuje coraz wyżej i wyżej jak niestrudzony orzeł, odkrywając pałacy żar słońca.

W każdym z nas drzemie niesprecyzowane, lecz przemożne pragnienie, którego nie potrafimy nawet nazwać, a które podtrzymuje w nas płomyk nadziei. To nic innego jak właśnie lot orła, krok mnicha na ścieżce nirwany, niezłomność wiary starego kapłana, który w swoim skromnym kościółku odprawił ostatniej niedzieli mszę na granicy dwóch światów: cielesnego i duchowego.

Wszyscy przechodzimy od niekończących się zmagani dwoistości do harmonijnego zespolenia w triadzie, a następnie do misterium orła. Każdy z nas może być istotą przeobrażoną, przyjacielem Boga, szybującym na wolności Feniksem.

Czy Przybysze proponują nam utworzenie triady? Czy takie jest znaczenie wszystkich trójkątnych i piramidalnych form, które stosują? To możliwe, choć istnieje również inne wyjaśnienie. Być może to ja sam związałem te elementy z Przybyszami, ponieważ odgrywają one niepoślednią rolę w moim życiu. Duszą i ciałem jestem oddany idei transformacji – być może zniekształca to moją percepcję zagadnień, z którymi mam do czynienia.

Nie podejrzewam jednak, by to z inicjatywy Betty Andreasson powstała jej pełna mocy historia o wskrzeszonym orle.

Kosmologia chrześcijańska wskazuje jako źródło życia jedność Trójcy Świętej. Nie ma w tym nic mistycznego, to po prostu prawda: nie bylibyśmy w stanie istnieć w świecie pozbawionym wymiarów, które nas podtrzymują. Wszelkie bryły zawdzięczają swoje istnienie długości, szerokości i wysokości, i nie potrafilibyśmy skonstruować rzeczywistości postrzegalnej zmysłowo, a odzwierciedlającej znany nam potencjał, gdyby dano nam do dyspozycji mniej wymiarów. Zaletą

trójwymiarowości jest możliwość jednoczesnego poruszania się w przestrzeni i w czasie, stanowiąca jednocześnie podstawę doświadczenia.

Wszyscy wzbraniamy się przed wyzbyciem się swego „ja” i istnieniem w czystej formie. Ogień, płonący w tle orła widzianego przez Betty Andreasson, wytwarzał żar, który ją przeraził. Nic dziwnego, ten ogień potrafi strawić każde „ego” – to apokalipsa duszy.

Nasza udręka wynika z faktu, że stoimy nad mroczną otchłanią Nieznanego z pełną świadomością, że gdzieś w jej czeluściach kryją się żywe istoty. Jeśli mamy nadal podążać drogą introspekcji, musimy zaufać ciemności, mimo niebezpieczeństw, jakie mogą nas czekać. Potrzebujemy siły, by wytrzymać żar ognia, odwagi, by w niego wstąpić, inteligencji, by wyjść z niego żywym.

Pojęcie triady jako pierwotnej siły wzrostu jest odwieczne. Sam Sfinks to twór istniejący od zarania dziejów, a niewykluczone, że starszy nawet od niego jest hinduski święty rysunek znany jako Kali jantra czy też Odwieczny Wizerunek. Ten starożytny symbol – składający się z trójkąta, w centrum którego umieszczono iskierkę życia czyli „bindu” – kojarzony jest z Boginią Triady, kierującą przeszłością, teraźniejszością i przyszłością (długością, szerokością i głębokością), trymestrami ciąży, a także trzema stadiami życia ludzkiego: dzieciństwem, dojrzałością i starością.

Za oknem, w lesie słychać westchnienie świerków – długi oddech nocy.

„Trzy Drogi” – tak nazywano również Hekate, której wizerunki o trzech twarzach ustawione na rozdrożach tradycyjnie otrzymywały ofiary z ciasta, owoców i pieniędzy. Te ostatnie nadal pojawiają się w fontannie w jednej z jej starożytnych świątyń. Zwyczaj wrzucania trzech monet do fontanny w zamian za błogosławieństwa przetrwał zresztą do dziś.

Irlandzki bóg Trefuilngid był patronem trójlistnej rośliny, czyli koniczyny. Trefuilngid jest znany jako Posiadacz Potrójnego Klucza – określenie to nadano również Sziwie, Astarte i Isztar, trzem pradawnym wcieleniom Bogini Pod Trzema Postaciami. Oczywiście koniczyna jest również symbolem św. Patryka. Starożytni Arabowie nazywali ją „shamrakh” – co uderzająco przypomina angielskie „shamrock” – uważając ją za symbol męskiej płodności. Czyżby w zamierzchłej przeszłości Irlandczycy zetknęli się z Arabami? Jak daleko mogły sięgać wody mórz, zanim nauczyliśmy się zapisywać naszą historię; jakie triumfy i porażki na zawsze zostały pogrzebane przez zaborcze fale?

W alfabecie greckim czwarta litera, delta, stanowi symbol Świętych Drzwi. Według Egipskiej Księgi Umarłych trójkąt oznaczał Menufer, pradawną boginię miasta – matkę Memfis.

Przedmiotem jantrycznego kultu jest zespolenie z Matką Wszechświata w takich Jej formach jak Rozum, Życie i Materia, przygotowujące z kolei do jogistycznego zjednoczenia z Tą, Która Jest Czystą Świadomością.

Według gnostyków późnego Imperium Rzymskiego, trójkąt symbolizował moc twórczego intelektu, równowagę i spokój umysłu, nieustające pojednanie, zachodzące w duszach tych, którzy w swoim wnętrzu poszukują Chrystusa.

Bogini Pod Trzema Postaciami, czyli Isztar, była dla starożytnych Sumerów tym, czym obecnie dla chrześcijan jest Trójca Święta, uosabiająca potęgę tworzenia poprzez postacie Boga Ojca, Syna Bożego i Ducha Świętego.

Drogę do Chrystusa wskazuje Gwiazda Betlejemska; w języku Sumerów „Isztar” oznacza gwiazdę. Manuskrypty babilońskie nazywają Isztar Światłością Świata, Przywódcą Armii, Prawodawcą, Otwierającą Łono, Odpuszczającą Grzechy. To właśnie z jej osobą związane są historie o schodzeniu do czeluści podziemnego świata, obecne w wielu kulturach całego świata. Dawca życia pokonuje w końcu śmierć i następuje odrodzenie.

Szadrak, Meszak i Abed-Nego podążyli ścieżką prowadzącą do transformacji i nie zostali strawieni przez ogień. Zajmują więc oni symboliczne miejsce po bokach orła, podobnie jak uzdrowiciele rdzennych ludów Ameryki, szamani syberyjskich równin, czarownice Europy z czasów, gdy król lodowców miazdzył pół kontynentu.

Oto przykład transformacji: wśród Apaczów uważano, że, by zostać szamanem, należy

przygotować się na zejście do świata umarłych. Człowiek znajdował sobie skałę i rzucał się w otchłań. Jeżeli przeżył, zostawał czarownikiem, jeśli umierał, było mu już wszystko jedno.

Połączenie długości i szerokości tworzy bryłę, którą pitagorejczycy uważali za formę umysłu przeniesioną w rzeczywistość. „Poznaj siebie samego” – tak brzmiała dewiza greckich filozofów mistycznych, boskiego Apollina i Przybyszów, którzy ukazali się Betty Andreasson.

Czyżbyśmy zmierzali ku odkryciu namacalnej w sensie fizycznym realizacji starożytnej idei, mówiącej, że poznanie umysłu jest równoznaczne z poznaniem wszechświata? Co oznaczają słowa dziecka: „Ludzka podświadomość jest jak wszechświat rozciągający się poza kwazary; to miejsce kuszące nas swoją tajemnicą?”

Co może się tam znajdować? Czy w głuchych zakamarkach duszy leżą wrota prowadzące poza krawędź rzeczywistości? Czy tam właśnie kieruje się orzeł, podrywając się do lotu? Czy stamtąd pochodzą Przybysze?

Bez względu na wymowę faktów związanych z pojawianiem się Przybyszów uważam, że częste występowanie trójkąta w znaczeniu symbolicznym jest zjawiskiem godnym uwagi i wymagającym bardziej skrupulatnych studiów – nie tylko przy użyciu metod naukowych, lecz również mitologii i filozofii, spojrzenia sercem i rozumem zarazem.

Sądzę, że mamy do czynienia co najmniej z wielkim wzlotem naszego umysłu, stającego w obliczu gromu z przyszłości, poszukującego w dzisiejszych niespokojnych czasach prawdy odwiecznej i nie zmiennej.

Może okazać się, że trójkąt pełni podobną funkcję symboliczną w każdym trójwymiarowym świecie. Przemawiając do nas w tej konkretnej formie – jeżeli to właśnie robią – Przybysze oznajmiamy nam więc, że podlegają tym samym prawom, które powołały do życia nas, jednocześnie wskazując na swój związek z odwieczną ideą transformacji. Być może jest to symbol nie tylko strukturalnej współzależności, lecz również wspólnych dążeń: kontynuacji życia i poszukiwania mądrości. Pojawienie się orła w obrębie tej samej symboliki, ma nas utwierdzić w przekonaniu, że oglądane zjawisko przekazuje żywotne treści, a nie jest jedynie dziełem przypadku, jak to, które zaobserwowałem kiedyś podczas potwornego sztormu.

Płynęliśmy małym jachtem po wodach Zatoki Meksykańskiej, kiedy – zupełnie znikąd – nadszedł silny szkwał. Gwałtowne podmuchy wiatru pędziły na nas sześciometrowe fale, w każdej chwili mogące nas zmieść z powierzchni morza. Gdyby woda wpadła do luku i zalała silnik, nasze szansę przeżycia stałyby się minimalne.

Powoli, z mozołem, łódź wspinała się po krzywiźnie fali. Gdy znaleźliśmy się na jej grzbiecie, ujrzałem poprzez pianę grzywaczy niezapomniany widok: w samym środku pasma promieni słonecznych wznosiła się majestatyczna piramida wody o ścianach gładkich jak szkło i wierzchołku wyrzucającym płaty piany, porywane natychmiast przez wiatr. Przez mgnienie oka wydała mi się doskonała, lita jak skała i wieczna. Błyskawicznie jednak runęła w dół, posłuszna siłom, które ją stworzyły. Kiedy burza ucichła i dowlekliśmy się do Port Arans, kapitan powiedział tylko:

– Ujrzycie tu jeszcze rzeczy niesamowite.

Epilog

Gdzie może zakończyć się podróż taka jak ta? Wysoko, tam, gdzie wiatr kołysze gwiazdami czy też na krawędzi wiary? Twierdzę, że koniecznie musi zakończyć się w ludzkim wymiarze, gdyż tylko w nim możemy szukać możliwości pełnego zrozumienia problemu.

Nie znajduję w sobie żarliwości właściwej wyznawcom jakiejś wiary, nie jestem też prawdziwym sceptykiem, ponieważ nie uznaję wybiórczości w podejściu do problemów, a cenię sobie otwartość. Nie mogę jednoznacznie stwierdzić, że Przybysze żyją własnym życiem, niezależnie od obserwatora. Z drugiej jednak strony, nie mogę zdecydowanie zaprzeczyć ich istnieniu.

Nie powinniśmy bagatelizować problemu Przybyszów, pochopnie uważając ich za efekty wyjaśnionego już zjawiska. Nauka nie tylko nie dostarczyła jeszcze hipotez na ten temat, ale w ogóle się nim nie zainteresowała. Nie wolno nam też zakładać, że jesteśmy przedmiotem badań prowadzonych przez „istoty wyższego rzędu” i biernie oczekiwać na ochłapy wiedzy, jakie mogą nam rzucić.

Uderzającą cechą naszej dyskusji stanowił złowróżbny ton, zapowiadający katastrofę, której ja również poważnie się obawiam. Motyw Apokalipsy często pojawia się w relacjach świadków, wykorzystywany między innymi przez fundamentalistów oraz ruchy na rzecz pokoju i ochrony środowiska.

W Związku Radzieckim psychoza „końca świata” nabrała takich rozmiarów, że Gorbaczow przy publicznych wystąpieniach korzystał z pomocy charakteryzatorów, by ukryć znamię na czole, gdyż rozległy się już głosy, że to „znamię szatana”. Uczucie strachu wywołało też skojarzenie ukraińskiego słowa „czernobyl”, oznaczającego piołun, z nazwą gwiazdy, która w Księdze Apokalipsy zatrąwa jedną trzecią wód na Ziemi.

Wybuch hysterii towarzyszył zbliżaniu się końca pierwszego tysiąclecia Zachodu. Koniec świata miał nastąpić lada dzień, choć nie istniała wówczas jeszcze broń nuklearna ani rozszerzająca się dziura w powłoce ozonowej.

Według celtyckich wierzeń, w pewnych porach roku, granica pomiędzy światem ludzi a światem duchów może ulec zatarciu. Być może w podobny sposób, w pewnych okresach stuleci, zanika granica pomiędzy duchem i materią. Może okazać się, że myśl przenika do świata konkretów, a umysł, posiadłszy umiejętność manipulacji rzeczywistością, wykorzystuje ją do swych tajemnych celów.

Jak mamy interpretować rewelacje pewnego aktora na temat kosmicznych przyczyn wielkiego zaciemnienia w Nowym Jorku, wiedząc, że identyczny przypadek miał wcześniej miejsce w jednej ze sztuk teatralnych? Dziełem fikcji literackiej było też pierwsze zatrzymanie samochodu przez UFO, wygaszające jego silnik.

Proszę mnie zrozumieć – nie usiłuję wcale bagatelizować problemu Przybyszów, twierdząc, że roztrząsanie go jest rozmową o gwiazdach. Zakładam przecież, że istnieją oni naprawdę. Lecz kim są i co w ich przypadku oznacza „istnieć naprawdę”, tego na razie nikt nie wie. Nie spodziewam się, by odpowiedź mogła być udzielona w tradycyjnym, linearnym i mechanistycznym stylu.

Problem Przybyszów wywołuje wśród nas ekstremalne podziały. Ci, którzy zetknęli się z techniką Przybyszów, bronią tezy o jej pozaziemskim pochodzeniu. Nauka natomiast stara się skompromitować ten pogląd z tych samych powodów, z jakich niegdyś kościół zwalczał czarną magię: podobne twierdzenia są tajemniczością zagrażającą ustalonemu porządkowi lub systemowi wierzeń – dlatego za wszelką cenę muszą zostać odparte. Tak jak w siedemnastowiecznej teologii chrześcijańskiej nie było miejsca na czary, tak teraz, w dwudziestym wieku, nauka nie znajduje jeszcze miejsca na teorie dotyczące osobliwych i tajemniczych Przybyszów.

Różnica pomiędzy teologią a nauką polega jednak na tym, że ta ostatnia potrafi uwzględniać nowe zjawiska. W 1932 roku Albert Einstein stwierdził:

– Nic nie wskazuje na to, by wyzwolenie energii nuklearnej było w ogóle możliwe. Oznaczałoby to bowiem, że atom może zostać rozszczepiony na zawołanie. – Niespełna dziesięć lat później pisał już do Roosevelta list, który doprowadził Stany Zjednoczone do budowy bomby atomowej.

– W głębi serca wierzę, że oni istnieją – powiedział o Przybyszach pewien sceptyk. – Lecz jeśli postępują z nami w ten sposób, to czuję się tak bardzo rozczarowany, że wolę pozostać niedowiarkiem.

Osobiście uważam, że brak podstaw do tego, by czuć się rozczarowanym. Nie należy, przede wszystkim, wyciągać pochopnych wniosków. To prawda, że Przybysze nie złożyli nam oficjalnej wizyty i nie wręczyli nam przy tej okazji holograficznego atlasu swej planety ani planów napędu pojazdów międzygalaktycznych. Zachowują się bardzo dziwnie, lecz przecież każdy kij ma dwa końce – my również możemy im się wydawać dziwni.

Analizując moje doświadczenia z Przybyszami, stwierdzam, że nie czuję wobec nich niższości. Istoty, z którymi się zetknąłem, wydały się górować nad nami nie tyle stopniem rozwoju, co wiedzą jednocześnie jednak jako jednostki okazały się mniej zróżnicowane i niezależne. Myślę, że odnosiły się do mnie nie tylko z obawą, ale również z pewnym szacunkiem. Pytając mnie, co uczynić, bym przestał krzyczeć, znajdowali się na skraju paniki.

Nie są wcale wszechmocnymi superistotami, lecz delikatnymi stworzeniami o ograniczonych możliwościach, znajdującymi się daleko od domu... jeśli oczywiście nie pochodzą z naszego świata.

W tym, co się ostatnio dzieje, dostrzegam pewną prawidłowość. Przez ostatnie czterdzieści lat nasze kontakty nie tylko uległy pogłębieniu, lecz rozprzestrzeniły się na różne warstwy społeczeństwa. Może się wprawdzie okazać, że takie wrażenie wywołuje wcale nie wzrost aktywności Przybyszów, lecz zaostrenie naszej uwagi.

Może okazać się, że ewolucja naszej percepcji została starannie zaprogramowana. Z początku zauważaliśmy latające obiekty z dalszej odległości, potem stykaliśmy się z nimi coraz to bliżej, aż do widoku Przybyszów, a obecnie do bezpośredniego obcowania z nimi. Wielu uczestników bliskich spotkań zaznacza w swych relacjach, że ich wspomnienia pojawiły się „po pięciu latach” lub „dopiero w 1984” czy wreszcie „kilka lat później”. Czyżby miało to oznaczać, że ostateczna odsłona nastąpi w nagłym przyptywie szczegółowych wspomnień?

A gdyby tak właśnie miało się stać, to jaka może być tego przyczyna? Dlaczego po prostu nie wylądują i nie wyjdą do nas przez otwarty właz? Może próbują w ten sposób uniknąć błędu Corteza, nietrudno bowiem zmiażdżyć delikatny pączek rozwijającej się spontanicznie kultury.

Jeden z moich przyjaciół zasiadł kiedyś w magicznym kręgu indiańskich szamanów. Nie opodal warczała głucho międzystanowa autostrada, a on wsłuchiwał się w brzmienie pradawnych, rytualnych pieśni, wyczuwając w nich pustkę i smutek, choć jeszcze niedawno tętniły wiarą i życiem. Nikt też nie układa już legend w Papui-Nowej Gwinei. Tamtejsze ulice to nieudane, zaśmiecone kopie Lansing w stanie Michigan. Rock and roli zalewa wszystko dokoła, strzaskane królewskie berła idą na podpałkę, a odwieczne i święte prawdy, stanowią tylko powód do wstydu dla spadkobierców tej kultury.

A gdyby tak niespodziewanie w naszym świecie pojawiła się obca kultura przewyższająca nas stopniem rozwoju? Czyż nie groziłoby nam rychłe stoczenie się w otchłań zapomnienia? Nauka, religia, nawet sztuka – ległyby w gruzach w obliczu nowej kultury, dającej nam wszystko, czego pragnęliśmy się dowiedzieć o wszechświecie. Chyba, że jej pojawienie, nie zostałoby przyjęte ze ślepym uwielbieniem i bogobojnym strachem, lecz z pragnieniem zrozumienia jej prawd, jej mocnych punktów, lecz zarazem jej słabości.

Być może trójkąty wycięte w naskórku mojego ramienia mają symbolizować, że każdy z nas stanowi mikrokosmos sam w sobie; mniejsze nie znaczy wcale mniej doskonałe, a tylko mniej dojrzałe.

Co czeka nas na wyższym poziomie? Co stanie się za dziesięć, dwadzieścia lat? Być może, jeśli

przyznamy otwarcie, że problem Przybyszów jest natury ponadosobistej, stanie się on nareszcie obiektem rzetelnych, skrupulatnych badań.

Jeden z Przybyszów powiedział kiedyś do uprowadzonego człowieka: „Włączyć znaczy wyłączyć, a wyłączyć – włączyć. Język czasami zawodzi”. Widzę w tym podobieństwo do lustrzanego odbicia, jak również pewną dozę ironii, tak często spotykanej w naszej literaturze mistycznej. Od Dyla Sowizdrzała do Nasreddina uważano dowcip za wynik dogłębnego i prawdziwego zrozumienia. Jak mawiał Mistrz Eckhart: „Bóg śmieje się i zabawia”.

Dr David M. Jacobs z Tempie University przytacza fascynującą relację kobiety, która spostrzegła UFO przelatujące nad jej ulicą. Niczym przyciągany jej spojrzeniem, obiekt zbliżył się do niej. Ujrzała w nim rząd dziewięciu okien. W jednym z nich stał mężczyzna z cygarem w ustach i nieobecny wzrokiem, nieruchomy jak posąg. W następnym oknie zobaczyła kobietę w kwiecistej sukni, siedzącą na krześle, nienaturalnie jak w transie. Za pozostałymi oknami przesuwały się trzy małe, płowe istoty, które po chwili podniosły kobietę z krzesła i poprowadziły korytarzem.

Osoba, której relację przytoczyłem, nie była „kosmicznym maniakiem”, lecz najzupełniej normalną kobietą. Nie szukała w ten sposób sławy ani pieniędzy. Po prostu opowiedziała to, co zobaczyła, nieświadoma fascynującej kombinacji absurdu i zawiłych implikacji swej historii. Kiedy w momencie największego nasilenia przeżyć zostałem nazwany wybrańcem, moim oczom ukazała się wizja kobiety w kwiecistej sukni, podekscytowanej słowami, które właśnie usłyszałem.

Jakim sposobem zagadnienie tak skomplikowane, a nawet niebezpieczne, jak problem Przybyszów, może być jednocześnie tak niedorzeczne? Może nasz umysł również śmieje się i zabawia?

W sierpniu 1986 roku pewien człowiek zaobserwował niewytłumaczalne zjawisko, jadąc autostradą Grand Central Parkway w kierunku Great Neck na Long Island. Była godzina 21.30, niebo było zasnuwane chmurami, ich pułap wynosił około tysiąc metrów. Mężczyzna ten nagle dostrzegł olbrzymich rozmiarów samolot kierujący się prosto na niego. Leciał on tak nisko, że wydawało się, iż podchodzi do lądowania na autostradzie. Dwa potężne reflektory na dziobie świeciły prosto w oczy mężczyzny. Na końcach skrzydeł widoczne były światła: czerwone na jednym, zielone na drugim. Przelatując nad samochodem, samolot ukazał nitowany spód, na którym widoczne były smugi, jakby szorował nim po ziemi. Cztery pękate silniki napędzały potężne śmigła. Nos był spłaszczony, nigdzie nie było też widać statecznika poziomego. Mężczyzna zwolnił i wychylił się przez okno, by lepiej przyjrzeć się tajemniczemu samolotowi, który wydawał się wisieć w powietrzu dzięki bezszelestnej pracy silników. Wkrótce minął go i zjechał z autostrady w kierunku Great Neck. Droga wiedzie w tym miejscu wokół niewielkiego wzgórza. Patrząc w jego kierunku, mężczyzna zauważył coś, co wziął początkowo za świetlną reklamę. Kąt jej ustawienia pozwalał się domyślić, że rozwieszono ją pomiędzy dwoma budynkami. Błyski światła były nieczytelne. Objeżdżając wzgórze, mężczyzna zobaczył reklamę pod innym kątem i ku swemu zdumieniu stwierdził, że nie ma tam żadnych konstrukcji, które mogłyby ją podtrzymywać. Doszedł zatem do wniosku, że musiał to być samolot. W tej samej chwili obiekt wystrzelił w niebo z fantastyczną prędkością i zniknął w chmurach na południowym zachodzie.

Co przydarzyło się temu człowiekowi? Co takiego zobaczył? Nic łatwiejszego, jak uznać jego relację za wynik halucynacji wzrokowych.

Istnieje jednak pewien problem, dotyczący osoby obserwatora i jego kwalifikacji. Otóż jest on wiodącą postacią w dziedzinie psychologii spostrzegania; posiada przy tym encyklopedyczną wiedzę na temat mechanizmów percepcji i doskonale zdaje sobie sprawę, na czym polegają złudzenia optyczne. Na dodatek posiada on doskonałą pamięć fotograficzną i fenomenalny wzrok, dzięki któremu może gołym okiem dostrzec księżyc Jowisza. Jest to człowiek niesłychanie inteligentny, zrównoważony emocjonalnie z racji swej klinicznej praktyki oraz paruset godzin spędzonych na psychoanalizie.

Halucynacje mogą się przytrafić każdemu, lecz w tym przypadku nie sposób zlekceważyć kwalifikacji obserwatora, który twierdzi, że widział realnie istniejący obiekt. Ciekawe, że inni kierowcy w ogóle nie zareagowali. Zastanawiam się, czy to dlatego, iż uwierzyli, że to złudzenie,

podczas gdy umysł obserwatora był zbyt wyćwiczony, by dać się nabrać? Wszyscy inni widzieli samolot, a potem świetlną reklamę, tylko jeden człowiek zobaczył to, co naprawdę widniało na niebie – obiekt nieznanego pochodzenia i przeznaczenia.

Swoją drogą, trudno nie dopatrzeć się złośliwości w wyborze na świadka wykwalifikowanego specjalisty do spraw percepcji, o doskonale wykształconych zdolnościach spostrzegania. A może to tylko niezamierzona ironia losu? Może wcale nie należy się w tym dozukiwać żartu? Czy światła, skierowane prosto w oczy mężczyzny, służyły Przybyszom do uzyskania o nim informacji, czy też do zmuszenia go do odegrania jakiejś roli w ich tajemniczym przedstawieniu?

Wcale się nie zdziwię, jeśli Przybysze istnieją naprawdę i nawiązują z nami kontakt wedle ustalonego wcześniej rozkładu, uwzględniającego wzrost naszego pojmowania Nieznanego. Jeżeli nie pochodzą z tego świata, koniecznym może się stać zrozumienie zasady ich istnienia, zanim jeszcze pojawią się w naszej rzeczywistości. W naszym świecie ich istnienie może zależeć od naszej wiary. W ten sposób droga do naszej rzeczywistości wiedzie przez nasz umysł.

Idea równoległe istniejących światów nie jest wcale nowa, choć nie jest również dowiedziona. Posiada ona swoje własne miejsce wśród hipotez wysuwanych przez fizyków. Rzecz jasna, warunki, w jakich możliwe są kontakty pomiędzy równoległymi światami, nie są jeszcze ustalone.

Widzieliśmy na własne oczy, że Przybysze nie są wcale elfami, a ich statki nie powstają z kaprysów wiatru. To stan naszej wiedzy na dzisiaj. Czego dowiemy się w przyszłości?

Może się okazać, że ludzkość uparcie hołduje przestarzałemu pogładowi na świat, podczas gdy wiatr umysłu, kołysząc gwiazdami, tworzy pojazdy kosmiczne, z których dobiega... stłumione wołanie o pomoc kobiety w kwiecistej sukience.

Nie jest to „drobnostka”, którą można zbyć wymijającą odpowiedzią – to bezkresna ludzka rzeczywistość o wielkiej złożoności i sile oddziaływania. Posiada ona nietypową, choć niezaprzeczną spójność, którą zrozumieć można wyłącznie poprzez procesy myślowe. Nie znaleziono dotychczas definicji ujmującej jej istotę, lecz przecież zaniechanie tych poszukiwań oznaczałoby zmarnowanie ogromnej szansy. Czy naukę stać na podjęcie wyzwania ze strony tak ulotnego, wielowymiarowego i tajemniczego zjawiska?

Z całą stanowczością stwierdzam, że tak. Nawet gburowata wypowiedź jednego z moich znajomych, który uznał problem za „niedorzeczny” i „absurdalny”, jest ważną wskazówką do zrozumienia zagadnienia. Bezmyślne zaprzeczenie i ślepa wiara znajdują się na tym samym poziomie, jeżeli chodzi o podejście do problemu. Nie istnieje praktycznie żadna różnica pomiędzy pełnym wyniosłej pogardy psychiatrą czy fizykiem, który uporczywie odmawia uznania prawdy, a nerwowym „ufomanem”, widzącym wszędzie jednowymiarowych kumpli z kosmosu, znanych z komiksów. Musimy poradzić sobie z obiema skrajnościami; naprawdę jesteśmy do tego zdolni.

Przypadek Przybyszów może stać się naszym pierwszym odkryciem o randze kwantu w pełnowymiarowym świecie. Sam fakt ich obserwacji może okazać się procesem tworzenia konkretnych wielkości, nadania im sensu i świadomości, ujęcia ich w definicje. Być może w swoim świecie, Przybysze pracują z równym wysiłkiem nad stworzeniem nas.

W rzeczy samej taki akt odwagi i wzajemnego przenikania światów, oznaczałby prawdziwe zjednoczenie... dwa różne wszechświaty splatające swe nici... nowa przedza rzeczywistości na warsztacie tworzenia. Kto wie, może uważna obserwacja połączona z prawdziwą wnikliwością, doprowadzą do tego, że Przybysze wypłyną w końcu na powierzchnię?

Pewne jest, że odbieramy jakąś wiadomość – czy to z międzygwiazdnych przestrzeni, czy z dudniącego labiryntu naszego umysłu..., czy może z obu tych źródeł. Gdzieś musiał zostać ślad – ścieżka wydeptana w śniegu, rysa na ścianie. Z pewnością jesteśmy w stanie odnaleźć ten ślad, jeśli podejmiemy do poszukiwań z humorem, uczciwością, odwagą i wielką ostrożnością. Podążając tym śladem, możemy wejść w posiadanie klucza do wszechświata. W każdym bądź razie uznanie, że problem Przybyszów nie jest fałszywą niewiadomą, może oszczędzić cierpienia wielu ludziom.

Trzymając w ręku nić prowadzącą w nieznaną, będziemy zdani na własną mitologię, która wskaże nam drogę, gdyż będzie to ta sama nić, jaką Ariadna wręczyła Tezeuszowi, gdy stał u bram

labiryntu Minotaura, rozpalony młodością i siłą, szalony odwagą.

I wszyscy ruszymy tym labiryntem na spotkanie Nieznanego.

Oświadczenie doktora medycyny Donalda F. Kleina

Podczas badań nie stwierdziłem u pacjenta Whitleya Striebera żadnych objawów psychozy. Nie podlega on halucynacjom właściwym tego rodzaju zaburzeniom; nie znajduję również dowodów, wskazujących na nieźrównoważenie emocjonalne, zmienność nastrojów czy też zaburzenia osobowości. Podczas hipnozy okazał się doskonałym pacjentem, który podjął uczciwą próbę opisanie tego, co pamiętał. Otwarcie, choć z dużą dozą ostrożności, podszedł do swego dylematu i pracowicie kontynuował swoje dochodzenie. Po okresie początkowego stresu, z większym spokojem odnosił się już do swojej sytuacji i wkrótce nauczył się radzić sobie ze stresem w sposób nie szkodzący zdrowiu psychicznemu. Według mojej opinii, zaadaptował się już do życia w stanie niepewności.

dr med. Donald F. Klein

Dyrektor Oddziału Badań Naukowych

Instytut Psychiatryczny Stanu Nowy Jork

Wyniki testu na prawdomówność

31 października 1986 zostałem poddany testowi na prawdomówność przez Neda Laurendi, przewodniczącego Society of Professional Investigators oraz wiceprzewodniczącego Empire State Polygraph Society. Od ponad dwudziestu pięciu lat przeprowadzał on testy przy użyciu wykrywacza kłamstw. Podczas testu, za który zapłaciłem jak każdy inny pacjent, widziałem go po raz pierwszy w życiu.

Zdawałem sobie sprawę z kontrowersyjności wyników takiego badania, dlatego też postanowiłem sprawdzić kwalifikacje Neda Laurendi. Świadomie skłamałem, odpowiadając na pytanie trzynaste i szesnaste. W obu przypadkach natychmiast wykrył kłamstwo. Zarówno jego zdolności, jak i pozycja w tej dziedzinie przekonały mnie, że pomimo kontrowersji wokół wykrywacza kłamstw, Ned to człowiek o wysokich kwalifikacjach.

List, o którym mowa podczas badania, wysłałem do pana Laurendi 17 października 1986 roku. Zawarłem w nim moje wrażenia sprzed hipnozy.

Zdecydowałem się na badanie prawdomówności wyłącznie po to, aby przekonać czytelnika, iż wierzę w to, że opisane w tej książce wypadki zdarzyły się naprawdę. Nie ma w niej ani krzty fikcji. Wprawdzie pozytywny wynik testu nie świadczy wcale o prawdziwości moich wspomnień, lecz z pewnością potwierdza, że opisałem wszystko, co widziałem, najlepiej jak potrafię.

Wyniki testu

1. Czy to ty jesteś Whitley Strieber? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).
2. Czy masz zamiar udzielać prawdziwych odpowiedzi? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).
3. Czy celowo wybrałeś na ten test datę Halloween?

(Uwaga: Laurendi podejrzewał, że padł ofiarą dowcipu. Biorąc pod uwagę zbieżność daty i charakteru moich przeżyć, jego podejście jest zrozumiałe). Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

4. Czy jesteś wyznawcą jakiegoś kultu? Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

5. Czy uważasz, że wydarzenia opisane przez ciebie w liście z 17 października 1986 miały miejsce 4 października 1985 roku? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

6. Czy przed rokiem 1984 celowo zataiłeś jakieś informacje? Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

7. Czy sądzisz, że wydarzenia, które opisałeś w liście z 17 października 1986, miały miejsce 26 grudnia 1985 roku? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

8. Czy miałeś kiedykolwiek halucynacje poza przypadkiem w wieku lat ośmiu? (Uwaga: Kiedy miałem osiem lat, majaczyłem w gorączce). Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

9. Czy mieszkasz w Nowym Jorku? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

10. Czy uważasz, że wydarzenia opisane przez ciebie w liście z 17 października 1986 miały miejsce w marcu 1986? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

11. Czy kiedykolwiek przed rokiem 1984 skłamałeś dla korzyści osobistych? Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

12. Czy uważasz, że opisane w liście z 17 października 1986 wydarzenia miały miejsce w marcu 1986 roku? (Odnosi się to do wprowadzenia igły przez przewód nosowy i mojej wizyty u laryngologa). Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

13. Czy kiedykolwiek przed rokiem 1984 skłamałeś w interesach? Nie. (Ocena: duże prawdopodobieństwo kłamstwa. Ocena ta jest zgodna z prawdą. Prowadzę interesy od ponad dwudziestu lat i od czasu do czasu mogłem używać kłamstwa).

14. Czy kłamałeś podczas wywiadu na temat czterech wymienionych przypadków? Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

15. Czy jako pisarz jesteś wolnym strzelcem? Tak. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

16. Czy kiedykolwiek przed rokiem 1984 skłamałeś komuś, kto ci ufał? Nie. (Ocena: kłamstwo. Oczywiście jako chłopiec skłamałem rodzicom, gdy zapytali mnie, co było przyczyną pożaru domu).

17. Czy kiedykolwiek świadomie zażywałeś środki halucynogenne? Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

18. Czy kiedykolwiek zażywałeś leki wydawane tylko na receptę bez wiedzy lekarza? Nie. (Ocena: odpowiedź prawdziwa).

Uwaga: W niektórych pytaniach występuje zwrot: „przed rokiem 1984”. Ma on na celu odróżnienie pytań pomocniczych od ściśle związanych ze sprawą. Nie znaczy to wcale, że moje odpowiedzi byłyby inne, gdyby chodziło o okres po roku 1984.

Korespondencję do autora prosimy kierować pod adres:

Whitley Strieber Box 188
496 LaGuardia Place
New York, New York 10012